

Veit Etzold

# CIECIE

Nie próbuj się ukryć.  
Bezimienny i tak cię dopadnie.

**VEIT ETZOLD**

**CIEŃCIE**

Gdyby dane mi było wybierać miejsce, w którym spędzę życie, wybór mój padłby na serce miasta z gnijącego mięsa i rozpadających się kości, gdyż ich bliskość wprawia mą duszę w ekstatyczne drżenie, krew dziko krąży w żyłach, a serce bije w szalonej radości – bo tylko bliskość śmierci pozwala mi żyć.

H.P. Lovecraft, *Ukochani zmarli*

## Prolog

Numer 12! Postawił oba kanistry z ciemnoczerwoną substancją na podłodze zatęchłej piwnicy, zdjął z siebie gumowany płaszcz, zwinął go w kłębek i wrzucił w płomień. Plastik momentalnie zajął się jasnym ogniem, a potem w akompaniamencie syku zaczął się kurczyć. Na gumowej powierzchni pojawiły się bąble roztopionego materiału, a w powietrzu uniósł się gryzący, ciężki dym, który gromadził się pod wysokim sklepieniem.

Wszystko, co miał na sobie, rzucił na pożarcie płomieniom: maskę, okulary, buty.

Dwanaście ubrań.

Dwanaście ofiar.

Dwanaście istnień.

Huczalo mu w głowie. Miał wrażenie, że wszystko niknie za ciemną chmurą bólu pulsującego tuż pod czaszką. Czuł pieczenie w żołądku, jakby połknął rozżarzony węgiel.

Przed sobą miał trumnę... i to, co w niej leżało. Tysiące razy spoglądał w tę stronę i za każdym razem czuł, jakby raził go prąd. Wspomnienie zdarzeń z przeszłości i tym razem podziało jak uderzenie obuchem. Całkiem nagi padł na kolana i ogarnięty obrzydzeniem zmieszonym z rozpaczą zwymiotował cuchnącą zólcą.

Potem zupełnie się załamał. Łkając i drżąc, zwinął się w kłębek na kamiennej posadzce, a ogień w palenisku pożerał jego ubranie. Przekrwionymi oczyma spoglądał na podwyższenie z trumną, które górowało nad nim pośród migotliwego światła wypełniającego piwnicę.

Ona tam była.

Od lat.

Od wielu lat.

Stracona, lecz nie nieobecna. Ukryta, lecz nie zapomniana. Martwa, lecz pełna marzeń.

A on leżał teraz przed nią nagi na wilgotnej podłodze, pośród własnych wymiocin. Trząst się, lecz czuł, że coś w nim wzbiera i rośnie, tak jak przed chwilą wzbierało w nim obrzydzenie i mdłości – by w końcu przełamać barierę. Ciszę lochu przerwał potworny skowyt, tak straszny, jakby wyrwał się z gardła samego diabła, kiedy Bóg strącał go w czeluści piekieł. Krzyk pełen zwierzęcego przerażenia i okropnej bezradności.

Zrobił coś, na co żaden człowiek nie miał prawa się porwać. Coś, za co będzie przeklęty; za co czeka go wieczne potępienie i ogień piekielny. Coś, czego nigdy sobie nie wybaczy.

Zabił jedyną osobę, która go kochała.

Nagle otoczyła go ciemność. Stracił przytomność.

# Część pierwsza

## *Krew*

*A Twoją duszę miecz przeniknie.*

(Łk. 2, 34–35)

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – wyszeptła młoda kobieta, klękając w konfesjonale. Mówiła trzęsącym się głosem, jakby walczyła ze łzami.

– Bóg niech będzie w twoim sercu, abyś skruszona wyznała swoje grzechy – powiedział kapłan spokojnym, dźwięcznym głosem. Kobieta nie mogła dokładnie zobaczyć jego twarzy zza drewnianej kratki, która oddzielała grzesznika od niosącego posługę.

Nie miała pojęcia, co sprawiało, że co roku od wielu już lat, dokładnie dwudziestego trzeciego października, przychodziła w to miejsce. Czy to wiara? Nie, z całą pewnością nie. Raczej poczucie winy, które wciąż czuła i którego chciała się pozbyć, bo przygniatało ją ciężarem trudnym do uniesienia.

Każdego roku powtarzała sobie, jak bezsensowne jest chodzenie do spowiedzi. Kto bowiem może zagwarantować, że jej grzech naprawdę zostanie odpuszczony? Że zyska przebaczenie? Syn Boży nigdy jeszcze nie dotrzymał niejasnej obietnicy wypowiedzianej ustami jakiegoś księdza, że zdejmie jej z ramion brzemień grzechu i winy. Zazwyczaj po spowiedzi odczuwała ulgę, lecz przez bardzo krótki czas i tylko dlatego, że mogła się z kimś podzielić swoją historią. Nie miała złudzeń – kosmary senne i napady przerażenia będą ją dalej prześladować.

Próbowała właściwie wszystkiego, co możliwe: terapii grupowej, konsultacji psychologicznych, jogi, tai-chi i medytacji. Bez rezultatu. Za to spowiedź pomagała choćby na chwilę.

Z każdym rokiem poczucie winy stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Rosło w niej coś mrocznego, złego, coś, czego nie potrafiła jeszcze określić ani nazwać, co unosiło się w niej niczym opuchnięte, rozkładające się zwłoki topielca, które w brudnej i cuchnącej wodzie powoli, ale bezustannie wędrują ku powierzchni. To coś w jej wnętrzu rosło i stawało się coraz niebezpieczniejsze. Wiedziała, że przyjdzie czas, kiedy nie będzie mogła tego znieść i przebije pęczniący pęcherz winy.

Nie mijało wiele czasu, a poczucie winy rosło niczym wrzód wypełniający się ropą i od nowa uciskało jej duszę.

Właśnie dlatego przyszła tu ponownie, do berlińskiej katedry Świętej Jadwigi, dokładnie dwudziestego trzeciego października, i dlatego znów klęczała na stopniu konfesjonau. To był kościół arcybiskupi archidiecezji berlińskiej; przez to miejsce przewijało się wielu księży. Zdarzało się, że spowiadał ją duchowny, który słyszał wcześniej jej opowieść. Tego, który dziś siedział po drugiej stronie kratki, widziała po raz pierwszy.

– Ostatni raz u spowiedzi byłam... rok temu. Wyznaję swoje grzechy. Wciąż nie mogę przestać myśleć... o mojej siostrze... – powiedziała, zacinając się, bo jak zawsze nie umiała zacząć. – Miała osiem lat, kiedy została porwana. Sprawca... sprawca ją zgwałcił i zamordował. I to ja jestem temu winna.

– Kiedy to się stało? – zapytał spowiednik.

– Dwadzieścia lat temu. – Dokładnie dwudziestego trzeciego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, w środę. Godzina szesnasta. Wtedy po raz ostatni widziała siostrę. – Miałam ją odebrać ze szkoły... chodziła do szkoły muzycznej. Czekala na mnie, bo mi zaufała. A ja ją zawiodłam i nie przyjechałam. Przez to trafiła w łapska tego zwyrodnialca. – Zaczęła cicho płakać. – Wiele dni więził ją i gwałcił... cały czas. A na końcu – mówiła teraz zachrypniętym szeptem – na końcu ją zamordował. – Nic już nie mogło powstrzymać łez, które szerokim strumieniem popłynęły po jej policzkach. – Robił zdjęcia... ciągle robił zdjęcia... co z

nią wyprawiał...

Ksiądz przez chwilę milczał. W końcu odchrząknął.

– To przerażające. Dobrze, że zdecydowałaś się z tym do mnie przyjść. – Przerwał. – Czy sprawca został ujęty?

Dziwne pytanie jak na spowiednika.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie. Policja mówiła wtedy, że zrobią wszystko, co w ich mocy. Dziś jednak wiem, że nic nie zrobili. Absolutnie nic. Pili tylko kawę z automatu i gapili się na zegarki, żeby wiedzieć, która godzina i o czwartej iść do domu. A w tym samym czasie moja siostra z bólu i przerażenia odchodziła od zmysłów. Wiem, że nic nie zrobili.

– Skąd to wiesz?

– Bo sama pracuję w firmie. Tyle że ja jestem inna niż tamci nieudacznicy. Ja łapię zwyrodnialców jak morderca mojej siostry. Ja ich łapię i zabijam.

– Pracujesz w policji i zabijasz morderców?

– Zabijam seryjnych morderców. – Przełknęła głośno ślinę. – Czasem nie wiem już, czy dobrze robię, ale wtedy przypominam sobie, jak za pierwszym razem zawiodłam... To moje przeznaczenie. Ścigam te bestie... muszę je ścigać i muszę zabijać... – Nie mogła przestać płakać.

Przez kratkę konfesjonau widziała potakiwanie duchownego.

– Twoja nienawiść jest zrozumiała. Ale nie wolno śmierci zwalczać śmiercią ani przemocy przemocą. Jezus uczy nas, by innym okazywać miłość. Żeby zasłużyć na przebaczenie, trzeba nauczyć się wybaczać.

– Miałabym wybaczyć mordercy mojej siostry?

– Jemu również.

W konfesjonale zapanowała długa cisza. Przebaczyć temu zboczeńcowi? Temu gwałcicielowi? Temu mordercy? Nie, nie ma mowy. Nienawiść, którą do niego odczuwała, nie miała końca. Pragnęła rozerwać go na kawałki, wycisnąć z niego krew do ostatniej kropli, a pozostałości rozdeptać na miazgę, aż nic z niego nie zostanie – nic poza czerwoną plamą w błocie.

Poczekala, aż ustąpi targające nią wzburzenie.

– Co się dzieje z mordercami po śmierci? – zapytała w końcu. – Jak ojciec sądzi?

Duchowny złożył dłonie.

– Odebranie komuś życia oznacza złamanie piątego przykazania. To grzech śmiertelny. Jeśli taki ktoś się nie wypowiada i nie będzie szczerze żałował za grzechy, czeka go wieczne potępienie.

– Czyli piekło – powiedziała. Przełknęła ślinę i wierzchem dłoni otarła łzy. – Nie zaznam spokoju, dopóki osobiście go tam nie wyprawię. Czy będzie cierpiał?

– Na początku dwudziestego wieku w Fatimie Matka Boska objawiła się kilkorgu dzieciom i przekazała im tajemnicę, jaką była wizja piekła. – Spowiednik zacytował ją z pamięci: – „Postacie były wyrzucane z wielką siłą wysoko wewnątrz płomieni i spadały ze wszystkich stron, jak iskry podczas wielkiego pożaru, lekkie jak puch, bez ciężaru i równowagi wśród przeraźliwych krzyków, wycia i bólu rozpaczających wywołujących dreszcz zgrozy”.

– Brzmi odpowiednio – powiedziała kobieta. – Na nic lepszego nie zasłużył.

– Nie powinnaś tak myśleć – skarcił ją ksiądz. – To też grzech. A piekło rzeczywiście oznacza wieczne potępienie i męki. Żaden chrześcijanin nie powinien życzyć bliźniemu, by tam trafił.

– Mam nadzieję, że żywcem ściągną tam z niego skórę, potem go wykastrują i

poćwiartują. Szczerze mu życzę, żeby do końca wieczności cierpiał najgorsze katusze! – wyszczała i zacisnęła pięści. – I mam gdzieś, czy sama za to też trafię do piekła.

– Jak masz na imię?

– Clara.

– Claro, z tego, co słyszę, wciąż jeszcze cierpisz po stracie, a nienawiść zatruwa twoją duszę. – Duchowny nakreślił w powietrzu znak krzyża. – Jednak Bóg Ojciec w swojej nieskończonej dobroci zesłał na świat Jezusa Chrystusa, by odkupił ludzkie winy. – Spojrzał na Clarę. Mimo gęstej kratki, która ich dzieliła, kobieta dostrzegła w jego oczach błysk współczucia, kiedy wypowiadał formułkę odpuszczenia grzechów. – Bóg, Ojciec Miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą przez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna, i zesłał Ducha Świętego na odpuszczenie grzechów, niech ci udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę Kościoła. I ja odpuszczam ci grzechy, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

– Amen.

Ksiądz powtórnie nakreślił znak krzyża.

– Pójdź do kaplicy i zmów *Zdrowaś Mario* przez obliczem Najświętszej Panny. Postaraj się wyzbyć się z serca zgorzknienia. Matka Boska wstawi się za tobą. – Spojrzał na nią. – Ja również będę się za ciebie modlił.

Clara chciała się podnieść z klęcznika.

– Czy warto męczyć się dla mnie?

– Każdy ma szansę naprawić swoje błędy – odparł ksiądz. – Nie mogę zostawić zagubionej duszy samej sobie. Będę pamiętał o tobie w modlitwie. A Chrystus ci wszystko wybaczy.

– To dobrze – odparła Clara. – Bo jeśli kiedykolwiek spotkam sprawcę, ja mu na pewno nie wybaczę. – Duchowny przyjrzał się jej uważnie. – Zabiję go.

Clara Vidalis, nadkomisarz w wydziale zabójstw Krajowej Policji Kryminalnej, ekspertka sądowa i psychopatolog, wstała z klęcznika i szybko wyszła z konfesjonału, zanim łyzy ścisnęły jej gardło.



Internet to szczelnie oplatająca świat sieć teleinformatyczna, umożliwiająca komunikację między wszystkimi ludźmi na naszej planecie, oferująca błyskawiczny transfer danych i zmniejszająca ogromne odległości do rozmiarów komputerowego chipa. Ludzie przestali ze sobą rozmawiać, zastępując pogawędkę logowaniem się na kolejne strony WWW. Spotkania twarzą w twarz zastąpili zwozowaniem innych w portalach społecznościowych. Wystawiają się na działanie podnieć, które pobudzają te same obszary mózgu co nikotyna i kokaina. Elektroniczne narkotyki. Do odbiorców dociera sześćdziesiąt miliardów e-maili dziennie; cyfrowa kakofonia komunikacyjna, która kawałek po kawałku przenosi realne życie w nierealny świat zbudowany z bitów i bajtów.

Pierwsze komputery obsługiwało się topornymi przyciskami, lecz to już przeszłość, ponieważ dzisiejsze iPhone'y i iPady domagają się czułego dotyku niczym zazdrosna i wyjątkowo zaborcza kochanka.

I jak każde niebo ma swoje piekło, tak internet również dorobił się swojej ciemnej strony, zamieszkałej przez z pozoru tylko oświeconych i nowoczesnych ludzi.

Gdyż internet to nie tylko najpotężniejsze medium komunikacyjne i najobszerniejsza skarbnica wiedzy. Internet to również największe na świecie miejsce zbrodni. Można znaleźć tu wszystko – od dziecięcej pornografii aż po brutalne do granic filmiki – niektóre prawdziwe, a niektóre zagrane – od instrukcji jak popełnić samobójstwo, do dokładnych informacji jak skonstruować bombę; od nagranych bójek ulicznych przez zdjęcia i filmy ze śmiertelnych wypadków i katastrof, aż po nieprzebrane ilości fotek z imprez, na których pijane dzieciaki leżą pośród własnych ekskrementów. Wszystko to dostępne dla wszystkich i widoczne dla całego świata czyni z internetu współczesny pręgierz i targowisko obsceniczności, wynaturzeń i zbroczeń; równoległy świat pozbawiony zasad, gdzie każda żądza, każde chore pragnienie, najobrzydliwsze fantazje i najbardziej przerażające wizje mogą zostać zaspokojone i zrealizowane.

Strona internetowa giftgiver.de należała do takich właśnie miejsc. W kręgach osób homoseksualnych preferujących stosunki SM, określenie *gift giver* lub „darczyńca” odnosi się do mężczyzny, który w trakcie stosunku analnego bez zabezpieczenia celowo zaraża partnera wirusem HIV. Nosicielstwo, przekazywanie wirusa dalej i zarażanie innych – z punktu widzenia prawa to przestępstwo – pośród gift giverów, „darczyńców”, postrzegane są jako zasługa i powód do chwały. Perwersyjna równia pochyła, w której zakażenie rozprzestrzenia się coraz dalej i dalej, nie oszczędzając nikogo.

Jakob był jednym z członków tej społeczności, który dzień w dzień opisywał na stronie giftgiver.de swoje dziwaczne fantazje, nawiązywał kontakty z innymi użytkownikami, umawiał się na orgie seksualne i szybkie spotkania na mało uczęszczanych parkingach. Jakob od dawna zdawał sobie sprawę ze swoich preferencji i ochoczo zaspokajał własne pragnienia. Gdzieś po drodze, w trakcie seksu analnego bez zabezpieczenia, pewnie podczas imprezy czy w darkroomie, został zakażony wirusem HIV. Od tamtego czasu został gift giverem, człowiekiem, który z nosiciela staje się równie niebezpiecznym jak sam wirus narzędziem jego rozprzestrzeniania.

Poza tym Jakob był „subem” albo, inaczej mówiąc, „bot tomem” – czyli w trakcie stosunku stroną pasywną. Lubił być poniżany, dręczony i wykorzystywany. Zazwyczaj odgrywał rolę „kobiety”, w orgiach zaspokajał wszystkich ustami, dawał się bić, wiązać i opluwać. Podniecało go, kiedy pozostali oddawali na niego mocz. Reszta uczestników takich orgii

określała się mianem „nominatów”, „domów” albo „topów”.

Jednak po pewnym czasie i to przestało mu wystarczać. Kiedy zrealizował najróżniejsze sadomasochistyczne fantazje, zdecydował, że chce pójść jeszcze dalej i sprawdzić, czy znajdzie granice: chciał być związany i cięty skalpelem. Jakob nie miał pojęcia, czy ta fantazja była w nim od zawsze, ukryta gdzieś w podświadomości niczym prześladowający go demon, czy może zrodziło ją niemal codzienne obcowanie z piekłem stron sadomasochistycznych, pełnych najprzeróżniejszych podniet.

W końcu odważył się i na stronie giftgiver.de zamieścił następujące ogłoszenie:

*Chętny, uległy, 31, 182, 78. Wygolony, szczupły. Wacek 17/5. Szuka atrakcyjnego doma. Tortury, np. nóż? Robię wszystko, bez zahamowań itd. Napisz do mnie.*

Jeszcze tego samego dnia czekała na niego odpowiedź.

*Dom, 39, 191, 90. Przypnij się kajdankami do łóżka, a ja zajmę się skalpelem. Zamów je na stronie w załączniku. Co sądzisz o mojej fotce?*

Nieznajomy przysłał Jakobowi zdjęcie, które pokazywało jedynie jego wysportowane ciało, bo twarz ukrył pod czarną maską. Jednak umięśniona klatka piersiowa wystarczająco przypadła Jakobowi do gustu. Poza tym do e-maila dołączył wypełniony formularz, dzięki któremu Jakob mógł podać się za lekarza albo osobę związaną z branżą medyczną i zrobić zakupy na stronie z narzędziami chirurgicznymi. Po chwili zastanowienia wybrał kilka jednorazowych skalpeli z zieloną rączką.

Kiedy podał adres do wysyłki, numer karty kredytowej i kliknął potwierdzenie zamówienia, poczuł, jak wypełnia go mieszanina strachu i podniecenia. Co będzie, jeśli nieznajomy przekroczy granicę? W końcu będzie przypięty do łóżka i bezbronny, zdany na łaskę nieznajomego. Najdziwniejsze, że ta myśl zalała go kolejną falą podniecenia.

Po czterech dniach otrzymał przesyłkę. Natychmiast odpisał na ostatni e-mail.

*Skalpele są już u mnie. Kiedy wpadniesz?*

Błyskawicznie otrzymał odpowiedź.

*Będę za pół godziny. Nie zamykaj drzwi na zamek, żebym mógł wejść. Przypnij się kajdankami do łóżka. Resztą zajmę się ja. Zrób sobie zdjęcie i wyślij mi na skrzynkę, żebym miał pewność, że wszystko zrobiłeś zgodnie z instrukcjami.*

Jakob zrobił sobie zdjęcie i wysłał je e-mailem na adres, który dostał od nieznajomego.

Po kilku minutach był gotów. Drzwi do domu nie były zamknięte, skalpele czekały obok łóżka, a on leżał przypięty za rękę.

Pozostało tylko czekać.

W końcu usłyszał czyjeś kroki.

Poczuł, jak ogarnia go jednocześnie podniecenie, żądza i strach.

Albert Torino przełączył blackberry z trybu samolotowego na normalny, spakował dokumenty i laptopa do teczki ze skóry węża i stanął niepewnie w przejściu między fotelami boeinga 747 z São Paulo, którym właśnie przyleciał do Monachium. Z szafki na bagaż podręczny wyciągnął walizeczkę i czekając, aż obsługa poda mu ciemnogrnatową marynarkę w jodełkę, wsunął do ust tabletkę aspiryny. Rozgryzł ją i bez popijania wodą przełknął gorzką miazgę. Przez całą podróż nie zmrużył oka, właściwie jak zawsze, gdy wybierał nocne loty. I to mimo że leciał przecież klasą biznesową, w której fotel można rozłożyć na płasko, aż powstanie wygodne łóżko, a załoga natychmiast przynosi poduszki, koce, kosmetyki i wszystko, na co nie mogli liczyć pozostali pasażerowie w bydłych – w jego odczuciu – przedziałach z tyłu samolotu.

Może to dlatego, pomyślał Torino, że przez skupienie się na pragnieniu, żeby tylko zasnąć, człowiek wytwarza blokadę, która nie pozwala mu osiągnąć tego, na czym mu najbardziej zależy – mianowicie snu.

Poza samolotami Torino nie miał najmniejszych problemów z zasypianiem. Szczególnie dobrze mu szło w czasie prezentacji reklamowych prowadzonych przez jakichś marketoidów, którzy co chwila usiłowali wcisnąć jego firmie swoje usługi i pomysły na nowe kampanie brandingowe.

Rozkoszował się gorzkim posmakiem aspiryny, który wypełnił jego usta. Miał wrażenie, że on sam już wystarczył, by ból głowy zelżał.

Albert Torino był specjalistą od mediów. Po kilku latach przepracowanych dla dużego prywatnego nadawcy, gdzie był odpowiedzialny za parę produkcji święcących duże sukcesy, lecz wzbudzających nie mniejsze kontrowersje, postanowił założyć własną firmę. Nazwał ją Integrated Entertainment. Zyskał w ten sposób komfort, bo żaden bezmózgi członek rady nadzorczej czy pozbawiony jaj kontroler nie mógł mu już niczego zabronić. Sam był sobie szefem; na dodatek zebrał już osiemdziesiąt procent funduszy potrzebnych do sfinansowania kolejnego projektu. Swój pomysł uważał za genialny: w Brazylii odbędzie się casting wśród dzieciaków żyjących na ulicach – wybrał slumsy w São Paulo – a zwycięzcy przejdą szkolenie i będą walczyli w klatkach w formule mieszanych sztuk walki. Widzowie będą mogli wybierać swoich faworytów i decydować, kto stanie przeciwko komu.

Ten sam pomysł, pomyślał Torino, można zaadaptować do formatu superstar i stworzyć kuźnię gwiazd. Bronią dzieciaków ze slumsów są ich pięści, a kobiet – ich wygląd. Niech więc dziewczęta, podobnie jak mali wojownicy ze slumsów, użyją tej broni przeciwko sobie i zmierzają się ze sobą za pomocą seksapilu, zamiast pięści. Publiczność zdecyduje, która z nich jest najpiękniejsza. A wśród widzów, którzy wybrali właściwą kobietę, zostanie rozlosowana pewna szczególna nagroda.

Jaka?

No właśnie, co takiego?

Pomysł Torina sprawi, że cały świat mediów rozrywkowych zatrząsie się w posadach. Niemcy będą Nowym Orleanem, pomyślał, a ja huraganem Katrina.

Stewardesa przy wyjściu pożegnała go uprzejmym skinieniem głowy, co wykorzystał, by obejrzeć ją od stóp do głów. Słodziotka, pomyślał, choć i tak bez porównania z tym, co można wyhaczyć w Brazylii. Szkoda, że żyjemy w tym ciemnogrodzie pruderii.

Ruszył przez salę przylotów, ciągnąc za sobą walizeczkę na kółkach. Coraz słabiej czuł gorzki posmak aspiryny w ustach. Wysunięta broda i ciemnobrązowe oczy bezustannie i nerwowo lustrujące otoczenie sprawiały wrażenie, jakby Albert Torino bał się, że coś ważnego

może go ominąć, a on przecież chciał być na bieżąco. Poruszał się z gracją i lekkością, która wbrew zdrowemu rozsądkowi jest dość charakterystyczna dla wielu korpulentnych osób. Ciemnobrązowe włosy zaczesane na żel do tyłu, opalona skóra. Gdyby nie kilka zbędnych kilogramów, mógłby uchodzić za surfera, jednak dobre wino i jedzenie notorycznie pokonywały dietę i chęć wyjścia na siłownię.

Lewą dłonią sięgnął do kieszeni, wyjął słuchawkę podłączoną do swojego telefonu i wsunął ją do ucha. Piętnaście nowych wiadomości. Jak po każdym kilkunastogodzinnym locie. Ostatnia z nich sprawiła, że jego twarz się wypogodziła i zagościł na niej szeroki uśmiech. Tom Myers już na niego czekał.

Torino przyspieszył kroku i jeszcze bardziej wysuwając brodę, wszedł do poczekalni dla stałych klientów Lufthansy, Senator Lounge.

Mężczyzna od stóp do głów ubrany był w czarny lateksowy strój, ukryty pod czarnym płaszczem. Był wysoki, miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt, i wyglądał na bardzo wysportowanego. Poruszał się miękko i zwinnie, niemal bezgłośnie, przywodząc na myśl mistrzów sportów walki – kocia gibkość, która w ułamku sekundy może zmienić się w niesamowitą brutalność. Twarz ukrytą pod czarną lateksową maską zasłaniały dodatkowo gumowane okulary. W dłoniach w czarnych gumowych rękawiczkach niósł dwie czarne sportowe torby.

Nogą zamknął za sobą drzwi i szybkim krokiem przemierzył korytarz.

Jakob leżał na łóżku, przypięty kajdankami za lewą rękę do jego metalowej konstrukcji. Z głośników drogiej wieży pod ścianą sączyły się dźwięki utworu *Sweep Blue Foundation*.

– Dam ci taki orgazm, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłeś – oznajmił nieznajomy. Podszedł do łóżka i zwinnie przypiął drugą rękę Jakoba kajdankami, które przyniósł ze sobą. Potem rozejrzał się po pokoju. Zatrzymał wzrok na laptopie pozostawionym na biurku. Włączony ekran wyświetlał jeszcze stronę *giftgiver.de* i profil Jakoba. Nieznajomy podszedł do wieży, ustawił głośniejszą muzykę i wrócił do przypiętego chłopaka. Bez ostrzeżenia oddarł z rolki kawałek szerokiej taśmy i zakleił mu nią usta.

Jakob nie zdążył zareagować. Niespodziewanie poczuł się bardzo niepewnie. Czyżby popełnił błąd? Czy zaprosił do zabawy niewłaściwą osobę? Jednocześnie podniecał go ten brak bezpieczeństwa, a w żyłach pulsowała mu adrenalina.

Nieznajomy podszedł do stolika i otworzył aseptycznie zapakowany skalpel. Następnie rozpiął jedną z toreb, z którymi przyszedł, i wyjął z niej tackę ze stali nierdzewnej, taką, jakich używa się w szpitalach. Potem na ziemi postawił jeszcze dwa plastikowe wiadra.

Co tu się dzieje? – zastanawiał się Jakob, czując coraz silniejszą mieszankę strachu i ogromnego podniecenia. Będzie udawać doktora? A może zabawy fekaliami? I do czego są mu potrzebne te wiadra?

Zanim zdążył wyciągnąć jakiegokolwiek wnioski, nieznajomy z przerażającą rutyną sięgnął w stronę jego nóg i przypiął je kajdankami do łóżka.

Wieża odtwarzała właśnie piosenkę Lady Gagi *Poker Face*. Usłyszał słowa pierwszej zwrotki: *Russian Roulette is not the same without a gun*.

Mężczyzna nachylił się nad Jakobem. W jednej dłoni trzymał skalpel, w drugiej tackę. Odwróconym ostrzem przesunął po jego nagim torsie. Jakob stęknął głucho i momentalnie dostał erekcji. Wtedy nieznajomy odwrócił nóż i delikatnie przyciskając, nakreślił linię biegnącą przez klatkę piersiową przypiętego mężczyzny, zostawiając cienki, krwawy ślad na skórze. Jakob trząsał się z podniecenia.

*And baby when it's love, if it's not rough, it isn't fun.*

– Zapamiętasz mnie do końca życia – oznajmił nieznajomy.

I zanim Jakob zdążył się zastanowić, co miałyby oznaczać ta uwaga, mężczyzna jeszcze mocniej docisnął skalpel i zrobił jeszcze dłuższe nacięcie na skos przez jego klatkę piersiową. Jakob krzyknął z podniecenia. Kiedy wykonał trzecie cięcie, jednocześnie masując wyraźne zgrubienie na jego spodniach, Jakob przeżył potężny orgazm.

Nieznajomy mówił dalej.

– Nigdy mnie nie zapomnisz, bo będę ostatnią osobą, jaką kiedykolwiek zobaczysz. – I z tymi słowami, w chwili kiedy Jakob wytrysnął w spodnie i niemal oszalał z podniecenia, obcy mężczyzna przesunął błyskawicznie skalpel w górę i przeciął mu tętnicę szyjną. Jakob zamrugał i

spojrzał w bok zaskoczony i zarazem przerażony. Krew, niczym szkarłatny orgazm śmierci, tryskała falami z przeciętej tętnicy, a Jakob wydawał z siebie niezrozumiałe gardłowe dźwięki, które nie mogły nabrać kształtu słów, bo usta wciąż miał zaklejone taśmą. Charkot mieszał się z głośną muzyką, tworząc nieprzyjemną kakofonię. Chciał usiąść, jednak nieznajomy przycisnął go do łóżka. Był zaskakująco silny. Krew tryskała na dywan i nocną szafkę, na której leżały wytarte magazyny pornograficzne i płyty DVD. Po chwili brutalnie przekreślił głowę Jakoba na bok, by krew z przeciętej tętnicy spływała wprost na metalową tackę, którą ze sobą przyniósł.

Kiedy już tacka i plastikowe wiadra były prawie pełne, ciało Jakoba przestało drżeć. Zgasła resztką życia tłąca się w jego półprzymkniętych oczach, w których wcześniej zaskoczenie mieszało się z przerażeniem.

Obcy mężczyzna podszedł do komputera, przejrzał otwarte strony, zanotował coś, po czym zamknął ekran i schował laptopa razem z baterią i bezprzewodowym modemem w jednej ze sportowych toreb, które ze sobą przyniósł. Potem otworzył drugą torbę i wyjął z niej dwa plastikowe pojemniki. Sięgnął po skalpel i zbliżył się do zwłok przypiętych do łóżka.

    Nie skończył jeszcze pracy, którą miał do wykonania.

    Wręcz przeciwnie.

    Jeszcze na dobre jej nie rozpoczął.

Clara nabrała głęboko powietrza i westchnęła, spoglądając w górę, na wysoko sklepioną kopułę, którą miała nad sobą. Dzięki niej czuła się całkowicie wolna i bezpieczna. Zamrugła, żeby oczyścić oczy z łez, a w głowie usłyszała odbijające się echem słowa księdza: „Żeby zasłużyć na przebaczenie, trzeba nauczyć się wybaczać”.

Ciekawe, jakich tajemnic musiał wysłuchiwać duchowny od spowiadających się wiernych i ilu wśród nich przyznawało się do zbrodni? A przecież jako ksiądz z nikim, poza Jezusem i Bogiem, nie mógł się dzielić się tą wiedzą, bo obowiązywała go tajemnica spowiedzi. Przez chwilę zastanawiała się, czy morderca jej siostry również wyspowiadał się z tego czynu. Bo jeśli tak, to któryś z księży wiedział, jak wygląda ten zwyrodnialec, co zrobił i może nawet potrafiłby pomóc go odnaleźć. Czy był ktoś taki, kto wiedział to wszystko, ale nigdy nikomu tego nie zdradzi?

Clara przegoniła dręczące ją myśli jak natrętą muchę: zwierzę takie jak morderca jej siostry z całą pewnością nie chciało mieć nic wspólnego z Bogiem.

Posąg Matki Boskiej, otoczony dziesiątkami zapalonych świec, wznosił się przy bocznym ołtarzu, w lewej nawie świątyni. Maria trzymała w ramionach małe Dzieciątko Jezus; pod stopami miała sierp księżycy, podczas gdy ją samą oświetlały promienie słońca. Znajomy znajomej, historyk sztuki, wyjaśnił kiedyś Clarze, że w Apokalipsie świętego Jana Niepokalana ma pod stopami sierp księżycy.

*Potem wielki znak się ukazał na niebie: Niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu. A jest brzemienna. I woła cierpiąc bóle i męki rodzenia. I inny znak się ukazał na niebie: Oto wielki Smok barwy ognia, mający siedem głów i dziesięć rogów – a na głowach jego siedem diademów. I ogon jego zmiata trzecią część gwiazd nieba: i rzucił je na ziemię. I stanął Smok przed mającą rodzić Niewiastą, ażeby skoro porodzi, pożreć jej dziecię[1].*

Clara nie miała pojęcia dlaczego, ale знаła ten fragment na pamięć. Nie chodziło o wyobrażenie krwiożerczego smoka czyhającego, by pożreć niewinne dziecko, niezależnie od tego, jak strasznie by to brzmiało, chyba największy wpływ na nią miało odniesienie tego cytatu do jej sytuacji, bo przecież na Claudię, jej siostrę, również rzucił się smok zła. Jednak w Biblii Dzieciątko zostaje uratowane przez Archaniola Michała, który pokonuje smoka-szatana; potwór, który pojawił się w życiu Clary, odebrał jej wszystko.

Jeśli Bóg rzeczywiście jest tak miłosierny, jak głosi Kościół, to dlaczego tak mało interesuje się ludźmi? – zastanawiała się. – Gdzie się podziewa, kiedy jest najbardziej potrzebny? Czy życie zawsze równa się cierpieniu? I jeśli życie ma być męczarnią dla ciała, to czy piekło będzie męczarnią dla duszy?

Stała w milczeniu przed figurą Matki Boskiej, podczas gdy zapalone u jej stóp świece oblekały zanurzone w półmroku wnętrze świątyni w migotliwy kobierzec z blasku płonących knotów.

Maria, pomyślała Clara. Jedyne człowiek w całej historii stworzenia, który żył całkowicie bez grzechu i w czystości. I dodała: Maria, Matka Syna Bożego, Królowa Nieba i Ziemi.

Lecz jeśli świat poszedłby za jej przykładem i grzech zniknąłby z powierzchni ziemi, Clara musiałaby znaleźć sobie inne zajęcie.

Wrzuciła monetę do mosiężnej skarbonki i zapaliła dwie świece za Claudię. Nigdy cię nie zapomnę, powiedziała w myślach, patrząc na bliźniacze płomyki, które momentalnie wtopiły się w migotliwy kobierzec u stóp posągu.

Nagle drgnęła. Zaskoczył ją metaliczny brzęk. Wysoki mężczyzna wrzucił monetę do skarbonki i, jak ona przed chwilą, zapalił świeczkę. W jego ruchach była gracia i płynność, którą Clara widywała wśród funkcjonariuszy pracujących w oddziałach specjalnych. Miał bardzo krótko przycięte blond włosy i nosił okulary w metalowych, matowych oprawkach.

– Nigdy nie będzie nam dane zbliżyć się do ideału, prawda? – odezwał się, spoglądając na posąg Maryi. Potem przeniósł wzrok na Clarę. Kiedy lewą dłonią dostawiał świeczkę do pozostałych, zadrżała mu ręka.

Clara skinęła jedynie głową. Nieznajomy nie wyglądał ani nie zachowywał się odpychająco, lecz nie miała nastroju do rozmowy.

Mężczyzna chyba to zrozumiał.

– Przepraszam – powiedział i cofnął się o krok. – Nie chciałem przeszkadzać. Do widzenia.

Kobieta stała pod figurą Maryi i spoglądała za oddalającym się mężczyzną, a migotliwe płomyki świec ustawionych na podłodze rzucały rozedrgane cienie na oblicze Matki Boskiej.



*Wszystko mnie brzydzi. Ludzie, życie i ja sam. Czasem myślę, że od lat już jestem martwy i po prostu nikt nie pomyślał, żeby mnie pochować. Może byłoby lepiej, gdybym wtedy, gdy zainscenizowałem swoje samobójstwo w jeziorze, gdybym rzeczywiście je popełnił... napisałem wówczas list pożegnalny, wszedłem do wody, wypłynąłem daleko od brzegu i zostawiłem tam swoją kurtkę. Potem wyszedłem na plażę, ale nigdy już nie wróciłem do sierocińca. Od tamtego czasu wszyscy myślą, że nie żyję... i dobrze.*

*Zresztą może rzeczywiście jestem martwy? Może to, co postrzegam jako rzeczywistość, jest w istocie tylko snem? A jeśli żyję, to czy powinienem się w końcu zdecydować odejść? Przedawkować insulinę? Połknąć opakowanie tabletek nasennych? Znaleźć mocną belkę pod dachem i przerzucić przez nią sznur? A może wystarczy jedno szybkie cięcie żyłką?*

*Na razie to nie wchodzi w grę, bo mam misję do spełnienia. Dziewczyna ma na imię Jasmin. Dzisiaj na Facebooku ogłosiła wszem wobec, że weekend spędzi w Hanowerze. To znaczy, że mogę wejść do jej mieszkania i wszystko przygotować. Widziałem ją na dworcu głównym. Wielu ją widziało i wielu odprowadzało ją pożądliwym wzrokiem. Podobna do Elisabeth. Jest piękna, ma blond włosy i przyciąga spojrzenia.*

*Dwudziestolatek, z którym usiadła w restauracyjce na dworcu, by wypić kawę, też na nią leciał. W jego oczach widziałem, że pragnie tej blondyneczki, że koniecznie chce ją osiąść, lecz tępa bezradność, która wzywała spoza pożądania, wyrażała zwątpienie, że kiedykolwiek mu się to uda. Chłopak wiedział, że blondynka nigdy nie będzie jego. Domyślał się, że ucieszyła się, kiedy przez głośniki zapowiedziano jej pociąg i w końcu miała pretekst, by zostawić go samego.*

*Po co w ogóle się z nią spotkał? Musiał przecież wiedzieć, że takie spotkanie obudzi w nim pożądanie, którego nigdy nie zaspokoi. Wiedział, a mimo to skazywał się na długie cierpienie.*

*Możliwe również, że wystarczyła mu iluzja: oto spotkał kobietę marzeń – chociaż wiedział, że nigdy się z nią nie prześpi. Albo nie chciał sobie wyrzucać tchórzostwa, że nie skorzystał z szansy, którą dostał, nawet jeśli była cholernie mała? Całkiem prawdopodobnym wytłumaczeniem jest to, że spotkał się z nią jedynie po to, by mieć przed oczyma jej obraz, kiedy będzie się masturbował.*

*Czy taki ktoś może kiedyś stać się mordercą? Kimś, kto żywą dziewczynę w kawiarni będzie gotów zmienić na pocięte i rozkładające się zwłoki tylko dlatego, że martwe dziewczyny nigdy nie odmawiają? Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem, ale sama myśl o tym jest całkiem interesująca.*

*Jasmin wraca w niedzielę wieczorem. Nie napisała o tym na Facebooku, ale znalazłem tę informację na jej koncie w serwisie kolejowym [bahn.de](http://bahn.de), na który się włamałem. Dlatego w niedzielę wyjdę z domu. I poczekam na nią w jej mieszkaniu. Żeby ją zabić.*

Wieczór i zachód słońca zalały niebo czerwoną i żółtą barwą, upodabniając je do sklepienia katedry Świętej Jadwigi, które migotliwe świece zmieniły w rozedrgane malowidło. Clara zajęła miejsce za kierownicą służbowego audi, które najlepsze lata miało już dawno za sobą, i Unter den Linden dojechała do skrzyżowania z Friedrichstraße. Skręciła w lewo, w stronę Tempelhof, gdzie znajdowała się siedziba Krajowej Policji Kryminalnej.

Clara pracowała w wydziale zabójstw, w niedawno utworzonym referacie ekspertyz sądowych i psychopatologii. Z reguły jest tak, że im większe miasto, tym więcej można znaleźć w nim osób z zaburzeniami emocjonalnymi i psychicznymi, a Berlin nie był wyjątkiem. Zapadła więc decyzja, że nie można siedzieć z założonymi rękoma, tylko trzeba zacząć działać.

Clara zamierzała spędzić w biurze jeszcze mniej więcej dwie godziny i w tym czasie spotkać się ze współpracownikami, przejrzeć akta ostatniej sprawy, a w końcu wrócić do domu. Z wyjątkiem dwudziestego trzeciego października, o którym myślała bez przerwy, cały tydzień minął spokojnie. I bardzo dobrze, bo potrzebowała trochę odprężenia. Ostatnią sprawą, nad którą pracowała wspólnie ze swoim przełożonym, głównym komisarzem Winterfeldem, który jednocześnie sprawował funkcję szefa wydziału zabójstw, było śledztwo w sprawie Wilkołaka. Wilkołak, psychopatyczny morderca, szalał po Berlinie, zostawiając za sobą krwawy ślad. W bestialski sposób zamordował siedem kobiet, dopuszczając się na nich wielokrotnych gwałtów zarówno przed ich śmiercią, jak i po niej. Wszystkie osoby biorące udział w tym śledztwie zapłaciły za swoje zaangażowanie zszarganymi nerwami, a rozkaz komendanta głównego policji, by żadnych informacji z dochodzenia nie przekazywać prasie, tylko pogorszył ich sytuację.

Clara skręciła we Friedrichstraße w stronę prostokątnych biurowców wyrastających pomiędzy klasycystycznymi fasadami sąsiadujących kamienic.

Już wcześniej zdarzało jej się współpracować przy różnych sprawach z Winterfeldem, pięćdziesięciodziewięciolatkiem po drugim rozwodzie. Mimo to nie potrafiła go jeszcze rozgryźć. Z jednej strony zachowywał się do bólu pragmatycznie, nie pozwalając, by rozpraszały go głupstwa, a z drugiej całkiem poważnie twierdził, że ma też drugą twarz. Jego największym osiągnięciem, które wciąż jeszcze budziło podziw, było złapanie „mordercy z reklamówką”. Kiedy prowadził to śledztwo, pracował jeszcze w Hamburgu. Ścigał wtedy zwyrodnialca i pedofila, który gwałcił dzieci, założywszy im na głowę plastikową torbę. Podniecał go słabnący opór, bo dzieci z braku tlenu traciły najpierw siły, a potem przytomność i w ciągu kilku minut umierały. A on nie przestawał ich wykorzystywać. Okazało się, że morderca był nauczycielem w szkole zawodowej, jednym z tych oddanych pedagogów, którzy społecznie organizują bożonarodzeniowe koncerty i odśnieżają chodnik przed swoim domem, tak żeby wszyscy sąsiedzi widzieli. Wzór cnót.

Hannah Arent ukuła pojęcie banalności zła. John Wayne Gacy był właśnie takim niepozornym i nierzucającym się w oczy przestępcą. Podobnie jak Heinrich Himmler. Klaus Beckmann, „morderca z reklamówką”, również należał do tej grupy.

Winterfeld wziął wówczas Clarę pod swoje skrzydła, razem z Sarah Jakobs, równie uzdolnioną, młodą funkcjonariuszką, która pracę w policji kryminalnej rozpoczęła parę lat później niż Clara, jednak koniec końców wybrała wydział przestępczości gospodarczej. Potem przez dłuższy czas się nie widywały. Chodziły plotki, że Sarah wpadła na trop gigantycznej afery gospodarczej i musiała przyjąć nową tożsamość, a także zamieszkać w miejscu, gdzie nikt jej nie znał, żeby była bezpieczna, dopóki sprawa nie ucichnie.

Sarah była dla Clary niczym młodsza siostra, choć wcale nie była od niej niższa. Ciemna

blondynka o brązowych oczach wyglądała jak przeciwieństwo Clary, której ciemne włosy i niebieskie oczy zdradzały południwoeuropejskie korzenie – co było oczywiście prawdą, bo w jej żyłach płynęła włoska, hiszpańska i niemiecka krew.

Pracując w świecie zdominowanym przez mężczyzn, Clara tęskniła za przyjaciółką. Wśród detektywów i przełożonych przeważali przedstawiciele płci brzydkiej, tak samo zresztą jak wśród zbrodniarzy. Dawniej Clara i Sarah często siadywały na balkonie wychodzącym na Schönhauser Allee i plotkowały przy białym winie, a w dole spokojnie toczyło się życie. Nie ma chyba na świecie bardziej wakacyjnego widoku niż kieliszek schłodzonego białego wina, na którym skrapla się woda z powietrza, oświetlony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Dla Clary tak właśnie wyglądałoby odprężenie, gdyby miało przyjąć jakąś materialną formę. Żadnych kelnerów, na których i tak trzeba godzinami czekać. Żadnych turystów z grubymi tyłkami i plecakami, którzy przeciskają się między krzesłkami kawiarni. Żadnej denerwującej muzyki, która wbrew intencjom barmanów wcale nie sprawia, że goście czują się lepiej. Za to pojedynczy stolik, dwa krzesła, butelka białego wina i życie na ulicy poniżej, szum rozmów sąsiadów i dźwięk rowerowych dzwonek. Muzyka dobiegająca jedynie z otwartych okien samochodów, nawet jeśli głośna, to przecież jej dudnienie szybko cichnie, w miarę jak auta się oddalają. A w tle ćwierkanie wróbli i gruchanie gołębi.

Rozmawiały wtedy o sprawach, które prowadziły, o skorumpowanych biznesmenach popełniających przestępstwa gospodarcze, o organizacjach przemytniczych, handlu ludźmi, morderstwach na tle rabunkowym, zabójstwach w afekcie i seryjnych mordercach. Często jednak poruszały tematy całkiem normalne, jak książki, które niedawno czytały, wystawy, na które miałyby ochotę pójść, no i oczywiście mężczyźni, wśród których ci mili najczęściej – niestety! – okazywali się nudziarzami, a ci, którzy nie byli nudni, niemal bezustannie szukali kolejnej zdobyczy.

Na wysokości Choriner Straße, gdzie mieszkała, znajdował się wylot podziemnego tunelu, z którego co pewien czas wypelzał pociąg metra, by wspiąć się na stalowe rusztowanie nad ulicami i na odcinku kilkuset metrów z kolejki podziemnej zmienić się w szybką kolej miejską, a potem znów zniknąć pod ziemią, jeszcze przed Bornholmer Straße.

Clara przypominała sobie Vincenta, chłopaka Sarah. W czasie jednego z letnich wieczorów, które spędzali razem, opowiedział straszną historię napisaną przez H. P. Lovecrafta: na Antarktydzie naukowcy odkrywają ogromną jaskinię, w której mieszka gigantyczne stworzenie przypominające robaka. Sama wielkość zwierzęcia przemieszczającego się skutymi lodem korytarzami sprawia, że kilku członków zespołu badawczego traci zmysły. Coś, co nie ma prawa istnieć, tak Lovecraft opisywał robaka. Jeden z uczestników wyprawy, który wyjazd na Antarktydę przypłacił pobyt w zakładzie dla obłąkanych, do końca życia wypowiadał jedynie nazwy przystanków nowojorskiego metra, zaczynając od Battery Park, a kończąc na Central Park. Jednak, jak twierdził Vincent, to nie to gigantyczne stworzenie budziło grozę w uczestniku wyprawy, lecz właśnie pociąg metra. Nowoczesny świat rozwiązuje stare problemy i odczarowuje stare strachy, lecz bez przerwy produkuje nowe, często bardziej przerażające niż te pokonane wcześniej.

Clara zrozumiała, co Vincent miał na myśli, kiedy ze swojego podziemnego królestwa wytoczył się dudniący pociąg metra, długi i ciemny jak gigantyczny węgorz, który wynurzył się, żeby pożreć nieostrożnego owada z powierzchni wody. Archetypy, tłumaczył Vincent, są w nas bardzo mocno zakorzenione. Wiemy przecież, że nie ma żadnych potworów, a jednak odczuwamy przed nimi strach, tylko dlatego, że ta pradawna obawa istnieje w ludziach, od kiedy tylko pojawili się na ziemi.

Policjantka minęła Tempelhof Ufer i wjechała w Mehringdamm. Samochód zaparkowała

w podziemnym garażu siedziby policji, podeszła do windy i nacisnęła guzik z trójką. Idąc korytarzem, usłyszała sygnał nadchodzącej wiadomości. Wyjęła telefon, żeby sprawdzić skrzynkę odbiorczą. Nic ważnego, dzięki Bogu.

Skierowała się do kuchni, wzięła kubek i ze starego, prychającego i miejscami ciekącego ekspresu nalala sobie kawy. Oduczyła się już pić kawę inną niż czarną, a w każdym razie w pracy innej nigdy sobie nie przygotowywała. Czarną kawę można było dostać wszędzie – nie trzeba było za każdym razem prosić o mleko, które i tak zazwyczaj okazywało się zsiadłe – a cukier i słodziki szkodziły na zęby albo linię, choć zazwyczaj i na to, i na to. Co oczywiście nie oznaczało, że Clara była przeciwniczką inaczej przygotowanego naparu, co to to nie. W Starbucksie z rozkoszą delectowała się gęstą od śmietanki i lepką od cukru karmelową macchiato. Jednak służba to służba, a Starbucks to Starbucks.

Clara chciała wyjść z kuchni, kiedy usłyszała na korytarzu czyjeś ciężkie kroki. Po chwili stanęła naprzeciwko Winterfelda. Mężczyzna miał rozpiętą pod szyją koszulę, rozluźniony krawat, a w dłoni trzymał paczkę cygaretek La Paz, którą właśnie otwierał. Kiedy szedł, jego orli nos zdawał się rozcinać powietrze jak dziób statku wodę. Niebieskie oczy głównego komisarza spoglądały na Clare.

– Ach, señora Vidalis! – powiedział i przecesał dłonią krótkie szare włosy, a potem spokojnie otworzył duże okno naprzeciwko wejścia do kuchni, żeby „zapalić na zewnątrz”, jak zwykł mawiać. Ilekroć Winterfeld otwierał to okno, Clara miała wrażenie, że robi to uroczyście, jakby wydarzenie zasługiwało na świąteczną oprawę. Przypominał przy tym księdza, który otwiera drzwiczki tabernakulum, by wyjąć poświęconą hostię i rozpocząć eucharystię.

– Niechże pani zatrzyma się na chwilę i dotrzyma towarzystwa starszemu człowiekowi – ciągnął, stając w otwartym oknie. Korytarz momentalnie wypełnił się chłodnym jesiennym wiatrem. Winterfeld nabrał do płuc świeżego powietrza, w którym dało się wyczuć delikatną zapowiedź śniegu i zimy, a potem zapalił cygaretkę, zaciągnął się i wypuścił ustami chmurę tytoniowego dymu.

Przez jakiś czas stali obok siebie w milczeniu. Clara ścisnęła kubek z kawą, rozkoszując się jego ciepłem, dzięki czemu jesienny chłód nie był jej straszny. Winterfeld wyglądał, jakby medytował, a bezruch przerywał jedynie regularnym unoszeniem do ust dłoni z cygaretką.

– Dzisiaj jest dwudziesty trzeci – odezwał się w końcu, nie patrząc w stronę Clary. – Nie musi pani nic mówić, naprawdę. Mam tylko nadzieję, że jakoś daje sobie pani radę. – Winterfeld znał historię policjantki.

– Jakoś daję. Znowu byłam u spowiedzi – powiedziała Clara i upiła kilka łyżek kawy. – Nie mam pojęcia, dlaczego co roku tam chodzę, ale fakt faktem, że przez jakiś czas czuję się lepiej. To działa lepiej niż joga. Wiem, bo uprawiam. – Wzruszyła ramionami. – W jodze doszłam już do miejsca, że niedługo będę potrafiła sama wybić sobie staw barkowy i potem go wstawić. Tylko że to mi nie przynosi spokoju.

– Ten numer ze stawem może być całkiem przydatny. Pomysł ze spowiedzią też nie jest taki do niczego. – Winterfeld pokiwał głową. – Można przyjąć, że nasi bracia i siostry – mówiąc to, miał na myśli cały Kościół – stworzyli podwaliny psychoanalizy. Agnostycy woleliby nie mówić o tym głośno, ale co począć, takie są fakty. Otworzyć duszę i pokazać wszystko, co ma się w środku – tak jest w kościele i to samo robił Freud. Zmartwienia i problemy, kiedy zostaną nazwane i wypowiedziane na głos, stają się łatwiejsze do zniesienia. – Spojrzał na Clare. – Ileż razy zdarzyło się nam aresztować skruszonego mordercę, który z własnej woli przychodził się przyznać, tylko dlatego, że nie potrafił dłużej wytrzymać ze swoim sumieniem?

Clara potaknęła.

– Jak mówił ten facet z FBI, który był u nas w zeszłym roku? *Not everyone is built for*

*guilt?*

– Ale to prawda! Święta prawda! – Winterfeld przytaknął i zaciągnął się dymem. Przez chwilę oboje milczeli.

– Co to ja jeszcze chciałem powiedzieć... – Winterfeld przesunął w zamyśleniu dłonią po głowie i zaciągnął się cygaretką. – A, już wiem. W śledztwie w sprawie Wilkołaka odwaliła pani kawał naprawdę świetnej roboty. Tak niesystematyczny i niezorganizowany sprawca to rzadkość, nigdy jeszcze takiego nie spotkałem. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jak by wyglądała jego sprawa przed sądem. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Na szczęście nie będę musiał się przekonywać, bo nasz przyjaciel leży na razie w chłodni w Moabicy, a w przyszłym tygodniu powącha kwiatki od spodu. Będzie miał sporo czasu, żeby zastanowić się nad sobą. – Na jego ustach pojawił się delikatny uśmiech. Spojrzał na Clarę. – Miałem przekazać pani serdecznie pozdrowienia od Bellmana. Wie pani, mówi się, że prędzej piekło zamarznie, niż ktoś ze szczerego serca podziękuje za przysługę, i Bellmann nie jest tu wyjątkiem. Jednak tym razem chyba coś sobie przemyślał, bo poważnie potraktował swoje słowa. Koniecznie chce się z panią jeszcze raz spotkać i w czasie rozmowy osobiście podziękować za wspaniałą robotę. Tak przy okazji, do kiedy pani pracuje?

– Do piątku – odparła Clara. Potrzebowała jeszcze dwóch dni, żeby zamknąć tę sprawę i uporać się z papierami, a potem miała zaplanowany urlop. W końcu. Pełne dwa tygodnie. Nie miała jeszcze pojęcia, dokąd pojedzie, wołała wybrać coś w ostatniej chwili. I polecieć dokądkolwiek. Byle odpocząć.

– Zapowiedział, że wpadnie do nas. Do jutra wieczór będzie w Wiesbaden, na jakimś spotkaniu z federalnymi. Ale może być pani pewna, że gdy wróci, pani będzie pierwsza na jego liście.

– Cieszę się – powiedziała Clara, choć w stosunku do Bellmana, szefa policji krajowej w Berlinie, wciąż miała mieszane uczucia. Nie mogła mu odmówić wyjątkowego talentu organizacyjnego, jednak jeśli coś szło nie tak, jak by sobie życzył, potrafił być bardzo nieprzyjemny, szczególnie jeśli wiadomość docierała do niego z opóźnieniem.

– No i? – zapytała i spojrzała na Winterfelda łobuzersko. – Co podpowiada panu intuicja? Złapiemy trochę oddechu? Z tego, co się zorientowałam, nie jest pan fanem spokoju, bo to w rzeczywistości żaden spokój, tylko cisza przed burzą. Czy może tym razem naprawdę mamy przestój?

Winterfeld wzruszył ramionami i strzepnął popiół z trzeciego piętra na ziemię.

– Czasem cisza to naprawdę cisza. Ale ma pani rację. Zazwyczaj to, co bierzemy za ciszę, to bezgłośnie przesuwający się czerwony punkt celownika laserowego tuż przed wystrzałem. – Nabrał głęboko powietrza i schował paczkę cygaretek do kieszeni. – Z drugiej strony, może w końcu nam się poszczęściło? Może to taka prawdziwa cisza? Zresztą, czym sobie pani zaprzęta głowę! Przecież ma pani urlop. Zajmę się z Hermannem całą papierkologią, pogadamy z psychicznymi, którzy pracują nad profilem osobowościowym Wilkołaka, a potem, mam nadzieję, będzie już weekend i nic go nie zakłóci.

Hermann był asystentem Winterfelda i jednocześnie ekspertem w sprawach przestępczości elektronicznej; potężny, małowówny mężczyzna z głową ogoloną na łyso, wyjątkowo mocno zaangażowany w swoją pracę. Potrafił przy tym budzić strach – i budził, kiedy było trzeba. Clara zawsze wyobrażała sobie, że tak naprawdę jest pluszowym misiem, któremu cały czas trzeba podsuwać świeży miodek, by nie zamienił się w niedźwiedzia grizzly.

Winterfeld dopalił cygaretkę do końca, zdusił niedopałek na parapecie i wyrzucił w ciemność za oknem.

– Właśnie, jeśli chodzi o psychicznych. – Przypomniał sobie o czymś, kiedy zamykał

okno. – W biurze jest jeszcze Martin Friedrich. Chciała go pani poznać. Jutro leci do Wiesbaden, żeby na jesiennej konferencji policji federalnej wygłosić jakiś referat, a nie wiem, czy zdąży wrócić, zanim rozpocznie pani urlop.

– Świetnie, w takim razie wpadnę się z nim spotkać – oznajmiła Clara i dopiła kawę. –

Czwarte piętro czy coś pokręciłam?

– Nic pani nie pokręciła. Poza tym, gdzie indziej mógłby siedzieć?

– W jakim sensie?

Winterfeld spojrzał na nią w sposób, w jaki na ucznia patrzy doświadczony, mądry mistrz – którym przecież był, kiedy przechodziła szkolenie.

– Czwórka – powiedział – to dla Chińczyków liczba, która przynosi pecha, bo w wymowie brzmi podobnie jak słowo „śmierć”.

Clara się uśmiechnęła.

– No i proszę, znów dowiedziałam się czegoś nowego. Trudno było wpaść na takie wyjaśnienie?

– Na pewno nie było łatwo. – Winterfeld również się uśmiechnął i dodał: – Miłego wieczoru!

A potem odwrócił się na pięcie i ruszył korytarzem.

– Przepraszam! – zawołała kobieta przy wejściu do specjalnej poczekalni Lufthansy, Senator Lounge, kiedy Torino minął ją już o trzy czy cztery kroki. – Czy mogłabym zobaczyć pański bilet? Jest pan senatorem?

– A jak pani myśli? – warknął mężczyzna nieprzyjemnie i machnął jej biletem przed nosem, jakby usiłował przepędzić uciążliwą muchę. – Czy może wyglądam na zwykłego pastucha? Nie? No właśnie.

Potem wszedł do luksusowej poczekalni. Lufthansa przez dwa lata przebudowywała to miejsce, w tajemnicy trzymając wszystkie szczegóły, a jednak kiedy Torino wszedł do środka, poczuł się bardziej niż rozczarowany. Co ci idioci robili tu przez tyle czasu? Westchnął ciężko, odstawił teczkę i walizeczkę na kółkach i rozejrzał się uważnie. Na takie coś mogli wpaść chyba tylko niemieccy budowlańcy i rzemieślnicy. Potrafią jedynie hałasować od siódmej rano, czego dotkną, to zepsują, a na koniec wyskoczą z rachunkiem, który o zazdrość przyprawilby większość maklerów giełdowych.

Przyjrzał się gościom w poczekalni i w końcu zauważył osobę, z którą był umówiony. Tom Myers, dyrektor zarządzający w firmie Xenotech, zstąpił z Olimpu dostępnego jedynie członkom klubu HON Circle, przeznaczonego wyłącznie dla najlepszych klientów Lufthansy i zniżył się do plebejskiej poczekalni Senator Lounge – z jednej strony dlatego, że Albert Torino był „zaledwie” senatorem, a z drugiej strony w Senator Lounge liczba VIP-ów, którzy mogliby podsłuchać poufne rozmowy biznesowe, była znacznie mniejsza. W gruncie rzeczy, jeśli ktoś chciał mieć całkowity spokój w czasie takich konwersacji, powinien od razu udać się do zwykłej poczekalni biznesowej, bo tam siedzieli jedynie pracownicy z działów sprzedaży i stażyści z firm doradczych, którzy i tak nigdy nie mieli nic do powiedzenia.

Tom Myers był odpowiedzialny za tworzenie i realizację globalnej strategii Xenotechu, największego na świecie portalu z treściami multimedialnymi zamieszczanymi przez użytkowników. Xenotube, dostawca treści wideo internetowego giganta, był najczęściej odwiedzaną stroną z filmami na świecie – a Myers miał do niego klucze i strzegł go niczym internetowy Cerber.

Torino upatrzył sobie Xenotube jako partnera dla nowego reality show. Teraz wystarczyło już tylko przekonać Myersa, który nie był zachwycony pomysłem quasi-pornograficznej licytacji dziewczyn, mimo że sam pomysł, jak stwierdził w jednej z wcześniejszych rozmów, jest „ogólnie w porządku”. Torino podejrzewał jednak, że nie do końca zrozumiał założenia jego show.

Myers, mężczyzna o blond włosach wpadających lekko w rudy, błękitnych oczach i spiczastej brodzie, która sterczała jak język skalny nad wodą, czytał akurat „Financial Times” i tylko co pewien czas odrywał się od lektury, by rzucić okiem najpierw w stronę wejścia do poczekalni, a potem na elektroniczną tablicę z informacjami o kolejnych lotach.

– Albecie! – powiedział i wstał z fotela, kiedy tylko dostrzegł Torino. – *Here you are! How was your flight?*

– *Work and pleasure in good measure.* – Torino uśmiechnął się i kontynuował rozmowę po angielsku. – Skończyłem większość prezentacji dla inwestorów, jedzenie było w porządku, a spać nie spałem, bo i tak w samolotach nie mogę zmrzyć oka.

Myers wskazał na fotel obok. Torino odstawił walizkę na kółkach i teczkę, po czym podszedł szybkim krokiem do automatu z kawą, wybrał cappuccino i dopiero wtedy usiadł.

– W takim razie – zaczął Myers – przejdźmy od razu do rzeczy, bo za dwadzieścia minut mam samolot do Frankfurtu. Chciałeś stworzyć coś na kształt *American Idol* czy *Deutschland*

*sucht den Superstar*, zgadza się?

– Nie, absolutnie nie. – Torino posłodził kawę i długą łyżeczką niezbyt starannie zamieszał gorący napój. – Ten pomysł to już historia. Większość programów celebryckich jest tworzona przez idiotów, dla których skandalem jest seks przed ślubem.

– Coś w tym chyba jest. – Myers upił łyk wody. – Jednak z tego, co zrozumiałem, a twój e-mail, przyznam się, przejrzałem dość pobieżnie, chciałeś zrobić program, w którym użytkownicy będą wybierali nową gwiazdę, prawda?

– To się akurat zgadza. – Torino potaknął. – Tyle że w popularnych programach jest tak, że widzowie oglądają wybraną pulę kandydatów, na których wyzywają się potem sędziowie. Uczestnicy słyszą, że są nędzną namiastką gówna i najlepsze, co mogą zrobić, to rzucić się z mostu. Tylko niewielu spośród nich przetrwa taką jazdę i to właśnie oni zostają potem nowymi gwiazdami i celebrytami.

– I to się cały czas sprawdza – potwierdził Myers.

– Sprawdza, bo leniwe łajzy przed telewizorami w świecie informacyjnych zombi – mówiąc to, wskazał na drzwi do poczekalni Senator Lounge, jakby za progiem tego pomieszczenia rzeczywiście zaczynał się całkiem inny świat – łykają wszystko, co im się podsunie. Dopóki ktoś nie zaproponuje czegoś nowego, wszyscy będą zadowoleni z papki, którą dostają, nawet jeśli dostają ją w formie niezmiętej od lat.

– No i?

– Jak to no i? – Torino zrobił zdziwioną minę. – Ta formuła jest archaiczna i zaprzecza kulturze angażowania, interaktywności, na której bazują nowe media. Widzom cały czas coś się autorytarnie narzuca – niezależnie od tego, czy oni chcą to oglądać czy nie. To, że producentom coś przypadło do gustu, nie oznacza, że inni też będą zachwyceni, prawda? Wiesz, robak – tu Torino uniół palec – powinien smakować rybnie, nie wędkarzowi!

– Świetne porównanie. – Myers potaknął. – Słucham dalej.

– To teraz od innej strony – odparł Torino. – Co byś sobie pomyślał jako widz, który lubi tylko szczupłe modelki, a nadawca serwuje mu jedynie trzęsące się pasztety i programy o odchudzaniu? Albo masz ochotę na kobiety o pełnych kształtach, a dostajesz transmisję z konkursu na Miss Etiopii?

Myers wysunął brodę i w zamyśleniu przygryzł dolną wargę.

– Pewnie pomyślałbym, że fajnie by było, gdybym to ja mógł zdecydować, kogo chcę oglądać.

– No właśnie! – Torino klasnął w dłonie. – Jako widz chciałbyś mieć możliwość wybrania własnej top modelki.

– To znaczy, że widzowie będą obstawiali swoje typy? Jak na wyścigach konnych?

– Zgadza się. – Torino potaknął i wrócił do mieszania kawy, wodząc wzrokiem za grupką chińskich biznesmenów, którzy zmiierzali w stronę wyjścia. – Modelki mogłyby zakładać na platformie programu własne strony, na których prezentowałyby się widzom, coś jak na tych wszystkich portalach randkowych, gdzie ludzie szukają przyjacieli, seksu czy co tam jeszcze przyjdzie im do głowy. Jednocześnie widzowie mogliby za pośrednictwem tak przygotowanej platformy wybierać swoje faworytki i przyznawać im punkty.

– Głosowanie za pomocą pieniędzy?

– A jak inaczej? Jesteśmy przecież realistami. Kto dużo inwestuje w jakieś akcje, sprawia, że ich kurs się zmienia, i tak samo byłoby w tym programie: wartość poszczególnych modelek wędrowałaby w górę. Dwadzieścia dziewczyn, których wartość byłaby najwyższa, zostałyby zaproszonych na casting do programu.

– I stąd ta nazwa? *Shebay*? Bo widzowie licytowałiby swoje faworytki, jak na aukcji?



Torino potaknął.

– Między innymi. To widzowie wybiorą stawkę uczestniczek, które potem wezmą udział w programie. I spośród nich zostanie wyłoniona Miss Shebay. W ten sposób widz jest bezpośrednio zaangażowany w wybór zwyciężczyni. Jeśli nam się uda, program nie będzie wyglądał jak gra, a serwery, marketing i wszystko inne możemy zlecić na zewnątrz.

Myers upił łyżeczkę wody i złożył gazetę, którą wcześniej czytał.

– Powiedziałeś, że nazwa wzięła się między innymi z tego. Wyjaśnisz, skąd jeszcze?

Torino wyszczerzył zęby.

– Przed chwilą rozmawialiśmy, że widz często się denerwuje, że w telewizji podsuwa mu się pasztety, których nie tknąłby kijem i przez szmatę nawet po trzech latach abstynencji.

– Chyba rozumiem. – Myers schował gazetę i komputer do teczki. – Stąd licytacja i kurs uczestniczek jak na giełdzie.

– Właśnie. – Torino przyznał mu rację. – To oferta, którą widz sam sobie wybiera.

– Brakuje tylko zapotrzebowania.

– Być może. – Torino nachylił się. – Może od zapotrzebowania lepsze byłoby pożądanie?

– Mówiąc to, odłożył łyżeczkę i złożył dłonie. – Tom, powiedz mi, ale tak z ręką na sercu, jak często zdarzało ci się zobaczyć w którymś programie rozrywkowym jakąś niezłą laskę, ale taką, że najchętniej zaraz byś się z nią przespał?

– Hm, jak zapewne wiesz, jestem szczęśliwie żonaty i dlatego...

– Oj, daj spokój, przecież wszyscy wiemy, że to dotyczy każdego... Bo widzisz, o to w tym wszystkim chodzi. Widzisz w telewizji superlaski i ostre teksty na forach internetowych, ale jako zwykły przeciętniak z nieciekawą pensyjką nie masz na nie szans.

– Oczywiście, że nie. – Myers się zgodził. – Bo to w końcu jest telewizja, a nie wizyta w burdelu.

– Zadałeś sobie kiedyś pytanie, dlaczego tak jest? – Torino zrobił niewinną minę.

– Bo telewizja to telewizja, a burdel to burdel, to chyba proste.

Torino aż klasnął w dłonie.

– I tutaj pojawiają się my. Kobiety czy rynek akcji, telewizor czy burdel – u nas to bez różnicy!

Myers przygryzł dolną wargę.

– Chcesz powiedzieć, że widzowie dostaną szansę wskoczenia do łóżka z którąś z uczestniczek?

– Bingo! Każdy będzie miał szansę spędzić upojną noc ze swoją faworytką, niezależnie od tego, czy dziewczyna zostanie Miss Shebay czy nie. Na dodatek każdy będzie mógł wylosować noc ze zwyciężczynią.

– A ci, którzy zapłacą najwięcej, będą mieli największe szanse?

– Tak jest. Nagroda będzie losowana, więc każdy będzie miał możliwość zostania wybranym, nawet jeśli będzie miał mało kasy. – Torino uśmiechnął się szeroko. – Statystyczny widz, nasz telewizyjny zombi, nie ma zbyt wiele pieniędzy. Gdyby miał, na pewno nie przesiadywałby przed telewizorem, tylko poderwał cztery litery i poszedł zarabiać jeszcze więcej szmalu. Tak jak my. Jednak ktoś musi zająć się tymi biednymi, głupimi ludźmi, i tym kimś będziemy my. U nas nawet złamas bez dochodów będzie mógł sobie podupczyć. Równość dla wszystkich!

Myers napił się wody i zamknął aktówkę.

– Jesteś równie zdeklarowanym marksistą jak Ronald Reagan. Uczestniczki będą wiedziały, na co się decydują?

– A jak myślisz? Przecież to chyba oczywiste! Nie będzie żadnych niedopowiedzeń. Poza

tym zaraz na wstępie będą musiały podpisać zgodę, a potem jeszcze umowę. Będziemy kryci ze wszystkich stron. Prawnicy kończą już pracę nad papierami.

– Co będzie, jak padnie na jakiegoś obleśnego dziada? Czy dziewczyna będzie musiała dać mu się puknąć?

– To będzie wyglądało tak, że określimy wymagania dotyczące higieny. Jednak, koniec końców, dziewczyny muszą poznać zasadę, że kto chce być piękny, musi trochę pocierpieć. – Torino uśmiechnął się delikatnie, podczas gdy twarz jego rozmówcy nie zmieniła wyrazu. – A sława kosztuje jeszcze więcej.

Myers milczał przez dłuższy czas.

– Dostyc specyficzny pomysł – powiedział w końcu. – Z drugiej strony pasuje do naszych chorych czasów. Musicie tylko uważać, żeby wam się prawnicy nie dobrali do tyłków. Czy może chcecie nadawać z Holandii?

Torino spojrzał na Myersa poważnie.

– Ilu mieliście użytkowników w Niemczech w zeszłym miesiącu?

– Około dziesięciu milionów.

– To wszystko będzie jeszcze prostsze. – Torino dopił cappuccino i odstawił głośno filiżankę. – Na początek program pójdzie przez telewizję. Jeśli pojawią się problemy prawne, będziemy transmitować go przez sieć. Na stronie głównej Xenotube.

– Co proszę?! Chcecie dziesięć milionów naszych użytkowników zmusić do oglądania tego zбочzonego show? – Myers spojrzał na zegarek. Widać było, że pomysł Torina jednocześnie go odrzuca i fascynuje.

– Zбочzony czy nie, zrobi furorę. – Torino nie tracił pewności siebie. – A te wasze dziesięć milionów w jednej chwili zmieni się w dwadzieścia milionów.

Myers przewiesił przez ramię pasek torby.

– Sam nie wiem...

– Wręcz przeciwnie, wiesz, i to doskonale – Torino mu przerwał. – Masz teraz godzinę lotu do Frankfurtu. To czas na podjęcie decyzji.

– Przemyślę twoją propozycję. – Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

Torino skinął głową.

– Tylko nie myśl za długo. Życie jest krótkie, a czas to pieniądz. Rok...

– Tak, tak, wiem. – Widać było, że bardzo intensywnie myśli. – Rok w realnym świecie to pięć lat w sieci.

Profesor doktor Martin Friedrich, kierownik wydziału analizy operacyjnej Krajowej Policji Kryminalnej, był niekwestionowanym autorytetem w swojej dziedzinie. Studiował medycynę i psychiatrię na Uniwersytecie Medycznym Charité w Berlinie i na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa w Baltimore, a medycynę sądową poznawał na Uniwersytecie Wirginii i w Quantico, z kolei na Harvardzie, w Londynie i w Berlinie prowadził zajęcia z tworzenia psychologicznego profilu seryjnych morderców. Friedrich był pracoholikiem, który w swoim słowniku nie uwzględnił pojęcia „czasu wolnego”.

Po zakończeniu studiów i zdobyciu dyplomu lekarza psychiatrii znalazł pracę w FBI, gdzie wiedzę teoretyczną z zakresu tworzenia profili psychologicznych – czyli analizy osobowościowej seryjnych morderców – przekuł na praktykę, ucząc się od najlepszego specjalisty w tej dziedzinie, bo od samego Roberta Resslera, który pomagał Thomasowi Harrisowi przy pisaniu *Milczenia owiec*. Ressler nie tylko doprowadził do perfekcji sposób pracy nad profilem psychologicznym zbrodniarza, ale też naukowo zdefiniował pojęcie seryjnego mordercy, bo wcześniej tacy ludzie nazywani byli masowymi zbrodniarzami. Taki termin nie do końca odpowiadał rzeczywistości, gdyż w klasycznym rozumieniu masowy zbrodniarz starał się zabić jak najwięcej ludzi za jednym zamachem, podczas gdy seryjny morderca mordował raz za razem, przez długi czas.

Clara czytała wiele książek Resslera, w tym między innymi *Whoever fights monsters i I have lived in the monster*. Zapoznała się ze wszystkimi wywiadami, które Ressler, legenda amerykańskiej kryminalistyki, przeprowadził ze słynnymi mordercami, w tym z Johnem Wayne'em Gacym, który do samej egzekucji zaprzeczał, jakoby pozbawił życia trzydziestu trzech młodych mężczyzn i chłopców. Tłumaczył, że przy osiemdziesięciogodzinnym tygodniu pracy nie znalazłby na to czasu. Nie umiał jednak wyjaśnić, skąd pod piwnicą jego domu znalazły się na wpół rozłożone ciała dwudziestu kilku nastolatków.

Ressler przeprowadził także wywiad z Jeffreyem Dahmerem, zwanym Kanibalem z Milwaukee. Morderca w barach wyszukiwał homoseksualistów, nawiązywał z nimi znajomość i zapraszał ich do swojego domu. Tam podawał im narkotyki, gwałcił ich, mordował, a na koniec ćwiartował zwłoki. Potem pocięte fragmenty obgotowywał z mięsa, by z czystych kości i czaszek układać ołtarzyki w swojej sypialni. Niektóre z jego ofiar były przed śmiercią torturowane – potrafił żywemu człowiekowi przewiercić czaszkę i przez otwór w kości wkroplić kwas bezpośrednio do mózgu, zmieniając mężczyzn w bezwolne i nieświadome zombi. Dahmer tłumaczył się tym, że czuł się bardzo samotny. Bał się, jak twierdził, że nigdy nie spotka człowieka, z którym mógłby się związać – a w każdym razie nie żywego. I dlatego postanowił mieszkać z martwymi, a właściwie z ich szczątkami. Dahmer zmarł w więzieniu, zabity przez jednego ze współwięźniów, który z taką siłą wbił mu w oko kij od miotły, że przebił tylną ściankę oczodołu i przeszył mózg.

Jednak Gacy i Dahmer byli wyjątkami. Większość seryjnych morderców dokonywała zbrodni na tle czysto seksualnym. Ponieważ na ogół seryjnymi mordercami byli mężczyźni, a większość mężczyzn to heteroseksualiści, wśród ich ofiar zdecydowanie przeważały kobiety.

Rany, pomyślała wtedy Clara. Ale wybrałam sobie robotę!

Clara współpracowała już wcześniej z Martinem Friedrichem, jednak nigdy bezpośrednio – Friedrich przygotował dla nich i dla Winterfelda szczegółowy profil osobowościowo-psychologiczny Wilkołaka, choć ani ona, ani Winterfeld nie wiedzieli jeszcze, że Friedrich już dla nich pracuje. Wynikało to z tego, że Bellmann i podlegający mu komendanci tak

bardzo chcieli utrzymać sprawę w tajemnicy przez prasę i opinią publiczną, że do absolutnego minimum ograniczyli również komunikację między wydziałami. A że Martin Friedrich trafił do policji w Berlinie ledwie cztery tygodnie wcześniej i nikt nie wiedział, czy „ten nowy” jest już na stałe czy nie, plan się powiódł.

Friedrich, z plotek, które dotarły do Clary, pasjonował się Szkocją. Spędzał tam większość urlopów. Zazwyczaj leciał tam sam, z walizką pełną książek, wśród których obowiązkową pozycją były dzieła zebrane Szekspira. W analizie psychologicznej Wilkołaka, którą przygotował na potrzeby ich śledztwa, zamieścił informację, że wszyscy biorący udział w pracach muszą zapoznać się z twórczością Szekspira, „największego psychologa w historii”. „Czytając jego dzieła – pisał w uwagach do analizy – poznacie państwo wszystkie wzloty i upadki, na jakie narażona jest ludzka dusza. Śmiech i radość, komizm i absurd, ale też sprawy ukryte, odrażające i trudne do nazwania. W tym kontekście ze szczególnym naciskiem wskazywał na Makbeta, którego diaboliczna małżonka podżega do zamordowania króla Szkocji”.

Wszystko to, poczynając od miłości do Szekspira, poprzez fascynację Szkocją i szkocką whisky, aż do swojej specjalności, w której stał się niekwestionowanym i światowym autorytetem, sprawiło, że w czasie jednego z pobytów naukowych w Stanach Zjednoczonych ukuto dla niego specjalne przezwisko – przezwisko, które pasowało do niego jak żadne inne i z którego sam Friedrich był najwyraźniej zadowolony: MacDeath.

MacDeath wprowadził się do nowego biura dopiero przed tygodniem. Kiedy Clara stanęła w progu, siedział akurat za eleganckim dębowym biurkiem, na nosie miał ciemnobrązowe rogowe okulary i ze skupionym wyrazem na pociągłej twarzy pisał coś na komputerze. Policjantka z wahaniem zapukała w drewnianą framugę. Friedrich uniósł głowę. Jego delikatna twarz wyrażała dobroduszość i ciepło, które nijak się miały do fascynacji mrocznymi stronami natury ludzkiej. Pozory mylą, pomyślała Clara. Foucault lata wcześniej ubrał to w słowa, mówiąc, że szaleństwo i praca wykluczają się wzajemnie. A Winterfeld wyjaśnił to znacznie prościej – ci, co piszą o mordowaniu kobiet, sami ich nie mordują.

– Dobry wieczór! – Friedrich podniósł się zza biurka i lekkim krokiem ruszył w stronę gościa. Miał na sobie białą koszulę, ciemnobłękitny sweter z logo uniwersytetu, a całości dopełniał, zgodnie z najlepszymi tradycjami kulturowanymi przez absolwentów Uniwersytetu Harvarda, czerwony krawat. – Pani jest tą tajemniczą policjantką, mam rację? – Puścił do niej oko.

– Tak, współpracowaliśmy w ostatnich tygodniach, choć nie mieliśmy o tym pojęcia. – Miał mocny uścisk dłoni. Pewny siebie, ciepły i przyjazny. – Tajne przez poufne.

Clara przytrzymała jego dłoń i dopiero po chwili ją puściła.

– Winterfeld wyjaśnił mi, że według Chińczyków czwórka przynosi pecha, bo w wymowie brzmi podobnie jak „śmierć”.

– Rozumiem. – Friedrich schował ręce do kieszeni. – Czy to właśnie dlatego dostałem biuro na czwartym piętrze?

– Całkiem możliwe. – Clara rozejrzała się po pomieszczeniu. Za biurkiem stał wysoki dębowy regał, którego półki uginały się pod ciężarem książek. Na szafce pod ścianą dostrzegła archaiczną torbę lekarską z popękanej skóry, a obok niej czaszkę. Po przeciwnej stronie wisały dwa plakaty w antyramach. Jeden przedstawiał *Sąd Ostateczny* – fresk Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej, a drugi reklamował film *Tytus Andronikus*, nakręcony przez Julie Taymor na podstawie dzieła Szekspira.

– Wspaniała ekranizacja Szekspira, naprawdę polecam – powiedział Friedrich, widząc, że Clara przygląda się plakatowi, który przedstawiał Anthony’ego Hopkinsa jako rzymskiego generała. – Dość krwawy i raczej nie powiedziałbym, że nakręciła go ta sama kobieta, która była

odpowiedzialna za *Króla Lwa*, ale już sam Hopkins jako Tytus Andronikus wystarczy, żeby obejrzeć to dzieło. Zna pani oryginał Szekspira?

Clara wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że owszem, coś o tym słyszała, ale żeby zaraz znać?

– Otóż Tytus Andronikus – zaczął Friedrich i zdjął okulary – był wiernym sługą cesarza rzymskiego, jednak nie miał lekkiego życia. Niemal wszyscy jego synowie zginęli na wojnach, córka została porwana, a cesarz, który miał się z nią ożenić, zapalał nagle miłością do królowej pokonanych Gotów, Tamory. Z jej inspiracji cesarz nakazał pozbawić życia ostatnich synów Tytusa, jednak zgodził się ich ocalić, pod warunkiem że Tytus obetnie sobie rękę i mu ją przyśle. No, ale słowa nie dotrzymał. Na dodatek córka generała, Lawinia, została zgwałcona i okaleczona przez Chirona i Demetriusza, synów władczyni Gotów.

– Poruszające. Czyli raczej trudno powiedzieć, że wszystko dobrze się skończyło.

Friedrich stanął przed plakatem i przyglądając mu się w zamyśleniu, włożył do ust zauszniak okularów, a potem złożył ręce na piersiach.

– Na koniec Tytus zaprasza królową Gotów i cesarza na ucztę, a wśród serwowanych dań znajduje się pasztet. Pasztet dla królowej. Zrobiony ze zmielonych i nasączonych krwią kości jej synów.

– Rozumiem, że na koniec nie podali sobie ręki na zgodę? – zapytała Clara.

– „Już w tym pasztecie stoją upieczeni, który ich matce smakował, jak widzę. Gdy jadła mięso, które wykarmiła”[2] – zacytował z pamięci słowa angielskiego mistrza. – Kanibalizm, bo chyba nie nazwałaby pani tego inaczej?

Clara nie mogła zaprzeczyć.

– Brzmi jak historia Hannibala Lectera. Brakuje tylko bobu i chianti.

– I to właśnie przesądza o genialności filmu – dokończył Friedrich. – Hopkins gra w nim Tytusa Andronikusa nie jako Anthony Hopkins, tylko jak Hannibal Lecter, kanibal, z którym do śmierci będzie utożsamiany.

Wyjął ręce z kieszeni, podszedł do biurka i wskazał jej jeden ze skórzanych foteli.

– Proszę, niech pani siada.

Policjantka zajęła miejsce naprzeciwko niego.

– Musi mi pani wybaczyć. – Obszedł biurko, usiadł i oparł się wygodnie. – Kiedyś chciałem być nauczycielem angielskiego i do dzisiaj mam takie zapędy pedagogiczne. Bezustannie zmuszam wszystkich, żeby czytali Szekspira. Jeśli ktoś zna Szekspira, wie znacznie więcej o ludziach, o ich dobrych i złych stronach.

– Przy okazji ostatniej sprawy doskonale poradził pan sobie z opisaniem tych złych stron. – Clara z uznaniem pokiwała głową. – Dzięki pańskiej pomocy udało nam się dopaść Bernharda Trebckena, Wilkołaka.

– To był chory człowiek. Bardzo zaburzony, bardzo! – Friedrich się skrzywił. – Już od dawna nie spotkałem aż tak skrzywionego człowieka. Jeśli w ogóle możemy określić go mianem człowieka. – Spojrzał w sufit. – Impulsywny, agresywny, gwałciciel i morderca. Absolutnie chaotyczne działanie, brak jakichkolwiek prawidłowości, nieorganizowany i nieobliczalny. Przez to był tak niebezpieczny. Chodziło mu wyłącznie o to, by całkowicie zniewolić ofiary, poniżyć je i uprzedmiotowić, aż w końcu rzeczywiście staną się rzeczą – a konkretnie zwłokami... materia. – Uniósł wzrok i spojrzał Clarze w oczy. – Wiedziała pani, że termin „Wilkołak” jest w gruncie rzeczy niewłaściwie używany?

– Jak to?

– Od samego początku w historii ludzkości można było spotkać seryjnych morderców, choć wtedy jeszcze nikt o nich tak nie mówił. Mężczyźni, choć niekiedy również kobiety,

mordowali i okaleczali swoje ofiary. Wtedy jeszcze ludzie nie potrafili sobie wytłumaczyć, jak ktoś może być zdolny do takiego bestialstwa. W końcu uznano, że jedynie zły duch może popełniać takie okropieństwa, demon przybierający postać człowieka obdarzonego zwierzęcą siłą. Połączenie człowieka z wilkiem. Wilkołak.

Nachylił się, żeby zmienić wysokość fotela, a kiedy skończył, kontynuował.

– Kiedy czyta się opisy ataków domniemanych wilkołaków, spisane w szesnastym wieku, można znaleźć wiele analogii do naszego przypadku. Zadziwiająco. Okazuje się, że w średniowieczu i renesansie mieliśmy wilkołaki, które okazały się seryjnymi mordercami, a dzisiaj, w dwudziestym pierwszym wieku, mamy seryjnego mordercę, którego nazywamy Wilkołakiem. I w sumie mamy rację, prawda?

– Zgadza się, mamy. – Clara założyła nogę na nogę i oparła się wygodnie. Nie mogła oderwać wzroku od czaszki na dębowej komodzie za biurkiem.

Friedrich mówił dalej.

– Wilkołak rąbał siekierą kobiety, które zgwałcił, przy czym część jeszcze żyła, a część już na szczęście nie. Napędzała go tak ogromna wściekłość, że gdy uderzał w ciała, ostrze przecinało nie tylko mięśnie i kości, ale często również materac i parkiet pod łóżkiem. Tak w każdym razie głosi raport medyków sądowych.

Clara potaknęła.

– Znam akta. Do tego stopnia nakręcał się w chorej nienawiści, że tracił nad sobą kontrolę i ciskał obciętymi członkami ofiar po całym mieszkaniu. I zostawiał je tam, gdzie upadły.

– Marzenie każdego detektywa, co? – Friedrich ściągnął usta. – Przesłanki, by sądzić, że ma się do czynienia ze schizoidalnymi zaburzeniami osobowości, połączonymi z patologicznym kompleksem boga. – Przyjrzał się Clarze. – W jakim stopniu weszła z nim pani w kontakt?

– Zastrzeliłam go.

– Aha... – Mężczyzna uniósł brwi. – Dopadła go pani w mieszkaniu jednej z ofiar, prawda?

Clara kiwnęła głową.

– Jasną wskazówką jest ten zwierzęcy instynkt niszczenia, który w nim połączył się dodatkowo ze skłonnościami sadystycznymi i socjopatią. Tylko ludzie mogą być aż tak chorzy. – Z szuflady biurka wyjął jakąś kartkę i spojrzał na policjantkę. – Chciała pani wiedzieć, jak trafiłem na właściwy model?

Policjantka ponownie potaknęła.

– W sytuacjach ekstremalnych człowiek musi sięgać po ekstremalne środki. Chodziło o elementy, które na pierwszy rzut oka nie miały ze sobą nic wspólnego. – Sięgnął po kolejne kartki i zaczął je przeglądać. – Część z rzeczy, których się dopuścił, jest wyjątkowo dziwna i wskazuje na pragnienie całkowitego upodlenia, odczłowieczenia ofiar. Opierając się na analizie ekstremalnie brutalnego sposobu postępowania mordercy, ograniczyłem nieco profil psychologiczny sprawcy i, co w gruncie rzeczy nie było aż takie trudne, mogłem ustalić, jak mniej więcej będzie się ten człowiek zachowywał w normalnym życiu i jak wygląda. – Spuścił wzrok na papiery. – Jego „nienormalne życie” pozwala ocenić pewne cechy tego „normalnego życia”, a to z kolei daje już możliwość ustalenia, jak się zachowuje, i dość ogólnie, jak wygląda. Nie będę omawiał tego „nienormalnego życia” szczegółowo – powiedział. – Zna pani temat, więc nie ma takiej potrzeby.

Clara rzeczywiście wiedziała, jakich czynów dopuścił się Wilkołak. Części kobiet – niektórym jeszcze za życia – porozcinał powłoki brzuszne, wyciągnął i porozrywał jelita, a potem wysmarował ofiary ich fekaliami. Pełna dominacja, okrutne poniżenie. Tylko jak w tym bestialstwie znaleźć jakiegokolwiek wskazówki dotyczące jego „normalnego” życia?

Friedrich zacisnął usta, jakby potrafił czytać policjantce w myślach.

– Na podstawie bestialstwa, z jakim popełniał swoje zbrodnie, dałoby się go zidentyfikować jako zaniedbanego, zapuszczonego mężczyznę. Jednak gdybym przyjął takie założenie, popełniłbym błąd. – Friedrich znów żuł rączkę okularów. – Ten typ gwałciciela przywiązuje dużą uwagę do swojego wyglądu zewnętrznego. Bardziej podobał mu się image miłego faceta niż twardego gościa. Kiedy poniżał i mordował kobiety, do których odczuwał nienawiść tylko dlatego, że nigdy nie miały być jego, podnosił sobie samoocenę.

– Zidentyfikował go pan na podstawie prawidłowo wytypowanego samochodu, którym się poruszał, prawda? – zapytała Clara.

Friedrich potaknął.

– Jeździł corvetta. W całej dzielnicy, którą przyjęliśmy jako prawdopodobną okolicę zamieszkania naszego mordercy, zarejestrowano tylko jedno auto tej marki. Okazało się, że należało do Bernharda Trebckena.

– Czy to znaczy, że seryjni mordercy przejawiają też skłonności do konkretnych marek?

– Nasi przyjaciele zza oceanu mawiają, że *Corvette makes a girl wet* – wyjaśnił mężczyzna. – Proszę mi wybaczyć to seksistowskie hasło, ale ono doskonale oddaje sposób myślenia Trebckena. I odpowiadając na pani pytanie: tak, seryjnego mordercę można wytypować również na podstawie auta, którym jeździ, w każdym razie to może być bardzo pomocna wskazówka. Mężczyźni tak samo wybierają samochody, jak traktują kobiety.

– Czy to nie trochę nazbyt stereotypowe myślenie?

Friedrich uniósł brwi.

– A zadziało?

Clara uśmiechnęła się. Jej wzrok ponownie padł na plakat z *Sądem Ostatecznym* Michała Anioła i odruchowo myślami wróciła do spowiedzi w katedrze Świętej Jadwigi i do posągu Maryi.

– Mam jeszcze kilka pytań, na które będzie musiał mi pan odpowiedzieć – powiedziała.

– Odpowiem na każde – odparł mężczyzna, po czym zaśmiał się łobuzersko i puścił do niej oko. – No, prawie każde.

– To zacznijmy od tego, dlaczego ma pan w biurze freski Michała Anioła?

– Chętnie to pani wyjaśnię, jednak to wymaga trochę więcej czasu. Co pani powie na drinka?

Niezły sposób, pomyślała Clara.

– Mam teraz dwutygodniowy urlop, ale potem, kto wie, możemy spróbować.

– Musimy. – Friedrich pokiwał głową.

Na korytarzu rozległy się kroki, a po chwili w drzwiach pojawiła się sekretarka Clary Vidalis, Silvia. Wyglądała na bardzo wzburzoną, miała szeroko otwarte oczy i roztrzęsiony głos.

– Claro... – zaczęła.

Clara momentalnie się spięła.

– Co się dzieje?

– W biurze czeka na panią przesyłka. – Silvia przełknęła głośno ślinę. – Powinna pani jak najszybciej to zobaczyć. Mam złe przeczucia.

Razem z Friedrichem, który zdecydował się towarzyszyć Clarze, weszli do biura, gdzie czekał na nich Winterfeld. Nadkomisarz dostrzegła w jego minie coś, przez co poczuła, że jej plany urlopowe są zagrożone.

– Tutaj – powiedziała Silvia i wskazała na jej biurko. Na drewnianym blacie leżała brązowa koperta A5. Na wierzchniej stronie ktoś zapisał czarnym markerem CLARA VIDALIS. Obok nazwiska widać było brązowe plamy po jakiejś cieczy.

Clara przyjrzała się kopercie i niespodziewanie poczuła, że przez chwilę wszystko rozplywa się jej przed oczyma. Czasem najprostsze codzienne rzeczy mają w sobie coś niepokojącego, co się wyczuwa już z daleka, i wówczas pojawia się przekonanie, że przynoszą albo już przyniosły coś przerażającego. Taką aurę mają na przykład pokoje, w których zostało popełnione morderstwo, albo zwykły młotek, którego ktoś użył, żeby rozłupać czyjąś czaszkę.

Albo, na przykład, ta koperta.

Clara wyjęła z szuflady lateksowe rękawiczki i je włożyła.

– Znaleźliśmy ją w skrzynce na listy – wyjaśniła Silvia roztrzęsionym głosem. – Nie ma na niej znaczka ani żadnego stempla. Ktoś musiał przyjść i ją wrzucić, bo na pewno nie przyszła pocztą.

– Te plamy na papierze wydają mi się podejrzane – mruknął Winterfeld. – Sprawdźmy może tylko, co jest w środku, a potem natychmiast wyślijmy ją do laboratorium.

– Mam ją otworzyć? – Clara wołała się upewnić.

– Tak. – Winterfeld przesunął dłonią po włosach. – Sprawdziliśmy ją wykrywaczem i na pewno nie ma w niej materiałów wybuchowych. Nie pachnie podejrzenie. Zawartość to coś płaskiego.

– W takim razie... – Clara rozerwała papier. Ze środka wypadł kawałek plastiku. Kobieta gwałtownie nabrała powietrza i aż się zakrztusiła.

Na blacie leżała płyta CD. Ktoś napisał na niej szminką dwa słowa.

MIŁEGO OGLĄDANIA

– Cholera, co to ma znaczyć? – zapytała. Winterfeld stał z rękoma splecionymi na piersiach i patrzył z zainteresowaniem.

– Silvio – Clara zwróciła się do sekretarki. – Przynieś proszę jeden z testowych laptopów z działu IT. Tylko napęd CD musi być z tacką, żeby nie zmasać szminki. Jakiś taki najtańszy, żeby nie było szkoda, jeśli na płycie są wirusy.

– Już lecę. – Kobieta niemal wybiegła z pokoju.

Wszystkie spojrzenia skupiały się na płycie z taką intensywnością, jakby to nie był zwykły CD-ROM, tylko noworodek podrzucony przez kogoś na komendę.

– Co to może być? – Clara potrząsnęła głową.

Friedrich podszedł do biurka i przyjrzał się płycie.

Winterfeld wyjął telefon i zadzwonił do techników kryminalistycznych.

– Możecie kogoś podesłać na trzecie? – zapytał. – Musicie coś zabezpieczyć i natychmiast przetransportować do laboratorium. Tak jest, to krew. – Potem się rozłączył.

– Albo to rzeczywiście jakiś niebezpieczny wirus – stwierdził Friedrich – albo ktoś robi sobie głupie żarty. Jest jeszcze jedna możliwość...

– Jaka? – Clara spojrzała na niego poważnie.

– To coś bardzo niedobrego.

Dwie minuty później do biura wpadła Silvia, niosąc w wyciągniętych rękach komputer.



– Proszę – powiedziała. – Nie jest podłączony do sieci, a bezprzewodowa karta jest uszkodzona. Ma wbudowany otwierany napęd CD.

Clara spojrzała uważnie na sekretarkę.

– Silvio, nie mam pojęcia, co jest na tej płycie. Dlatego nie sędzę, żebyś chciała to oglądać.

– To też część mojej pracy.

– Jak chcesz, to oczywiście możesz zostać. Ale cię ostrzegałam. – Clara zwróciła się do Winterfelda. – Włączać?

Winterfeld skinął głową, nabrał głęboko powietrza i po raz kolejny przesunął dłonią po włosach.

Clara położyła ostrożnie płytę na tacce napędu i kliknęła ikonkę „Mój komputer”. Po kilku sekundach na ekranie pojawiły się odnośniki do wszystkich dysków. Clara wybrała napęd CD-ROM, kliknęła prawym przyciskiem touchpada i wybrała opcję „Otwórz”. Na płycie nagrano jeden plik wideo:

jasmin.mpg

O co tu chodzi? – zastanawiała się Clara. Ktoś podsyła mi filmiki pornograficzne? Albo zaproszenie na chat? Jakies amatorskie nagranie, bo ktoś chce zwrócić na siebie uwagę?

Otworzyły się drzwi i do biura wszedł technik kryminalistyczny, który zajmował się na co dzień zabezpieczaniem śladów. W dłoni trzymał przejrzysty woreczek na materiał do badań.

– Słyszałem o jakiejś kopercie?

Clara uniosła ją prawą dłonią, na której wciąż miała rękawiczkę, i wsunęła do podsuniętego worka.

– Pobierzemy z niej próbki i natychmiast wrzucimy pod mikroskop. Wstępne badanie możemy przeprowadzić na miejscu, ale jeśli chodzi o ewentualne ustalenie grupy krwi czy dokładniejsze informacje, to niestety będziecie musieli poczekać, bo tym zajmują się chłopaki z Moabitu.

Chłopaki z Moabitu to oczywiście Instytut Medycyny Sądowej. Clara znała procedury, więc kiwnęła głową.

– Nie ma sprawy. Na początek wystarczy nam potwierdzenie, co to za substancja.

Winterfeld westchnął i poprawił krawat.

– To jak, włączamy film?

Policjantka zacisnęła usta.

– Włączamy.

Dwukrotnie kliknęła na zapisany plik. Dość szybko uruchomił się odtwarzacz multimedialny. Clara przesunęła suwak głośności na samą górę i ustawiła kursor na przycisku play.

Minęła już siódma wieczorem, kiedy Albert Torino opuścił swoje biuro w siedzibie Integrated Entertainment na Friedrichstraße, żeby udać się do Poczdamu, gdzie mieściło się studio, w którym miał się odbyć pierwszy casting do jego programu. Zaplanował jeszcze kilka spotkań z prawnikami i z dyrektorem zarządzającym firmy Pegasus Capital, który zainwestował grube miliony w Integrated Entertainment i wymagał, by Torino informował go na bieżąco o postępach w realizacji projektu. Ech, ci inwestorzy. Potrafią naprawdę zdenerwować człowieka. Z jednej strony oczekują, że ich pieniądze zostaną właściwie wykorzystane, a firma, którą wybrali, zacznie przynosić zyski, a z drugiej przez cały dzień nękają telefonami i pytaniami, uniemożliwiając normalną pracę.

Torino wyjaśnił inwestorowi, że wszystko idzie zgodnie z planem. Dzisiaj zaczyna się kolejny etap. O dziesiątej wieczorem. Owszem, to dość późno, ale o tej porze stawki za wynajem studia telewizyjnego są znacznie niższe.

Pierwsza, próbna wersja strony internetowej Shebay była już gotowa, więc została udostępniona użytkownikom. Do programu zgłosiło się niemal pół tysiąca dziewczyn, z których internauci wybrali czterdzieści. Wyłoniona w ten sposób grupa trafi do transmitowanych na żywo castingów, po których zostanie już tylko dziesięć najlepszych. Spośród nich wybrana będzie Miss Shebay.

Torino wsiadł do porsche boxtera, które stało zaparkowane w podziemnym garażu biurowca, uruchomił tryb głośnomówiący telefonu i wybrał numer do Jochena, szefa produkcji.

– Wszyscy na miejscu?

– Tak jest. Dziewczyny nie mogą się doczekać. Pospiesz się może, bo wszyscy tracą cierpliwość. Musimy zdążyć z charakteryzacją i przygotowaniem planu. Dostałeś skrypt odcinka?

– Tak, wszystko dotarło. Znam już swoje kwestie na pamięć.

Torino uśmiechnął się szeroko, bo przypomniał sobie teksty, jakimi planował raczyć uczestniczki. Zgodnie z planem, dzisiejszy odcinek miał być nagrywany. Potem, w zależności od efektu, uruchomiona zostanie cała machina marketingowa. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, program zostanie wyemitowany jako transmisja na żywo. Mimo że Xenotech nie został jeszcze oficjalnym partnerem, inwestorzy wykupili czas reklamowy za kilkaset tysięcy euro. Show będzie oferowany do wykupienia u operatorów kablowych i w internecie. Tutaj Torino stawiał na bardziej lub mniej subtelny marketing szeptany, a zaaprobowane hasła można było streścić do krótkiej informacji: „słyszeliście już o tym programie z ostrymi laskami, które, przy odrobinie szczęścia, też będziecie mogli zaliczyć?”.

– Jest kilka naprawdę ładnych, więc bądź dla nich miły – poprosił go Jochen. – Miły, ale twardy. Pamiętaj, to my rozdajemy karty. My decydujemy o ich przyszłości. Laski muszą to poczuć, okej?

– No pewnie.

– *Fortune is a woman.* – Jochen mówił dalej. – *You've got to beat her.*

– Czy to Szekspir? – zapytał Torino, pędząc swoim porsche ulicą Siedemnastego Czerwca.

– Szekspir czy nie, to szczerą prawdą – wyjaśnił szef produkcji. – Trzymaj się scenariusza, tylko nieco bardziej agresywnie. Wiem przecież, że potrafisz. Bądź po prostu naturalny, czyli graj twardo i bezlitośnie. Zostaniemy bogami formatu, wszystkie stacje będą się na nas wzorowały!

Torino kiwnął głową. Minął już kolumnę zwycięstwa. Przynieś nam szczęście, pomyślał, patrząc na nią przez okno.

– Jak u marines na szkoleniu – ciągnął Jochen. – Tylko ci, których zetnie się równo z trawą, mogą dorównać drzewom. Po emisji naszego programu konkurencyjne produkcje powinny wyglądać jak telefon zaufania, czaisz?

– Pewnie, że tak. Będą przy nas jak przedszkolanki – potwierdził Torino i przyspieszył. – Muszę jeszcze zatelefonować, więc wybacz, ale gość zaraz wsiada do samolotu.

– Nie ma sprawy. – Jochen się pożegnał. – Do zobaczenia w studiu.

Torino zakończył połączenie i wybrał numer Toma Myersa.

Przez dłuższą chwilę monitor pozostawał ciemny. Clara zaczęła się nawet zastanawiać, czy to rzeczywiście nie jest tylko żart.

Czerń.

Dziesięć sekund.

Trzydzieści.

Minuta.

Winterfeld spojrział na zegarek.

– Przesuniemy do przodu?

Friedrich potrząsnął głową.

– Lepiej nie, to może być zamierzone. Jeśli przesuniemy, możemy czegoś nie zauważyć. Na dodatek płyta mogła zostać tak zapisana, żeby dało się odtworzyć tylko jeden raz.

Skupiony wpatrywał się w czarny monitor, który nagrywała niewielka kamera umieszczona naprzeciwko.

Nagle pojawił się obraz.

I to od razu tak strasznie szokujący, że Silvia krzyknęła, a Winterfeld ze świstem nabrał powietrza do płuc.

Nie, to zdecydowanie nie był żart. To była przerażająca rzeczywistość.

Na ekranie zobaczyli młodą dziewczynę, blondynkę, o oczach przepelnionych zwierzęcym strachem i zalaną łzami. Czarny tusz do rzęs spływał jej po skórze, zostawiając dziwaczne ślady. Siedziała przywiązana do krzesła i na zmianę spoglądała to w obiektyw kamery, to na boki. Co pewien czas usiłowała odwrócić głowę i spojrzeć za siebie, jakby bała się kogoś, kto czai się gdzieś z tyłu – kogoś, kto był odpowiedzialny za tę przerażającą scenę.

Wtedy pojawiły się dwie ręce; dwie silne dłonie w czarnych gumowych rękawiczkach. Oparły się na ramionach dziewczyny. W jednej błysnęło ostrze.

Coś wypełniło usta dziewczyny. Zwymiotowała na podłogę. Nieustannie drżała, a ręce w czarnych rękawiczkach utrzymywały ją w miejscu, niczym wyrzeźbione w kamieniu, straszne i nieruchome.

Clara poczuła kwaśny i odrażający smak, który przelykiem przywędrował do ust. Po chwili dziewczyna zaczęła mówić.

– Ja... jestem Jasmin – wyjąkała, jakby czytała zapisany gdzieś przed nią tekst. Dreszcze, które wstrząsały jej ciałem, sprawiały, że trudno było ją zrozumieć. – Ja już nie żyję, lecz chaos będzie trwał.

Silvia przycisnęła dłoń do ust i wybiegła z pokoju.

– Nie jestem pierwsza... – Dziewczyna zacisnęła powieki, zamrugła i kiedy spojrziała w kamerę, w jej oczach po raz ostatni pojawiła się iskra nadziei, jakby myślała, że któryś z widzów może ją jeszcze uratować. Clara odniosła wrażenie, że dziewczyna patrzy prosto na nią. Kwaśny smak w ustach stawał się coraz wyraźniejszy, a jakaś niewidzialna dłoń ścisnęła jej duszę, chcąc rozgnieść ją i rozetrzeć w pył swoimi odrażająco lepкими palcami.

Nagle coś się zmieniło w oczach dziewczyny; w ułamku sekundy zgasły i stały się puste, jakby niespodziewanie ich właścicielka straciła jakąkolwiek nadzieję. Wyglądały jak oczy kogoś, kto od dawna jest martwy.

– ...i nie jestem ostatnia.

Błysnęło uniesione ostrze i z bezwzględną precyzją przesunęło się po jej gardle. Młoda kobieta wytrzeszczyła oczy, w których pojawił się szok i niedowierzanie, lecz po chwili wyrażały

już tylko zdziwienie i ulgę. Po sekundzie otworzyła się rana, którą morderca zadał ostrą jak brzytwa klingą – ledwie widoczna kreska milimetrowej może szerokości, która z początku wyglądała jak niedoskonałość skóry. Jednak oczy dziewczyny już w tym momencie spoglądały w stronę wieczności.

W biurze czas się zatrzymał. Panowała całkowita cisza, przzerwana jedynie chrzęstem paczki cygaretek, które Winterfeld bezwiednie zgniótł w dłoni.

Potem pojawiła się szkarłatna fala: krew w takich sytuacjach nigdy nie płynie natychmiast, zawsze trwa to sekundę czy dwie, ale nigdy nie zawodzi. Przez kilkadziesiąt sekund wylewała się z poprzecinanych tętnic, podczas gdy dłonie w czarnych rękawiczkach spoczywały nieruchomo na ramionach ofiary.

Głowa dziewczyny opadła na piersi.

Ekran zgasł.

Najdłużej trwa zawsze ta sekunda, która zwiastuje nadchodzącą zgrozę.

Sekunda, która mija po tym, jak człowiek zobaczył coś przerażającego, ale jeszcze do niego nie dotarło, jak bardzo niehumanitarne było to, co widział. Sekunda, która minęła między uderzeniem pierwszego samolotu w wieżę World Trade Center a pojawieniem się po drugiej stronie budynku ogromnej chmury ognia, dymu, kawałków szkła i ciał.

Albo sekunda po podcięciu nożem gardła, zanim jeszcze pierś zaleje ciemnoczerwony wodospad gorącej krwi.

Zrobiło się ciemno. Siedzieli razem w biurze i milczeli. Clara, Winterfeld i Friedrich. Jedna kopia filmu została natychmiast wysłana w postaci pliku do Wiesbaden. Tam całość miała zostać przeanalizowana i zbadana, a program identyfikujący cechy charakterystyczne i rysy twarzy rozpocznie próbę identyfikacji ofiary. Przed kilkoma chwilami dotarła jeszcze informacja z laboratorium, że plamy na kopercie to rzeczywiście krew. Clara bardzo by się zdziwiła, gdyby się okazało, że jest inaczej. Koperta została dodatkowo zabezpieczona i wysłana do dalszych badań w Instytucie Medycyny Sądowej, podobnie jak oryginalna płyta z filmem, którą informatycy wcześniej skopiowali. Kiedy skończy się badanie płyty pod kątem śladów biologicznych, materiał dostanie się w ręce specjalistów od komputerów, którzy poszukają powiązań z innymi danymi, na przykład zapisanymi gdzieś adresami IP, lub jakichkolwiek innych drobiazgów, które mogłyby pomóc w śledztwie. Wcześniej jednak trzeba sprawdzić, czy sprawca nie zostawił na niej odcisków palców. Albo czy szminka nie jest rzadko spotykana, co by dawało możliwość wyciągnięcia jakichś wniosków dotyczących mordercy.

Choć wszyscy wciąż jeszcze mieli szczerą nadzieję, że podrzucone nagranie było jedynie świetną inscenizacją.

Jednak Clara nie miała złudzeń. MacDeath wykorzystał najkrótszą z możliwych drogę służbową, żeby skontaktować się z producentem filmowym zajmującym się horrorami, i poprosił, żeby natychmiast stawił się w komendzie. Zanim mężczyzna dowiedział się, o co chodzi, dostał do ręki zobowiązanie do zachowania milczenia na temat tego, co zobaczy.

– Z pewnością widział pan wiele przerażających scen? – zapytał MacDeath.

Producent filmowy miał na sobie koszulkę jakiegoś zespołu heavymetalowego i długie, przetluszczone włosy. Potaknął.

– To dobrze. Ale wcale nie jestem tego pewien. Bo widzi pan, istnieje możliwość, że ten filmik jest prawdziwy. Jeśli miałyby to być dla pana traumatyczne, niech pan przestanie oglądać. Jednak jeśli pan wytrzyma, musimy się dowiedzieć, czy to mogą być efekty specjalne czy nie.

– Za kilka godzin odezwę się do pana – odpowiedział producent i ze swoją kopią płyty opuścił komendę.

#### MIŁEGO OGLĄDANIA

Clara przerwała przytłaczającą ciszę. Nic nie mogło teraz zastąpić działania. Życie ją nauczyło, że nie ma sytuacji, w której bezczynność byłaby lepszym rozwiązaniem. Czasem lepiej nawet popełnić błąd, niż siedzieć na tyłku i z założonymi rękoma czekać na rozwój wydarzeń.

– Dobra – powiedziała w końcu. – Jeśli nagranie jest prawdziwe, a obawiam się, że jest, to mamy do czynienia z nową formą przemocy. – Wstała z krzesła. – Możemy dać się ponieść odrazie i przez całą noc nie zmrużyć oka, rozpamiętując obejrzaną scenę, albo skoncentrować się na tym, co nam najlepiej wychodzi i za co nam płacą: na dopadnięciu świni, która to zrobiła.

Winterfeld potaknął i również wstał.

– W szczególnie trudnych sprawach policja krajowa stara się pomóc prowadzącym je

funkcjonariuszom w sposób, który w normalnych warunkach jest niewskazany. – Podeszedł do szafy, wyjął butelkę Johnny'ego Walkera Black Label i kilka papierowych kubeczków. – Jak myślicie? – zapytał, nalewając alkohol. – Inscenizacja czy prawdziwa sytuacja?

Friedrich wzruszył ramionami.

– Gdyby to miała być animacja komputerowa, to musiałaby kosztować krocie. W każdym razie zdecydowanie zbyt wiele, żeby miała tylko napędzić nam stracha.

– Może to tylko prymitywna i pozbawiona smaku kampania reklamowa jakiegoś horroru?  
– Wbrew temu, co podpowiadał rozsądek, Clara uparcie starała się podtrzymać w sobie nadzieję, że film nie przedstawiał prawdy.

Winterfeld spojrzał na nią sceptycznie.

– Nie, nie ma aż tak głupich ludzi – powiedział. – Każdy wie, że narobiłby sobie kłopotów jak diabli. Niech pani sobie przypomni, co się stało w latach osiemdziesiątych.

– *Cannibal Holocaust* – podsunął Friedrich, widząc zaskoczone spojrzenie Clary. – Włoski reżyser, Ruggero Deodato, nakręcił niskobudżetowy horror, który zadziałał jak granat wrzucony do szamba. Do dzisiaj uważany jest za jeden z najbardziej ekstremalnych filmów tego gatunku. – Zdjął okulary i mówił dalej. – Chodzi w nim o wyprawę do Amazonii, a całość kręcona jest kamerą z ręki, coś jak wcześniejsza wersja *Blair Witch Project*. Do dzisiaj wiele scen i wiele efektów specjalnych wygląda przerażająco realnie. W trakcie wyprawy giną kolejni członkowie ekipy, a na końcu ekran po prostu gaśnie i zostaje tylko czerń. – Zagryzł usta i po chwili zastanowienia dodał: – Zupełnie jak u nas.

– Tyle że tam chyba nikt nie umarł naprawdę? – Clara zapytała niemal ze strachem i usiadła.

– Nie, nikt tam nie zginął. Ale Deodato zawarł z aktorami umowę, żeby po premierze filmu zniknęli na jakiś czas, i rzeczywiście, na początku nic nie było o nich słyhać, więc ludzie wierzyli, że nie żyją. Naprawdę wielu dało się na to nabrać. I, niestety dla reżysera, również ci, których nie powinien był tak wkręcać.

– Policja – dokończył Winterfeld i odstawił kubeczek na stół.

– No właśnie, oni też. Natychmiast chcieli aresztować Deodato i wsadzić go za kratki. Żeby uniknąć procesu i wyroku, reżyser musiał wezwać swoich aktorów, żeby pojawili się publicznie, a co więcej, zmuszono go do wyjaśnienia wyjątkowo odrażających efektów specjalnych. A film był nimi naszpikowany. – Mężczyzna upił łyk whisky. – Tak że sami widzicie, że może komuś strzelić coś głupiego do głowy.

– Bardzo nas pan podniósł na duchu – powiedziała Clara i przyjrzała się fotografiom koperty i płyty, które zrobili technicy z laboratorium kryminalistycznego. – Przyjmujemy zatem, że to nie są efekty specjalne. A morderca ma dość tupetu, żeby popełnić zbrodnię niemal na oczach policji, nagrywa ją, a swojej ofierze każe wygłosić mowę na własnym pogrzebie. – Zamyślona wodziła wzrokiem między Winterfeldem i Friedrichem. – A my siedzimy w biurze i nic nie możemy zrobić. – Przysunęła kubeczek z whisky do nosa i powąchała alkohol, jednak nawet nie zmoczyła ust. Zdawała sobie sprawę, że to nie do końca była prawda, lecz z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wiedziała również, że za nic nie chce poznać, jak ta prawda rzeczywiście wygląda. A przynajmniej jeszcze nie. Znów wstała i zaczęła spacerować po pokoju. – Albo ten świr chce nam pokazać, co z niego za straszny i przerażający typ, wybrany pewnie przez samego szatana...

– No to mu się udało – wszedł jej w słowo Friedrich.

– ...albo to, co zrobił, ma dla niego tak wielkie znaczenie, że musiał się tym podzielić – dokończyła policjantka.

Friedrich popatrzył na nią uważnie, podczas gdy Winterfeld wyjął z pudełka jedną

cygaretkę.

– Poruszyła pani jeden bardzo ważny aspekt, ale ku mojemu zaskoczeniu nie pociągnęła pani tego tematu. Choć może zrobiła pani to celowo?

– A o co konkretnie chodzi? – zapytała Clara, choć już wiedziała – i bardzo się tego bała – co MacDeath ma na myśli.

– To, że ten czyn ma dla niego ogromne znaczenie, to nie ulega chyba wątpliwości. Ale też ważny jest odbiorca. – Założył z powrotem okulary. – Albo raczej odbiorczyni. – Spojrzał na Clare jak spowiednik w konfesjonale. – Bądź co bądź list z płytą wysłał właśnie do pani.



Po kilku bezowocnych próbach rozpoczęcia rozmowy Tom Myers w końcu znalazł kilka minut dla Alberta Torino, choć wcześniej kazał mu czekać, tłumacząc to kolejnymi, najwyraźniej ważniejszymi telefonami, które musiał odebrać. W tym czasie porsche Torina wyjechało z Berlina i pędziło w stronę Poczdamu.

– Nie mogłeś zadzwonić wcześniej? – zapytał Myers. – Byłoby nam łatwiej rozmawiać, bo nie miałem tylu spraw do załatwienia.

– Przez całe popołudnie wisiałem na telefonie z prawnikami – wyjaśnił Albert. – Dlatego tak późno kontaktuję się z tobą. Gdzie jesteś?

– Jeszcze we Frankfurcie. Do Berlina wracam ostatnim lotem. Ląduję na Tegel około wpół do jedenastej.

– Super. – Torino pokiwał głową. – W takim razie zapraszam na coś ku zdrowotności, a przy okazji opowiem ci, jak poszło pierwsze nagranie.

Myers milczał przez chwilę. Za oknami pędzącego samochodu przesuwały się kolejne drzewa.

– No dobrze, może być – zgodził się w końcu. – Dam znać, jak będę na miejscu. Tymczasem powiedz, jak poszło z prawnikami.

– Mam same dobre wiadomości. – Torino się uśmiechnął. – Jest duża szansa, że państwowy monopol na hazard niedługo się skończy. Chodzi o jakieś decyzje Unii Europejskiej. Jak widać, ci zwapniali biurokraci z Brukseli na coś się czasem mogą przydać. Jakie to ma znaczenie dla nas? Jak dobrze pójdzie, będziemy mogli nadawać z Niemiec – czyli serwery, nadawca i tak dalej, wszystko będziemy mogli zamówić lokalnie. I nic złego nas za to nie spotka. Bo przecież w naszym programie dałoby się znaleźć elementy hazardu. Tyle że zamiast liczby, u nas obstawia się dziewczyny.

– To rzeczywiście bardzo dobre wiadomości – przyznał Myers.

– Myślałeś już o współpracy z waszą stroną internetową?

– Myślałem.

– No i? Jakież decyzje?

– Nie, na razie żadnych. Jak puścicie pierwszy odcinek, podeślij mi feedback nadawców, co sądzą o twoim show i ile byliby gotowi za niego zapłacić. Proponuję, żebyśmy się spotkali jakoś przed północą w Grill Royal? Co o tym myślisz?

Torino sposepniał nieco. Typowy Jankes, pomyślał. O wszystkim decydują słupki popularności i liczby. Coś ma wartość jedynie wtedy, kiedy tysiące będą chciały to kupić. Ale czy Microsoft i Apple by istniały, gdyby tak zaczynały?

– To nie zabrzmiało szczególnie zachęcająco? Czyżbyś był sceptyczny?

– W rzeczy samej. Ta sprawa jest dość ryzykowna.

– Tylko ci, którzy śpią, niczego nie ryzykują – odparł szybko Torino. – A i im może się przecież zdarzyć, że spadną z łóżka i złamią kręgosłup.

– Nie, to nie tak. Musimy po prostu działać bardzo ostrożnie.

– Ale dlaczego? W końcu wy byście jedynie udostępnili swoją *landing page*, a z transmitowanymi treściami nie mielibyście nic wspólnego. Te obciążają jedynie nas.

– Niby wszystko się zgadza. – Myers potaknął. Torino jechał trzypasmową autostradą, kiedy o szyby jego auta uderzyły pierwsze krople deszczu. – Wy kręcicie te bezceństwa, a my puszczaamy je w świat. Jednak doświadczenie uczy, że niezależnie od tego, jak bardzo odrzucisz od siebie gówna, zawsze zostanie ci go trochę na rękach czy ubraniu. No dobra, muszę kończyć.

Do zobaczenia później.

I po tych słowach Myers zakończył połączenie.

Torino z wściekłością docisnął pedał gazu, a jego porsche błyskawicznie przekroczyło dwieście kilometrów na godzinę. Przez system nagłośnieniowy sportowego samochodu jeszcze raz odsłuchał scenariusz dzisiejszego nagrania. Jego zły humor idealnie pasował do roli, jaką miał zaraz odegrać.

Lało jak z cebra, kiedy Clara, kryjąc dłonie w kieszeniach płaszcza przeciwdeszczowego pożyczanego z zasobów komendy, szybkim krokiem przemierzała chodnik wzdłuż ulicy Mehringdamm. Co pewien czas omiatały ją reflektory samochodów. Piesi i rowerzyści spieszyli, żeby jak najszybciej ukryć się przed deszczem. Jednak ona chciała zostać na zewnątrz, poczuć się wolna. Musiała poukładać myśli w głowie, a w zamkniętych pomieszczeniach trudno było się tak skupić. Technicy kryminalistyczni pracowali na najwyższych obrotach, podobnie jak laboranci w Instytucie Medycyny Sądowej, a komputery Federalnej Policji Kryminalnej nieprzerwanie analizowały przesłany materiał. I tylko ona nie mogła nic zrobić. Nic a nic.

Zacinający wiatr smagał jej twarz zimnymi kroplami, a w lodowatych powiewach, bardziej niż kiedykolwiek, czuć było nadchodzącą zimę.

*Bądź co bądź list z płytą wysłał właśnie do pani.*

Friedrich wypowiedział na głos brutalną prawdę. Jednym pociągnięciem ostrego skalpela odsonił to, co bardzo chciała ukryć gdzieś głęboko w sobie. Brutalnie, bezlitośnie. Jednak Friedrich sam był trochę podobny do tych, których ścigał.

Ale, cholera, miał rację. Na kopercie znalazło się akurat jej nazwisko. Coś musiało łączyć ją z mordercą.

Dlatego Clara miała w torebce sig sauera. Winterfeld nalegał, żeby natychmiast zgodziła się na policyjną ochronę, ale ona wolała zostać sama, żeby wszystko przetrwać, przemyśleć i poukładać na tyle, żeby móc dalej pracować. Nie potrzebowała nikogo, żeby się o nią troszczył. Na początek pistolet musiał wystarczyć.

Przesłany filmik był odrażający i przerażający. Najstraszniejsza rzecz, jaką w życiu widziała. Jednak strach, dreszcze, wymioty i krew nie były najgorsze.

Najgorsze były oczy. Oczy dziewczyny, skierowane prosto w obiektyw kamery. Oczy, w których można było się zapomnieć. Utonąć. Oczy, w których Clara niemal dostrzegła ślad wyrzutu. Oczy, w które już kiedyś spojrzała.

*Kiedy długo patrzysz w otchłań, otchłań zaczyna patrzeć w ciebie.*

Naznaczone śmiertelnym strachem spojrzenie dziewczyny z filmu na CD-ROM-ie, pełne zwątpienia, bezradności i jednocześnie tłąca się w nich nadzieja, która wbrew wszystkiemu, w obliczu nieuchronnego końca jeszcze raz zajaśniała i została w ułamku sekundy zgaszona.

*Przyjdiesz po mnie?*

Dziewczyna była starsza niż siostra Clary w momencie porwania, lecz to bez znaczenia, bo zakończenie było takie samo.

Ponownie ktoś stracił życie.

A Clara ponownie nie zdołała temu zapobiec.

Zdjęła ociekający deszczem płaszcz, krótkim skinieniem głowy przywitała się z portierem przy wejściu do siedziby Krajowej Policji Kryminalnej i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę windy. Spojrzała na zegarek. Była dwudziesta trzecia dwadzieścia. Wjechała na trzecie piętro, gdzie znajdowało się jej biuro. Chciała zebrać swoje rzeczy i pojechać do domu, żeby choć trochę się wyspać. Przed budynkiem czekało już na nią dwóch policjantów. Zgodnie z poleceniem Winterfelda, już dzisiejszej nocy będą ją ochraniać i do końca sprawy nie odstąpią jej na krok. „Jeśli o mnie chodzi – powiedziała mu Clara – to niektórzy mają jeszcze gorzej”.

Mokry płaszcz przeciwdeszczowy zostawiła przewieszony przez oparcie krzesła w kuchni, gdzie piła dziś kawę i mile spędziła czas na pogaduszkach z Winterfeldem. Tyle że wtedy jeszcze świat był cały i zdrowy, a ona miała przed sobą dwa tygodnie wytęsknionego urlopu.

Weszła do swojego biura, zdjęła laptopa ze stacji dokującej, a do torebki, zupełnie odruchowo, spakowała dodatkowo kopię nagrania. Kiedy chciała wyłączyć lampę na biurku, zauważyła zapaloną diodę na automacie zgłoszeniowym telefonu. Nacisnęła guzik odtwarzania.

W pokoju rozległ się głos Friedricha.

– Dobry wieczór. Tak nagle pani zniknęła z biura, że nie zdążyłem zamienić z panią ani słowa, a telefonu nie wzięła pani ze sobą. Pomyślałem, że może zajrzy pani po swoje rzeczy i odsłucha tę wiadomość. – Przerwał i odchrząknął. – Mam już informację od tego producenta horrorów. Twierdzi, że plan przez całe ujęcie jest niezmienny, nic nie zakłóca perspektywy i nie zmienia się odległość dziewczyny od kamery. Żadnych cięć, przybliżania i oddalania, w zasadzie nic, co pozwoliłoby przy jakimś realnym budżecie na produkcję zrealizować efekty specjalne.

Clara poczuła, że coś ściska ją za gardło.

Friedrich mówił dalej.

– To nagranie nie było inscenizacją. Jest autentyczne.

Torino zaparkował samochód przed wielką halą, złapał teczkę, wysiadł i szybkim krokiem ruszył w stronę wejścia. W środku skierował się do charakteryzatorni, gdzie niemal natychmiast pojawił się Jochen, który swojej zwałistej figurze, zielonym wylupiającymi oczami i rudej szpecinie zawdzięczał przezwisko Wieprzek. Mężczyzna przekazał ostatnie instrukcje do nagrania.

Założenia były stosunkowo proste i można było je streścić w lapidarnej formule *up or out*, co oznaczało, że albo dziewczyna awansuje do kolejnego etapu, albo wylatuje z programu. Całość miała zostać później wyemitowana w internecie. Albert miał trzydzieści procent głosów, publiczność siedemdziesiąt. Jeśli więc publiczność chciała, by jakaś dziewczyna przeszła dalej, musieli go przegłosować. Gdyby Torino zagłosował za odpadnięciem kandydatki, czyli nie przyznał jej ani jednego punktu, to żeby przeszła dalej, czyli dostała ponad pięćdziesiąt procent głosów, musiałyby zagłosować na nią ponad siedemdziesiąt procent wszystkich widzów.

Torino przeszedł wzdłuż ustawionych w szeregu dziewczyn jak sierżant prowadzący musztrę marines na wyspie Parris.

– Nie będę owijał w bawełnę – oznajmił głośno. – Niektóre z was wyglądają naprawdę nieźle. Jesteście tu wszystkie, bo udało się wam przejść przez casting na naszej stronie internetowej. Głosowali na was jacyś niedojrzali internauci, a niektórzy nawet postawili na was pieniądze. Czy możecie być dumne? Trochę pewnie tak, ale nie za bardzo. Bo te typki, które na was głosowały, będą chciały czegoś w zamian. Czego? Was.

Dotarł do końca szeregu, zawrócił i ruszył z powrotem.

– Czy macie wybór? Obawiam się, że nie. Ja bym się w każdym razie nie łudził. Wiem, że większość z was jest po prostu zbyt tępa, żeby zwiewać stąd gdzie pieprz rośnie. Należycie do tej grupy ludzi, która wierzy, że Waterloo to nowa zjeżdźalnia w Aquaparku, a *Czarodziejski flet* to rodzaj wibratora. Pragniecie sławy i bogactwa, nie chcąc się przepracowywać. Najchętniej u boku jakiegoś biznesmena, który przez cały tydzień podróżuje po świecie, a wy w tym czasie macie do dyspozycji luksusową willę, gdzie będziecie posuwane przez chłopca od czyszczenia basenów albo trenera fitness.

Kilka dziewcząt zachichotało.

Torino ściszył głos.

– I wiecie co? To wszystko jest w waszym zasięgu – powiedział. – Ale nie tylko to! Znacznie więcej! Możecie być bogate i sławne. Możecie zostać gwiazdami. Jednak nie ma nic za darmo. Musicie być gotowe zapłacić za to wszystko. Jeśli będziecie grać zgodnie z regułami, zostaniecie gwiazdami.

Przerwał i przez chwilę milczał, a potem spojrzał dziewczynom w oczy.

– Jedna brama prowadzi do sławy, druga do zapomnienia. Jedna otwiera drogę do nieba, druga prosto do piekła. – Spojrzał krótko na zespół zatrudniony przy produkcji i na Wieprzka Jochena, który stał niedaleko sceny.

– Bramą na szczyt – zakończył Torino, unosząc palec – jesteśmy my.

Pierwsza kandydatka miała naprawdę ładną twarz, jednak tak potężne biodra i tyłek, że Torino zaczął się zastanawiać, czy aby jego program nie gromadził przed komputerami głównie niedowidzących użytkowników.

Nachylił się nieco.

– Słuchamy?

– Mam na imię Mandy – zaczęła dziewczyna. – To imię pochodzi...

– Uprawiasz czasem jakiś sport? – Torino nie dał jej powiedzieć, skąd się wzięło jej imię. Dziewczyna oblała się czerwienią.

– Tak – oznajmiła i przełknęła głośno ślinę. – Jeżdżę na rowerze stacjonarnym, biegam, gimnastykuję się i chodzę na siłownię.

– Wszystko razem pięć minut miesięcznie, co? Powiedz mi jeszcze tylko, jaką gimnastykę robisz?

– Wczoraj robiłam brzuch i pośladki.

Dziewczyny na trybunach zaczęły chichotać. Były jednocześnie sędziami i oskarżonymi, bo każda z nich musiała stanąć w końcu przed Torinem.

– Nie musisz ich więcej robić, bo masz ich za dużo! – odparł Albert, na co reszta dziewcząt roześmiała się jeszcze głośniej. – Cycki se zrób! Odpadasz! Dobra, co mówią chłopcy przy klawiaturach?

Użytkownicy zalogowani na stronie programu nie byli jednogłośni. Tylko około czterdziestu procent z nich chciało widzieć ją w kolejnych etapach. Jednak to nie wystarczyło, żeby przeszła dalej.

Jak niepyszna zeszła ze sceny. Dziewczyna, która wchodziła po niej, dostrzegła lzy na jej policzkach.

Torino uznał, że kolejna kandydatka ma co prawda całkiem niezłą figurę, jednak w wyjątkowo dziwny i nieprzyjemny sposób spogląda na jury wylupiastymi rybimi oczyma, powoli otwierając i zamykając przy tym usta. Wyglądała przez to jak jakieś dziwaczne morskie stworzenie.

Jasna cholera, pomyślał. Co za perwers w ogóle chciał tę maskarę w programie?!

– Jestem Nadine – oznajmiło stworzenie.

– Czy twoi rodzice mieli też jakieś żywe dzieci? – zapytał Torino.

– Eee... no tak – odparła Nadine i rozejrzała się niepewnie, znów powoli otwierając i zamykając usta. Potem wyprostowała się i spojrzała na prowadzącego.

– To teraz tak między nami. – Albert mówił przyjacielskim głosem i udał, że nachyla się w jej stronę. – Figurę masz całkiem w porządku, ale ta facjata wszystko psuje. Obawiam się, że bez papierowej torby na głowie nikt cię nie weźmie. A wy, dziewczyny, co sądzicie?

Pozostałe uczestniczki zaniósły się śmiechem.

– Głupie zdziury! – wrzasnęła dziewczyna w stronę trybun. – Jesteście po prostu zazdrosne o moją figurę!

– Figura to nie wszystko! – odrzyknęła Mandy, która chwilę wcześniej oberwała od Torina za zbyt wielki tyłek.

– Ale prawie wszystko, Mandy, tutaj muszę przyznać rację Nadine. – Torino pokiwał głową. Wskazał na Mandy, żeby jeszcze na koniec dodać z offu beczelny komentarz. – Pomyśl tylko, gdybyś zasłoniła włosami twarz, musiałbym patrzeć na twoje stopy, żeby wiedzieć, gdzie masz przód, a gdzie tył. U Nadine to się da rozpoznać.

– A widzisz! – Nadine wykrzyknęła triumfująco, bo, nie wiedząc czemu, pomyślała, że jest w jednej drużynie z prowadzącym. Ten jednak bez skrępowania dał jej wejść w tę pułapkę i delektując się swoim głosem, zatrzasnął z niej wyjście.

– Nadine, tylko bądźmy szczerzy – powiedział. – Nie sądzę, żeby ktoś z kolei tobie zazdrościł. Może trochę figury, ale z całą pewnością nie twarzy. Bo widzisz, ona jest tak koszmarna, jakby zaprojektował ją Le Corbusier.

Dziewczyny na widowni pokładały się ze śmiechu, choć najprawdopodobniej nie miały zielonego pojęcia, o czym Torino mówi. Mężczyzna opuścił kciuki. Głosowanie użytkowników również niewiele pomogło i morskie stworzenie Nadine opuściło scenę, zanosząc się płaczem.

Na deskach przed Torinem pojawiła się dziewiętnastolatka o rudoblond włosach.

– Cześć, jestem Eva.

– Całkiem znośnie wyglądasz – przywitał ją Torino.

Nastolatka zachichotała.

– Dzięki – powiedziała. – To dzięki temu, że śpię na plecach. Wtedy nie robią się zmarszczki.

– Dzięki za radę. – Torino pokiwał głową. – Przyda się twoim konkurentkom, bo część z nich wygląda, jakby spała w szafie.

Przez chwilę panowała cisza. Dziewczyny patrzyły niepewnie po sobie i nie wiedziały, jak zareagować.

Torino nie czekał, tylko mówił dalej.

– Czy poza spaniem na plecach umiesz coś jeszcze?

– Piszę wiersze – odpowiedziała modelka trochę niepewnym głosem.

– Ooo, no proszę. – Torino z uznaniem pokiwał głową. – Kobieca wersja Goethego!

Zaprezentujesz nam swoją twórczość?

Zakłopotana kandydatka zaczęła recytować.

– Jesteś mym sercem, jesteś mą duszą, przy tobie niczego bać się nie muszę, od kiedy mam ciebie, jest mi jak w niebie.

Cisza.

– To wiersz miłosny – wyjaśniła dziewczyna, wsuwając za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Dzięki za wyjaśnienie. Bo już myślałem, że to Deklaracja Niepodległości.

– Dekła co?

– Nieważne. Tak czy inaczej, słuchać się tego nie dało. Powiesz nam, skąd to gównno skopiowałaś? Czy to może twój przyszczaty chłopak ściągnął wczoraj w nocy z Wikipedii? Wyszukał hasło „porażka”?

Nastolatce zaczęły drzeć kąciaki ust jak komuś, kogo niewiele dzieli od zalania się łzami.

– Nie mam chłopaka! A wiersz napisałam sama. Przysięgam!

– Tym gorzej dla ciebie. – Prowadzący pokręcił głową. – Bo gównno to gównno, niezależnie skąd. Odpadasz! – Uniósł dłoń z kciukiem skierowanym w dół. Jednak tym razem użytkownicy zdecydowali inaczej i uratowali Evę – może dlatego, pomyślał Torino, że akurat nie miała chłopaka?

Mężczyzna uniósł brwi zaskoczony rezultatem głosowania online.

– No dobrze, dzisiaj miałaś szczęście – powiedział. – Mam nadzieję, że następna nie pisuje wierszy. A ty, odmaszerować.

Eva opuściła scenę i z dumnie uniesioną głową minęła pozostałe dziewczyny.

Następna kandydatka kazała na siebie czekać dobrych kilka minut. Na podwyższeniu pojawiła się owinięta długą chustą, za którą starannie ukryła nie tylko ciało, ale i część twarzy, tak że widać było jedynie jej oczy. Wyglądała przez to jak orientalna tancerka.

– No, no, no, ktoś tu chyba chce podnieść napięcie? – zapytał Torino. – Ty tak specjalnie czy chciałaś nam po prostu oszczędzić swojego widoku?

– Sam zdecyduj! – odpowiedziała dziewczyna dźwięcznym głosem i w tej samej chwili puściła chustę, która bezgłośnie spłynęła na podłogę.

Cisza.

Słychać było jedynie szum kabla, który ciągnął się za kamerą. Na trybunach nikt nawet nie chrząknął, podobnie jak Torino, a Wieprzek Jochen nie mógł z wrażenia oderwać od niej wzroku. I tak stał, z wytrzeszczonymi oczyma, zapominając, by skierować główny reflektor na osobę,

która przyciąga wszystkie spojrzenia.

Figurę dziewczyny można było określić jedynie słowem „doskonała”, bo żadne inne nie oddawałoby jej kształtów i proporcji. Wyglądała, jakby wyszła spod dłuta greckiego mistrza albo spod ręki Leonarda da Vinci, kiedy próbował narysować idealne ciało kobiece. Tyle że ona nie była szkicem ani kawałkiem marmuru, a żywą, pełną wypukłości dziewczyną.

Kandydatka miała na sobie srebrne bikini, które wyjątkowo niewiele zakrywało. Torino przesunął wzrokiem po idealnie uformowanych nogach, zachęcających, lecz nie nazbyt szerokich biodrach, płaskim brzuchu i wspaniałych piersiach. Miał wrażenie, że suną w jego stronę i są coraz bliżej i bliżej. Kiedy z różowych ust popłynęły słowa, a szaroniebieskie oczy omiotły prowadzącego uwodzicielskim spojrzeniem, Torino poczuł, że w jego spodniach robi się trochę przyciasno.

– Jestem Pokusą – przedstawiła się dziewczyna.

Torino otworzył usta, ale nie udało mu się wypowiedzieć żadnej kwestii, bo mimo najszczerzej chęci nie przyszła mu do głowy żadna błyskotliwa riposta na takie przedstawienie się dziewczyny.

– To oczywiście wszyscy zauważyliśmy – wykrztusił w końcu.

– Czyżbym ci się podobała? – Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy, by po chwili przenieść wzrok na trybunę. – A wam?

Każdej z konkurentek popatrzyła bez strachu w twarz, a one nie miały sił albo chęci, by odwrócić wzrok i przestać patrzeć na pociągającą boginię w srebrnym bikini, w którym odbijały się światła reflektorów.

Nawet te laseczki uważają, że jest boska, pomyślał Torino i upewniwszy się, że żadna kamera nie jest na niego skierowana, poprawił sobie spodnie. Co prawda to same lesby, głupie dziry, ale to, że nawet nie próbują jej dogryzać, to najlepszy dowód, że dziewczyna ma potencjał prawdziwej gwiazdy.

Zupełnie jakby potrafiła czytać Albertowi w myślach, Pokusa odwróciła wzrok i ruszyła uwodzicielskim krokiem w jego stronę.

Cholera! – pomyślał. Jeśli złapie mnie za krocze, albo zrobi coś podobnego, będzie trzeba wszystko kręcić od nowa.

Jednak tak daleko blond bogini się nie posunęła. Zatrzymała się niecałe dwa metry od Torina.

– Dlaczego milczysz? – zapytała zaskakująco silnym głosem.

Prowadzący musiał niemal siłą oderwać od niej wzrok. Jochen, który stał między operatorami kamer i technikami, dawał mu gwałtowne znaki, żeby zaczął w końcu mówić. Miał przy tym minę, jakby chciał zapytać, czy jest na sali jakiś inny prowadzący.

– Na razie całkiem nieźle ci idzie – mruknął Torino i wściekł się na siebie, że z wrażenia zaschło mu w ustach, bo przez to strasznie chrypiał. – Dobry początek, spory potencjał. Tylko nie popadaj w samozachwył. Eee... upadek z wysoka bardziej boli.

Torino znów poczuł złość, że nie przyszło mu do głowy nic lepszego. Spojrzał na Jochena, który potrząsnął głową i grubasnym paluchem gorączkowo stukał w przygotowany scenariusz.

– Żeby coś upadło... – powiedziała Pokusa i spojrzała dwuznacznie na spodnie prowadzącego – ...najpierw musi się podnieść. Mam rację?

Mężczyzna odchrząknął z zakłopotaniem.

– Jesteśmy tu po to, żeby iść w górę – odparł krótko. – Tym razem bez najmniejszych wątpliwości: kciuki w górę. Co mówią użytkownicy przed komputerami?

Na trybunach zapanowała cisza. W końcu ekran pokazał wyniki głosowania.



Dziewięćdziesiąt osiem procent.

– To jest jednoznaczne, przechodzisz dalej – oznajmił Torino, przezornie upiwszy łyk wody. Niczego nie pragnął w tej chwili bardziej, niż zamknąć się gdzieś sam na sam z Pokusą. – Gratulacje.

Pokusa opuściła scenę, a dziewczyny na widowni patrzyły z otwartymi ustami na czarną chustę, która leżała porzucona w świetle reflektorów.

*To nie są efekty specjalne.*

Słowa Friedricha rozbrzmiewały echem w głowie Clary jeszcze kiedy wchodziła do swojego mieszkania. Zdjęła płaszcz i razem z torebką rzuciła go na kanapę w salonie, a potem włączyła lampę na stoliku obok.

*To prawda.*

Poruszyła łopatkami, żeby rozluźnić napięte mięśnie pleców. Serce waliło jej jak oszalałe, a w żołądku czuła pieczenie. Wyciągnęła ramiona nad głowę i przeciągnęła się, aż strzeliły jej stawy. Westchnęła, podeszła do regału i nalała sobie podwójną whisky.

Zazwyczaj starała się nie pić alkoholu w środku tygodnia, a już na pewno niczego tak mocnego. Nie zawsze była w stanie realizować to postanowienie, a dzisiaj nie było sensu się przy nim upierać, skoro na komendzie wypila zawartość kubeczka, który podał jej Winterfeld. Problem polegał na tym, że zazwyczaj nie oglądała na dobranoc takich filmików jak ten dzisiejszy, z autentycznym morderstwem młodej dziewczyny, który jakiś szurnięty psychopata wrzucił do skrzynki na listy policji, opatrzywszy kopertę jej imieniem i nazwiskiem.

Clara otworzyła drzwi na balkon i wyszła na zewnątrz. Rozkoszowała się chłodnym nocnym wietrzykiem, który wiał nad dachami okolicznych domów, i małymi łydkami popijała whisky.

Nagranie pokazuje prawdziwe morderstwo, pomyślała.

*Snuff movie* – to budząca największą grozę legenda miejska, zrodzona przez dwudziesty wiek. Już samo wspomnienie o kręcących je ludziach z mafii, która zaopatrywała bogaczy znudzonych najbardziej wyrafinowanym porno w nieludzko brutalne filmiki, wystarczyło, by u większości słuchaczy wywołać zimne dreszcze przerażenia. Terminem *snuff movies* określa się nagrania z prawdziwych tortur i mordowania ludzi, potem są one sprzedawane osobom o chorych preferencjach, które bawi oglądanie takich filmów.

Nagranie prawdziwego mordu, potwierdziła.

Czy film, który dostała, był sławnym *snuff movie*?

*Bez efektów specjalnych.*

*Wszystko działa się naprawdę.*

W czasie szkolenia w akademii policyjnej Clara poznała sformułowaną przez FBI definicję pojęcia *snuff movie*: *snuff movie* to film przedstawiający kogoś, kto na początku nagrania jest żywy, a pod koniec martwy. Pokazanie prawdziwego morderstwa służy zaspokojeniu seksualnych fantazji widzów i tylko z tego powodu *snuff movies* są w ogóle produkowane i sprzedawane.

Zgodnie z taką definicją dopiero cel, czyli komercyjna sprzedaż nagrania prawdziwego morderstwa, czyni z filmiku prawdziwy *snuff movie*.

Jednak podstawowe pytanie brzmiało: czy *snuff movie* to tylko miejska legenda, czy jednak fakt? Wielu wierzy, że pierwsze dzieło tego gatunku nakręcono w 1969, kiedy Tex Watson i Susan Atkins z bandy Charlsa Mansona zamordowali w Bel Air w Los Angeles Sharon Tate i siedem innych osób. Wszyscy wiedzieli, że Sharon Tate w chwili śmierci była w ciąży, ale o tym, że Tex Watson żywcem wyciął jej dziecko z brzucha, wiedziała tylko policja. Nigdy jednak nie natrafiono na ślad filmu z tego morderstwa. Zatem kwestia tego, czy *snuff movies* rzeczywiście istniały już wtedy, pozostawała otwarta. Teraz natomiast Clara musiała się zastanowić, czy przypadkiem nie widziała dziś wieczorem pierwszego prawdziwego filmu tego gatunku.

Mówi się, że jeśli ludzie są gotowi za coś zapłacić, to to na pewno szybko pojawi się na

rynku. Jeśli więc będą chętni na *snuff movies*, to one z pewnością się pojawią.

Większość jednak twierdzi, że te filmy są jak Święty Graal. Część agentów FBI też jest tego zdania. Wciąż się o nich słyszy, dyskutuje, ale nikt nigdy na żaden nie trafił.

I miejmy nadzieję, że tak zostanie, pomyślała Clara. Po co w takim razie ktoś przysyłałby jej taki film? Czy naprawdę mogło chodzić o sam czyn i jego znaczenie? Czy może w większym stopniu chodziło o nią? Czy istniała możliwość, że ktoś chciał zwrócić jej uwagę na doskonale zakamuflowaną snuff-mafię, która kręciła i rozprowadzała filmy ostatniego tchnienia? Któryś z członków tej grupy nie zniósł ciśnienia i postanowił powiadomić policję o działalności swojej i kompanów, a że bał się innego sposobu, to wysłał jej płytę z nagraniem? Równie prawdopodobna była hipoteza, iż mafia poczuła się wyjątkowo silna i chciała pokazać, że policja nic nie może zrobić. A może chcieli pokazać, że Krajowa Policja Kryminalna jest bezradna jak niemowlak w walce z ogólnościową siecią dystrybucji ich filmów pornograficznych z torturami?

Albo...

Clara starała się odgonić od siebie tę myśl, od kiedy po raz pierwszy pojawiła się w jej głowie, lecz na nic zdawały się jej wysiłki: raz za razem wracała i nie dawała jej spokoju.

Może film miał przygotować właśnie ją, Clare, na to, że będzie kolejną osobą, która zasiądzie na tamtym fotelu?

Zatrzęsa się – ale nie z zimna, które nagał do pokoju chłodny wiatr, bawiąc się przy tym luźnymi zasłonami. Upiła duży łyk whisky i jeszcze raz spojrzała w dół, na policyjny radiowóz, który stał przed wejściem do domu.

Nie, żadna inna możliwość nie wchodziła w rachubę. Musiała się dowiedzieć, jaką wiadomość chciał jej przekazać morderca. Jeśli MacDeath miał rację i płyta była rzeczywiście specjalnie dla niej, na pewno została na niej ukryta wiadomość, którą powinno jej się udać odczytać. Dotychczas jednak na nią nie trafiła.

Clara spojrzała w niebo, na którym zbierały się ciężkie deszczowe chmury – przesuwały się powoli, przypominając kłęby granatowego materiału. Właściwie to chciała wziąć jakiś środek nasenny, żeby choć na kilka godzin zmrużyć oczy, lecz jedna myśl nie dawała jej spokoju. Była tak natarcywa, że Clara aż poczuła gorzki smak żółci, która podjechała jej do ust. To była myśl równie dziwaczna i niepokojąca jak ta, że miała stać się następną „aktorką” psychopatycznego reżysera *snuff movie*. W gruncie rzeczy tyleż przerażająca, co irracjonalna, a jednak nie mogła się przed nią obronić. Racjonalna część jej mózgu i zdrowy rozsądek – duet z góry skazany na porażkę – podsuwały coraz to kolejne argumenty przeciwko, którymi Clara rozpaczliwie usiłowała przepędzić natrętą myśl: że jest już za późno... że technicy cały czas nad tym pracują... że lepiej poczekać do rana... że w tej chwili i tak nic nie poradzi... że jeśli jeszcze raz to obejrzy, na pewno już dzisiaj nie uśnie...

Lecz jak za każdym razem, wszystkie kontrargumenty poniosły klęskę, a budząca zgrozę myśl pokonała przeszkody i pojawiła się, jasna i wyraźna, w jej głowie.

Chcąc nie chcąc, Clara podeszła do torebki i wyjęła z niej komputer z płytą CD. Musiała się przekonać, czy w filmie została ukryta jakaś wiadomość dla niej. A jeśli tak, to jaka.

Myśl, by obejrzeć nagranie raz jeszcze, zwyciężyła. Zrobi to.

A jeśli będzie trzeba, to obejrzy film kolejny raz.

I kolejny.

– Co to w ogóle było? – zapytał Wieprzek Jochen z siedzenia pasażera. Wpatrywał się przy tym w Torina, a jego wylupiaste oczy wyglądały, jakby zaraz miały wyskoczyć z oczodołów. Torino gnał swoim porsche w kierunku centrum Berlina. – Fakt faktem, że nieźla z niej laska, ale, do diabła, to ty miałeś prowadzić program, a nie ona!

Torino milczał przez kilka sekund i nie odrywał wzroku od mokrej autostrady. Przed chwilą usiłował dodzwonić się do Toma Myersa, ale od godziny już łączył się z jego pocztą głosową. Gdzie on się podziewał? Torino zdenerwowanym ruchem schował blackberry do kieszeni.

– Też łamię sobie nad tym głowę – powiedział. – Tak wyszło, i tyle. Ale popatrz na to z drugiej strony. Jeśli prowadzący, twardziel, który pokazuje tym zdirom, gdzie jest ich miejsce i co myśli o ich utlenionych włosach... – Przerwał, żeby Jochen poszedł jego tropem. Przez chwilę milczał, wpatrując się w swojego pracownika. – Jeśli taki kawał skurczybyka zapomina języka w gębie i tylko gapi się z otwartymi ustami, to chyba to dodaje całej imprezie autentyzmu? Nie sądzisz? – Znów popatrzył na Jochena. Mężczyzna milczał.

– Czy nie? – Torino nie dawał za wygraną.

– Może trochę. – Jochen w końcu przyznał mu rację.

– Może trochę – powtórzył Torino kpiącym tonem. – Nie może, tylko na pewno!

Torino po raz drugi w ciągu kilku godzin pędził autostradą przecinającą las Dreilinden. Spojrzał przelotnie na kamiennego niedźwiedzia, który stał na środkowym pasie zieleni.

– A pamiętasz tamtą sytuację z Veroną Feldbusch u Kenera? Rozryczała się na wizji, bo uznała, że Bohlen tak strasznie źle ją potraktował? Kiedy to było? W dwa tysiące pierwszym?

– Przecież to było ustawione! Totalny *fake*! – parsknął Jochen.

– Pewnie tak, ale idę o zakład, że dziewięćdziesiąt osiem procent zombi przed telewizorami uwierzyło, że to było szczere, a Verona jest bardzo fajna. Fajna i autentyczna.

– Chcesz w ten sposób powiedzieć, że brak profesjonalizmu może zostać uznany za autentyczność?

Torino potaknął.

– W naszym przypadku tak!

Tym razem to Jochen zamilkł na chwilę.

– W sumie to jest jakiś argument – odezwał się w końcu. – A ta lasencja była rzeczywiście niesamowita.

– Niesamowita? – Torino oderwał wzrok od drogi i spojrzał na Jochena, szukając innej stacji, bo z radia płynęło denerwujące zawodzenie. – Człowieku, ja czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałem! Wiesz, co się będzie działo, jak nasz program zobaczą producenci muzyczni? Agenci mody? Albo producenci show dla przyszłych modelek? Oni wszyscy szukają właśnie kogoś takiego! A kto ma do niej prawa? My! My podpisaliśmy z nią umowę! – Sięgnął do kieszeni i wygrzebał pamięć USB. – A to jest prezent dla Myersa. Może sobie obejrzeć zaraz na miejscu, w Grill Royal, jeśli się w ogóle pojawi. W jakości blu-ray. – Na przenośnej pamięci miał zapisany fragment odcinka, w którym na scenie prezentowała się Pokusa. – Jeśli to go nie przekona, to będzie znaczyło, że jest impotentem.

– Czyli chcesz od razu atakować na wszystkich frontach? We wszystkich dostępnych kanałach medialnych? Wielka rozpoznawalność i tak dalej? – Jochen zmarszczył czoło.

– A myślałeś, że co? Tej sknerze z Pegasus Capital zamknę tym gębę. – Kiwnął zdecydowanie głową, jakby chciał potwierdzić swój zamiar. Zbliżali się już do centrum, bo na

ciemnym i deszczowym horyzoncie widniała wieża telewizyjna. – To jest prawdziwa rewolucja! My odkrywamy gwiazdy, których ludzie naprawdę chcą! Użytkownicy głosują na nie dlatego, że są napaleni i liczą na to, że będą mogli wskoczyć z nimi do łóżka. I tylko dlatego. Rozumiesz? Wyborem kierują prawdziwe ludzkie namiętności, do bólu szczere, a nie jakaś debilna zabawa w psychotesty i inne głupoty. Tak się tworzy prawdziwe idolki, a nie każąc im śpiewać przed publicznością hity sprzed lat. Tworzymy właśnie nowy rozdział historii mediów!

Po tej tyradzie w samochodzie zapanowała cisza.

– A wiesz w ogóle, jak naprawdę miała ta panienka na imię? No wiesz, ta Pokusa? – zapytał Torino.

– Andira. Sprawdziłem wcześniej – wyjaśnił Jochen. – Jeśli będziesz chciał pchać ją dalej, musi wygrać w pierwszym finale.

– I tak będzie, bez dwóch zdań.

– A jeśli nie?

– Już ja się o to zatroszczę! – Torino wyszczerzył zęby. W tym momencie odezwał się jego telefon. Wystarczył krótki rzut oka na ekran, by rozpoznał numer.

– Tom, *how is life?*

– Właśnie wylądowałem. Wyobraź sobie, najpierw nie mogliśmy wystartować z Frankfurtu, a potem zmusili nas do lądowania na Schönefeld, bo na Teglu po zmroku obowiązuje zakaz lotów – wyjaśnił Myers. Zbliżała się północ. Torino wiedział, że lądowanie na Schönefeld to normalna procedura w nocy, bo sam kilka razy przylatywał do Berlina po zmroku.

– W Grill Royal mogę być za jakieś pół godziny – dokończył Myers. – Pasuje ci jeszcze? Torino wyszczerzył się do Jochena.

– Jakżeby inaczej!

– Dostaniemy tam jeszcze coś do jedzenia? – Myers przypomniał sobie, że od rana nic nie jadł.

– Zajmę się tym.

Potem Albert zakończył połączenie i jeszcze przyspieszył, kierując się w stronę centrum. W tym samym czasie Tom Myers wsiadał do taksówki przed halą przylotów.

Minęła pierwsza nad ranem, kiedy Clara otworzyła laptopa i uruchomiła przyniesioną kopię nagrania.

Déjà vu. Wykonywała te same czynności. Mój komputer. Napęd CD. Plik „jasmin.mpg”. Dwa kliknięcia. I ekran czarny przez niemal minutę.

Potem pojawia się twarz. Mapa śladów łez na policzkach zapisana rozmytym tuszem do rzęs. Konferansjerka własnej egzekucji. Słowa wypowiedziane obco, jakby sama była już dawno martwa. I zdanie:

*Jestem Jasmin. Ja już nie żyję, lecz chaos będzie trwał.*

Duże dłonie w czarnych rękawiczkach, które trzymają nóż. Wynurzył się z ciemności i znieruchomiał na kilka sekund, jakby chciał dać czas Jasmin – o ile to było jej prawdziwe imię – zapowiedzieć własną śmierć.

Clara zatrzymała odtwarzanie przed fragmentem, którego bała się najbardziej. Jednocześnie coś w jej wnętrzu pragnęło oglądać nagranie dalej, być może, żeby mieć to już za sobą i móc w końcu powiedzieć, że tak, widziałam je już dwa razy i dalej jestem silna, ba, może nawet silniejsza niż wcześniej.

Wstała, nalała sobie szklaneczkę whisky i wyszła na balkon. Na ulicy dalej parkował policyjny samochód, a niebo zasnuwały ciemne chmury, zasłaniając księżyc.

Internet jest pełen takich filmów, pomyślała. Rozmawiała o tym kiedyś z szefem Obscene Publications Squad, swego rodzaju obyczajówki Scotland Yardu. Krążyło sporo filmów, co do których nikt nie miał wątpliwości, że były inscenizowane, lecz mimo to wyglądały nader autentycznie. Były też takie filmiki, które niczym zjawy co jakiś czas pojawiały się w różnych miejscach internetu, niezależnie od tego, ile wysiłku policja wkładała w ich usunięcie, blokując kolejne strony WWW czy nawet wyłączając serwery. I jak w grze w kotka i myszkę, jakiś zaburzony haker niespodziewanie umieszczał je w sieci, działając z ukrytej lokalizacji, z miejsca zapomnianego przez Boga i ludzi. Takimi ludźmi często kierowało pragnienie sławy, choćby i krótkotrwałej, i nawet jeśli nie dla siebie osobiście, to chociaż dla filmiku, który wydobyli z czeluści zapomnienia, odkurzyli i udostępniłi wszystkim podłączonym do internetu. A potem siedzieli i, zachwyceni swoim dokonaniem, z diabolicznym zachwytem obserwowali wzrastającą liczbę otwarć materiału, który wspinał się rankingach popularności.

Z trzystu otwarć na tysiąc.

Z tysiąca na dziesięć tysięcy.

Z dziesięciu tysięcy na sto tysięcy.

I do tego komentarze.

*You think this is real?*

*No, it's fake:)))*

*Check this out, this is REAL!*

I kolejne linki do stron, które nie pojawiają się w wynikach wyszukiwania.

Clara odetchnęła zimnym nocnym powietrzem i małymi łydkami upiła trochę whisky. Ze zmęczenia piekły ją oczy, a gardło paliło od mocnego alkoholu. Już wiedziała, że tej nocy nie zmruży oka, jeśli nie dowie się, czy poza samym aktem morderstwa filmik przekazywał coś więcej.

*You think this is real?*

Clara знаła tego typu filmy. Widziała je w Scotland Yardzie, a poza tym wciąż były dostępne w sieci.

*The Dark Side of Porn* to reportaż dotyczący fenomenu *snuff movies*, w którym autorzy starali się znaleźć odpowiedź, czy osławione filmiki rzeczywiście istnieją czy nie. Twórcy zajęli się scenkami, które pojawiały się co jakiś czas i wielu uważało, że mogły być prawdziwe. *Cannibal Holocaust*, *Faces of Death*, *Flowers of Flesh and Blood*. Sam reportaż był bardzo brutalny, a pokazane w nim fragmenty nagrań trudno było zapomnieć, bo swoją dosłownością przyprawiały o odruch wymiotny, jednak wydźwięk i wnioski przedstawione zostały bardzo rzetelnie: żadna z zaprezentowanych scen nie pokazywała prawdziwego zdarzenia, a żaden komentarz nie sugerował nawet, że tak mogłoby być.

*Two girls one cup* był z całą pewnością autentyczny i nawet dziś dało się go znaleźć w sieci. Ledwie gdzieś został skasowany, natychmiast pojawiał się w innym miejscu. Dwie kobiety, które zaspokajały się poprzez najobrzydliwsze z możliwych form koprofili. Film trwa półtorej minuty, ale pod względem obrzydlistwa o całe lata świetlne wyprzedzał wszystko, co Clara kiedykolwiek widziała. *Two girls one cup* był do granic ohydny, lecz nikt w nim nikogo nie zabijał.

*Three guys one Hammer* to z kolei nagranie często wywołujące u ludzi, którzy nie widywali na co dzień tego co Clara, długotrwałe zaburzenia psychiczne i emocjonalne. Co gorsza, cały czas było dostępne w internecie. Przedstawiało zwyrodnialców z Dniepropietrowska w Rosji, którzy swojej ofierze masakrują twarz młotkiem, a potem śrubokrętem dźgają ją w tułów. Zapisane zwykłą, amatorską kamerą przez jednego z morderców.

Ten filmik przedstawiał tortury i morderstwo, i był autentyczny.

Zarówno *Two girls one cup*, jak i *Three guys one Hammer* ludzie oglądali, nagrywając swoje reakcje na kolejne sceny, a potem prezentowali nagrania w internecie. Wielu nie wytrzymało i z obrzydzeniem odwracało głowy, zaciskało powieki, ale najczęściej zaczynało wymiotować.

Podglądanie podglądania, pomyślała Clara. Internet nadał perwersji całkowicie nowy wymiar.

– Zaraz padnę, jeśli nie dostanę czegoś do jedzenia i picia – oznajmił Torino, kiedy z Jochenem zszedł schodami z ulicy na nabrzeże i niczym udzielny książę wkroczył do Grill Royal. Samochód zostawili pod teatrem Friedrichstadt-Palast, a pozostałą część drogi przeszli mokrymi od deszczu chodnikami na piechotę. Lokal świecił pustkami; tylko przy dwóch czy trzech stolikach siedzieli goście i pili kawę po zjedzonym posiłku.

– Czy mogę zaproponować panom coś do picia? – zapytał kelner, kiedy Torino i Jochen zajęli miejsca.

– Przede wszystkim chcielibyśmy coś zjeść – oznajmił Torino. – Umieram z głodu! Podrzuci nam pan kartę dań?

– Bardzo mi przykro. – Kelner spojrzał współczująco na gości. – Obawiam się, że kuchnia jest już zamknięta. Mogę jedynie zaproponować talerz oliwek z serem i bagietką.

Torino potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Nie, to niemożliwe. Ja chyba śnię! – wyjęczał rozzłoszczony. – Gdzie jesteśmy? W Berlinie czy w Ghanie?

– Z tego, co wiem, to w Berlinie. – Kelner z kamienną twarzą stał wyprostowany jakby kij połknął.

– Pieprzyć to, niech będą te cholerne oliwki. A dla ciebie? – Spojrzał na Jochena. Ten tylko wzruszył ramionami. – Jak skończymy spotkanie, pójdziemy na kebab, skoro tutaj bronią się rękoma i nogami przed zarobkiem.

– Czy panowie życzą sobie coś do picia?

Albert uniósł brwi.

– Niesamowite, to macie tu coś do picia?

– Ależ oczywiście. – Kelner musiał mieć wrodzoną niewrażliwość na ironię. – Choć to i tak koniec na dzisiaj.

– Jakoś zupełnie nie jestem zaskoczony. W takim razie dwa duże piwa. – Torino spojrzał pytająco na Jochena. – To samo?

– No pewnie. – Jochen potaknął dobrotliwie, a potem przewrócił oczyma. – Ale zimne. Nie jak te popłuczyny, które leją hipsterzy w Prenzlbergu.

– Mam nadzieję, że pan słyszał. – Torino przeniósł wzrok na kelnera. – Ma być tak zimne, żeby koledze szron pokrył klejnoty.

– Zaraz podam. – Mężczyzna ruszył w stronę kuchni.

Albert Torino i Jochen otrzymali po talerzu pełnym oliwek zmieszanych z kawałkami sera feta i koszyk z pokrojoną bagietką. W chwili, kiedy rozległ się głośny brzęk kufli unoszonych w toaście, do restauracji wszedł Tom Myers i rozejrzał się po sali. W następnej sekundzie dostrzegł Torina i Jochena i szybkim krokiem ruszył w ich stronę.

– Jak leci, panowie? – przywitał się.

– Tom! – Torino podniósł się z miejsca. – Rano w Monachium, wieczorem w Berlinie, jak na globalnego gracza przystało! Jochena znasz, prawda? Jochen, to jest Tom.

– Tak, mieliśmy okazję rozmawiać przez telefon – potwierdził Myers, podał Jochenowi dłoń, a potem usiadł.

– Jakie mają tu piwo? Da się pić? – zapytał.

– Beck's. – Torino z aprobatą pokiwał głową. – Jakość z Bremy. Północne Niemcy. Dawniej dumne miasto hanzeatyckie, ale niestety, w ostatnich latach zarazili się wirusem socjalno-zadłużeniowym i tyle mają ze swojej chwalebnej przeszłości. Na szczęście nie



zapomnieli, jak warzyć dobre piwo.

– Uważaj na słowa. – Brema była rodzinnym miastem Jochena, więc uniósł palec i pogroził szefowi.

– Dobra, to ja też wezmę beck'sa. – Myers kiwnął głową. – Co zamówiliście do jedzenia?

– Oliwki z fetą i bagietką. Niczego innego tutaj nie podają. – Torino potrząsnął głową. – Jakby mur wciąż stał.

– Niech będzie, muszę coś zjeść, żeby nie umrzeć z głodu. – Myers wzruszył ramionami, po czym położył na stole obok siebie blackberry, jakby miało być jego aniołem stróżem.

Torino uniósł dłoń i zawołał do kelnera:

– To samo dla naszego towarzysza!

Mężczyzna kiwnął głową.

– Nie to samo, tylko takie samo danie – poprawił go Jochen. – To samo by znaczyło, że będziecie jedli z jednego talerza.

– Na szczęście to nie będzie konieczne przy skali sukcesu, jaki nas czeka. – Torino uśmiechnął się szeroko i zwrócił do Myersa. – Nie uwierzysz, Tom, cośmy dzisiaj przeżyli!

Czekając na piwo dla Myersa, które pojawiło się na stoliku sporo przed oliwkami z serem i kolejną porcją bagietki, Albert Torino opowiedział o przebiegu nagrania. Był tak przejęty, że niemal nie tknął swojego jedzenia. Za to Tom i Jochen słuchali, zagryzając kawałki fety świeżym pieczywem.

– I co ty na to? – zapytał Torino, kiedy skończył relację.

– Tobie odebrało mowę? – Myers pokręcił głową. – Serio? Ty zapomniałeś przy niej języka w gębie? – Wycierając usta, przyjrzał się uważnie Albertowi, a potem upił łyk piwa. – Nie, jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Słowo harcerza, że tak właśnie było. – Torino sięgnął do kieszeni, z teczki wyjął laptopa i wsunął pamięć USB z nagraniem do portu. Potem otworzył plik i uruchomił odtwarzacz.

– Oto i ona.

Myers zbyt dobrze się kontrolował, by dać po sobie poznać, jakie emocje nim targają, jednak Albertowi nie umknęła fascynacja, która rosła z każdą sekundą oglądanego filmu z występem Pokusy, czyli Andiry.

– Jeśli to nie zasługuje na stronę główną Xenotube – oznajmił Torino – to ja już nie mam pojęcia, co się tam nadaje. W przyszłym tygodniu program pójdzie w kablówkach. Prywatni nadawcy ustawiają się już w kolejce. Mamy wstępne propozycje z firm producenckich, które chciałyby wziąć Andirę pod swoje skrzydła, więc wiesz, warto się zastanowić. – Spojrzał uważnie na Myersa, a potem, jakby stracił zainteresowaniem tą rozmową, uniósł głowę i przyjrzał się sufitowi. – Tylko tym razem myśl trochę szybciej.

Myers w zamyśleniu szczypał się w dolną wargę, a potem podrapał się po brodzie. Mechanicznym gestem odsunął pusty talerz na środek stołu i upił kolejny łyk piwa.

– Muszę przyznać, że to rzeczywiście wyszło całkiem interesująco. Ale jeśli mielibyśmy się w to zaangażować, chcemy mieć również udział w przyszłych zyskach. Jak już ci mówiłem, sam format jest genialny, ale też nieco kontrowersyjny i to się może na nas zemścić. Potraktuj więc podział zysków jako... – Przerwał, jakby szukał właściwych słów. – Jako premię za ryzyko.

Torino zacisnął usta. Wiedziałem, że tak będzie, przemknęło mu przez głowę. Za darmo można jedynie dostać po pysku.

– O jakich proporcjach mówimy? – zapytał. Podstawowa zasada negocjacji: pozwolić przeciwnikowi złożyć pierwszą propozycję.

– Potrzebowałibyśmy najpierw trochę danych. Po kolei: szacunkowa liczba widzów, do których byście dotarli i bez nas, zakładane wpływy z reklamy, średnia wartość kontraktów z

firmami producenckimi i agencjami gwiazd, które będą się biły o Andirę, oraz plany rozwoju firmy. – Spojrzał przed siebie, jakby się nad czymś zastanawiał. – Hm, to chyba będzie wszystko, czy może o czymś zapomniałem?

– Kiedy podeślecie mi swoje wyliczenia? – zapytał Torino.

– Kiedy tylko dostaniemy od was potrzebne dane.

Torino spojrzął na zegarek i pomyślał, że ma przed sobą kolejną nieprzespaną noc.

– Postaram się przygotować wszystko na wczoraj.

Myers przytaknął.

– Prześlij je mnie i mojej asystentce. Najlepiej by było, gdybyś uwinął się jeszcze dzisiejszej nocy. Rano miałbyś na biurku projekt listu intencyjnego, a po wielkim show prawnicy przedstawiliby ci umowę wstępną.

Torino zaciął usta, trochę z radości, a trochę z troski. W końcu interes był na wyciągnięcie ręki, lecz on i Jochen mieli przed sobą całą noc zestawiania danych i przekuwania ich w prognozy, które przecież już zaprezentował Myersowi. Z drugiej strony Tom chyba w końcu połknął haczyk. Gdyby przyszło do emisji na stronie głównej Xenotube, która ma ponad dziesięć milionów indywidualnych odwiedzających w samych Niemczech... – nie, to zbyt piękne, żeby było prawdzie.

– Dostaniesz materiały na czas. – Torino zapewnił przyszłego partnera w interesach i podał mu dłoń. Myers miał pewny i mocny uścisk.

– *Shebay* na stronie głównej Xenotube? – powtórzył Torino, jakby już teraz chciał, choćby i werbalnie, dobić targu.

– Wszystko przed wami. – Myers pokiwał głową i poklepał Alberta po ramieniu. – Postaraj się szybko spać, żebyś zdążył z danymi, których potrzebujemy.

*Shebay* na stronie głównej Xenotube!

Osoby o lepszym słuchu zrozumiałyby słowa wypowiedziane przez Alberta Torino, nawet gdyby siedziały cztery stoliki dalej. Mężczyzna, który jako jeden z ostatnich gości popijał wodę ze szklanki, wyraźnie je usłyszał. Miał szerokie barki, a jego ruchy, choć miękkie i spokojne, w jednej chwili mogły zmienić się w morderczo błyskawiczne. Krótko ostrzyżony blondyn w okularach z oprawkami z matowej stali nierdzewnej uważnie, choć bardzo dyskretnie, obserwował trójkę mężczyzn omawiających interesy kilka stolików dalej. Przez cały czas prawą ręką przytrzymał lewą, która nieco drżała.

Clara wypila jeszcze trochę whisky i wróciła do komputera. Usiadła przed ekranem, na którym widać było zalaną łzami twarz dziewczyny i demonicznie spokojny, nieruchomy nóż.

Przesunęła kursor na przycisk play i kliknęła. Drgnęła, kiedy nóż bez ostrzeżenia znów przesunął się bez wysiłku po gardle ofiary. Oczy dziewczyny spoglądały nieruchomo przed siebie, a potem, po sekundzie – która zdawała się rozciągać w całą wieczność – z długiego rozcięcia popłynęła krew; z początku powoli, jakby z wahaniem i niechętnie, a potem szybciej i gwałtowniej, aż w końcu głowa ofiary opadła bezsilnie naprzód. Trzymająca nóż dłoń w czarnej rękawiczce zniknęła z pola widzenia, a monitor znów zrobił się ciemny.

Nadkomisarz jednym łykiem dopiła alkohol i z głośnym stuknięciem odstawiała szklanę na stół.

Coś zauważyła.

Drobiazg, na który wcześniej nie zwróciła uwagi.

Nie wytrzymam i zwariuję, jeśli jeszcze kilka razy obejrzę nagranie, przemknęło jej przez głowę. Jednak musiała wiedzieć, co to takiego.

To ta pojedyncza sekunda, pomyślała. Chodzi o chwilę wahania między czynem i jego skutkiem. Jeśli cokolwiek jest tam do znalezienia, to właśnie w tym momencie.

Uruchomiła film w miejscu, w którym pojawia się nóż, i powoli, w zwolnionym tempie, puściła odtwarzanie.

Nie wiedziała, czy morderstwo przedstawione w tak dziwny sposób wygląda jak parodia, czy też staje się jeszcze bardziej przerażające. Nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać, bo w tej chwili zauważyła coś ponownie. Błysk. Białą plamkę. Między pojedynczymi klatkami filmu. Jeszcze bardziej spowolniła odtwarzanie, potem, stopklatka po stopklatce, zaczęła przeglądać fragment, który ją zaniepokoił, pozwalając jednemu obrazowi przechodzić w następny.

I znów biały błysk.

Wiedziała już co to.

Imię, nazwisko i numer. Imię, nazwisko i numer, które zostały wgrane w pojedynczą klatkę filmu, przez co na ekranie pojawiały się na krócej niż mgnienie oka.

Ponownie cofnęła nagranie i mozolnie przełączała kolejne stopklatki. Znów zauważyła białą plamkę. Cofnęła. Znów ją dostrzegła.

W końcu odczytała dwa słowa i cyfrę.

Jasmin Peters 13

Nalała sobie kolejną porcję whisky i sięgnęła po telefon. Wybrała numer nocnej zmiany śledczych z policji krajowej.

– Cześć – przywitała się krótko. – Wiem, że pewnie siedzicie nad sprawą Jasmin, tego morderstwa z płyty CD... tak, zgadza się. Wiem, że nie macie szklanej kuli, ale może na coś wpadniecie. W filmie jest ukryte całe imię i nazwisko ofiary, to Jasmin Peters. Do tego jeszcze numer trzynaście... tak, trzynaście. Ale nie mam pojęcia, co ma oznaczać, poza niewątpliwym pechem... nie wiem, może dzięki temu wpadniecie na coś ważnego. Czyli podsumowując, Jasmin Peters trzynaście. Gdybyście na coś wpadli, zaraz dajcie mi znać. To tyle. Dobranoc. I dzięki.

Minęło wpół do trzeciej nad ranem.

Clara rozłączyła się, wypila całą zawartość szklanki i z poczuciem spełnionego obowiązku zamknęła laptopa. Czowała, jak czwarta whisky tego dnia zmienia jej przelyk i żołądek

w rzece lawy.

Potem padła na łóżko i już po kilku sekundach spała.

Z głębokiego, czarnego jak noc snu wyrwał Clarę dzwonek komórki. Sięgnęła po telefon, odebrała i spojrzała na zegarek. Dziesięć po piątej rano.

– Tak? – powiedziała zaspanym głosem.

– Winterfeld z tej strony – usłyszała w odpowiedzi.

Momentalnie opuściła ją senność.

– Mamy coś?

– Śledczy twierdzą, że chciała pani od razu wiedzieć, gdy tylko na coś trafią. – Krótka przerwa, którą Winterfeld z pewnością wykorzystał, by przesunąć dłonią po włosach. – Dlatego dzwonię. Coś mają.

Clara usiadła i włączyła lampkę nocną.

– Co takiego?

– Chodzi o Jasmin Peters i numer, który pani podała – tłumaczył policjant. – Jeśli nie wyskoczy nic niespodziewanego, to trafiliśmy w dziesiątkę.

– Może pan mówić jaśniej? – poprosiła Clara. Znów miała wrażenie, że wszechwiedzący mistrz chce stopniować napięcie. Wstała, podeszła do biurka w salonie, włożyła do ucha słuchawkę bluetooth, a do torebki spakowała laptopa i teczkę z materiałami sprawy.

– Laboratorium skończyło testy krwi z koperty i ustaliło, że jest grupy A Rh plus.

Sprawdzili w bazie danych imię i nazwisko Jasmin Peters i tę grupę krwi. W ostatnich latach kilkanaście Jasmin Peters oddawało krew. Robią teraz porównanie kodu DNA. To trochę potrwa, ale możliwe, że będziemy szybsi od nich.

Clara знаła procedury. Przy każdym oddaniu krwi w stacji krwiodawstwa czy w szpitalu przeprowadza się tak zwaną reakcję krzyżową, żeby ustalić grupę. Jednocześnie pobiera się próbkę DNA. Liczba grup krwi jest minimalna w porównaniu z liczbą kombinacji DNA, jednak w pierwszym przypadku wstępne porównanie przebiegało znacznie szybciej – choć oczywiście znacznie mniej dokładnie. Winterfeld bardzo się spieszył z dalszymi informacjami.

– Dzięki danym otrzymanym z urzędu meldunkowego i danym z berlińskich szpitali, udało się stworzyć wstępną listę wszystkich Jasmin Peters z A Rh plus.

– No i? – Clara przeszła do kuchni, nalała wody do czajnika i nasypała łyżeczkę rozpuszczalnego cappuccino do kubka.

– W samym Berlinie jest zameldowanych dwanaście osób o tym imieniu, nazwisku i tej grupie krwi.

– Ale?

– Ale tylko jedna mieszka pod numerem trzynaście.

– Kto to? – Clara zamrugnęła i wyjrzała przez okno na świtający dzień, jesienny, zachmurzony i deszczowy.

– Jasmin Peteres, Sonnenallee trzynaście, Neukölln – zakończył Winterfeld. – Antyterroryści są gotowi, my też chcemy zaraz ruszać. Najlepiej będzie, jeśli pojedzie pani ze swoją obstawą. Za ile minut może pani startować?

Clara spojrzała na zegarek. Zapomniała już o włączonym czajniku, kawie i porannej toalecie, która u kobiet mogła trwać naprawdę długo.

– Dziesięć minut.

– Dobrze. Niech im pani powie, że mają jechać na sygnale. Widzimy się za kwadrans na miejscu.

Dziesięć minut wcześniej minęło wpół do szóstej rano. Padał rześisty deszcz, a świt z trudem przebijał się przez ciemne i gęste chmury jesiennego poranka. Lejące się z nieba krople przypominały w świetle włączonych jeszcze latarni żółtą ścianę. Dwa radiowozy, dwie karetki i wóz brygady antyterrorystycznej czekały już przed kamienicą, kiedy Clara zatrzymała się pod numerem trzynastym. Ledwie policjantka wysiadła, tuż obok z piskiem opon zahamował czarny mercedes. Główny komisarz Winterfeld wysiadł zza kierownicy, rozejrzał się z miną, która świadczyła, że pogodę uważa za okropną, i postawił kołnierz płaszcz.

– Dzień dobry, Claro – przywitał się, czekając, aż członkowie brygady antyterrorystycznej z karabinkami szturmowymi i taranem ustawią się w szyku. Marc, ich dowódca, pewnym głosem wykrzykiwał rozkazy.

– Czwarte piętro, dwupokojowe mieszkanie, okna na podwórze. – Winterfeld mówił dalej. – Nic nie wskazuje, żeby... – W tym momencie odezwała się jego komórka. – Winterfeld, słucham... tak, już jesteśmy na miejscu... za dziesięć minut? Doskonale. Do zobaczenia. – Zamknął komórkę.

– MacDeath – wyjaśnił. – Za dziesięć minut dołączy do nas. Specjalnie przełożył lot do Wiesbaden na późniejszy.

Clara potaknęła, przyglądając się mokrej od deszczu elewacji, która niegdyś zapewne nosiła cechy klasycystyczne, lecz dziś widać było jedynie brud. Omiotła wzrokiem pobazgrane sprayem wejście do klatki schodowej i numer trzynaście.

– Nie wygląda mi to na zasadzkę. – Winterfeld wzruszył ramionami. – Ale diabli wiedzą. Trzeba być ostrożnym.

Mówiąc to, wsunął magazynek w swojego sig sauera i przeładował broń. Potem razem z Clarą ruszyli za posuwającym się w szyku oddziałem antyterrorystycznym. Nadkomisarz również odbezpieczyła broń, kiedy tylko znalazła się wewnątrz budynku. Podłogi i schody pełne były podartej tektury i starych gazet, stare, pordzewiałe skrzynki pocztowe kipiały nikomu niepotrzebnymi ulotkami, a pod nimi wały się otwarte plastikowe torebki. Dwóch dwudziestolatków, którzy wyglądali, jakby akurat wracali z całonocnego pijaństwa, przywarło ze strachem do ściany. Trudno było im się dziwić, ujrzeni piątkę ubranych na czarno komandosów z uniesionymi karabinkami szturmowymi i Marca, który niósł taran.

– Ma pan intuicję, prawda? Szósty zmysł? – zapytała Clara, kiedy wchodzili na piętro. – Na co się tam natkniemy?

Winterfeld przecesał włosy dłonią.

– Na nic dobrego.

Latarki zamontowane pod lufami karabinów policjantów przecinały mrok panujący na klatce schodowej, z którym nie radziły sobie pojedyncze słabe lampy, rozrzucone to tu, to tam. W powietrzu unosił się zapach niedopałków i wilgotnego, zagrzybionego tynku. Takich miejsc szukali studenci i z upodobaniem wynajmowali w nich mieszkania, tłumacząc to ich autentycznością – cokolwiek by to miało znaczyć, specyfiką starej dzielnicy i dogodną lokalizacją.

Ciężkie buty umundurowanych antyterrorystów stukały po schodach. W końcu rozległo się głośne łupnięcie – to Marc razem z Philippem złapali taran i z całej siły wyrznęli nim w zamek drzwi na czwartym piętrze.

Nic dobrego, Winterfeld odpowiedział na pytanie, co czeka ich w środku. Clara poprawiła chwyt pistoletu i spróbowała sobie wyobrazić, co to będzie. Zwłoki? Puste mieszkanie? A może

wszystko pomylili i zamaskowani policjanci z karabinami wyrwą ze snu w pełni zdrową Jasmin Peters, zapewniając jej dawkę strachu wystarczającą do końca życia?

Clara stopień za stopniem wchodziła na czwarte piętro. Z każdym mijanym podestem miała wrażenie, że kurczy jej się żołądek. Znów czuła palący smak soków żołądkowych w przełyku – jak za każdym razem, kiedy miało się wydarzyć coś okropnego.

Wiele razy widziała miejsca zbrodni. Każde było inne, a jednocześnie wszystkie podobne: przytłaczająca, ponura atmosfera, a w powietrzu unoszący się zapach strachu, którego nie dało się nie wdychać. Świadomość, że właśnie tutaj ktoś został pozbawiony życia, że cierpiał, krzyczał, a w końcu został brutalnie zamordowany. Jednak najgorsza była wszechobecna woń śmierci. Clara знаła ten zapach z Instytutu Medycyny Sądowej. Słodkawy odór zwłok; wystarczyło raz nim odetchnąć, by przez kilka dni nie móc się go pozbyć. Na miejscu zbrodni mieszał się z czymś jeszcze – z zapachem krwi i wewnętrznosci. Zapach, który był niepokojąco i okropnie niewłaściwy. Nie powinno się go czuć nigdzie poza rzeźniami, bo tylko tam nie budził zdziwienia. Nie miał prawa wypełniać mieszkania, gdzie stały krzesła, szafki i regały z książkami. Często wszystkie inne zapachy przykrywał smród odchodów, bo śmiertelnie wystraszone ofiary niekiedy przestawały panować nad zwieraczami.

Wtedy nie można było już mówić o zapachu śmierci, tylko o smrodzie czystego zła.

Clara nie czuła jeszcze żadnego zapachu, lecz miała wrażenie, że na czwartym piętrze czai się coś mrocznego, ponurego i nieprzeniknionego; coś, co jak złowrogi cień pelzło teraz w jej stronę i wyciągało szpony, by złapać ją za gardło i zmusić do wypełnienia płuc wonią rozkładu, krwi i bólu, by zionąć jej w twarz smrodem przerażenia i śmierci.

W końcu stanęła przed wylamanymi, wiszącymi na jednym krzywym zawiasie drzwiami. Funkcjonariusze oddziału specjalnego zabezpieczyli salon po prawej stronie od wejścia i łazienkę po lewej, a Marc i Philipp posuwali się korytarzem dalej.

Clara rozejrzała się ciekawie. Typowe mieszkanie młodej kobiety, może studentki, a może przyjezdnej, która dopiero co zaczęła pracę w wielkim mieście. Na ścianie korytarza duży plakat z panoramą Nowego Jorku, a obok kamizelka ratunkowa British Airways, którą ona – lub ktoś z jej znajomych – ukradła w czasie rejsowego lotu, a która teraz niczym trofeum zdobiła ścianę mieszkania.

– Nic! – krzyknął policjant zabezpieczający kuchnię.

– U mnie też czysto! – zameldował kolejny z salonu.

Krótkie spojrzenie w lewą stronę. Klasyczny stół kuchenny, butelki wina poukładane starannie na regale. Krótkie spojrzenie na prawą stronę. Kanapa i ława, a w każdym razie tylko tyle było widać w ponurym porannym świetle deszczowego dnia. Biurko z krzesłem, a obok szafka z książkami. Palma w doniczce z ładnymi, zielonymi liśćmi. Na kredensie fotografie z wakacji.

Odrapane drzwi na końcu korytarza były zamknięte niczym usta, które powiedzą prawdę dopiero otwarte przemocą. Jeśli w tym pomieszczeniu znajdowało się coś, co miało zostać ukryte, musiało się przyczytać właśnie tam; chronione zazdrośnie przed ciekawskimi spojrzeniami.

Tuż obok wejścia do zamkniętego pokoju stał Marc. Na jego znak Clara i Winterfeld cofnęli się do salonu, a Philipp, który stał niedaleko dowódcy, przywarł plecami do ściany. Istniało niebezpieczeństwo, że ktoś schował się w zamkniętym pokoju i słysząc ludzi w korytarzu, zacznie strzelać przez drzwi. Dlatego wszyscy musieli stanąć w bezpiecznym miejscu, by antyterrorysty mogli przystąpić do zabezpieczania pomieszczenia.

Philipp spojrział na dowódcę. Marc skinął głową, więc Philipp nacisnął klamkę, pchnął drzwi i odskoczył. Obaj czekali z bronią gotową do strzału, celując w ciemne wejście do pokoju,

ale w środku panował bezruch.

Marc dał Philippowi znak głową. Był dowódcą, ale nie wszechwiedzącym.

*Wchodzimy?*

Phillipp potaknął.

*Wchodzimy.*

Obaj błyskawicznie wpadli do pokoju. Clara poczuła pieczenie i gorzki posmak w ustach. Ci ludzie byli zawodowcami, razem z nimi dopadła Wilkołaka, więc wiedziała, że są najlepsi. Mimo piętnastu lat służby nie potrafiła znieść tych kilku sekund niepewności – niewiedzy, co się znajduje za drzwiami prowadzącymi do innego świata. Świata strachu, bólu, krwi i śmierci.

Nie miała innego wyjścia.

Czekała.

Sekundę. Dwie. Trzy.

Boże, co tam się dzieje?

Pięć sekund. Sześć.

– Kurwa mać! – w końcu rozległ się krzyk Marca. A potem jeszcze raz: – Ożeż kurwa!

– Meldować! – zażądał Winterfeld.

– Powinniście sami to zobaczyć.

Clara nabrała głęboko powietrza i przekroczyła próg sypialni.

Wczoraj był jej specjalny dzień.

Wczoraj od rana do wieczora myślała o tym, że mija dokładnie dwadzieścia lat od chwili, kiedy po raz ostatni widziała swoją młodszą siostrę.

Wczoraj po raz pierwszy otrzymała przesyłkę od mordercy. Bezpośrednio, ze swoim nazwiskiem na kopercie.

I również wczoraj po raz pierwszy obejrzała nagranie prawdziwego morderstwa.

Lecz tego, co zobaczyła teraz, nie spodziewała się w najgorszych koszmarach.

Clara знаła odór śmierci – lecz tutaj go nie poczuła. W powietrzu unosiła się woń starej skóry; może trochę nieświeżej, zepsutej.

Mieszała się z delikatnym, cytrusowym zapachem robactwa.

Po chwili dostrzegła chrząszcze.

Chodziły po całym pokoju – falujący dywan pokrywał podłogę, łóżko, szafę, stolik nocny, fotel i lampę.

I leżące na łóżku zwłoki.

Oceniając wielkość i kształt zwłok, domyśliła się, że to ciało kobiety między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Całkowicie wysuszona skóra twarzy opinała czaszkę niczym szary pergamin, spod którego wyzierały kości policzkowe. Obkurczone, cofnięte resztki warg odsłaniały zęby wyszczerzone na kształt makabrycznego uśmiechu. Pojedyncze kosmyki blond włosów przypominały osobę, którą Clara widziała na nagraniu.

Oczy denatki zmieniły się w żółtawe, pokurczone grudki. Zapadnięte w zbyt dużych oczodołach, wpatrywały się martwo w sufit. Tułów został rozcięty od gardła aż do podbrzusza. Końcówki odpiłowanych od mostka żeber sterczały z otwartej klatki piersiowej niczym wręgi upiornego wraku. Ciało przykrywały plamy białej, miękkiej pleśni.

Policjantka w milczeniu przyglądała się makabrycznej inscenizacji. Obok niej stali Marc, Phillip i Winterfeld. Szef, zdjęty odrazą, zapomniał nawet przeczesywać dłonią włosy.

– Spodziewałem się, że nie czeka nas tu nic pięknego – powiedział w końcu. – Ale to... to przekracza ludzkie wyobrażenie. I to wielokrotnie. Co pani o tym myśli?

Clara nie musiała być lekarzem sądowym, żeby natychmiast zauważyć, że ciało było w znacznym stopniu zmumifikowane. Nie podchodząc zbyt blisko do zwłok, zajrzała do rozciętego



tułowia – w pustej jamie brzusznej dostrzegła kręgosłup i dochodzące do niego żebra, lecz żadnych narządów wewnętrznych – brakowało płuc, serca, żołądka i pozostałych wnętrzności.

– Sprawca najwyraźniej wyjął wnętrzności z ciała – powiedziała. – Chyba ją zmumifikował.

Spojrzała na Winterfelda, Marca i Phillipa.

– To by wyjaśniało, dlaczego nie czuliśmy smrodu: mumie nie mają zapachu.

– A trupy, które nie śmierdzą, nie zwracają na siebie uwagi. – Od strony drzwi usłyszała głos, który od razu rozpoznała. W wejściu do pokoju stał Martin Friedrich vel MacDeath, ubrany w gruby jesienny płaszcz. Pod spodem miał niebieski pulower i jasnobłękitny krawat. Musiał przyjść już jakiś czas temu i z progu przyglądał się ciału. Policjant, który przyprowadził go na górę, stał obok niego z otwartymi ustami i nie wiedział, jak się zachować.

– A w mieście, w którym lokatorzy w takich kamienicach zmieniają się co pięć minut, mogą stać się niemal niewidzialne. Nawet sąsiedzi mogli niczego nie zauważyć. – MacDeath podszedł do łóżka.

Clara nie mogła oderwać wzroku od prawej strony twarzy ofiary, gdzie chrząszcze wyjadły część tkanek policzka, odsłaniając tylne zęby.

Tak, Friedrich ma rację, pomyślała. Nikt jej nie szukał, nikt nie zauważył jej zniknięcia. Smród śmierci i zepsucia nie opuścił mieszkania. Nikt nie poczuł krwi. Nikt nie zauważył dziejącego się zła. Jednak brak tych woni wcale nie czynił sytuacji choćby trochę znośniejszą. Wręcz przeciwnie, uważała, że tak jest jeszcze gorzej.

– Czy to by znaczyło, że morderca widział w tym jakiś cel? Zależało mu, żeby nikt nie znalazł ciała, a w każdym razie nie za szybko?

Friedrich potaknął.

– Tak, tak mi się wydaje. Każdy morderca chciałby móc ukryć ciało swojej ofiary, by nikt go nie znalazł. Koniec końców, jeśli nie ma ciała, mamy do czynienia ze zbrodnią doskonałą, prawda?

– Mordercy zazwyczaj starają się ukryć zwłoki albo się ich pozbyć – zauważyła Clara.

– To dla nich zawsze największy problem. – Friedrich potwierdził. – Morderca musi go szybko rozwiązać. I najczęściej wybiera jedną z dwóch możliwości. Albo ukrywa je w miejscu, gdzie mogą zostać odkryte, czyli na przykład wrzuca do rzeki, kontenera na śmieci, zakopuje w lesie czy też porzuca w ciemnej uliczce...

– Albo ukrywa je u siebie w domu – dokończyła Clara. – Tak jak na przykład Gacy.

– On i wielu, wielu innych – potwierdził Friedrich. – Oba rozwiązania mają swoje słabe strony. W pierwszym przypadku ciało wcześniej czy później zostaje odnalezione. I nie inaczej jest, gdy się ukrywa zwłoki na terenie prywatnym. Zawsze pojawi się w końcu jakiś sąsiad, który widział, jak właściciel domu przenosił coś ciężkiego, owiniętego w czarny plastik albo kopał podejrzanę doły w ogrodzie. Albo że przyprowadził do mieszkania kogoś, kto już z niego nie wyszedł.

Clara odsunęła się trochę, żeby zrobić miejsce technikom kryminalistycznym, którzy zabrali się do zabezpieczania śladów i tworzenia dokumentacji fotograficznej.

– Ogólnodostępne miejsca są odwiedzane na przykład przez spacerowiczów, natomiast prywatne już nie tak często – kontynuował MacDeath. – Czy wyważyłaby pani drzwi do mieszkania jakiejś starej znajomej tylko dlatego, że dawno jej pani nie widziała?

Clara potrząsnęła głową.

– Tylko co temu psychopacie z tego, że zamordował dziewczynę, a potem pozwolił jej zwłokom leżeć i schnąć? – zapytał Winterfeld. – Chodziło mu o pieniądze? Zemstę? Gwałt? A może o wszystko naraz?

– Sam zadaję sobie to pytanie. – Friedrich pokiwał głową. – Będziemy musieli to ustalić.  
– Podszedł jeszcze bliżej łóżka i przyjrzał się chrząszczom. – Czy to normalne, że przy zwłokach pojawia się aż tyle tego? A poza tym skąd one się wzięły? – Rozejrzał się po pokoju. – Okno jest zamknięte, a to... – Wskazał na coś na podłodze. – To bez wątpienia jego sprawka.

Clara dopiero teraz zwróciła uwagę na ustawione wzdłuż wszystkich ścian niewielkie pojemniczki z wodą, w której pływały dziesiątki martwych chrząszczy. Sprawca przesunął meble do przodu, żeby wsunąć za nie korytka z wodą.

– Ciekawe, czy to dla tych zwierzaków? – zainteresowała się Clara.

Friedrich spojrział na technika, który robił zdjęcia wodzie z potopionymi chrząszczami.

– Tak podejrzewam. Chociaż raczej nie dla nich, a przeciwko nim. Chciał zapobiec, żeby oblażyły ściany i okno, bo mogłyby...

– ...zwrócić czyjąś uwagę? – Clara weszła mu w słowo. – Sprawić, że sąsiedzi zaczęliby się interesować zamkniętym mieszkaniem, z którego wychodzi robactwo?

Potem zwróciła się do Winterfelda:

– To by chyba oznaczało, że specjalnie je tu przyniósł...

– Wszystko na to wskazuje. – Szef przytaknął. – Ciała często przyciągają spore ilości robactwa, muchy składają jaja, ale to tutaj... to zdecydowanie odbiega od normy.

– Aktywny sposób przyspieszenia mumifikacji? Pomógł sobie chrząszczami? – zastanawiała się Clara.

Winterfeld potwierdził.

– Starożytni Egipcjanie też korzystali z podobnych metod. Powinniśmy poprosić o pomoc biologów z Instytutu Medycyny Sądowej, żeby jak najszybciej ustalili, co to za gatunek.

Otworzył telefon i wybrał numer. Kiedy rozmawiał, Clara raz jeszcze przyjrzała się zwłokom. W pewnej chwili dostrzegła coś, co sprawiło, że poczuła falę obrzydzenia i zaskoczenia; już wcześniej zdarzało jej się przeżywać podobne emocje, kiedy zaskakiwało ją coś bardzo nieprzyjemnego. Odkrycie, którego dokonała, było z gatunku tych odrażających: sprawca wywiercił w czaszce ofiary cztery spore otwory, przez które teraz wypełzały z jej wnętrza czarne chrząszcze.

– Co za skurwysyn... – wyszeptala i pokazała pozostałym, co przed chwilą zauważyła. Policjant, który przyprowadził Friedricha do mieszkania, nie wytrzymał i odwrócił się. – Odsłonił jej mózg.

Nawet MacDeath, który dotychczas nie dawał po sobie niczego poznać, głośno przełknął ślinę.

– Chciał ją bardzo dokładnie zmumifikować – powiedział i zamilkł. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili. – To jeden z tych najgorszych typów. Wczoraj CD-ROM, dzisiaj to... a my nie mamy pojęcia, co nas jeszcze czeka. Musimy bardzo uważać. – Spojrzał w stronę Winterfelda i Clary. – Również na siebie.

Również na siebie, powtórzyła Clara w myślach. Wczoraj CD-ROM, dzisiaj to... Ale na przesyłce podał tylko jej imię i nazwisko. Czego ten czubek od niej chce? Co z nim jest nie tak?

Jeszcze raz bardzo ostrożnie okrążyła łóżko z ciałem, podczas gdy w drzwiach zebrała się reszta zespołu techników zabezpieczających ślady. Wszędzie widać było chrząszcze. Setki chrząszczy. Policjantka słyszała, że Winterfeld wybiera jakiś numer i zaczyna rozmowę.

– Winterfeld z tej strony. Jesteśmy na miejscu znalezienia zwłok z tego morderstwa z CD-ROM-u wczoraj... tak, Jasmin Peters. Wiecie już wszystko? Zgadza się... tak jest, to morderstwo. Zwłoki ofiary zostały zmumifikowane, a sprawca posłużył się przy tym jakimś gatunkiem chrząszczy. Macie w instytucie kogoś, kto zajmuje się owadami? Entomologa czy jak to się tam nazywa? Fantastycznie, powiadomcie go o sprawie. Jak skończymy tutaj wszystko,

wpadniemy pogadać. Dzięki.

*To jeden z tych najgorszych typów.* W głowie Clary wciąż rozbrzmiewały słowa Friedricha. Miała wrażenie, że wszystko wokół niej dzieje się w zwolnionym tempie: MacDeath notował coś w mocno wytartym, staromodnym notatniku; technicy ustawili i włączyli lampę nadfioletową, a potem zabrali się do mierzenia pomieszczenia laserowymi dalmierzami i pędzlowania mebli i ścian grafitowym proszkiem, by zabezpieczyć odciski palców. Błyski fleszy, trzask migawki, a potem charakterystyczny dźwięk zamykanego telefonu Winterfelda.

Clara wyjrzała przez okno. Na dworze wstawał kolejny szary, deszczowy dzień. Rozejrzała się po pokoju. Szafa obok łóżka. Na krześle bluza z kapturem. Na nocnym stoliku książka Thomasa Harrisa i jakieś poradniki lifestylowe. Na półkach i gazetach zebrał się kurz; poza tym wszystko wyglądało, jakby dziewczyna żyła jeszcze poprzedniego dnia.

*Jeden z tych najgorszych typów.*

Znów popatrzyła na łóżko i zatrzymała wzrok na twarzy zamordowanej, jakby przyciągał ją do niej jakiś perfidny magnetyzm, który zmuszał do spoglądania na makabryczne i budzące zgrozę obrazy. Niegdyś śliczna dziewczyna leżała teraz bez życia i zaschniętymi oczodołami wpatrywała się w sufit. I tylko jej włosy wyglądały tak, jak wyglądają włosy każdej kobiety o tej porze. Jak na płycie CD. Blondynka, ze zrobionymi platynowymi kosmykami.

Otworzył chrząszczom drogę do jej mózgu.

Clara niemal siłą oderwała wzrok od zmumifikowanego oblicza i jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Często bowiem dopiero wówczas zauważa się pozornie pozbawione znaczenia drobiazgi, które w czasie przeszukania zostały przeoczone. Policjantka przesunęła wzrokiem po ścianach. Przyjrzała się reprodukcji Moneta, roślinom na parapecie i niewielkiemu sekretarzykowi, który stał niedaleko okna.

Na sekretarzyku leżał komputer. Na ścianie nad sekretarzykiem wisiał kalendarz. Jeden z tych grubaśnych, z których wyrywało się kolejne strony.

I znów poczuła ból w żołądku, jakby ktoś ją bez ostrzeżenia uderzył pięścią w brzuch.

Widoczna niewyrwana kartka miała datę 10 marca.

Clara zajęła miejsce z tyłu czarnego mercedesa. Prowadził Winterfeld, a Friedrich siedział obok niego. Policjantka wyjęła notes i długopis. Naszkicowała kilka diagramów i poglądowy plan mieszkania.

– Myślicie, że zwłoki leżą tam od dziesiątego marca? – zapytała. – To przecież ponad pół roku!

– Całkiem prawdopodobne. – Winterfeld potaknął, nie odrywając wzroku od ulicy. Mijali właśnie stację metra Hermannsplatz, kiedy przed maskę samochodu wyskoczyło kilku pijanych albo naćpanych chłopaków. Na szczęście udało się uniknąć wypadku. – Tymi debilami powinien był się zająć, a nie bezbronną dziewczyną – warknął policjant, gwałtownie hamując, a potem wrócił do rozmowy z Clarą. – Sądząc z oględzin wstępnych, sześć miesięcy to realny czas, jaki zwłoki spędziły w tym mieszkaniu. A co pan o tym myśli? – Spojrzał szybko na Friedricha.

Mężczyzna skinieniem przyznał mu rację.

– Pewność będziemy mieć dopiero po tym, jak denatka trafi w ręce chłopców w gumowych rękawiczkach – oznajmił Winterfeld i wytarł dłonią zaparowaną szybę. – Z tego co wiem, kilka chrzaszczy jest już w drodze do laboratorium. Jak technicy skończą zabezpieczać mieszkanie, zwłoki powędrują prosto na stół sekcyjny. – Zatrzymał się na kolejnych światłach i wykorzystał postój na podniesienie temperatury w aucie.

„Chłopcy w gumowych rękawiczkach” to oczywiście lekarze sądowi pracujący w Instytucie Medycyny Sądowej, który miał siedzibę w dzielnicy Moabit. Zostali już powiadomieni, że będą mieli do wykonania sekcję Jasmin Peters, choć w gruncie rzeczy mieli dopiero potwierdzić, że to rzeczywiście jej ciało. Mimo to Clara nie miała najmniejszych wątpliwości, że to jej zwłoki znaleźli. Jeśli nieboszczka okazałaby się kimś innym, oznaczałoby to, że obce zwłoki przez pół roku leżały w mieszkaniu Jasmin Peters, w żaden sposób nie budząc jej niepokoju.

To tak dalece nieprawdopodobne, że po prostu niemożliwe, pomyślała policjantka.

Laptop z sekretarzyka został zbadany na miejscu przez techników, spakowany i zabrany do laboratorium. Na komendzie policyjni informatycy zaczną od złamania hasła, a potem zbadają cały dysk twardy, przejrzą zdjęcia, dokumenty, listy i wiadomości w komunikatorach. Sprawdzą, z kim i kiedy Jasmin się kontaktowała i czy miała założone konta w portalach społecznościowych. Będą szukali wszystkiego, co mogłoby pomóc w ustaleniu, kim był morderca, czy znali się wcześniej, czy też spotkali się dopiero wtedy, kiedy postanowił zakończyć jej życie, w wieczór, kiedy nagrał jej egzekucję.

– Co zaś się tyczy gwałtu – zaczął Friedrich – to na razie nie mam pewności. Niestety, biorąc pod uwagę stan zwłok, nawet medykom będzie trudno cokolwiek ustalić. – Spojrzał na Winterfelda. – A pan co o tym myśli?

– Nie jestem specjalistą medycyny sądowej. – Winterfeld pokręcił głową. – Jednak z doświadczenia wiem, że w przypadku tak brutalnego mordercy praktycznie wszystkie scenariusze są możliwe.

– Ja akurat mam pewne wątpliwości. – MacDeath zmarszczył czoło i odwrócił się do Clary. – W moim odczuciu kulminacją czynu była filmowana egzekucja tej dziewczyny. To by się mocno gryzło z gwałtem, bo w gwałcie chodzi przecież o inną kulminację. Jednak przede wszystkim zastanawia mnie to, że morderca pomógł policji, żeby jak najszybciej znaleziono zwłoki, bo przecież tylko po to umieścił w filmie imię, nazwisko i numer trzymaście. Tak jakby mu zależało, żebyśmy do mieszkania Jasmin weszli konkretnie dzisiaj, a nie jutro. Co pani sądzi?

– Doskonale pan to już wcześniej sformułował – odparła Clara, choć niemal zaczęła go nienawidzić za przejrzyście i jednoznacznie wyłożoną smutną prawdę. – CD z nagraniem wysłał konkretnie do mnie. Może o to mu chodziło? Może interesowało go, co sobie pomyślę... jak zareaguję?

– A jak pani zareagowała?

Clara wykrzywiła się ironicznie.

– Inne kobiety dostają od cichych wielbicieli bombonierki albo kwiaty. Tymczasem pani Vidalis jakiś tajemniczy adorator przysłał dysk CD pomazany szminką, na którym nagrał scenę morderstwa. – Zatrzasnęła notatnik. – A że przecież jak wiadomo policjanci są dość tępi, pomocny zabójca dał nam trop w postaci imienia, nazwiska i numeru domu ofiary. Nie, to nie tak. W rzeczywistości jestem naprawdę roztrzęsiona. Na dodatek kazał powiedzieć Jasmin, że nie jest pierwsza i nie ostatnia. Dlatego moim zdaniem mamy pewność, że szukamy seryjnego mordercy. Ten czubek nie skończy szybko. Jeśli już zamordował inne kobiety, to czy również wszystko filmował? Jeśli tak, to komu wysłał nagrania? I czy to mu wystarczy? Jeśli tak, to na jak długo? Co zrobił innym kobietom? Dlaczego to nagrywa? Czy to go podnieca?

Friedrich skinął głową.

– Seryjni mordercy kobiet, którzy nie są motywowani pobudkami seksualnymi, to teoretycznie możliwy, ale praktycznie niespotykany układ. Pewnie wcześniej doszło do gwałtu albo, być może, dopiero *post mortem*. – Znów odwrócił się do Clary. – Choć możliwe, że nie. Myślę, że dla niego najdonioślejszą sprawą było zademonstrowanie czynu właśnie pani. Morderstwo, niezależnie od tego, czy poprzedzone gwałtem, czy przebiegające bez gwałtu, sprawia wrażenie gwałtu dokonanego na pani. – Świdrował ją wzrokiem. – Jestem za to przekonany, że wczoraj przez cały wieczór morderca wyobrażał sobie panią, jak ogląda pani podrzucony filmik i jakie wywołuje on w pani reakcje.

Ta myśl zupełnie jej się nie podobała. Najgorsze, że mimo to brzmiała bardzo prawdopodobnie.

– Tylko dlaczego?

– Mam wrażenie, że on odczuwa jakąś więź z panią – wyjaśnił Friedrich. – Jak będzie miała pani chwilę, to proszę pomyśleć, o co może mu chodzić. Coś z przeszłości... nie wiem, zdarzenie? Może spotkanie?... Coś, co pozwoliłoby mu przywiązać się do myśli o związku między wami. Ja też postaram się to przemyśleć.

Clara wyjrzała przez okno. Deszcz łał się z nieba strumieniami, a krople rozpryskiwały brudną wodę wielkich kałuż, którymi pokryła się Mehringsdamm. Winterfeld jechał w stronę komendy policji.

Coś z mojej przeszłości, pomyślała. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że cała groza wczorajszego wieczoru, nocna analiza filmu, oglądanie zмумifikowanego ciała, chrząszcze i odraza były w gruncie rzeczy pożądaną odmianą i powodem, by odsuwać od siebie myśl o zagrożeniu, które cały czas gdzieś się czaiło. Mimo że robiła wszystko, by o nim zapomnieć, ono czekało na nią za każdym rogiem i wychylało się z jej podświadomości: morderca wysłał CD właśnie jej.

Dlaczego?

Clara przyglądała się młodej kobiecie ułożonej na stole ze stali nierdzewnej w prosektorium Instytutu Medycyny Sądowej w Moabie. Patrzyła na jej obciągniętą wyschniętą skórą twarz, która niegdyś była piękna, na ciało, które urodą i gibkością musiało przyciągać spojrzenia, i na oczy, wcześniej pełne życia, a dziś skurczone, przypominające grudki w galarecie i martwe. Ciało ludzkie składa się w około sześćdziesięciu procentach z wody. Dlatego mumie ważą znacznie mniej niż żywy człowiek, bo zaledwie dwadzieścia lub trochę więcej kilogramów.

Ona jest stanowczo za młoda, żeby tu leżeć, pomyślała Clara. Dwadzieścia sześć lat, jak udało się ustalić na podstawie danych z urzędu meldunkowego. Miała marzenia, nadzieje, plany. I wszystko runęło w gruzy, kiedy przyszedł tamten tragiczny, krwawy dzień: w jej mieszkaniu pojawiła się chora bestia z kamerą wideo i nożem.

– Znacznie lepiej zaczynamy, niż kończymy.

Słowa te wypowiedział doktor von Weinstein, zastępca dyrektora instytutu. Miał opaloną na brązowo twarz, zaczesane do tyłu na żel czarne włosy poprzepłatan srebrnymi kosmykami i srebrne designerskie okulary. W odczuciu Clary nic a nic nie odpowiadał ogólnemu wyobrażeniu lekarza sądowego.

Sekcja zwłok już trwała. Winterfeld stał z przodu stołu, gdzie leżała głowa zamordowanej. Asystent doktora von Weinsteina otworzył do końca klatkę piersiową i rozciął do samego dołu jamę brzuszną. Kolejny pracował piłą elektryczną, starając się otworzyć czaszkę denatki, by usunąć z niej mózg. Clara znała przepisy. Paragraf osiemdziesiąty dziewięty, procedura postępowania: sekcja zwłok powinna, w zależności od ich stanu, składać się z otwarcia jamy brzusznej, klatki piersiowej oraz czaszki.

Tutaj, w prosektorium w Moabie, stary znajomy pojawił się znów: smród śmierci. Słodkawy i przenikliwy, niemożliwy do zapomnienia, jeśli choć raz się go poczuło.

– Uszkodzenia tkanek charakterystyczne dla działań robactwa – oznajmił von Weinstein i niewielką lampką oświetlił jamę brzuszną martwej dziewczyny, w której wciąż jeszcze kłębiły się przekłete owady. – W naczyniach krwionośnych nie została ani kropla krwi.

Clara podążyła za jego wzrokiem. Wewnątrz jamy brzusznej dostrzegła pozostałości jelit i żołądka, a wokół nich kłębiące się chrząszcze. Groteskowa jaskinia wypełniona kolonią owadów, pomyślała.

– Wyjątkowo dziwna sytuacja – ciągnął von Weinstein, stukając skalpelem w klatkę piersiową zwłok, niczym dyrygent uderzający batutą o pulpit. Clara czuła się nieswojo, ilekroć była świadkiem takiego zachowania, bo uważała, że odziera ofiarę zbrodni z godności. Jednak dla von Weinsteina był to swoisty rytuał, który pozwalał mu zachować dystans do okropności, z którymi na co dzień się stykał.

– Zdarzają się ludzie tak bardzo osamotnieni i zapomniani – kontynuował von Weinstein – że nikt się nimi nie interesuje i przez całe miesiące, a bywa, że i lata, leżą w mieszkaniu, zanim zostaną znaleźni. – Pod koniec musiał podnieść znacznie głos, bo jeden z asystentów zabrał się do rozcinania czaszki denatki piłą elektryczną. Wcześniej rozciął skórę na głowie i zsunął ją z twarzy, by odsłonić kości. Po kilku chwilach skończył, do środka wsunął dłoń i wyjął pozostałości mózgu, niewiele większe od podstawki pod filiżankę. Położył je na wadze i nacisnął któryś z guzików. Wyświetlacz pokazał jedynie pięćset gramów.

– Dzięki. – Von Weinstein spojrzał na asystenta. – Zaraz do tego wrócimy.

Przeniósł wzrok na Clarę i Winterfelda, którzy z mieszaniną odrazy i fascynacji przyglądali się pokurczonemu czemuś, co wcześniej decydowało o życiu i uczuciach Jasmin

Peters.

– Mamy z tym do czynienia w określonych sytuacjach – wyjaśniał von Weinstein. – Zazwyczaj to posunięta do granic izolacja społeczna. To na przykład osoby po rozwodzie albo takie, które straciły ukochaną osobę i pogrążyły się w cierpieniu, szukając otuchy i pocieszenia w alkoholu i innych substancjach chemicznych. Zerwawszy wszelkie kontakty towarzyskie, zasywają się w swoim cierpieniu i wegetują w samotności do samego końca.

Zamilkł i zaczął kartkować dokumentację przesłaną przez techników od zabezpieczania śladów.

Winterfeld spojrzął na zegarek. Clara wiedziała, że von Weinstein nie miał zwyczaju mówienia wprost. Lubił robić długie wykłady i czynić dygresje, zanim przeszedł do rzeczy. Podobnie zresztą jak Winterfeld; pod tym względem byli bardzo do siebie podobni. Może dlatego jej szef zdawał się źle znosić przeciągające się wywody von Weinsteina?

– Do rzeczy proszę, do sedna. – Winterfeld wszedł mu w słowo. – Mamy tu do czynienia z morderstwem, czy tak? Oceniam przede wszystkim na podstawie przesłanego nagrania. Czy pana zdaniem to uzasadniona teoria?

– W rzeczy samej – potwierdził von Weinstein i kiwnął głową. – Rana cięta tutaj – wskazał na podłużne cięcie na gardle ofiary – w stu procentach zgadza się ze sceną zapisaną na dysku. Jednak jest w tym wszystkim coś wyjątkowego. – Obszedł stół dookoła. – Morderca celowo doprowadził do mumifikacji zwłok swojej ofiary, żeby uniknąć woni rozkładu, dzięki której na ogół odnajdywane są ciała. – Von Weinstein przeciągał słowa, żeby podkreślić znaczenie tego spostrzeżenia. – Zwłoki śmierdzą, natomiast mumie nie.

– Na ścianie w pokoju denatki wisiał kalendarz z niewyrwaną stroną przypadającą na dziesiąty marca – zaczęła Clara. – Czy istnieje możliwość, że do morderstwa doszło właśnie tego dnia?

– Tak, to całkiem możliwe. Chrząszcze miałyby wtedy dość czasu, żeby pozbawić ciało całej wilgoci. Sprawca – wskazał na wysuszony mózg ofiary, który wciąż jeszcze spoczywał na wadze – wywiercił nawet otwory w czaszce, żeby umożliwić im dehydratację tego narządu.

– Chyba zaczynam rozumieć, do czego pan zmierza – powiedziała Clara. – Normalnie takie coś spotyka osoby samotne i chore, których śmierci nikt nie zauważa. Zwłoki wysychają wtedy w sposób całkowicie naturalny, na przykład dlatego, że znalazły się w pobliżu działającego grzejnika, a w wyniku działania robactwa z ciała zostaje usunięta cała wilgoć. I to powoduje, że nie czuć woni rozkładu.

– Dokładnie tak – potwierdził von Weinstein i przeniósł wzrok na Winterfelda. – Może pamięta pan jeszcze sprawę tego siedemdziesięcioletniego alkoholika z zeszłego roku?

Policjant zastanowił się, po czym skinął głową.

– W jego mieszkaniu było otwarte okno. – Von Weinstein podjął wątek. – I to całymi miesiącami, nawet w najgorsze mrozy. Nikt nie zwrócił na to uwagi i nikt niczego nie zauważył. Co ciekawsze, przez kilka miesięcy grało tam radio, aż do chwili, kiedy elektrownia odcięła prąd za niezapłacone rachunki. Za to czynsz był opłacany zleceniem stałym prosto z jego konta, na które regularnie wpływała renta, więc wynajmujący nie miał powodu, żeby się czymkolwiek niepokoić.

– Marzenie każdego wynajmującego – powiedział Winterfeld. – Spokojny lokator, który nie spóźnia się z czynszem.

Clara spojrzała na niego karcąco.

– Nasz lokator był też miłośnikiem zwierząt – dodał Weinstein, jakby chciał przebić dość niesmaczny żart Winterfelda.

Mężczyźni! Oni chyba nigdy się nie zmieniają, pomyślała Clara. Podczas gdy kobiety

wyłakują się w ramię najlepszej przyjaciółki, oni strach starają się przepędzić idiotycznymi dowcipami.

– Przez otwarte okno wlatywały do środka gołębie i inne ptaki – wyjaśniał von Weinstein.  
– Cała podłoga była pokryta grubą warstwą ptasich odchodów. Pamiętacie szczegóły tej sprawy? Winterfeld potaknął.

– Niestety, bo to nie był miły widok.

Von Weinstein uśmiechnął się delikatnie, jakby zadowolony, że policjant w końcu poczuł się nieswojo.

– Gdzieś pod tym kozuchem brudu, odchodów i naniesionych śmieci leżały zwłoki Manfreda Timma, podziobane i częściowo zjedzone przez ptaki. Były niekompletnie ubrane. Kapsle z butelek po piwie, na których leżały, wgryzły się głęboko w ciało. Przy oględzinach wyglądały niemal jak wytwór Damiana Hirsta. – Zacisnął usta. – Widział pan jego dzieła?

– Niestety, tak. I do dzisiaj żałuję. Ale do czego pan zmierza? – zapytał Winterfeld.

– Zazwyczaj mumifikacja zaczyna się naturalną, czasem przypadkową śmiercią. Ale praktycznie nigdy morderstwem – odparł von Weinstein. – Ktoś jest alkoholikiem... ktoś inny jest chory... albo samotny. I taki ktoś umiera, ale do tej śmierci nikt bezpośrednio się nie przyczynia. Czasem zdarza się, że niekarmione zwierzęta domowe zaczynają zjadać zwłoki, a potem ugryzienia wyglądają jak cięcia nożem. Nasza praca polega wtedy na ustaleniu, że to nie było morderstwo. – Znów zastukał skalpelem w klatkę piersiową ofiary. – Jednak ta kobieta, Jasmin Peters, nie należała zapewne do samotników. Była piękną dziewczyną, miała przyjaciół, zdjęcia z wakacji, mieszkała w śródmieściu, a sąsiedzi ją znali. Ona została zamordowana. I ktoś, najprawdopodobniej morderca, chciał ukryć fakt, że jej zwłoki wciąż leżą w mieszkaniu.

– Zgadza się. – Winterfeld kiwnął głową. – Sprawca zrobił wszystko, żeby zbrodnia nie została odkryta. Pozbawił ją krwi, usunął wnętrzności, wypuścił chrząszcze i nawiercił czaszkę, żeby umożliwić im dotarcie do mózgu i usunięcie z niego wilgoci. Zależało mu, żeby ciało całkowicie wyschło i nie wydzielalo podejrzanych zapachów, które mogłyby zwrócić czyjąś uwagę.

– W istocie – zgodził się von Weinstein.

Clara otrząsnęła się. Pomyślała o wstępnych ustaleniach zespołu techników zabezpieczających ślady, którzy zajęli się oględzinami pokoju po wyjściu detektywów. Większość morderców bardzo starannie planuje czas przed zabójstwem i samą zbrodnię. Tymczasem ten, z którym mieli do czynienia, równie starannie, a może nawet staranniej, zaplanował czas już po morderstwie. Zabezpieczył drzwi i okna specjalną masą uszczelniającą i pod wszystkimi ścianami ustawił pojemniki z wodą, żeby robactwo się nie rozlało po pokoju i nie wydostało z domu, bo to mogłoby zaalarmować sąsiadów.

– Teraz już rozumiem, o co panu chodzi – przerwała im Clara, zaszokowana myślą, która akurat przyszła jej do głowy. – Sprawca nie mógł mieć pewności, że ciało leży w mieszkaniu i nie wydziela żadnych woni. Co pewien czas musiał wracać na miejsce zbrodni i sprawdzać, czy wszystko jest w porządku.

– O tym właśnie myślałem – potwierdził von Weinstein. – Wygląda na to, że przychodził zbierać martwe chrząszcze i uzupełniał wodę w tej fosie z plastikowych pojemniczków.

– Może to kulawe porównanie – powiedziała Clara – ale kiedy chce się sprzedać komuś jakiś produkt, człowiek przygotowuje się do rozmowy, a po transakcji dba się o klienta, żeby długo był zadowolony z zakupu. Jeśli morderca nie chciał, żeby ktoś znalazł Jasmin Peters...

Winterfeld wszedł jej w słowo i dokończył zdanie.

– ...musiał zadbać o to, żeby jej nieobecność nie zwróciła niczyjej uwagi.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli. Clara pierwsza przerwała ciszę.



– Zgadzam się z tym, że zazwyczaj mordercy starannie planują zbrodnię, zabijają ofiarę i starają się ukryć jej zwłoki. Jeśli są seryjnymi mordercami, zaczynają szukać kolejnego celu. – Spojrzała najpierw na Winterfelda, potem na von Weinsteina, a w końcu na jego asystenta, który wciąż stał przy wadze z mózgiem. – Nasz morderca poszedł znacznie dalej. Nie tylko poświęcił czas na zaplanowanie zbrodni i specjalną oprawę w czasie jej popełniania, ale też zadbał o czas po niej. Najczęściej bywa tak, że handlarz przekazuje klientowi towar, a potem przestaje się nim interesować. I większość morderców działa w ten sam sposób. Wybór ofiary, planowanie zbrodni, samo morderstwo i ukrycie ciała. Koniec. Jeśli to seryjny morderca, powtarza te punkty tak długo, aż zostanie złapany. Zupełnie inaczej jest z naszym mordercą. On, jak dobry sprzedawca, ma swoich klientów, o których nie zapomina nawet po zabójstwie. – Potrząsnęła głową. – Rozszerzył ten schemat o dodatkowe elementy.

Clara z wdzięcznością przyjęła czarną kawę w filiżance z logo Hertha BSC Berlin. Von Weinstein zaparzył ją osobiście w kuchni instytutu. Winterfeld rozmawiał akurat z komendą. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy nikt nie zgłaszał zaginięcia Jasmin Peters, co przy tak licznym gronie znajomych było przynajmniej dziwne, jeśli nie nieprawdopodobne.

Sprawca musiał mieć znacznie lepszy i skuteczniejszy plan niż sama mumifikacja ciała, pomyślała Clara. To tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że ma do czynienia z wyjątkowo przebiegłym, cierpliwym i wyrachowanym mordercą. A to, że pokierował policją w taki sposób, żeby znaleźli miejsce jego zbrodni, świadczyło albo o jego nieskończonej głupocie, albo o tym, że mógł sobie pozwolić na taki krok. I tego drugiego rozwiązania Clara bardzo się obawiała. MacDeath powiedział, że to jeden z tych najgorszych. I mógł mieć rację.

Stali teraz w pomieszczeniu oddzielonym od sali sekcyjnej dużą szybą panoramiczną, zza której można było oglądać pracę lekarzy sądowych. Doczesne szczątki Jasmin Peters spoczywały na środkowym z pięciu stołów sekcyjnych. Jeden z asystentów von Weinsteina wyjął coś z otwartej jamy brzusznej i włożył do szklanego pojemnika na dowody rzeczowe.

Clara upiła kolejny, duży łyk kawy i z wdzięcznością wciągnęła nosem aromat gorącego naparu, który choć trochę oczyścił jej płuca ze słodkawego zapachu śmierci. Z jednej strony czuła się całkowicie przytomna i spięta, lecz z drugiej nie mogła zaprzeczyć, że ostatniej nocy spała niecałe trzy godziny. A na dodatek poprzedniego wieczoru wypila kilka szklaneczek whisky, co też nie pozostawało bez wpływu na jej obolałą głowę.

– Jeszcze jakiś czas potrwają prace nad jej ciałem – oznajmił von Weinstein. – Poza tym nie zakończyliśmy w stu procentach identyfikacji denatki.

Do zakończenia związanych z tym procedur lekarze sądowi musieli sprawdzić stan uzębienia, a Clara była szczęśliwa, że nie ma obowiązku tego oglądać. Jako że każdy człowiek ma unikatowy zgryz, dysponując zdjęciem rentgenowskim szczęki konkretnej osoby można bez szczególnych problemów dokonać identyfikacji. W celu pobrania odcisku szczęki przecina się mięśnie żuchwy oraz staw żuchwowy, co pozwala na odseparowanie żuchwy. Górną szczękę wycina się z kości czaszki. Raz już widziała tę procedurę i nie miała ochoty oglądać jej ponownie.

Górna i dolna szczęka przekazywane są następnie do wydziału endodontologii i tam specjaliści porównują je z zachowanymi zdjęciami rentgenowskimi.

– Motyw tej zbrodni również jest zupełnie niejasny. – Von Weinstein wskazał głową na salę sekcyjną za oknem panoramicznym. – W tym stadium rozkładu zwłok ustalenie, czy doszło do gwałtu czy nie, będzie bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe. Problematyczne będzie również opisanie ewentualnych tortur przed śmiercią. – Upił łyk kawy.

– Ile czasu będziecie potrzebowali? – zapytał Winterfeld i lewą dłonią przecesał włosy. W prawej trzymał filiżankę z kawą.

– Najpóźniej do południa powinniśmy być gotowi. – Spojrzał na Clarę, a potem na stół sekcyjny. – Zadzwoń, gdy tylko skończymy. Potem wyślę akta. Może nawet sam wpadnę.

– Jeśli znajdzie pan czas, to zapraszamy – powiedziała Clara.

W tym momencie odezwał się jej telefon. Numer komendy policji.

– Clara Vidalis, słucham.

– Cześć, Clara, Hermann z tej strony – odezwał się głos w słuchawce. – Siędzę z informatykami przy komputerze Jasmin Peters.

– No i?

– Chodzi o to, że zgodnie z kontem na Facebooku Jasmin Peters żyje i ma się dobrze.

Clara poczuła uderzenie adrenaliny. Wiadomość ożywiła ją znacznie bardziej niż jakakolwiek kawa.

– Słucham?! – powiedziała podniesionym głosem.

– Od marca nieprzerwanie pozostaje w kontakcie ze znajomymi – wyjaśnił Hartmann.

Clara odsunęła słuchawkę od ucha i zaskoczona spojrzała w stronę stołu, gdzie leżały okaleczone zwłoki młodej kobiety, która, zgodnie z ustaleniami, jeszcze niedawno rozmawiała na Facebooku ze znajomymi.

– Jak to? Rozmawiała z nimi?

– Zgadza się – potwierdził Hartmann. – Ostatnia wiadomość została opublikowana wczoraj.

– Zaraz będziemy! – Clara zakończyła połączenie. – Wyjaśnię wszystko w samochodzie – powiedziała do Winterfelda i Friedricha, po czym złapała płaszcz, torebkę i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę drzwi. – Musimy natychmiast wracać na komendę.

Hermann siedział z dwoma informatykami z wydziału kryminalistycznego. Duże biurko przed nimi dosłownie ginęło pod warstwą śrubek, płytek drukowanych, nieczytelnie podpisanych płyt CD i DVD, napędów optycznych, dysków twardych, czasopism komputerowych, przenośnych pamięci USB i kabli. Clara była nieodmiennie pełna podziwu, jak ktokolwiek może pracować w takim chaosie, jednak dotychczas policyjni specjaliści od IT zawsze świetnie wywiązywali się ze swoich obowiązków. Uznała więc, że twórczy bałagan na ich biurkach jest po prostu naturalny albo wręcz konieczny do przetrwania w sterylnym świecie czystej logiki – świecie, który składał się jedynie z zer i jedynek. Pośrodku tej zbieraniny elektroniki stał otwarty laptop Jasmin, srebrny apple macbook pro. Laboratorium zdążyło wcześniej ustalić, że krew na obudowie bez najmniejszych wątpliwości należała do Jasmin Peters. Co ciekawe, przebadali również szminkę, którą podpisany został dysk przysłany Clarze, i znaleziono w niej potwierdzenie, że ona również należała do ofiary. Na płycie znajdował się jedynie plik z nagraniem i nic poza nim – żadnych rootkitów, wirusów ani trojanów. Jednak fakt, że zdecydowanie martwa Jasmin Peters jeszcze wczoraj publikowała coś na swoim profilu na Facebooku, przyćmiewał wszystkie inne wiadomości.

– Ostatnia wiadomość serio jest z wczoraj? – Clara wolała się upewnić. Wciąż jeszcze nie mogła w to uwierzyć, choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe, by Jasmin osobiście cokolwiek miała publikować.

Hermann żuł żelkowe misie. Kiwnął głową i podsunął koleżance paczuszkę, żeby się poczęstowała. Jednak policjantka nie miała ochoty na nic słodkiego.

– „Jasmin Peters jest w Szanghaju” – przeczytał Hermann, nie przestając przeżuwać.

Nazwa użytkownika była napisana pogrubioną czcionką, jak zawsze w tym portalu. Zaraz za nią znajdował się tekst, którym użytkownik chciał podzielić się ze znajomymi. Policjant przeczytał na głos:

– „Dzisiaj byłam na Pearl Oriental Tower. Dwie godziny stania w kolejce. Piękny widok”.

Clara słuchała podekscytowana, przebiegając tekst wzrokiem. Na stronie Jasmin na Facebooku umieszczone zostało również zdjęcie panoramy Szanghaju.

– „Później się dowiedziałam, że można wjechać windą do restauracji na dziewięćdziesiątym drugim piętrze szanghajskiego centrum finansowego. Nie dość, że jest znacznie wyżej, zupełnie za darmo, to jeszcze nie ma do niej kolejki”.

Hermann spojrzał na koleżankę i odczytał ostatnie zdanie.

– Człowiek zawsze jest mądry po fackie. Dwanaście komentarzy, dwadzieścia osób kliknęło, że to lubią.

Clara wstała, przygryzła usta i zaczęła się zastanawiać.

– Co za zmyślny skurczybyk – powiedziała w końcu. – Wysłał Jasmin do Chin, żeby nikt jej nie szukał w Berlinie. – Znów spojrzała na ekran. – Od jak dawna niby tam jest?

– Wygląda na to, że w lutym przebywała jeszcze tutaj, bo kończyła studia. – Hermann wyjaśnił. – Wynika to z jej e-maili z Gmaila. No właśnie, udało nam się włamać do jej skrzynki pocztowej.

– Co studiowała?

– Kulturoznawstwo i zarządzanie na Uniwersytecie Humboldta. – Hermann znów sięgnął do torebki z żelkami.

– Co zrobiła potem?

– Oznajmiła znajomym i rodzinie, że wybiera się w podróż życia dookoła świata. –

Spojrzał na Clarę. – Last minute. Miała ruszyć jedenastego marca. Potem na Facebooku zamieszczała wiadomości z Indii, Tajlandii, Japonii, Korei Południowej i z Chin. Następnym przystankiem miała być Australia.

Clara spoglądała ponurym wzrokiem przed siebie.

– Czy Jasmin naprawdę planowała ruszyć w taką podróż, czy może to tylko jego plan?

Hermann podrapał się po łysej czaszce.

– Weekend dziewiątego i dziesiątego marca spędziła u swoich rodziców w Hanowerze. Z tego, co na razie wiemy, nic im nie wspominała wcześniej o możliwej wycieczce. – Hermann kliknął jakąś stronę i sięgnął po kolejnego misia. Clara od dawna zachodziła w głowę, jak to z nim jest, bo może i nie był szczupły jak dżokej, jednak biorąc pod uwagę ilości śmieciowego jedzenia i słodczy, jakie pochłaniał, powinien być ze dwa razy grubszy.

– Okej, już mam – powiedział w końcu. – Piątek, dziewiąty marca, godzina czternasta. Kolejna wiadomość z Facebooka, najprawdopodobniej jedna z ostatnich, które sama zamieściła. „Siedzę w pociągu i nie mogę się doczekać spokojnego i leniwego weekendu w Hanowerze”. – Hermann przesunął kilka stron. – Pięć osób polubiło ten post – poinformował. – Ktoś chciał się z nią umówić na dworcu na kawę, a jakaś koleżanka wypytywała, czy spotkają się w następną środę, i tak dalej.

– Czyli morderca dzięki Facebookowi mógł się dowiedzieć, że Jasmin wyjeżdża na weekend? – zapytała Clara.

– Tak jest. I mógł się spokojnie przygotować. – Hermann wrzucił do ust kolejnego misia. – Wcześniej idioci biegali po lotniskach, a na bagażu mieli naklejone wielkie plakietki z adresami, tak że potencjalni włamywacze mogli wszystko odczytać i dowiedzieć się, gdzie stoi pusty dom czy mieszkanie. Dzisiaj takie osły przeniosły się do internetu i na Facebooku zamieszczają podobne posty, w ogóle się nie zastanawiając, że kryminaliści też mogą je przeczytać. Niekoniecznie zaraz tego kalibru co nasz morderca, ale włamywacze mogą wybierać w zaproszeniach do pustych lokali. Ubezpieczalnie nauczyły się już starannie sprawdzać takie wpisy, zanim podejmą decyzję o wypłacie odszkodowania z tytułu kradzieży z włamaniem.

– Jakoś nie jestem zdziwiona. Jeśli ubezpieczyciel ma choćby cień nadziei, że znajdzie powód, żeby nie płacić, to zrobi wszystko, żeby nie zapłacić. – Clara pokiwała smutno głową. – Czy jej rodzice naprawdę mieszkają w Hanowerze?

Hermann potaknął.

– Alfred i Irmgard Petersowie. Mają dom w jakiejś dziurze o nazwie Springe. To między Hanowerem a Hameln.

– Ktoś już ich poinformował?

– Koledzy z lokalnego posterunku mieli przejąć ten obowiązek, ale dopiero kiedy ciało zostanie zidentyfikowane ze stuprocentową pewnością. – Hermann klikał dalej. – Rodzice porozumiewali się z Jasmin za pomocą e-maili. Tutaj jest wiadomość, którą matka wysłała do niej siódmego marca, w czwartek, wieczorem.

Hermann wyświetlił skrzynkę odbiorczą konta Gmail. Clara przejrzała pobieżnie tekst.

*Kochanie!*

*Przemyśl proszę, czy nie chciałabyś przejść się z nami na koncert w sobotę. Będzie wujek Wolfgang z rodziną. Wiem, że działa ci na nerwy z tymi swoimi prawniczymi wywodami, ale to przecież krewni. Potem będziesz mogła ze znajomymi zakosztować tutejszego nocnego życia. I nic się nie bój, to nie będzie „zawodzenie umierającej śpiewaczki”, jak ostatnio, tylko muzyka Beethovena, Bacha i Schuberta w filharmonii.*

*Już się nie możemy doczekać twojego przyjazdu!*

*Mama*

*PS Tata jest z Nikki u weterynarza, ale też przesyła buziaki.*

– Odpowiedziała jej?

– Tak. – Hermann potaknął. – Ale nie napisała niczego specjalnego.

*Kochani!*

*Niech wam będzie, z chęcią przejdę się na koncert. Potem rzeczywiście wyskoczę na miasto, ale w niedzielę wieczorem muszę być z powrotem w Berlinie. Tylko nic się nie bój, bo na pewno znajdziemy czas na pogaduchy.*

*Do piątku. Przyjeżdżam o 17.30. Odbierzecie mnie?*

*Ściskam,*

*Jasmin*

*Odbierzecie mnie?*

Słowa z listu zamordowanej dziewczyny rozbrzmiały potężnym echem w głowie Clary. Policjantka zadrżała, jakby krew w jej żyłach zmieniła się w lód.

Dziś: Odbierzecie mnie?

Wówczas: Odbierzesz mnie?

I twarz jej młodszej siostrzyczki Claudii stojącej przy wejściu do szkoły muzycznej. Odbierzesz mnie? A ona, Clara, jej nie odebrała. Wepchnęła w ten sposób Claudię prosto w łapska mordercy. To on ją odebrał, a potem porzucił w czarnym foliowym worku na leśnej polanie, jak splugawiony, zmaltretowany kawałek mięsa.

Odbierzecie mnie?

Rodzice Jasmin na pewno ją odebrali. Przyjechali pewnie passatem kombi czy podobnym samochodem, a potem prosto spod dworca głównego w Hanowerze udali się do Springe. W domu czekał na nią gorący obiad, a po posiłku wszyscy razem usiedli przy kominku i spędzili miły rodzinny wieczór. Następnego dnia pojechali zapewne na zakupy do Hanoweru, a wieczorem, tak jak się umawiali, poszli na koncert do filharmonii. Później Jasmin spotkała się z koleżankami w jakimś klubie. W niedzielę długo leżała w łóżku, zjadła z rodzicami obiad, porozmawiała z najbliższymi, odpoczęła, może też poszła z psem na spacer.

I wróciła do Berlina.

Dziesiątego marca.

Na ulicę Sonnenallee 13.

Na czwarte piętro.

– Czy od wczoraj, czyli od Chin i wycieczki na wieżę, Jasmin zamieściła coś na swoim profilu? – zapytała Clara.

Hermann potrząsnął głową.

Byłabym bardzo zaskoczona, gdyby było inaczej, pomyślała policjantka. Skoro wiemy, że nie żyje, nie ma już powodów, by dalej ciągnąć tę maskaradę.

– Da się ustalić, z jakiego komputera loguje się osoba, która opublikowała te wszystkie posty?

Hermann potaknął.

– Da się, dzięki adresowi IP, który jest umieszczony w kodzie każdej wysyłanej wiadomości. No, chyba że użytkownik był dość zmyślny, żeby wiedzieć, jak to wyłączyć. Na szczęście to nie takie proste, więc są szanse, że tego nie zrobił. – Ziewnął. – Adresy IP są gromadzone i archiwizowane przez dostawców usług sieciowych, a my możemy uzyskać do nich dostęp przez telekomy. Zapytania dotyczące naszej sprawy zostały już przesłane.

– A jeśli korzystał z jakiejś kawiarenki internetowej?

– Będziemy mieli pecha. – Hermann wzruszył ramionami. – Chyba że przez przypadek będą mieli tam monitoring i starsze nagrania. Wtedy dałoby się sprawdzić, kto siedział przy

konkretnym komputerze, kiedy została opublikowana konkretna wiadomość, a potem wrzucilibyśmy obraz do bazy danych i poczekalibyśmy, czy komputery w Federalnej Policji Kryminalnej rozpoznają jej właściciela.

Globalna wioska, pomyślała Clara. Z jednej strony internet dawał nieskończoną wolność, a z drugiej ktoś z odpowiednią wiedzą i dostępem do zamkniętych baz informacji mógł w nim wysledzić każdego i znaleźć każdą wiadomość. Obawiała się jednak, że morderca nie będzie im niczego ułatwiał.

Pożyjemy, zobaczymy, powiedziała w duchu i przypomniała sobie e-mail od Jasmin.

– Udało się wam ustalić, dlaczego koniecznie musiała wrócić do Berlina? Co tak ważnego miała do załatwienia dziesiątego marca?

Hermann potrząsnął głową.

– Nie, jeszcze nie. Ale pracujemy nad tym. Zapusciliśmy algorytmy kontekstowe, może uda się znaleźć inne strony poza Facebookiem, na których była aktywna.

– Szukacie czegoś konkretnego? – zainteresowała się Clara.

– Nie, szukamy wszystkiego, co mogłoby posunąć sprawę dalej. – Hermann podniósł jeden z dysków CD, których na stole leżało kilkanaście, i przejrzał się w jego lustrzanej powierzchni. – Może miała konta na innych portalach społecznościowych albo profesjonalnych...

Nagle Clarze przyszło coś do głowy.

– A strony z ogłoszeniami towarzyskimi? Portale randkowe albo towarzyskie?

Hermann potaknął, podrapał się po głowie i odłożył płytę na blat.

– Myślisz, że to było jej potrzebne? – zapytał. – Może i była singielką, ale z jej wyglądem mogła mieć każdego.

– Tylko wam się tak wydaje. – Clara uśmiechnęła się smutno. – Ładne kobiety często mają kłopot, żeby znaleźć tego jednego jedyne, bo większość nie ma odwagi, żeby zagadnąć taką ekstradziwczynę. A ci, którzy mają dość odwagi, najczęściej nie są wariami zainteresowanymi.

– Serio? – Hermann uniósł brwi.

Clara przytaknęła.

– I dlatego miałyby się rozglądać po portalach randkowych? – Hermann wolał się upewnić. Profesjonalna porada na temat kobiecej psychiki zdawała się go bardzo interesować.

– Owszem, to się naprawdę często zdarza. – Clara przysiadła na biurku obok i wyjrzała przez okno. Akurat trafiła na moment, kiedy słońce przebijało się gdzieś przez ciężkie i nisko wiszące burzowe chmury. – Ale możliwe, że kierowało nią coś innego. Może chciała, żeby zobaczyło ją jak najwięcej ludzi – znacznie więcej niż w realnym świecie.

– Cyfrowy ekshibicjonizm? – zapytał Hermann.

– Nie, raczej inna forma FPS-u – wyjaśniła Clara. – Chłopcy grają w gry komputerowe, „Halo”, „Medal of Honour” i inne głupoty, a ładne dziewczyny starają się zabłysnąć na kilka minut, choćby i tylko w wirtualnym świecie. Jest sporo platform, które oferują im takie możliwości. Potem czytają niezliczone ilości e-maili od wielbicieli, które następnie kasują, i są zachwycone swoją popularnością. Cieszą się władzą, którą pięknej kobiecie daje internet. Chyba że... – Clara wstała z biurka. – Chyba że trafiła na niewłaściwego fana...

– Jakiego konkretnie? Na wariata ze słabością do brutalnych filmów i chrząszczy żywiących się ludzkim mięsem? – Hermann bawił się paczuszką żelków, ale przestał je pochłaniać.

Clara skinęła głową.

– Powinniśmy zbadać ten trop. Zajmijcie się najpopularniejszymi portalami. A potem weźcie na warsztat te bardziej egzotyczne.

Hermann dał znak dwójce informatyków.

– Chłopaki – powiedział. – Bierzymy się ostro do roboty. Clara, za dwie godziny dam ci znać, co ustaliliśmy. Tyle czasu powinno nam chyba wystarczyć, co? – Spojrzał na swoich współpracowników i uniósł brwi.

Obaj potaknęli.

Hermann popatrzył na Clarę. Znow był tym kochanym misiem, w którego się zmieniał, kiedy tylko chciał. Po chwili przesunął wzrok na monitor, bo coś przyciągnęło jego uwagę. Gwałtownie wytrzeszczył oczy i palcem stuknął w ekran laptopa z taką siłą, jakby chciał go przebić.

– Jasna cholera!

Clara podążyła za jego gestem i zobaczyła wiadomość. Pojawiła się na stronie sekundę wcześniej.

Tym razem nie czuła jedynie gorzkiego posmaku z żołądka; nie, tym razem musiała nabrać głęboko powietrza, żeby zaraz nie zwymiotować, kiedy przeczytała kilka słów, które pojawiły się na stronie profilu Jasmin Peters: „Jasmin Peters nie żyje”.

Clara siedziała w swoim biurze, a jesienny deszcz bębnił wściekle o szyby zamkniętych okien.

Morderca zalogował się na konto Jasmin Peters w czasie, kiedy oni przeglądali jej profil; jako ona, gospodyni strony, opublikował ostatnią, ponurą wiadomość, którą i tak znali.

„Jasmin Peters nie żyje”.

Policijni informatycy pracowali bez wytchnienia, żeby jak najszybciej ustalić adres IP, co umożliwiłoby wykrycie lokalizacji komputera, z którego pisał sprawca.

W świecie, w którym komunikacja między ludźmi coraz bardziej przenosi się do świata wirtualnego, żywi są ci, którzy żyją w świecie wirtualnym, pomyślała Clara. Nawet jeśli w świecie realnym są już martwi.

Przyjrzeni się też innym wiadomościom. Mordercy udało się jakoś przejąć i podtrzymać kontakty dziewczyny, którą zamordował. W sobie tylko znany sposób przekonał wszystkich, że rozmowa nie będzie najlepszym pomysłem. Tylko czy to aż taki wyczyn? – zastanawiała się Clara. Chyba nie aż taki, jak by się mogło z początku wydawać. Kiedy ktoś przebywa w Chinach, wszyscy rozumieją, że nie chce rozmawiać przez swoją komórkę, bo koszty połączeń międzynarodowych są ogromne. Brakuje czasu na zakup chińskiego telefonu z kartą pre-paid i zapoznanie się z instrukcją, oczywiście również po chińsku. Pozostaje zatem Skype. Ale tu znów niespodzianka, bo przez Skype’a też nie udaje się nikomu połączyć. A to brakuje sieci, a to połączenie jest zbyt wolne, bo przecież Chiny to nie Europa, i tam standardy techniczne są znacznie niższe, a to jeszcze co innego.

Clara przypomniała sobie o wiadomościach od rodziców Jasmin, które przesyłali córce przez komunikator.

„Wielka szkoda, że nie mogliśmy porozmawiać przez telefon. Stęskniliśmy się już za twoim głosem. Ale z tego, co piszesz, to całkiem dobrze ci się powodzi?”

I odpowiedź Jasmin:

„Tak, super się tu bawię. Wczoraj próbowałam się do was dodzwonić, ale mam wrażenie, że chińskie władze blokują Skype’a. Swoją drogą Google też. Naprawdę, nie musicie się o mnie martwić! Wracam najpóźniej pod koniec października”.

Dawniej ludzie wysyłali sobie kartki pocztowe. Gdyby ktoś chciał je fałszować, musiałby podrobić charakter pisma. W cyfrowym świecie, gdzie wszystko dało się zastąpić wierną kopią, nie trzeba było już niczego kopiować. Styl również łatwo było przyswoić, bo w ręce mordercy wpadły setki starych e-maili, które Jasmin pisała do różnych osób. Dziś wszystko jest identyczne, a jednocześnie rości sobie pretensje do indywidualizmu. Jeśli więc jakiś e-mail zostawał wysłany ze skrzynki pocztowej Jasmin Peters albo opublikowany na jej facebookowym profilu, to rzecz jasna jego autorką była Jasmin Peters.

Czy aby na pewno?

Nie.

Clara zsunęła buty i usiadła po turecku na fotelu przy biurku. Nie miała pojęcia, skąd się to wzięło, ale w takiej właśnie pozycji najlepiej jej się myślało. Położyła przed sobą notes i otworzyła go na pustej stronie. Zaczęła rysować obszerny diagram.

W prostokącie pośrodku zapisała: „Jasmin Peters 13”.

Co oznaczała ta liczba? Czy chodziło jedynie o numer domu, w którym mieszkała? Sonnenallee 13? Czy może trzynastka miała również inny, nieznaną jej jeszcze związek z ofiarą?

Clara przypomniała sobie słowa dziewczyny. Nie jestem pierwsza i nie jestem ostatnia.



Może trzynaście oznaczało liczbę ofiar, jeśli to był seryjny morderca?

Trzynasta ofiara?

Przez Jasmin Peters morderca pozbawił życia dwanaście innych kobiet, a ich zmumifikowane zwłoki leżały gdzieś ukryte?

Po co w takim razie zwrócił na siebie uwagę policji? I dlaczego dopiero teraz? Czy mogło to mieć związek z tą specyficzną relacją między mordercą a nią, Claram, o której za każdym razem wspominał MacDeath? Może dziwnym zbiegiem okoliczności tym razem trzynastka oznaczała jednocześnie numer domu i kolejnej ofiary? Dlaczego morderca wybrał akurat Jasmin Peters, żeby wyjść z ukrycia?

Clara pomyślała o pociągu, który wyjeżdża spod ziemi na Schönhauser Allee, a potem jedzie przez jakiś czas na powierzchni, oświetlony promieniami słońca i widoczny dla wszystkich. Podobnie było z zagrożeniami. Strach i obawy istniały przez cały czas, niezależnie od tego, czy były widoczne czy nie. Pociąg jechał również wówczas, kiedy nikt nie mógł go dostrzec w podziemnych tunelach. Morderstwa są popełniane, część z nich nigdy nie zostaje ujawniona, a ukryte zwłoki nigdy nie zostają odnalezione. W ciemności rozbrzmiewają krzyki przerażenia, których nikt nigdy nie usłyszy. Niewidziane, niesłyszane, ukryte. Lecz przychodzi taka chwila, że zło wypełza ze swojej kryjówki na światło dzienne tylko po to, by swoją odrażającą naturą przyćmić na trochę słońce, a potem znów znika w ciemnościach, gdzie czai się ukryte przed wzrokiem.

W chwili kiedy pociąg wyjeżdża z tunelu, można go dokładnie obejrzeć i opisać, lecz to trwa tylko moment, pomyślała Clara. Trzeba wykorzystać ten czas jak najlepiej, zanim wszystkie wagony znów skryją się przed wzrokiem.

Wróciła do rysowania diagramu w notesie. Dziewczyna o imieniu Jasmin, a za nią czarna sylwetka mężczyzny. Przed Jasmin otwarty komputer, a przed nim reszta świata.

Czego potrzebuje człowiek, żeby nie musieć bać się o innych?

Odpowiedź: Nie mogą pojawiać się czynniki, które zakłócają jego spokój.

Narysowała dwie kolejne kratki.

Pierwszą z nich opisała jako: „Brak przykrego zapachu. Mumifikacja”.

Co jeszcze?

Świadomość, że drugi człowiek jest i ma się dobrze. Bo opłaca czynsz. Bo pisze e-maile, publikuje swoje wiadomości w internecie i odpisuje na listy.

Druga kratka: „Znaki życia”.

Znaki życia nawet wówczas, kiedy człowiek już nie żyje.

To był ostatni element łańcucha wartości. *After sales*, obsługa posprzedażowa, jak sprzedawcy zwykli nazywać takie działania. Wszystko ukierunkowane na zadowolenie klienta. Żeby nie było zwrotów ani reklamacji. I żeby nie chcieli czegoś innego.

Clara obrysowała kratki opisane jako „mumifikacja” i „znaki życia” kolejną, dużą kratką. I podpisała ją: *After kill*.

Co było *before kill*?

Przeprowadzono analizę nagrania z płyty CD. Jasmin siedziała na krześle przed swoim sekretarzykiem, we własnej sypialni. Spoglądała na otwarty ekran laptopa. Program do obróbki wideo i kamera zamontowana w komputerze nagrały jej egzekucję i mordercę z nożem, który stał za nią.

To się wydarzyło w jej mieszkaniu.

Dlaczego nie krzyczała? Dlaczego nie wzywała pomocy?

Nadzieja, pomyślała Clara. Być może morderca zagroził jej, że postąpi znacznie okrutniej, jeśli nie będzie cicho. Nadzieja potrafi sprawić, że człowiek do samego końca wierzy,

że jeszcze jakoś z tego wyjdzie. Czy jej krzyki cokolwiek by dały? Morderca mógł ją pozbawić życia, zanim na dobre otworzyłaby usta. Nawet gdyby mimo wszystko wpadł w ręce policji, ona i tak byłaby martwa. Lepiej więc pójść na współpracę. Może jakoś się uda. Może to tylko zboczeniec, który chce nakręcić filmik, a potem zniknie.

Clara pomyślała o nagranej scenie. Nadzieja zniknęła z oczu Jasmin w chwili, kiedy dziewczyna poczuła na szyi chłodne ostrze noża. Zdała sobie wtedy sprawę, że czeka ją tylko śmierć.

Hermann znalazł na dysku komputera plik tekstowy. Były w nim zapisane słowa, które Jasmin wypowiedziała przed swoją śmiercią, niczym przemowę na własnym pogrzebie. Morderca przygotował dla niej teleprompter, zupełnie jak dla dziennikarza prowadzącego wiadomości. Teleprompter śmierci.

*Jestem Jasmin.*

*Ja już nie żyję, lecz chaos będzie trwał.*

*Nie jestem pierwsza i nie jestem ostatnia.*

Technicy zabezpieczyli ślady krwi na dywanie pod sekretarzykiem. A Rh plus. Próbkę DNA pobrane ze zwłok były identyczne z DNA z krwi. To oznaczało, że Jasmin zginęła w domu. W swoim mieszkaniu. Nie było co do tego wątpliwości.

Co zrobił potem?

Morderca najpierw pozwolił jej się wykrwawić, potem rozciął ją i wypatroszył. Krew prawdopodobnie zlał do jakichś pojemników, podobnie jak wnętrzności dziewczyny. Istniała duża szansa, że później to wszystko spalił.

Kolejna myśl przyprawiła Clarę o zimny dreszcz.

A może... może on to zjadł?

To obrzydliwe i chore. Na razie lepiej zająć się faktami.

Jak sprawca dostał się do mieszkania dziewczyny?

Czy zadzwonił, a ona go wpuściła?

Kolejna kratka na diagramie, zaraz obok kratki *Before kill*.

Napad.

W jakiś sposób udało mu się dostać do mieszkania. Albo zrobił to podstępem, albo w jakiś sposób zdobył zaufanie Jasmin.

Czy umówił się z nią na randkę? Spotkali się, a on ogłuszył Jasmin, pobił, a potem nieprzytomną przywiązał do krzesła?

– Hej, Jasmin! Posłuchaj, nakręcimy teraz taką scenkę, okej? Zabiję cię, jeśli będziesz krzyczała. Bądź grzeczna i rób, co mówię, to przeżyjesz.

Medycy sądowi znaleźli resztki chloroformu – mikroskopijne pozostałości w zaschniętych szczątkach tego, co niegdyś było śluzówką nosa Jasmin Peters.

Policjantka wpadła niespodziewanie na coś innego.

Plik MS Word, w którym zapisane były słowa wypowiedziane przez ofiarę, został utworzony dziesiątego marca i zapisany kwadrans po piątej po południu.

Tymczasem Jasmin wróciła do Berlina pociągiem piętnaście po szóstej wieczorem.

Czyżby to oznaczało, że morderca najspokojniej na świecie wszystko sobie przygotował?

W mieszkaniu Jasmin?

Jasmin oznajmiła całemu światu, że weekend spędza w Hanowerze. Relacjonowała na Facebooku, że wsiada do pociągu, a najbliższe dwa dni zamierza odpoczywać.

Jak trudno zdobyć klucz do czyjegoś mieszkania?

Dla kogoś, komu naprawdę zależy, to żadna trudność.

Jeśli morderca Jasmin Peters czytał wiadomości umieszczane na profilu dziewczyny,

musiał wiedzieć, że wróci dopiero w niedzielę wieczorem.

Wniosek, jaki to za sobą pociągało, obudził w policjantce strach.

On wcale nie przyszedł do niej. On już na nią czekał.

Czy nie jest przypadkiem tak, że ludzi, którzy w jakiś sposób nas interesują, sprawdzamy w Google? Potem zaczyna się śledzić posty na Facebooku i wkurzać, że wszystkim odpowiada i ze wszystkimi e-mailuje, a tylko dla tej jednej osoby nigdy nie ma czasu? Erotomania, nieodwzajemniony pociąg do drugiego człowieka, który czasem może przyjmować patologiczną formę.

Znając czyjś adres, bez problemu można sprawdzić w mapach Google, gdzie dokładnie znajduje się to mieszkanie, być może należące do rodziców, którzy mieszkają gdzie indziej. Kolejnym krokiem jest Google Street View, gdzie widać wszystkie szczegóły i można je powiększać, aż obraz zastąpią pojedyncze piksele.

Stalkerzy posuwają się jeszcze dalej. Włamują się do mieszkania obiektu swojego pożądanego, rozglądają się po pokojach, czają na balkonach i podglądają, jak właścicielka – albo właściciel – wracają do domu i zajmują się swoimi sprawami. Wielu włamuje się do mieszkań swoich ofiar w czasie, kiedy ich nie ma, kładą się w ich łóżkach i masturbują, a potem wychodzą, starając się nie zostawiać śladów.

Czy nasz morderca tak właśnie się zachował? Czy przeszedł tę samą drogę, czyli Facebook, potem mapy Google, konto mailowe Jasmin, aż poznał jej całe życie? W końcu musiał poznać ją osobiście, bo poza tym osiągnął wszystko i nic nie zapewniało mu już podniety?

Dostał się do mieszkania Jasmin być może jeszcze wczesnym popołudniem, żeby mieć czas się rozejrzeć. Zdjęcia z wakacji w salonie, butelki wina w kuchni, plakat Nowego Jorku i kamizelka ratunkowa British Airways w korytarzu. Może grzebał jej w szafach? Szukał eleganckich sukni i krótkich imprezowych mini? Oglądał buty i bieliznę?

Potem usiadł po cichu w kącie sypialni i nasłuchiwał. W końcu na schodach rozległy się jej kroki. Pojemniki na wodę, wiadro i skrzyneczki z chrząszczami stały już na podłodze. A właścicielka mieszkania, która przeskakując po dwa stopnie, zmierzała w stronę drzwi, nie podejrzewała nawet, jak dziwaczny komitet powitalny oczekuje w jej sypialni. Nie miała zielonego pojęcia, że ktoś siedzi przy jej sekretarzyku albo czai się za drzwiami. Nie spodziewała się przecież zastać tam drapieźnika – brutalnego, głodnego, czujnego i cierpliwego.

Kolejna kratka, tym razem pod kratką: „Napad”:

„Oczekiwanie”.

Słyszy chrobot klucza w zamku drzwi wejściowych. Dziewczyna obraca go, rozlega się szcęk zapadki, trzaśnięcie. Dopiero wróciła z podróży, dokąd pójdzie najpierw? Jasmin kieruje się do salonu i włącza muzykę. Morderca gorzej słyszy jej kroki. Kiedy w końcu wejdzie do sypialni? Pewnie wcześniej zajrzy do kuchni, żeby wstawić wodę na herbatę. Albo pójdzie do łazienki.

Morderca czai się w jej sypialni, przyciśnięty do ściany za drzwiami. W dłoni trzyma gąbkę nasączoną chloroformem. Czeką. Wstrzymuje oddech. Trwa nieruchomy jak posąg.

W końcu słyszy zbliżające się kroki.

Jasmin wchodzi do środka, mija drzwi i rzuca torbę na łóżko.

Drgnie zaskoczona, widząc komputer. Stoi na sekretarzyku, ma podniesiony ekran i jest włączony. Przecież go wyłączała? A nawet gdyby zapomniała wyłączyć, automatycznie powinien przejść w stan uśpienia...

Nic więcej nie zdąży pomyśleć.

Drży, czując na sobie czyjeś ręce. Mężczyzna przyciska jej do ust gąbkę z chloroformem. Jasmin osuwa się na ziemię.

Teraz ma ją tak, jak sobie wymarzył.

Wyjmuje skądś taśmę klejącą.

Potem kajdanki.

Ustawia komputer. Włącza kamerę...

Clara czuje, jak wali jej serce, a po czole spływają krople potu. Wszystko to układało jej się przed oczyma w plastyczne obrazy, tak realne, jakby widziała je naprawdę, a teraz tylko odtwarzała w głowie.

Czekał na nią, pomyślała. Nie mogło być inaczej. Czaił się w jej mieszkaniu. Był tam, kiedy wróciła. Tamtej niedzieli do mieszkania weszły dwie osoby, ale tylko jedna z niego wyszła.

W tej samej chwili otworzyły się gwałtownie drzwi do pokoju nadkomisarz. Clara drgnęła przestraszona, bo pogrążona w myślach w ogóle nie rejestrowała, co się dzieje dookoła niej. Winterfeld wsunął głowę do środka i rozejrzał się.

– Koleżanko, proszę do mojego biura. Jak najszybciej. Odwiedził nas doktor von Weinstein – oznajmił, potrząsając pudełkiem cygaretek. Clara nie miała wątpliwości, że przed chwilą jedną wypalił, „na zewnątrz” oczywiście. – Osobiście przywiózł nam raport entomologa, z ciekawymi informacjami na temat tych chrząszczy. Informatycy też coś ponoć odkryli. – Zmrużył oczy. – Zaczyna się robić gorąco! W końcu!

Zbliżał się wieczór. Pierwsze cienie gasnącego dnia wyciągały macki, by zawładnąć brudnym, szarym, pogrążonym w beznadziejnej szarudze miastem.

Zajęli miejsca wokół stołu konferencyjnego w biurze Winterfelda. Na spotkaniu pojawił się Hermann, MacDeath i von Weinstein. Siedzieli już, kiedy do pokoju weszła Clara i Winterfeld.

Główny komisarz ruszył w stronę swojego fotela, przed którym na blacie leżała teczka z raportem z sekcji, przywiezionym właśnie przez von Weinsteina.

Lekarz sądowy w marynarce i koszuli wyglądał zupełnie inaczej niż w białym kitlu, masce i gumowym fartuchu, przez co trudno było uwierzyć, że to ta sama osoba, która w prosektorium prowadziła autopsję Jasmin Peters. Relacjonował najnowsze ustalenia. Wszyscy słuchali z uwagą, więc Clara po cichu odsunęła krzesło, usiadła i położyła przed sobą otwarty notes. Hermann zajmował się laptopem lekarza, starając się podłączyć projektor multimedialny, który stał pośrodku stołu.

– ...skontaktowaliśmy się z dwoma dentystami, jednym z Berlina i drugim ze Springe, gdzie mieszkają rodzice Jasmin Peters. Stan uzębienia w stu procentach pokrywa się z dokumentacją w obu gabinetach. Mamy dwa wypełnienia w piątkach górnych po obu stronach. Wszystkie zęby mądrości zostały usunięte w dwa tysiące czwartym roku, a przy okazji operacji szczęki jeszcze w latach dziewięćdziesiątych usunięto również czwórki. – Von Weinstein pokiwał głową. – W ten sposób możemy uznać identyfikację ciała za zakończoną jednoznacznym wynikiem. Porównanie kodu próbek DNA pobranych ze zmumifikowanych zwłok i cząstek skóry z ubrań Jasmin Peters wciąż jest w toku, jednak to już jedynie formalność.

Hermann coś sobie zanotował.

– Na sto procent?

Von Weinstein potwierdził.

– Zgadza się, na sto procent.

Hermann podniósł wzrok i spojrzał na szefa.

– Przekażę chłopakom z Hanoweru, żeby poinformowali jej rodziców.

Winterfeld kiwnął głową. Clara cieszyła się, że to nie ona, tylko funkcjonariusze z komendy w Hanowerze będą musieli wziąć na siebie ten obowiązek. Przekazywanie podobnych wiadomości często sprawiało znacznie większe trudności niż wyśledzenie i dopadnięcie seryjnego mordercy. Należało działać twardo i zdecydowanie – niemal bez jakiegokolwiek współczucia. Niektórzy przyjmowali wiadomość w milczeniu, panując nad uczuciami. Część potrafiła nawet podziękować za przekazanie informacji, by potem zamknąć się w domu i zalać łzami. Jeszcze inni niemal odchodzili od zmysłów i demolowali mieszkanie, aż trzeba było podawać im środki uspokajające.

– Bardzo nam przykro, ale państwa córka nie żyje. Została zamordowana. – Zero emocji. Nie wolno niczego po sobie okazywać. Nie wolno dawać nikomu choćby cienia nadziei. Spotkanie trwa tylko chwilę, a resztą zajmuje się psycholog, który zawsze jest wtedy obecny. Pięć minut, które burzą czyjś świat.

– Nie jesteśmy w stanie ustalić dokładnego czasu zgonu – ciągnął von Weinstein, podczas gdy Winterfeld przeglądał poszczególne kartki raportu i czytał tylko niektóre fragmenty. – Jednak na podstawie stopnia mumifikacji marzec bieżącego roku jest całkiem realnym terminem.

Clara spojrzała na wydruki, potem na Winterfelda, który siedział w swoim fotelu, kartkował materiały i czytał niektóre fragmenty, słuchając sprawozdania von Weinsteina. Jedno

ze zdjęć pokazywało szczękę i żuchwę, już po usunięciu ich z czaszki dziewczyny. Zamiast brody i ust w głowie Jasmin ziała wielka, ciemna dziura, która przy groteskowo wykrzywionej schnięciem twarzy wyglądała jak nieustający, przerażający krzyk.

– Jeszcze coś interesującego? – zapytał Winterfeld.

– Zgadł pan. – Von Weinstein pokiwał głową. – Znaleźliśmy potwierdzenie dla dotychczas jedynie podejrzewanej motywacji seksualnej. Otóż w pochwie ofiary udało nam się ustalić i wyodrębnić ślady spermy.

Czyli zbrodnia na tle seksualnym, pomyślała Clara. O Boże... jak to się odbyło? Zgwałcił ją przed nakręceniem filmu? Czy najpierw ją zabił, a dopiero potem...

Z zamyślenia wyrwał ją głos Winterfelda.

– Czy to pasuje do wyników waszych ustaleń? Hermann?

Policjant odsunął od siebie laptop i kabel do rzutnika i odchrząknął.

– Na początek dobre wiadomości. Nasi technicy zabezpieczyli w mieszkaniu Jasmin Peters męskie DNA. Na ciele zamordowanej również. Ślady z mieszkania i ze zwłok są tożsame.

– Tożsame? W sensie tożsame z DNA ze spermy? – Winterfeld spojrzał pytająco na von Weinsteina.

– Zgadza się, są identyczne – potaknął lekarz.

– Bingo. – Winterfeld prawie klasnął w dłonie. – To by znaczyło, że mamy DNA mężczyzny, który przebywał w mieszkaniu Jasmin Peters, zgwałcił ją i najprawdopodobniej również zamordował. – Spojrzał na pozostałych. – Czy w którejś z baz danych mamy jego dane? Był może wcześniej karany? Bo jeśli nie możemy go zidentyfikować, to pozostanie nam szeroko zakrojona akcja pobierania próbek śliny w całym Berlinie.

– Chyba uda nam się tego uniknąć. – Hermann potrząsnął głową. – Analizy w każdym razie trwają. Na początek wysłaliśmy zapytania do wszystkich szpitali, czy pobierali krew, tkanki czy jakiegokolwiek inne biologiczne próbki od mężczyzny o takim DNA. Nie obiecywałbym sobie zbyt wiele po ich odpowiedziach. A co pan o tym myśli? – zapytał von Weinsteina.

– Jeśli krew była pobierana niedawno, to możemy mieć szczęście. W normalnych sytuacjach ma pan świętą rację, raczej niewiele moglibyśmy oczekiwać, bo próbki na badanie DNA pobiera się tylko od osób karanych. Jednak od niedawna trwa rozbudowa bazy danych Federalnej Policji Kryminalnej, w której mają być zapisane informacje na temat kodu DNA wszystkich obywateli. Koniec końców, ma z niej powstać coś na kształt bazy CODIS zarządzanej przez FBI w Stanach Zjednoczonych. – Nie przerywając, zdjął okulary i zaczął je czyścić. – Od kilku miesięcy do tej bazy wprowadzane są rekordy z kodem DNA i danymi osobowymi praworządnych obywateli, a nie tylko tych karanych.

– To znaczy, że jeśli sprawca w ciągu ostatnich kilku miesięcy korzystał z pomocy któregoś z dużych szpitali...? – Clara zawiesiła głos.

– ...to całkiem możliwe, że jego kod DNA został zachowany i teraz uda się nam połączyć próbki z ciała z danymi osobowymi – dokończył von Weinstein. – W przeciwnym razie czeka nas znacznie żmudniejsza praca.

– Wielki Brat pozdrawia! Tym razem nie potrafię się na niego gniewać – mruknął Winterfeld. – Dobrze, to przejdźmy do kwestii chrząszczy.

Zrobił zapraszający gest w stronę lekarza sądowego, który zaczął referować ustalenia.

– Jeden z naszych entomologów specjalizuje się w badaniu procesów rozkładu i nekrofagów, które żyją na zwłokach na kolejnych etapach – wyjaśnił von Weinstein i dał znać Hermannowi.

Policjant podłączył przewód rzutnika do komputera i niemal natychmiast na przeciwległej ścianie ukazał się obraz czarnego chrząszcza. Musiał należeć do tego samego gatunku, którego

przedstawiciele znaleźli w pokoju Jasmin Peters – wyglądał dokładnie jak tamte. Miał małą główkę, jajowaty pancerzyk, dwoje czułków, sześć odnóży i matowoczarny kolor.

– *Blaps mortisaga* – oznajmił von Weinstein, trzymając w dłoni raport entomologa. – Czyli pokątnik złowieszczek. Nazwany tak, ponieważ w dawnych czasach ludzie uważali, że zapowiada zbliżające się niebezpieczeństwo.

Czyli najgorsze jeszcze przed nami, pomyślała Clara.

– Te chrząszcze osiągają do trzydziestu milimetrów długości i należą do synantropów, a więc zwierząt, które można spotkać niemal wyłącznie w pobliżu siedzib ludzkich. Złowieszczka akurat głównie w ciemnych i wilgotnych miejscach, takich jak stodoły czy piwnice. Chrząszcze te są aktywne głównie nocą, a w czasie dnia chowają się w szczelinach i innych kryjówkach. Po zmroku wyruszają na poszukiwanie pożywienia.

– Czym się odżywiają? – zapytała Clara.

– Są wszystkożerne – odparł von Weinstein. – To oznacza, że spożywają zarówno rośliny, jak i inne stworzenia, niezależnie od tego, czy żywe czy martwe.

– Są zatem odpowiednimi zwierzętami do pozbawienia ciała całej wilgoci? – zapytał Winterfeld.

– I to jak rzadko które inne stworzenie – potwierdził von Weinstein.

– Czy mogą latać? – zainteresowała się Clara.

– Nie.

Clara potaknęła. Gdyby mogły, byłyby raczej nieprzydatne, pomyślała policjantka.

– Powinniśmy jeszcze o czymś wiedzieć?

Von Weinstein potrząsnął głową.

– Nie, to chyba wszystko.

– Dziękuję. – Winterfeld skinął głową i zebrał wszystkie wydruki z raportami. – Co wiemy na temat komputera? Znaleźliście w nim coś ciekawego?

– Morderca przejął całą komunikację i kontakty Jasmin Peters – wyjaśniła Clara. – W jej imieniu, z jej konta i podpisując się jej imieniem i nazwiskiem, publikował posty na różnych portalach społecznościowych. Bardzo mu zależało, żeby przyjaciele z Berlina i rodzice wierzyli, że żyje i ma się dobrze.

– No proszę, co za spryciarz! – Winterfeld z uznaniem pokiwał głową. Zabrał się do przeglądania raportu z analizy komputera Jasmin. – Piszecie tutaj, że ostatnia wiadomość z jej konta na Facebooku została opublikowana akurat w chwili, kiedy siedzieliście przy laptopie, i że było to cyniczne stwierdzenie, że Jasmin nie żyje. – Przerwał i zamyślony przesunął dłonią po włosach. – Czy to możliwe, żeby wiedział, że jesteście online?

Hermann potaknął.

– Tak, to niestety całkiem możliwe. Nasi informatycy pracują nad tym, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Niemniej wszystko wskazuje na to, że morderca zainstalował na dysku komputera ukrytego rootkita, który, gdy laptop zostanie podłączony do sieci, natychmiast go o tym informuje. Jestem przekonany, że tak właśnie było.

– Łowca i ofiara – mruknął Winterfeld i popatrzył na Hermanna. – Wiadomo może, z jakiego komputera wysłał ostatnią wiadomość?

– Wiadomości, które publikował jako Jasmin, podobnie zresztą jak e-maile, które wysyłał w jej imieniu, powstawały na innym komputerze niż laptop w jej mieszkaniu. Wszystko wskazuje na to, że nawet na chwilę nie wyniósł jej komputera z miejsca, gdzie go znaleźliśmy.

– Mamy cokolwiek, jakikolwiek punkt zaczepienia? – zapytał Winterfeld.

Hermann zamknął prezentację z chrząszczami i otworzył kolejną.

– Przeglądanie starych postów, które mają przecież po kilka miesięcy, jest paskudnie

nudne i czasochłonne – wyjaśnił. – Udało nam się za to ustalić adres IP, spod którego wysłał klepsydre, jeśli tak można powiedzieć. Niestety, to nam niewiele daje. – Uderzył w klawisze laptopa, a na ścianie pojawiła się wielka mapa Berlina. Niedaleko Kottbusser Tor pojawił się jakiś adres w czerwonej ramce.

– Kawiarenka z niezabezpieczoną siecią bezprzewodową, oferująca dostęp do internetu. Znajduje się dokładnie na ulicy Skalitzer, mniej więcej półtora kilometra w linii prostej od miejsca zbrodni. Nasi ludzie z prewencji odwiedzili już to miejsce. – Hermann tłumaczył dalej: – To charakterystyczne dla takich lokali. Człowiek siada sobie przy stoliku i może przy okazji otworzyć laptopa i popracować. Tam akurat bez hasła.

Sieci WLAN niezabezpieczone hasłem kiedyś były popularniejsze, a dziś to prawdziwy ewenement, choć trzeba przyznać, że wciąż jeszcze się je spotykało. Większość dostawców hot spotów bezprzewodowych ustanowiła hasła dostępu, bo sami doświadczyli tego, że ich sieci były zbyt często wykorzystywane przez pedofilów, którzy logowali się gdzieś z samochodu na parkingu obok i ściągali dziecięcą pornografię. Zboczeńca nikt nie widział, za to operatora sieci, ewentualnie właściciela restauracji albo hotelu niespodziewanie odwiedzał oddział ubranych na czarno i uzbrojonych policjantów, którzy nie byli skorzy do żartów.

Winterfeld popatrzył na niego ponuro, bawiąc się paczką cygaretek. Hermann mówił dalej.

– Sprawca siedział zapewne gdzieś w kawiarni, kiedy wysłał wiadomość. Jednak równie dobrze mógł być w swoim aucie przed lokalem. Zalogował się na chwilę do sieci, opublikował krótką wiadomość i natychmiast pojechał dalej.

– Czy ta informacja ma dla nas jakąś wartość? – Winterfeld miał jeszcze bardziej ponury wzrok.

– Miałaby, gdyby to nie była ogólnodostępna kawiarnia z siecią bez hasła, tylko prywatne łącze internetowe. – Clara potrząsnęła głową. – Wiemy tylko tyle, że ktoś za pomocą niezidentyfikowanego komputera skorzystał z publicznie dostępnej sieci w centrum miasta. To jak szukanie igły w stogu siana.

– Czyli nie ma żadnych szans, żeby go dzięki temu złapać? – wołał się upewnić Winterfeld.

– Jedynym sposobem – odpowiedziała mu Clara – byłoby zebranie protokołów IP wszystkich sieci i kawiarni, z których się kiedykolwiek logował na jej konto. Mielibyśmy wtedy ślad, jak się poruszał po Berlinie. To jednak byłoby możliwe wyłącznie wtedy, gdyby od początku korzystał z jednego komputera i to zawsze tego samego. A udałoby się nam go złapać, gdyby był cały czas online. – Spojrzała na Hermanna. – Zgadza się czy coś pokręciłam?

– Nie, wszystko się zgadza. – Hermann rozejrzał się po zebranych. – Kiedy przestaje się łączyć z siecią albo używa innego komputera – a to przecież nie jest niemożliwe – wszystkie zebrane dane zdają się psu na budę.

Winterfeld spróbował od innej strony.

– A gdybyśmy rozpoczęli wielką akcję poszukiwawczą?

– Chyba rozumiem, do czego pan zmierza. – Clara nie mogła powstrzymać uśmiechu, choć zupełnie nie miała humoru. Jednak zapał Winterfelda przypominał jej pragnienie małego dziecka. – Co mielibyśmy napisać w informacji o poszukiwaniach? Że chodzi o kogoś, kto najprawdopodobniej jest mężczyzną i dzisiaj po południu, około osiemnastej, skorzystał z sieci bezprzewodowej kawiarni na Skalitzer Straße? Nie mamy pojęcia, jak mógłby wyglądać, ale najprawdopodobniej miał przy sobie laptopa. Być może siedział w samochodzie gdzieś na parkingu, a może zamknął się w ubikacji i stamtąd się logował. Wszelkie informacje mogące pomóc w odnalezieniu tego człowieka proszę kierować do... – Clara potrząsnęła głową. – To



byłaby najlepsza droga, żeby niczego się nie dowiedzieć i ośmieszyć policję.

Winterfeld wykrzywił usta w smutnym grymasie.

– Zatem to ślad...

– ...który nic nam nie daje i nie będziemy na niego marnować czasu – dokończył

Hermann i wzruszył ramionami.

Główny komisarz zagryzł usta i przesunął dłonią po włosach.

– To znaczy, że morderca cały czas porusza się Berlinie, a my nie możemy nic zrobić? –

Clara i Hermann wzruszyli ramionami. Winterfeld zamknął paczkę cygaretek i westchnął głęboko. – No cóż, przynajmniej mamy jego DNA. Może to coś nam da.

– W tej chwili pracujemy nad analizą wszystkich kontaktów Jasmin Peters, które znaleźliśmy na jej laptopie – dodał Hermann. – Miała pozakładane profile na kilku portalach randkowych. Staramy się dotrzeć do wszystkich osób, z którymi się kontaktowała przed marcem bieżącego roku. Wysłaliśmy już zapytania do operatorów tych stron.

Winterfeld podniósł się z fotela i odprowadził von Weinsteina do drzwi.

– Świetna robota – powiedział. – Następnym etapem będzie albo ustalenie, do kogo należy znalezione DNA, albo skupienie się na dokładnej analizie wszystkich kontaktów, które nawiązała online. Szeroko zakrojona akcja sprawdzania DNA wśród mieszkańców miasta na razie jawi mi się jako najgorsza ewentualność. Idealnie by było, gdybyśmy dopadli mordercę dzięki narzędziu, z którego sam korzystał, czyli internetowi. – Wyjął z paczuski cygaretkę, wsunął ją między wargi i zacisnął pięść. – A potem byśmy go zniszczyli. – Puścił oko do Clary. – Dobra, teraz idę zapalić.

Albert Torino zasnął przy biurku. Z drzemki wyrwało go natarczywe dzwonienie telefonu. Siedział w fotelu, w swoim biurze na Friedrichstraße i powoli przytomniał.

Noc była prawdziwym piekłem. Do wczesnego ranka pracował z Jochenem nad prezentacją, w której należało zawrzeć wszystkie listy intencyjne uzyskane od nadawców. Bez środków wspomagających Torino nie dałby sobie rady, bo w końcu poprzednią noc spędził w samolocie i tam również nie zmrzążył oka. Na dodatek słabo sobie radził ze zmianą czasu. Największe prywatne telewizje były gotowe rozpocząć współpracę, o ile w interes wejdzie również Xenotube. Fundusz Pegasus Capital zadeklarował kolejne trzy miliony euro na wielką kampanię reklamową, pod warunkiem że będzie można oglądać transmisję show na stronie głównej Xenotube. Zgłosiły się również dwie średnie wytwórnie płytowe, które wyraziły gotowość wejścia w spółkę, by wydać płyty najlepszych kandydatek. Prawa do filmowania wspólnej nocy zwyciężczyni i szczęśliwca wylosowanego spośród głosujących zachowa Integrated Entertainment. Pośród wielu innych powodów wyboru takiego rozwiązania była również niechęć Xenotube i prywatnego nadawcy do filmów XXX. Nikt nie chciał sobie brudzić rąk takimi produkcjami, lecz w jakimś sensie je promować i – oczywiście niebezpośrednio – brać udział w podziale zysków, to już jak najbardziej.

Tom Myers i jego prawnicy dostrzegli, że prezentacja została przygotowana nieco na chybcika, lecz nie widzieli w tym niczego nadzwyczajnego, biorąc pod uwagę, że praca została zakończona o wpół do czwartej nad ranem, kiedy nikogo nie było już pod telefonem, a jej twórcy padali ze zmęczenia. W końcu Myers oznajmił, że podpisanie listu intencyjnego jest całkiem realne, jednak nie dał Albertowi stu procent pewności. Warunkiem był dwudziestopięcioprocentowy udział w zyskach, które Integrated Entertainment wypracuje w najbliższych dwóch latach na formacie *Shebay*, włączając w to oczywiście zyski ze wszystkich powiązanych produkcji pornograficznych i sprzedaży licencji dla stron oferujących taką rozrywkę w internecie. Choć ta wiadomość miała pozostać oczywiście ukryta przed opinią publiczną. Xenotube nie życzył sobie żadnego brudu, choć oczekiwał pieniędzy, które na tym brudzie będą robione. Chcał ubić na mnie niezły interes, pomyślał Torino, ale cóż, kto ma pieniądze, ten rozdaje karty. A jeśli ma jeszcze widzów – a Xenotube miał ich ponad dziesięć milionów – to dodatkowo ustala zasady gry. Koniec końców, dziesięć milionów widzów piechotę nie chodzi.

Torino odchrząknął, sięgnął po telefon i odebrał połączenie. Numer na wyświetlaczu zdradzał lokalizację dzwoniącego – przedmieścia Berlina. Możliwe, że Poczdam, pomyślał. Może to Wieprzek Jochen?

– Torino – zgłosił się.

– Albert! – Głos Jochena, który zazwyczaj był mężczyzną niewzruszonym niczym głaz, tym razem drżał z podniecenia. – Zgadnij tylko, kto przed chwilą do mnie zatelefonował.

– Diabli wiedzą, pewnie Święty Mikołaj – warknął Torino, który nienawidził, kiedy ludzie usiłowali podnieść mu ciśnienie.

– Żebyś wiedział! – potwierdził Jochen, najwyraźniej nie chcąc jeszcze zdradzać wszystkiego. – Mimo że nie osobiście, to prezenty i tak przyniósł. – Przerwał na chwilę, którą Torino wykorzystał, by zdjąć nogi ze stołu. Kładąc się do krótkiej drzemki, odchylił oparcie fotela i oparł nogi na blacie. Teraz natomiast poczuł, jak bardzo ścierpł w takiej pozycji.

– Masz jakieś plany na rano? – zapytał Jochen, wciąż nie przechodząc do rzeczy.

– Tak. – Torino masował stopę, do której boleśnie wracało krążenie. – Chcę dać po pysku

kilku głąbom, którzy nie mówią wprost, o co im chodzi!

– O rany, dobra, dobra, już mówię. – Jochen w końcu pojawił się, do czego pije jego szef. – W piątek rzeczywiście będziesz musiał pracować po mordach. I żeby to jedną osobę! Ale nie pięściami, tylko werbalnie. I nie znajomych, tylko te dzidki z *Shebay*!

Torino momentalnie się wyprostował i oprzytomniał. W napięciu słuchał relacji Jochena.

– Zgłosił się do mnie szef produkcji jednego z prywatnych nadawców. Powiedział, że widział nasz materiał. I że mają wolny slot programowy o wpół do dziewiątej. Moderator ich audycji sportowej niespodziewanie się rozchorował, nie mają nikogo na zastępstwo, a dwójka jakichś celebrytów, którzy mieli robić za gości, odmówiła udziału.

Albert przycisnął słuchawkę do ucha, a wolną ręką uruchomił Outlooka na swoim laptopie, żeby przejrzeć listę rzeczy, które należało wykonać przed piątkową emisją. To już jutro, pomyślał. Cholera jasna, to już jutro!

– Chcesz mi powiedzieć, że oferują nam czas antenowy na emisję kolejnego odcinka *Shebay*?

– Tak jest. – Mimo że Torino nie widział Jochena, mógłby się założyć, że wyłupiaste zielone oczy Wieprzka błyszczą tryumfalnie.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze – ciągnął Jochen – zapewnię nam cotygodniową emisję i kampanię reklamową!

– Goście z Pegasus Capital posrajają się ze szczęścia – mruknął Torino. To wszystko brzmiało tak fantastycznie, że aż za dobrze. A kiedy coś wydawało się zbyt piękne, żeby było prawdziwe, to zazwyczaj nie było.

– Dobra – powiedział Albert. – Powiedz mi teraz, gdzie jest haczyk.

Przez dwie sekundy w słuchawce panowała martwa cisza. Dopiero potem Jochen odpowiedział na jego pytanie.

– No cóż, chodzi o to, że chcą, żeby Xenotube już w piątek równolegle transmitował wszystko do sieci. Chcą w ten sposób dotrzeć do dwóch największych grup widzów: kanapowców, którzy od dwudziestu lat nie podnoszą tyłków sprzed telewizorów, i internautów, którzy z kolei nie wyobrażają sobie życia bez sieci. – Torino potrząsnął nogą, która w końcu zaczęła działać jak należy, a potem podrapał się po głowie. Wiedział, czego spodziewać się po Xenotechu. Uznawali jedynie taką sytuację, że albo są rodziną w cieście, albo nie wchodzi w interes. On sam zresztą wyznawał podobną filozofię.

– Podsumowując, gaz do dechy i transmisja w piątek – ciągnął Jochen. – Równolegle idzie streaming na Xenotube, ale prawami na sieć dzielą się między sobą. Jeśli dobrze pójdzie, dostaniemy swoje miejsce w ramówce. A jeśli nie, no cóż, to wtedy potraktujemy nasz związek jak małżeństwo na próbę. Niezależnie od tego, przekonaj Myersa, inaczej możemy o wszystkim zapomnieć. Jak ci się uda, będziemy ustawieni!

– Musimy przygotować wszystkie laski na piątek, żeby żadna nie nawaliła – zauważył Torino. – Nawet nie wspomnieliśmy, że już jutro mogą musieć stanąć znowu na scenie.

– Tym to ja się zajmę – uspokoił go Jochen. – Zaraz osobiście do wszystkich zadzwonię i zapowiem, że muszą zarezerwować sobie cały piątek dla nas, jeśli w ogóle chcą poważnie myśleć o robieniu kariery. W przeciwnym razie mogą sobie do końca życia siedzieć na kasie w markecie, nas to nic nie będzie obchodziło.

– Słuszne podejście – zgodził się Torino. – Do Andiry wolę zadzwonić sam, to w końcu nasza gwiazda. A zaraz potem telefonuję do Toma Myersa.

– Każdy robi swoje – zgodził się Jochen.

Torino zakończył połączenie. W jego żyłach wciąż buzowała adrenalina, a na myśl o tym, co musiał jeszcze załatwić, huczało mu w głowie.

Clara i Hermann znów siedzieli przed srebrnym laptopem Jasmin Peters. Obok stał drugi komputer, należący do policyjnych informatyków, na którym Hermann uruchomił kilka programów i przełączał ich interfejsy. W pewnym momencie otworzył liliową stronę ze zbiorem zdjęć atrakcyjnych kobiet i mężczyzn.

– To jest Dategate – wyjaśnił. – Portal towarzyski dla osób zarówno poszukujących drugiej połówki, jak i przygody na jedną noc. Już wcześniej rozmawialiśmy z ich szefostwem. Przesłali nam wszystkie dane dotyczące adresów IP, które w jakikolwiek sposób wiązały się z kontem naszej ofiary. I to z ostatnich ośmiu miesięcy.

– Aż tak długo trzymają zgromadzone dane? – Clara ze zdziwienia uniosła brwi.

– Sześć miesięcy to obowiązek. Ale trzymają je sporo dłużej, bo potem je sprzedają – odparł Hermann. – Najpierw oczywiście wszystkiemu zaprzeczyli, ale kiedy im powiedziałem, że równie dobrze możemy wlecieć do nich na sygnale i narobić bałaganu, to zaraz im się przypomniało, że chętnie nam pomogą. – Sięgnął do torebki z żelkami, która leżała na wpół zagrzebana w chaosie płyt, kabli, śrubokrętów i części komputerowych. – Poczęstujesz się? – zapytał.

– Gorzej już pewnie nie będzie – stwierdziła Clara i wyjęła trzy kolorowe misie.

Hermann kliknął któryś z odnośników umieszczonych na stronie portalu. Na ekranie pojawiło się zdjęcie pięknej dziewczyny. Choć podpisane „Lady J.”, bez najmniejszych wątpliwości przedstawiała Jasmin Peters. Na fotografii miała rozpuszczone blond włosy, skąpe bikini i stała na jakiejś plaży.

– To ona. – Hermann pokiwał głową, podczas gdy Clara przeglądała informacje o użytkowniku, gdzie każdy prezentował swoje zainteresowania i seksualne preferencje. W tego typu portalach wszyscy mieli obowiązek wypełnić taki kwestionariusz.

„Hobby: czytanie, sport, balet, podróże, joga, jazda konna (niekoniecznie na koniu;-)”

Typowy emotikon, pomyślała Clara. Znaczek zaczerpnięty z komunikacji w internecie, z listów pisanych na klawiaturze, który przeszedł już nawet do odręcznego pisma wielu ludzi.

Przesunęła wzrokiem po tym, co Jasmin napisała dalej. „Szukam mężczyzny, który nie tylko myśli o jednym, ale przede wszystkim dobrze sobie z tym radzi w realu”.

– No proszę – rzuciła Clara. – Dyplomacja nie była jej mocną stroną. Z drugiej strony faceci na takich portalach szukają tylko takich dziewczyn.

– Czyli nici z romantycznych kolacji, wizyt w muzeach i wieczornych serenad? – zapytał Hermann, żując w zamyśleniu żelkowego misia.

– Odpada. – Clara potrząsnęła głową. – Dobra, ile dostała odpowiedzi na ogłoszenie?

– Całą masę. – Policjant otworzył kolejne okno i pokazał jej listę ponad setki e-maili, które otrzymała Jasmin od zainteresowanych mężczyzn. – Odzyskali dla nas nawet te dane, które już pokasowali.

Odzyskali, pomyślała Clara. Słowo „odzyskiwać” należało chyba do ulubionych zwrotów informatyków. Bo w cyfrowym świecie niczego nie dało się usunąć na stałe. Każdą wiadomość i każde zdjęcie dało się w jakiś sposób odtworzyć. Nic nie ginęło w niepamięci, nic nie przemijało niezauważenie. A mimo to system operacyjny każdego komputera kilka razy powtarzał pytanie, czy na pewno chcemy coś usunąć z dysku – choć przecież kasując jakiś plik, w rzeczywistości się go nie kasuje. Bo nawet niepotrzebne i dawno skasowane dane da się odzyskać. Wynurzają się wtedy z ciemności niczym upiory; liczba plików rośnie i rośnie, a cały system pęcznieje od niechcianej informacyjnej ciąży.

Hermann otworzył profil Jasmin Peters.

– Lady J. była chyba jedną z gwiazd tego portalu – mruknął.

Potem zaczął przeglądać listę otrzymanych e-maili. Ustawiona na szafce obok drukarka laserowa z cichym buczeniem wypluwała kartkę za kartką. Hermann sięgnął do tacki z gotowymi kopiami i wyjął kilka kartek.

– Trzymaj – powiedział. – Próbka twórczości.

Clara przebiegła wzrokiem kolejne wiadomości. Chyba wszyscy mężczyźni, którzy korzystali z portalu zasypali Jasmin listami z prośbą o kontakt.

DREAMBOY: Dlaczego nie odpowiadasz? Może dasz się zaprosić dzisiaj na obiad? Co ty na to?

STALLION: Masz naprawdę śliczne oczy.

GÜNTHER: Jestem nieco starszy od ciebie, ale może moglibyśmy się spotkać?

TRIPLE X: Mogę być twoim niewolnikiem? Twoim liżącym sługą?

DREAMBOY: Hej, no co jest?

SPORTY: Lany J., napisałem dla Ciebie wiersz... patrz poniżej...

STALLION: Nie tylko oczy, cała jesteś bardzo ładna.

GÜNTHER: Czy to znaczy, że jestem dla ciebie za stary?

SPORTY: Właśnie wysłałem ci zdjęcie. Co sądzisz?

SPORTY: No przestań już udawać, mów, co myślisz! Masz swoją fotkę topless?

PRINCESS: Lubisz też kobiety?

SPORTY: OK., niech będzie. Prześlij w bikini. Sorry. Odezwij się.

MR. BOND: Niezły top. To co, kiedy się widzimy?

TRIPLE X: Co się dzieje? Nie jestem w twoim typie? Chcę być twoim niewolnikiem, Pani!

MR. BOND: Będę dla ciebie gotował.

PRINCESS: Rozumiem, że nie.

SPORTY: Wysłałem ci właśnie zaproszenie do czatu. Odpowiesz? Byłoby super!

GÜNTHER: Przecież nie musimy zaraz iść do łóżka.

SPORTY: Do jedenastej będę przy kompie. Odezwij się może.

GÜNTHER: Jestem bardzo wrażliwym i czułym gościem.

SPORTY: Dlaczego się nie odzywasz, skoro widzę, że jesteś zalogowana?

TRIPLE X: Dobra, muszę lecieć do roboty. Odezwę się jeszcze.

STALLION: Przypominasz mi Cameron Diaz.

SPORTY: Śmierdząca zdzira!

– O Boże – jęknęła Clara. – I tak bez końca.

– Czy kobiety lubią dostawać takie e-maile? Czy to je zachęca? – zapytał Hermann. – Dla mnie to wszystko to totalny prymityw.

– No i o to chodzi – odparła policjantka i uśmiechnęła się z zażenowaniem. – Po prostu w czasach, kiedy każdy internauta, gdziekolwiek się obróci, znajdzie dostęp do wszystkich rodzajów pornografii, zmieniają się też formy komunikacji międzyludzkiej. – Wzruszyła ramionami. – Po to zakładasz konto w takich portalach, żeby móc przejść do rzeczy.

Wtedy Clarze przypomniał się jej były chłopak, którego rok wcześniej wystawiła za drzwi. Zdradził ją. Z kobietą, którą poznał w internecie. Odgoniła od siebie nieprzyjemne wspomnienia.

– Jasmin Peters chyba jednak nie była zachwycona takimi e-mailami. – Hermann potrząsnął głową.

– Serio myślisz, że kogoś mogłyby zachwycić? Rzadko kto upadł tak nisko. – Clara

odruchowo sięgnęła po kolejnego misia. – Jej znacznie bardziej chodziło o sławę, o której wcześniej wspomniałam. Pamiętasz?

Hermann potaknął.

– Chciała znaleźć się w świetle jupiterów i prowokować takie zaloty tylko po to, żeby móc je odrzucać?

– Bo w tym się właśnie zawiera największa podnieta. Pomyśl, w jej skrzynce łądował e-mail za e-mailem i w każdym autor zapewnia ją, że jest piękna i podniecająca i wszyscy jak jeden mąż jej pragną. – Przejrzała kolejne kartki z wydrukami. – Ale ty jesteś daleko, skryty za ekranem komputera. Nie musisz wymyślać wymówek jak w dyskotecce, żeby jakiś nachalny podpity gostek dał ci spokój, albo rozglądać się za innym towarzystwem, kiedy w twojej grupie robi się nerwowo. Tutaj wystarczyło, że przesunie ich listy do kosza, hop-siup i po sprawie.

– Z kilkoma drobnymi wyjątkami, których nie skasowała. – Hermann otworzył kolejny profil. – Ten tutaj to Jaques. Z nim przez dłuższy czas rozmawiała. Najdłużej ze wszystkich.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie ciemnowłosego mężczyzny koło trzydziestki. Opalona twarz, inteligentne, uważne oczy i łobuzerskie spojrzenie.

– Niezły gość. – Clara z uznaniem pokiwała głową.

– Serio tak myślisz? – W głosie Hermanna niemal dało się słyszeć nutkę zazdrości. – Dla mnie wygląda trochę jak gej.

– Metroseksualnie – poprawiła go. – Każda kobieta marzy o facecie, który zachowuje się po męsku, a jednocześnie doskonale ją rozumie. Ponieważ te dwie cechy nie chodzą zazwyczaj w parze, kobiety chętnie otaczają się gejami, bo większość z nich jest bardziej wrażliwa. Idealem jest więc mężczyzna, który zachowuje się jak gej, ale gejem nie jest.

– To jest definicja metroseksualności? – Hermann wsunął do ust kolejnego żelkowego misia.

– Właśnie. *Just gay enough to get the girl.* – Clara złożyła wydruki, które wcześniej dostała. – Co do niej pisał?

– Trochę tego jest. Ale trzeba mu przyznać, że ma znacznie lepszy styl. – Hermann podał jej kolejne strony korespondencji.

*Droga Lady J., mam nadzieję, że się nie narzucam, tak po prostu do Ciebie pisząc, ale plaża, na której stoisz na zdjęciu profilowym nie znajduje się aby na Fuerteventurze? Czy to nie jest przypadkiem zaraz przy Puerto del Rosario? Pytam, bo sam tam często bywam, a mój kolega otworzył tam agencję reklamową. Może to Cię zainteresuje?*

*Pozdrawiam, Jaques*

Clara uniosła z uznaniem brwi.

– Ten zna się na sprzedaży towaru i wie, jak dotrzeć do klienta. Nie wali prosto z mostu, tylko zachodzi ofiarę od flanki. Pozostali walą z grubej rury, wiesz, maleńka, ale masz cycki, wskoczmy do łóżka? Zamiast tego znajduje coś wspólnego, dzięki czemu dziewczyna już na wstępie czuje się, jakby ich coś wiązało. – Spojrzała na Hermanna. – No i? Odpowiedziała coś?

Policjant skinął głową.

– Żebyś wiedziała. I to błyskawicznie. Patrz.

*Hej, Jaques. Aleśmy się zgadali. Jesteś pierwszym, który rozpoznał Fuerteventurę. I masz rację, to plaża przy Puerto del Rosario. Świetny piasek, nie sądzisz?*

*Ten kawalek o agencji zabrzmiał bardzo intrygująco.*

*Pozdrawiam, Lady J.*

Hermann klikał dalej, a drukarka szumiała i wypluwała kolejne strony. Clara przejrzała

pobieżnie pierwsze linijki korespondencji, a potem wyprostowała się i spojrzała na zdjęcie Jasmin umieszczone na stronie. Biały piasek, w tle niewielka wioska rybacka, dwie łodzie wyciągnięte na plażę, a za nimi kilka palm.

– Przyjmijmy, że w rzeczywistości to nasz morderca, a nie jakiś miły gość o imieniu Jaques – powiedziała i spojrzała badawczo na Hermanna. – Skąd mógłby wiedzieć, że to naprawdę jest Fuerteventura? Przecież tak wygląda co druga plaża na południu Europy.

Hermann spojrzał jej przez ramię.

– Istnieje możliwość, że gość tam był i rozpoznał miejsce.

Clara zmarszczyła brwi. Coś jej tu nie pasowało. Oczywiście, że ten człowiek mógł być na Fuerteventurze i poznać ten konkretny kawałek plaży, jednak prawdopodobieństwo było tak minimalne, że praktycznie pomijalne.

– No dobrze, a jeśli nigdy tam nie był? I jeśli wbił sobie do głowy, że koniecznie musi zamordować tę konkretną dziewczynę? I wiedział, że do tego musi błyskawicznie zdobyć jej zaufanie, to skąd mógłby wiedzieć, że to Fuerteventura, skoro nigdy tam nie był?

Hermann potrząsnął głową.

– A jeśli to wcale nie morderca, tylko zwykły, miły facet, którego niesłusznie podejrzewamy o bycie psychopata?

– Jak myślę, to zawsze w jakimś konkretnym kierunku. Tutaj akurat mi wychodzi, że ten gość to morderca. – Clara zauważyła, że powiedziała to dość opryskliwym głosem; jednak to było bez znaczenia. Przede wszystkim musiała się wczuć w mordercę i spróbować myśleć tak jak on.

Które elementy jego działania miały największe znaczenie? Pierwszy kontakt z Jasmin musiał zadziałać. To był pierwszy strzał i nie mógł chybić. Jak w rozmowach kwalifikacyjnych. Jedna szansa i koniec. To stąd taka wyrafinowana technika otwarcia znajomości i wzbudzenie poczucia wspólnoty zbudowanego na kanwie jednego zdjęcia. List od Jaques'a nie zawierał niczego, co wcześniej napisali niewyżyci erotomani. I nie znalazły się w nim idiotyczne pytania typu: „gdzie jesteś na tym zdjęciu”? Nie, on wiedział, gdzie ona stoi. To była próba stworzenia płaszczyzny porozumienia. Gdyby nie wiedział, gdzie to jest, musiałby się jakoś dowiedzieć. I zaraz nasuwa się kolejne pytanie Dlaczego akurat ta kobieta? Bo zobaczył jej zdjęcie. Dlaczego zatrzymał się akurat na nim? Bo kogoś mu przypominała? Bo to była ta jedna, jedyna kobieta? Tylko dlaczego akurat ona?

W podobnych sytuacjach Clara potrafiła zajrzeć we wnętrze mordercy i odtworzyć jego sposób myślenia. Umiała dostrzec jego pragnienia, wyciągać logiczne wnioski i poczuć emocje, które nim targały. To był właśnie jeden z tych momentów, kiedy U-Bahn wyjeżdżał na chwilę z podziemnego tunelu i poruszał się po torach na powierzchni. Można było go oglądać, gdy niczym przerażający robal z opowiadania H. P. Lovecrafta wypełzał na lody Antarktydy, by szybko ponownie zniknąć w mrokach głębokich tuneli. Wtedy, ukryty przed ludzkim wzrokiem, dalej budził strach.

Hermann splótł palce i wygiął je, aż strzeliły stawy.

– Chcesz mieć pewność?

– Najpierw muszę zrozumieć jego metodykę.

– Czyli to, jak działał? – Hermann westchnął. – W zależności od tego, jak dobrze porusza się w internecie, mógł zapisać sobie na dysku zdjęcie Jasmin z profilu, a potem je obrobić i wrzucić do baz danych identyfikujących obrazy na podstawie pliku graficznego, by otrzymać wyniki porównania. To oczywiście możliwe, jednak liczba zdjęć zindeksowanych w takich bazach jest dość ograniczona.

Mówiąc to, otworzył następne okno w przeglądarce.

– Kolejnym rozwiązaniem jest skorzystanie z narzędzi oferowanych przez Google.  
– Google? Jakich narzędzi?  
– Otóż Google umożliwia porównanie obrazu plaży ze wszystkimi zdjęciami plaż, do których odnośniki zostały zapisane na ich serwerach. Oni dysponują informacjami o milionach zdjęć milionów turystów na milionie różnych serwerów, więc są spore szanse, że gdzieś znajduje się podobna fotografia, opatrzona podpisem Fuerteventura, Puerto del Rosario. Przy odrobinie szczęścia mógł znaleźć nawet kilka tak opisanych zdjęć i nabrać pewności, że trafił w dziesiątkę.  
– Możemy powtórzyć teraz takie wyszukiwanie?  
Hermann potrząsnął głową.  
– Nie, tak szybko to nie działa.  
– Niech zgadnę. – Clara nie dawała za wygraną. – Czy chodzi o to, że trzeba mieć do tego mocny komputer i sporo czasu na przeglądanie wyników?  
– Właśnie – potwierdził Hermann. – Przedzierać się przez wszystkie wyniki to cały dzień roboty, jak nie więcej.  
– A jeśli morderca dysponuje dość mocnym komputerem i dostateczną ilością czasu i cierpliwości, żeby to przeprowadzić?  
Hermann zrobił ponurą minę i wzruszył ramionami.  
– Tak, wtedy mógł znaleźć taką informację.  
– Jedna rzecz bardzo mi się w tym wszystkim nie podoba – oznajmiła Clara. – Wygląda na to, że nasz morderca jest wyjątkowo cierpliwy, metodyczny i nieludzko inteligentny.  
– Zgadza się. Mnie też nie wygląda na kogoś, kto by z obrzynek napadał na stacje benzynowe.  
– A tak na poważnie... – Clara zdjęła nogi z fotela, na którym siedziała po turecku, i wstała. – Potrzebny nam jakiś punkt zaczepienia. Jeśli się okaże, że nie mamy nigdzie zapisanego jego kodu DNA, to zostaniemy z niczym. Dobra, jak dalej rozwijała się ta znajomość? – Sięgnęła po wydruki korespondencji między Lady J. i Jaques'em i przeczytała półgłosem:  
– „Co to za agencja reklamowa, którą otworzył twój znajomy... modelki, kampanie reklamowe... czym jeszcze się zajmujesz?” Tak właśnie myślałam. – Spojrzała na Hermanna. – Facet twierdzi, że pracuje w jednym z biur tej firmy reklamowej i jest odpowiedzialny za wynajdowanie i promocję nowych twarzy.  
– A ona była dość głupia, żeby w to uwierzyć.  
Clara wzruszyła ramionami.  
– Mężczyzna i kobieta zawsze okazują się dość głupi, żeby słyszeć tylko to, co chcą usłyszeć. – Potem półgłosem czytała dalej: – „Może byśmy się”... „chętnie”... – Przerzuciła kilka stron. – Później prosi go o jakieś zdjęcia. Sprawdzisz, czy jej cokolwiek przesłał?  
Policjant potaknął i wrócił do przeglądania skrzynki pocztowej Jasmin.  
– Przesłał. Jedno w garniturze, a drugie na plaży. Potem dorzucił jeszcze kilka półnagich fotek.  
– Niczego innego się nie spodziewałam – skomentowała Clara. – Czy ona też mu coś wysłała?  
– Mniej więcej to samo co on jej, ale nie posunęła się równie daleko w odsłanianiu ciała.  
– Przejrzał kilka dalszych stron. – W końcu Jaques podał jej swój numer telefonu komórkowego. Clara uniosła gwałtownie głowę.  
– Mamy jego numer?  
Hermann uśmiechnął się smutno.  
– Mamy, ale to niestety zwykły starter na kartę. Został zakupiony w lutym tego roku na Alexanderplatz. Znamy ten sklep, więc wszystko zostało sprawdzone. Klient zapłacił gotówką,



więc nie został po nim żaden ślad, bo nikt nie trzyma tak długo nagrań z monitoringu.

– Niech to diabli! – Clara zacisnęła zęby. – Z drugiej strony byłabym zdziwiona, gdyby akurat on popełnił tak szkolny błąd. – Zamyśliła się na moment. – Czy istnieje możliwość, żeby znaleźć ten numer gdzieś w sieci powiązany z, sama nie wiem, jakimiś kontami na czatach czy w innych portalach? Może na jakimś blogu?

– Już wcześniej wpadliśmy na taki pomysł i zaczęliśmy szukać. – Hermann potrząsnął głową. – Ale to na nic. Brak wyników. – Jeszcze raz spojrzął na profil Jasmin Peters. – Za to jeśli chodzi o nią, jest całkiem odwrotnie.

– Co masz na myśli? Udało wam się ją znaleźć po numerze telefonu? – zapytała Clara.

– Proszę bardzo, sama popatrz.

Hermann przrzucił kilka zadrukowanych kartek, by w końcu pokazać jej jakieś zdanie na jednej z nich.

– „Okej – czytała Clara na głos. – To może się dzwonić i pogadamy. Do popołudnia w poniedziałek jestem jeszcze w Berlinie”. To pisał morderca. Ona mu na to: „W takim razie może w niedzielę wieczorem wyskoczmy na drinka? O dziewiętnastej powinnam już wrócić. Ale wcześniej wyślij mi esemesa”.

Clara spojrzała na Hermanna. Jasmin umówiła się z nim na drinka! Gość był naprawdę świetnym sprzedawcą. Przez całą wirtualną znajomość pozostawał tajemniczy i prawie obojętny, i nie naciskał na spotkanie, tylko czekał, żeby Lady J. sama je zaproponowała. Miał rację, bo dziewczyna szybko połknęła haczyk.

W niedzielę, dziesiątego marca. Umówiła się z nim na wieczornego drinka. Ale nie było tam białego wina, herbaty czy koktajli.

Była za to krew.

Bardzo dużo krwi.

Clara czytała dalej.

– „Oto numer mojej komórki”.

Czy Jasmin podpisała w tym momencie wyrok śmierci na siebie? Policjantka spojrzała na kolegę.

– Co mu dało, że poznał jej telefon?

– To, że to był naprawdę jeden z numerów należących do Jasmin Peters. Ustaliliśmy dwa takie numery: jeden z abonamentem w T-Mobile, gdzie wzięła iPhone’a. – Hermann pokazał jej kartkę z danymi, które zestawiał wcześniej jeden z policyjnych informatyków. – Skoro był na abonament, to musiała podpisać umowę, podając imię, nazwisko, datę urodzenia, konto bankowe, adres korespondencyjny i adres zamieszkania. Niczego więcej nie potrzebował.

– Ale przecież numer przypisany do iPhone’a był inny, niż mu podała?

Hermann potaknął.

– Często tak się robi. Wielu ludzi, którzy logują się na czatach czy portalach towarzyskich, korzysta z dwóch numerów. Z jednego w realnym świecie, a z drugiego... – Wzruszył ramionami. – Tam.

– Drugi numer Jasmin miała też z abonamentem?

– Nie, to był zwykły prepaid. Ostatni raz doładowała go w lutym w Media Markt.

– Czy na podstawie tego numeru morderca mógł ustalić, kim jest Lady J. w realu i gdzie mieszka?

– Niestety tak. – Hermann otworzył jakieś okno na komputerze Jasmin. Potem w pasek adresu wpisał „copyscape.com”. Wyświetliła się jakaś strona.

– Co to za miejsce?

– Copyscape przeszukuje internet pod kątem występowania danych z konkretnego miejsca

na innych stronach. Można za jej pomocą wyszukać, gdzie w sieci pojawia się jakiś numer telefonu. – Podrapał się po głowie i sięgnął po żelkowego misia. – W którymś z miejsc, gdzie został zamieszczony, może być powiązany z imieniem albo nazwiskiem. Jeśli tak jest, Copyscape na pewno to ustali.

– A Google nie daje sobie rady z takimi rzeczami?

– Generalnie to daje, ale Copyscape jest specjalistycznym narzędziem do wyszukiwania plagiatów. Często korzystają z niej na przykład programiści, żeby sprawdzić, czy ktoś nie wykorzystywał gdzieś ich kodów. Podobnie projektanci stron internetowych czy autorzy, którzy chcą sprawdzić, czy nikt nie łamie ich praw do jakichś utworów.

Clara splótła ręce za głową i przeciągnęła się, żeby złagodzić napięcie mięśni karku.

– Czy morderca coś znalazł?

– Nie mam pojęcia. Wiem za to, że my natychmiast na coś trafiliśmy – oznajmił Hermann. – Popatrz na to, to jedna ze stron Wiki. – Spojrzał na koleżankę. – To coś jak współdzielony dokument, na którym pracuje kilka osób jednocześnie. Jej grupa na studiach robiła wspólny projekt i w ramach takiej strony pisali referat. To było dawno temu, w trzecim semestrze. Tymczasem internet ma doskonałą pamięć. I co nie zostanie skasowane, to będzie tam na stałe. – Kliknął w link do strony Wiki. Otworzył się dokument traktujący o jakichś strategiach marketingowych. Obok imion i nazwisk dwójki studentek i studentów znajdowały się również dane Jasmin Peters.

– Teoretycznie dostęp do tej strony jest zastrzeżony – kontynuował Hermann – ale kluczem kodującym mniej niż stubitowym, więc stosunkowo prostym do złamania. A nawet gdyby ktoś nie potrafił sobie z tym poradzić, Google zaprowadzi cię do celu.

– Google może omijać zabezpieczenia i dawać dostęp do strzeżonych treści?

– Chyba będzie łatwiej, jeśli dostęp do takiej strony zobrazujesz sobie wyprawą do Rzymu – wyjaśnił Hermann. – Jak sama wiesz, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Najwygodniej i najszybciej będzie wsiąść w samolot albo pojechać autostradą. Jeśli lotnisko jest zamknięte, a autostrada zakorkowana, wybiera się drogi krajowe. Jeśli tam też nie ma przejazdu, pozostają jeszcze drogi polne. Koniec końców, w ten czy inny sposób zawsze dotrzesz tam, gdzie chcesz, nawet jeśli zamknięte są najłatwiejsze drogi. I to właśnie robi Google. Robot Google w ciągu ułamka sekundy przeczesuje całą sieć w poszukiwaniu słów kluczowych. I w końcu zna mapę wszystkich dróg. Google ma bowiem tylko jeden cel – gromadzić informacje. Jeśli drogi główne są zakorkowane, wyszukiwarka wskaże ci polne ścieżki, którymi dostaniesz się na miejsce.

Clara narysowała długopisem kilka dróg na jednym z wydruków.

– Czyli na przykład na autostradzie musisz mieć winietę. Jeśli jej nie masz, możesz pojechać polną drogą, gdzie nikt nie będzie jej od ciebie wymagał?

Hermann pokiwał głową.

– Właśnie. Autostrada to oczywiście najprostsza i bezpośrednia droga, lecz tam pytają o hasło. Polami i opłotkami możesz obejść budkę strażnika i nikt nie będzie cię o nic pytał.

– Czy nasz morderca musiał jakoś zmanipulować Google, żeby zebrać interesujące go informacje?

– Wystarczyło, że znał semantykę zapytań i wiedział, jakimi kryteriami kieruje się robot Google, żeby zebrać potrzebne informacje.

– Taka wiedza jest całkowicie oficjalna i dostępna?

– Wszystko to można znaleźć w książkach marketingowych o optymalizacji. – Hermann pokiwał głową. – Większość firm, które mają swoje strony WWW, chce przecież, żeby Google je znajdowało, i to najlepiej na pierwszym miejscu.

Cóż za piękny, wspaniały świat internetowy, pomyślała Clara. Tajemnice marketingu internetowego nadają się do wykorzystania przez morderców. W zamyśleniu stuknęła długopisem w wydruk.

– Wracając do tego pliku Wiki. Czego tam szukał?

Hermann kliknął jakiś odnośnik.

– Znalazł tę stronę przez wyszukiwarkę Copyscape, podając tylko „Lady J.” i numer telefonu, który od niej dostał. Może jeszcze to, co napisała o swoich hobby, jeździe konnej i tak dalej. A potem albo się włamał, albo, jeśli jest bystry...

– Tutaj akurat nie mam najmniejszych wątpliwości, że jest bystry jak diabli – przerwała mu Clara.

– Ja niestety też. – Hermann musiał przyznać jej rację. – Albo zadał odpowiednie pytanie Google i zamiast autostradą ruszył do celu polnymi drogami. W nagrodę zobaczył dokument, który powinien być chroniony hasłem.

Clara przytaknęła.

– Rozumiem. W jaki sposób przyporządkował numer?

Hermann przesunął myszą kursor na inne okno.

– W atrybutach dokumentu znajdują się dane osób zaangażowanych w ten projekt – wyjaśnił. – Tutaj znalazł jej imię, nazwisko, e-mail i numer telefonu. Studenci wpisali wszystkie dane, żeby w razie czego szybko się ze sobą kontaktować.

Clara podążała wzrokiem za kursorem.

„Jasmin Peters, 3 semestr, Zarządzanie i Kulturoznawstwo. Adres e-mail: j.peters@gmx.de”.

A potem jeszcze numer telefonu komórkowego. Clara potrząsnęła głową. Cholera jasna. Jasmin podała w dokumencie swój numer prepaidowy, a nie abonamentowy. Zresztą, nawet gdyby, na niewiele by się to zdało. Z danych, które udostępniła, można było czytać jak z książki.

– Teraz morderca znał jej prawdziwy adres e-mail, numer komórki i prawdziwe imię i nazwisko.

Hermann uśmiechnął się smutno.

– Sieć się zaczyna zaciskać.

– Co nasz psychopata zrobił potem, kiedy już miał te dane? – zastanawiała się Clara. – Albo dalej szukał w ten sam sposób, tym razem podając prawdziwe imię i nazwisko, albo zaczął się włamywać do kolejnych dokumentów. Mógł szukać jej kont na Facebooku albo prawdziwego adresu?

Hermann znów przyznał jej rację.

– A gdyby nasz morderca nie znał się na komputerach aż tak dobrze, jak sądzimy...

– ...to też znalazłby wszystkie interesujące go informacje. I tak dowiedziałby się, kim jest i... – Hermann mówił głuchym głosem – ...gdzie mieszka.

– Cholera! – Clara wyginała sobie palce. – Czyli sama podpisała na siebie wyrok! Facet dostał od niej numer, sprawdził, jak się nazywa, potem śledził jej konto na Facebooku i dowiedział się, że w weekend rzeczywiście pojechała odwiedzić rodziców i kiedy wraca, umówił się z nią na drinka, a na koniec pewnie jeszcze sprawdził, czy kupowała bilet online i o której dokładnie będzie. Dzięki temu miał czas, żeby się przygotować.

– Jeśli to rzeczywiście nasz morderca – przypomniał jej Hermann i spojrzął na zdjęcie na ekranie. – Gość, który zabija kobiety, filmuje to i wysyła płyty z nagraniami policji, wyglądałby, w moim odczuciu, zupełnie inaczej.

– Czyli jak? Miałby rogi, długie pazury, ogon i zionąłby ogniem? – Clara nie mogła powstrzymać śmiechu. – Dla zabójcy to najlepsza rekomendacja, jeśli ktoś mówi, że taki to

przecież nie wygląda na zabójcę.

Oboje wpatrywali się jak zahipnotyzowani w obraz na ekranie: miłą, przystojną i opaloną twarz, ciemne oczy i czarne włosy. Patrzyli na stosy wydrukowanych e-maili Jasmin Peters, na wiadomości z Dategate i na listy numerów IP. Tyle danych, pomyślała Clara. I dalej nic nie mamy. Dopiero teraz poczuła, że zmęczenie w końcu wyciąga po nią swoje szpony. Ciężyły jej powieki, a obraz na monitorze robił się coraz bardziej rozmazany. Widziała teraz siebie na plaży i zbliżającego się przystojnego mężczyznę.

– Cześć – powiedział nieznajomy. – Pracuję w agencji plażowej. Sprzedajemy komórki i wiemy, gdzie mieszkasz...

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Sen Clary o plaży rozwiął się niczym obłoczek dymu na wietrze.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanął Winterfeld.

– Sprawdzić broń, wziąć zapasowe magazynki – krzyknął, stukając pięścią w otwarte drzwi. – Ruszamy! Mamy go!

W ułamku sekundy Clary opuściły resztki snu.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jeszcze dzisiaj wieczorem dopadniemy tego owadziego fetyszystę. – Winterfeld stał w wejściu i triumfalnie opierał ręce na biodrach.

– Mamy jakieś nowe ślady? – zapytała Clara.

– Lepiej! – Winterfeld wyszczerzył radośnie zęby. – Mamy jego DNA w bazie!

Winterfeld stał w swoim biurze niczym Juliusz Cezar przed wymarszem legionów. Ostatnie promienie słońca, które z wielkim wysiłkiem przebijały się przez brzemienne deszczem zaslonę chmur, oświetlały leżącą na biurku kartkę papieru, nadając jej proroczy wygląd. A był to przecież zwykły faks z urzędu do spraw zdrowia, co Clara zauważyła po nagłówku. Jednocześnie przesyłka miała zawierać przełomowe informacje.

– Licząc na łut szczęścia, wysłaliśmy próbkę DNA do Federalnej Policji Kryminalnej. Mieliśmy nadzieję, że sprawca miał niedawno pobieraną krew, a jego dane zostały zapisane w centralnej ewidencji federalnych. To był pomysł von Weinsteina.

– No i?

– Podejrzany nazywa się Jakob Kürten, ma trzydzieści osiem lat, mieszka w Kreuzbergu, na Oranienstraße dwadzieścia. Sami zobaczcie.

Mówiąc to, wyjął kolejną kartkę, tym razem z nagłówkiem urzędu meldunkowego. Było na niej wydrukowane zdjęcie Jakoba.

– Jaques i Jakob! – wykrzyknęła Clara podnieconym głosem. – Mieliśmy rację!

Zdjęcie Kürtena przesłane z urzędu meldunkowego było znacznie bardziej oficjalne, jednak nie dało się nie zauważyć, że Jakob Kürten i Jaques z portalu Dategate to w istocie ta sama osoba. Z obu fotografii spoglądał na nich młody mężczyzna o przyjaznym uśmiechu, za którym skrywał najbrzydliwsze wynaturzenia i spaczenia mogące zrodzić się w ludzkim umyśle.

Clara przejrzała faks.

– Charité – mruknęła.

– W grudniu zeszłego roku pobrano tam od niego krew – wyjaśnił Winterfeld. – Ktoś z personelu wysłał próbkę do federalnych, którzy wrzucili wyniki do naszej bazy danych.

– Już wtedy? Z jakiego powodu? Czyżby coś wcześniej narozrabiał?

– Nie, ale ma w sobie coś, co czyni go potencjalnym zabójcą. A to wystarczyło, żeby jego dane znalazły się w centralnej bazie policji.

– Co to takiego?

– Jakob Kürten jest nosicielem wirusa HIV.

Jest nosicielem wirusa HIV? Clara spojrzała najpierw na Winterfelda, a potem na Hermanna, który też wyglądał na nieco zaskoczonego.

– Czy to mógł być motyw? – zapytała. – Zaraził się gdzieś, a potem mścił się za to?

– Tak, to całkiem możliwe. – Winterfeld podał Clarze i Hermannowi faks, a potem przecesał dłonią włosy. – Może wcześniej zaraził w odwecie ileś tam kobiet, ale w pewnym momencie uznał, że to już mu nie wystarcza, i...

Clara dokończyła za niego.

– ...i zdecydował, że od teraz chce zabijać bezpośrednio, a nie pośrednio, jak za pomocą wirusa. Chce widzieć efekt natychmiast, a nie za pięć lat.

– Ciekawy profil. – Winterfeld pokiwał głową.

– MacDeath już o tym wie? – zapytała Clara.

Winterfeld pokręcił głową.

– Nie, nic mu nie mówiłem, bo w tej chwili i tak ma problem z Bellmannem. On chciałby zostać w Berlinie i pomóc przy tej sprawie, a Bellmann upiera się, że powinien wesprzeć go w siedzibie Federalnej Policji Kryminalnej przy prezentacji.

Naraz odezwał się jego telefon. Winterfeld sięgnął po słuchawkę.

– Tak? Już jesteście? Wspaniale, to za pięć minut.

Rozłączył się.

– Oddział specjalny. – Wyszczerył zęby. – Od jakiegoś czasu są na miejscu i obserwują mieszkanie podejrzanego. Zameldowali, że właśnie zapaliło się światło w kuchni. – Przypiął do paska kaburę na broń służbową i sięgnął po płaszcz, który leżał przewieszony przez oparcie. – To oznacza, że nasz przyjaciel jest w domu. A my wpadniemy do niego z wizytą.

– Rany, dzisiaj to mamy naprawdę sporo ruchu – stwierdziła Clara. – Dobra, lecę po swoje rzeczy. Pojedziemy razem?

Winterfeld uśmiechnął się w typowy dla siebie sposób.

– Czy ja mógłbym odmówić takiej prośbie?

– Domyślam się, że nic na niego nie mamy? – zapytała Clara, wychodząc z biura.

– Nie. – Winterfeld potrząsnął głową. – Zupełnie nic. Nawet mandatu za czerwone światło. Nie wiemy też niczego ponad to, że jest nosicielem HIV. W ogóle nie rzuca się w oczy.

– Opis pasuje idealnie do naszego mordercy – przyznała Clara.

Wszystko wyglądało identycznie jak wczesnym rankiem, a jednak wszystko było inaczej. Brudnoszare, ciemne niebo, ubrani w czarne taktyczne mundury i maski policjanci z oddziału specjalnego, którzy z taranem i karabinkami szturmowymi Heckler&Koch wbiegali po schodach na trzecie piętro. Winterfeld i Hermann z odbezpieczoną bronią, a zaraz za nimi Clara. Klatka schodowa i dwóch sąsiadów wyglądających podejrzliwie zza uchylonych drzwi. Ktoś przestraszony przywiera plecami do ściany, żeby zrobić miejsce.

Clara czuła, jak jej wali serce. Tym razem musieli się liczyć z oporem. Tym razem w mieszkaniu był ktoś, kto zabił przynajmniej jedną kobietę, lecz najprawdopodobniej więcej. Ktoś pozbawiony skrupułów, wyrachowany i bezwzględny. Była pewna, że zabicie policjanta nie byłoby dla niego problemem.

Poszcześciło się im. Na zmumifikowanych zwłokach Jasmin Peters znaleziono ślady biologiczne, z których wyodrębniono DNA Jakoba Kürtena. Udało się ustalić, z kim korespondowała Jasmin Peters przed śmiercią. Wiedzieli, jak podstępnie Jakob zdobył jej zaufanie. I na koniec, na podstawie próbek DNA udało się ustalić jego tożsamość. Ten pozornie miły i ciepły mężczyzna zgwałcił i zamordował Jasmin Peters. Wydawało się, że to zbyt proste, żeby było prawdziwe.

Co będzie, jeśli się okaże, że wszystko było rzeczywiście zbyt proste? – pomyślała Clara. Obawiała się takiej ewentualności.

Drzwi wypadły z hukiem z zawiasów. Policjanci z oddziału specjalnego wpadli do przedpokoju i błyskawicznie zabezpieczyli kuchnię, w której z ulicy widzieli zapalone światło.

Lecz w środku nie było nikogo.

Następnie zabezpieczyli salon.

Również pusty.

Łazienkę.

Nic.

Na ścianach w korytarzu wisiało kilka współczesnych kopii Picassa i van Gogha. W kuchni ujrzeni zlew pełen naczyń. W salonie półki z książkami. Fotel. Telewizor. Ani śladu komputera.

Na końcu korytarza, po prawej stronie, znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Te były zamknięte. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Czyżby Kürten położył się spać? A może założył słuchawki i słuchał muzyki? Czy raczej czekał ze strzelbą, przyczajony za drzwiami, żeby pociągnąć za spust, kiedy tylko usłyszy kroki przed zamkniętym pokojem?

Marc i Philipp otworzyli drzwi i wpadli do środka. Potem zapanowała pełna napięcia cisza.

Po kilku sekundach Philipp wycofał się na korytarz. Szedł tyłem, jakby wypychała go stamtąd jakaś niewidzialna, demoniczna moc. Spojrzał na Clare, potem na Winterfelda i Hermanna, którzy stali z odbezpieczoną bronią w dłoniach. Szybko jednak zrozumieli, że to nie niebezpieczeństwo sprawiło, że rosły antyterrorysta wyszedł z pokoju. Jego spojrzenie wyrażało bezgraniczne zaskoczenie zmieszane z niedowierzaniem. Potrząsnął gwałtownie głową i wskazując ręką do środka, powiedział:

– Powinniście sami to zobaczyć.

Kiedy Clara przekroczyła próg ostatniego pokoju, poczuła się, jakby przeżywała *déjà vu*. Znów powietrze pachniało wyschniętą skórą, przełamaną cytrynowym akcentem zwiastującym robactwo. I ponownie, gdziekolwiek spojrzała, widziała kłębiące się chrząszcze.

Lecz ofiara, która tutaj leżała, musiała stracić życie znacznie wcześniej niż Jasmin Peters. Zwłoki leżące na łóżku były do tego stopnia wyschnięte, że na pierwszy rzut oka nie dało się stwierdzić, czy to ciało kobiety czy mężczyzny. Szarobrazowa skóra o wyglądzie i strukturze drobnego papieru ściernego opinała się na żebrach, które sterczały z rozpołowionego ciała niczym koszarne szpony. Ręce i stopy były przypięte kajdankami do ramy, sprawiając, że ciało przypominało obrazy średniowiecznych tortur. Klatka piersiowa została przecięta wzdłuż mostka, a jama brzuszna opróżniona ze wszystkich narządów. Zaschnięta twarz z otwartymi ustami, z których sterczały białawe zęby, i zapadniętymi, pustymi oczodołami, wyrażała jakby przerażenie. Na szyi widniało spore nacięcie. Łóżko, szafka nocna i dywan obok łóżka znaczył rozbryzg rdzawobrazowej, zaschniętej krwi.

Clara rozejrzała się po pokoju. Ściany miały czerwony kolor. Żaluzje były opuszczone. Na ścianie bez okna wisiał krzyż świętego Andrzeja z przytwierdzonymi pasami, by można było się do niego przypinać w dziwacznych sadomasochistycznych sesjach. Obok znalazło się miejsce na skórzany kombinezon, pejcz, łańcuchy i kajdanki. Na ziemi stały wysokie do kolan skórzane buty, a obok leżała maska gazowa.

Sadomasochizm, pomyślała Clara. I to w wydaniu znanym z najostrzejszych scen klubów dla homoseksualistów. Przesunęła wzrokiem po reszcie wyposażenia. Najczęściej mordercy wybierają ofiary zgodnie z własnymi preferencjami seksualnymi. Czyżby Kürten zamordował kobietę i mężczyznę? Czy jest biseksualny?

– Czy to mieszkanie należy do podejrzanego? – zapytała głośno.

Winterfeld potaknął. W tym czasie Marc, Philipp i trójka policjantów z oddziału specjalnego ponownie sprawdzali pozostałe pomieszczenia, by odkryć wszystkie pułapki, jakie mógł na nich zastawić. Clara знаła całą procedurę. Przed drzwiami stał już policjant i pilnował wejścia. Instytut Medycyny Sądowej został powiadomiony i najprawdopodobniej właśnie wyjeżdżał stamtąd karawan, którym zmumifikowane zwłoki miały trafić do laboratorium.

– Jakob Kürten, Oranienstraße dwadzieścia – powtórzył Winterfeld. – Mam wrażenie, że tym razem chciał mieć absolutną pewność.

Clara skinęła głową i obesła łóżko.

– Ukrył zwłoki we własnym mieszkaniu. Tutaj nie było szans, żeby ktoś je zauważył.

– Ale to znaczy, że musi mieć jeszcze jedno mieszkanie. I pewnie tam teraz przebywa. – Winterfeld przyjrzał się przyrządom na ścianie. – Tutaj najwyraźniej organizował orgie sadomasochistyczne z niczego niepodejrzewającymi ofiarami – dodał. – Jedną z nich zamordował, a potem oporządził i zmumifikował jak Jasmin Peters.

Clara podeszła do wezgłowia łóżka i wskazała na zaschniętą ranę na szyi ofiary.

– Głębokie cięcie w okolicy prawej tętnicy szyjnej.

– Śmierć przez wykrwawienie. – Winterfeld pokiwał głową. – Kürten zlał krew do jakichś naczyń. Ten sam *modus operandi* jak w przypadku Jasmin Peters. To nasz człowiek, jego szukamy.

Clara wzruszyła ramionami.

– Szkoda tylko, że go nie zastaliśmy.

Winterfeld przecesał włosy dłonią.

– Niezależnie od tego, i tak jest już nasz. Trafiliśmy do jednego z jego mieszkań, mamy jego DNA i znamy sposób, w jaki działa. Jak tylko nasi ludzie przeszukają wszystkie pokoje i zabezpieczą ślady, będziemy mieli pełną wiedzę o nim. Wtedy będzie już z górki.

– Medycy sądowi muszą najpierw ustalić, czy te zwłoki należą do mężczyzny czy do kobiety. – Clara pokręciła głową. – Jeśli Kürten nie zwraca uwagi na płeć przy wyborze ofiar, to byłoby to bardzo dziwne.



– W tym człowieku znajdziemy jeszcze niejedną bardzo dziwną cechę – odparł Winterfeld.

Zrobiło się bardzo późno. Clara przeglądała zdjęcia, które technicy zabezpieczający ślady zrobili w mieszkaniu Jakoba Kürtena. Narządy płciowe ofiary zmieniły się w wyschniętą i niemożliwą do zidentyfikowania fałdkę. W takiej sytuacji na identyfikację płci trzeba by czekać do chwili, kiedy będą gotowe wyniki badania DNA. Tym razem jednak lekarzom z Instytutu Medycyny Sądowej udało się zlokalizować gruczoł krokowy, dzięki czemu nie było wątpliwości, że chodzi o mężczyznę.

Seryjni mordercy zabijali zazwyczaj zgodnie ze swoimi preferencjami seksualnymi. Jakob Kürten nie był wyjątkiem od tej reguły. Co za zwyrodnialec, pomyślała Clara. Biseksualny seryjny morderca, który morduje zarówno mężczyzn, jak i kobiety, był absolutną rzadkością.

Technicy kryminalistyczni przetrząsnęli całe mieszkanie, wywracając je do góry nogami. Również urząd meldunkowy musiał włączyć się do działania. Okazało się, że Jakob Kürten nie był zameldowany w żadnym innym miejscu. Jego rodzice mieszkali w Duisburgu, jednak na razie policja nie chciała włączać ich w toczące się postępowanie: nigdy nie było wiadomo, jak szybko rodzice potrafią ostrzec swoje dziecko o grożącym mu niebezpieczeństwie, niezależnie od tego, że ich syn był mordercą.

Clara znalazła również potwierdzenie odbioru przesyłki zawierającej skalpele chirurgiczne. Najprawdopodobniej właśnie jednym z nich Jakob Kürten przeciął tętnicę swojej ofierze. Narzędzia chirurgiczne zostały zamówione na jego nazwisko; opakowanie i dokumenty wciąż jeszcze leżały w mieszkaniu. Kürten zamówił je, podając się za lekarza; firma, które je wysłała, przesała już policji faks z potwierdzeniem zamówienia.

Zanim jeszcze udało się zidentyfikować ofiarę, Clara zaczęła rozważać najróżniejsze możliwości. Jakob Kürten zaprosił kogoś do siebie, obiecując dobrą zabawę. Przypiął swojego gościa do łóżka, a potem zabił. Czy tak to wyglądało? W skórzanych spodniach, w które wciąż były odziane wyschnięte zwłoki, znaleziono całkowicie wyschnięte ślady nasienia. Ofiara przed samą śmiercią musiała przeżyć orgazm.

Kürten uprawiał seks z ofiarami. A potem je mordował.

Clara jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. Opalona twarz, ciemne włosy i łobuzersko błyszczące oczy.

Jakob Kürten.

To, że zło mogło przybierać pozory nieszkodliwości i przyjazną postać, nie było dla niej zaskoczeniem, bo w swojej pracy wiele razy spotkała się z takimi sytuacjami. Tym razem jednak przeżyła szok. Mroczny U-Bahn ponownie wytoczył swoje cielsko z ciemności podziemnych tuneli i na kilka chwil pokazał się na powierzchni, by zaraz znów zniknąć w czeluściach ukrytego labiryntu.

Policjantka wróciła do metodycznego oglądania zdjęć, czekając na jakieś wieści z Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie trwała właśnie sekcja zasuszonych zwłok z mieszkania mordercy. Chciała wiedzieć, czyje jeszcze życie przerwał Jakob Kürten.

Jako dzieci wiemy, że źli ludzie istnieją naprawdę, pomyślała. Budzimy się pośrodku nocy i czujemy, że coś tam jest. I wcale nie chodzi nam o szafę w rogu pokoju ani o latawiec smoka, który w zeszłą niedzielę puszczailiśmy z tatą. W mrokach nocy czają się stworzenia, o których my, dzieci, wiemy, że zbliżają się do naszych łóżek, kiedy śpimy, lecz zamierają w bezruchu, kiedy otwieramy oczy. Wiemy, że są gdzieś w naszych pokojach, za drzwiami, na balkonie albo pod łóżkiem...

Przed oczyma ukazała jej się twarz Claudii, młodszej siostry, której często opowiadała na

dobranoc bajki o smokach i księżniczkach.

– Czy smoki naprawdę istnieją? – zapytała kiedyś Claudia.

– Nie, smoki są wymyślone – odpowiedziała wtedy Clara.

– Ale tutaj są – odparła Claudia, wskazując palcem na swoją małą główkę.

– Tak, masz rację. Tutaj są – potwierdziła Clara.

– Ale skoro tutaj są – Claudia ponownie dotknęła ręką głowy – to w rzeczywistości też muszą istnieć.

Clara z trudem powstrzymywała łzy, jak za każdym razem, kiedy myślała o siostrze. Skąd się bierze to, że potrafimy sobie wyobrazić różne rzeczy? Czy tworzymy coś zupełnie z niczego? Nie, na pewno nie. Wszystko, co istnieje w naszych wyobrazeniach, musi istnieć również w rzeczywistości.

Clara wiedziała, że tak jest. Miała dowód. Widziała *snuff movie*, film na CD, na którym nagrane jest prawdziwe morderstwo, i w końcu widziała dwójkę ludzi, którzy od miesiący leżeli martwi, choć wszyscy myśleli, że żyją.

Jako dziecko wiedziała, że latawiec, który wisiał obok balkonu, to nie prawdziwy potwór, bo wykonała go w ramach zajęć technicznych w szkole, lecz mimo to w nocy zamieniał się w bestię, która po zmroku czaiła się w pokoju, by rzucić się jej do gardła.

Jako dzieci wiemy, że złoczyńca leży pod łóżkiem i tylko czeka, żeby stamtąd wyjść, chociaż rodzice powtarzają, że pod łóżkiem przecież nikogo nie ma i że ten złoczyńca to tylko bajka i nigdy, przenigdy do nas nie przyjdzie. I w końcu zaczynamy w to wierzyć. Ale jeśli to nie jest prawda?

Brutalne morderstwo zarejestrowane na płycie CD, zmumifikowane zwłoki Jasmin Peters, anonimowe, skute kajdankami ciało na łóżku w mieszkaniu przy Oranienstraße – Clara miała świadomość, że dzieci wiedzą lepiej: złoczyńca istniał naprawdę. I cokolwiek powtarzaliby rodzice, bez względu na to, jak intensywnie by zaprzeczali, cały czas leżał pod łóżkiem i czekał na właściwy moment. Był tam od zawsze i nie ruszał się z miejsca. Lecz w końcu wychodził, podnosił się z ziemi i nachylał nad nami.

Przypomniała sobie słowa jednej z piosenek Metalliki, bo idealnie opisywały tę sytuację.

*Hush little baby, don't say a word,*

*And never mind that noise you heard.*

*It's just the beast under your bed,*

*In your closet, in your head.*

Potwór spod łóżka.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Dzwonili z Instytutu Medycyny Sądowej.

– Pani Vidalis? – upewnił się von Weinstein.

W jego głosie pojawiło się coś, co Clarze zupełnie się nie podobało, choć nie potrafiła powiedzieć, co to takiego.

– Co się dzieje?

– To zależy gdzie. – Von Weinstein przerwał na chwilę, by jak zwykle dodać dramaturgii swoim słowom. – Mam wiadomość dobrą i złą.

Clara westchnęła.

– Dzisiaj potrzebuję w końcu jakiejś dobrej wiadomości.

– Udało nam się zidentyfikować zwłoki – oznajmił lekarz sądowy.

– To cudownie! – Clara momentalnie się ożywiła. – Kto to?

– Zaczęliśmy od rutynowych porównawczych testów DNA śladów pozostawionych w mieszkaniu Jasmin Peters i śladów z ciała znalezionej na łóżku w mieszkaniu Jakoba Kürtena. – Von Weinstein przerwał, lecz tym razem jakby szukając właściwych słów. – No i wszystko nam

się posypało jak domek z kart.

Clara zaczęła się niecierpliwić.

– Słucham?

Von Weinstein westchnął głęboko.

– Zwłoki nie należą do ofiary Jakoba Kürtena.

*Przejdźże pan w końcu do rzeczy, bo nie ręczę za siebie!* Clara zmarszczyła brwi.

– Tylko do kogo? – spytała.

– Denat – wyjaśnił lekarz – to Jakob Kürten we własnej osobie.

Znaleziono zwłoki Jakoba Kürtena.

Osoba, którą uważali za mordercę, w rzeczywistości okazała się ofiarą.

A właściwy morderca, niewidzialny i nietykalny, pozostawał na wolności i najpewniej planował kolejne ponure zbrodnie.

Clara wiele już widziała i poznała niejedną bestię w ludzkiej skórze, lecz ten zabójca był wyjątkowy. Ile trzeba precyzyjnego planowania, ile wynaturzonej inteligencji, by pobrać próbki skóry Jakoba Kürtena i umieścić je w pokoju kolejnej ofiary, Jasmin Peters, żeby policja, zabezpieczając ślady, poszła całkowicie fałszywym, zaplanowanym przez niego tropem? Ile perwersyjnego perfekcjonizmu musiał mieć w sobie, by doprowadzić homoseksualnego Kürtena do orgazmu w trakcie sadomasochistycznej orgii, a potem umieścić jego spermę w pochwie zamordowanej dziewczyny, by uprawdopodobnić teorię o gwałcie i wodzić w ten sposób policję za nos?

I dlaczego prawdziwy sprawca nie pozostawił po sobie żadnych śladów? Nic, zero! Nawet najdrobniejszego biologicznego tropu, by mogli ustalić na tej podstawie jego DNA! Nawet fragmentu odcisku palca!

Podobnie jak potwór czający się pod dziecięcym łóżkiem, morderca Jakoba i Jasmin był częścią nocy. Mroczny, nieokreślony, nieuchwytny i zły.

Clara zaklęła, wstała i zaczęła pakować rzeczy. Dzisiaj nie miała tu nic więcej do roboty. Pojedzie ze swoją obstawą do domu, naleje sobie szklaneczkę whisky i zaśnie, by wstać następnego ranka. Co dziś osiągnęła? Nic. Kogo złapała? Nikogo. Komu uratowała życie? Nikomu.

Kiedy sięgała po laptopa, by zdjąć go ze stacji dokującej, zauważyła, że kilka minut wcześniej dostała e-mail. Minęła właśnie dziesiąta wieczorem. Czy to mogło być coś ważnego? Raczej nie. Pewnie Bellmann napisał wieczornego e-maila z Wiesbaden, żeby przesunąć ich rozmowę, bo będzie musiał zostać tam dłużej, a ona zaraz zaczyna urlop.

Clara otworzyła program pocztowy, potem skrzynkę odbiorczą i nową pocztę.

Do: *Clara Vidalis, Policja Kryminalna*

Kiedy spojrzała na pole z nadawcą, serce jej zamarło.

mailto:Jakob.kuerten@gmx.net

Mail bez treści.

Za to z dwoma załącznikami: plikiem wideo opatrzonym tytułem „OtwórzPierwszy” i dokumentem PDF opisanym „OtwórzDrugi”.

Zimny dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

Ponownie otrzymała wiadomość od kogoś, kto od wielu miesięcy nie żył.

Czyżby kolejne nagranie morderstwa? Makabryczne chwile utrwalone w cyfrowym pliku?

Nie zaprzętała sobie głowy przepisami, procedurami i skanowaniem antywirusowym. Nie powiadomiła również bezzwłocznie swoich przełożonych. Wiedziała, że zwariuje z niepewności, jeśli natychmiast się nie dowie, co zawierają oba załączniki.

Oparła mokrą od potu dłoń na myszce i przesunęła kursor na plik multimedialny.

*OtwórzPierwszy.mpg*

Kliknęła dwa razy. Na monitorze pojawiło się okno odtwarzacza.

Czarny ekran.

Trzy sekundy. Cztery. Pięć.

W końcu pojawił się obraz.

Lecz nagranie nie przedstawiało morderstwa.

Zobaczyła na ekranie pokój z łóżkiem, na którym leżały zmumifikowane zwłoki Jasmin Peters. Nagle odskoczyły drzwi. Do środka wpadło dwóch ubranych na czarno mężczyzn z bronią gotową do strzału. Po chwili próg przekroczyło dwóch kolejnych gości. I jedna kobieta.

Clara wiedziała, kim byli ci ludzie, jednak sama myśl o tym wydawała się jej zbyt szalona, zbyt przerażająca, by ją tak po prostu zaakceptować.

Ubranymi na czarno osobami byli oczywiście Marc i Philipp z oddziału specjalnego. Po nich w środku znaleźli się Hermann i Winterfeld, a na samym końcu ona – Clara Vidalis.

Dziś rano.

O szóstej.

Obraz zgasł.

Po chwili na ekranie pojawił się kolejny pokój.

Na ścianie krzyż świętego Andrzeja, obok kajdanki, pejcz, maska gazowa i skórzane buty.

Pokój Jakoba Kürtena.

I znów dwóch policjantów w czarnych strojach oddziałów specjalnych.

Po nich Hermann i Winterfeld.

I Clara.

Dzisiejszy wieczór.

Dwudziesta.

Obraz zgasł.

Clara poczuła, że wszystko, co miała w żołądku, zaczyna piąć się przełykiem w stronę ust, parząc ją niczym rozgrzana stal. Przez chwilę nie mogła nabrać powietrza.

Morderca ich filmował. Zmusił ich, by pojawili się dokładnie tam, gdzie sobie zażyczył. Robili, co im kazał. I przez cały czas wiedział, gdzie byli, o której godzinie i czym się zajmowali.

Sięgnęła po myszkę dłonią lepką od potu. Ścisnęła ją, jakby trzymała talizman, kiedy uświadomiła sobie, na co przez cały czas patrzyła, a co jej mózg miłosiernie starał się ignorować: to nie był zwykły e-mail. To była kolejna wiadomość od mordercy.

Do niej.

Clarze było już wszystko jedno. Drżącymi rękoma przesunęła kursor na plik PDF i kliknęła dwukrotnie.

Kiedy program się otworzył, zaczęła czytać:

*Clara Vidalis,*

*szczęście bez łez nie istnieje, tak samo jak nie ma życia bez śmierci.*

*Myślała Pani z pewnością, że już mnie dopadła. Jednak sukcesu w tym było tyle, co krwi w wyschniętych żyłach Jakoba Kürtena.*

*Jak Pani myśli, ile osób leży od miesięcy – albo nawet lat! – w swoich mieszkaniach? Ludzi, za którymi nikt nie tęskni. Których nikt nie zauważa, bo zmumifikowane ciała nie mają woni. Których nikt nie szuka, bo nie ma nikogo, komu by na tym zależało. Bo jeszcze za życia byli marnotrawstwem, zbędnymi śmieciami, których śmierć byłaby uświęconą ofiarą złożoną społeczeństwu.*

*Czy przysięgła już Pani sobie, żeby latem rozglądać się nocą w poszukiwaniu błysku choinkowych lampek za oknami mieszkań? Czy spoglądała już Pani na panoramę Berlina, zastanawiając się, w których z setek tysięcy mieszkań mogą leżeć wyschnięte zwłoki moich ofiar? Te, których jeszcze pani nie znalazła, i te, których nigdy Pani nie znajdzie?*

*Może uważa Pani, że choć moim ofiarom już nikt nie pomoże, to mnie w końcu jakoś Pani dopadnie. Mnie, czyli sprawcę. Centrum tego wszystkiego.*

*Tylko że to Pani marzenie się nigdy nie ziści. Bo ja tak naprawdę nie istnieję. Jestem nieuchwytny. Jestem nieokreślony. Jestem niczym. I wszystkim.*

*Sprawcą, którego Pani szuka, są w istocie moje ofiary, a mordercą, którego Pani złapie, są moje trupy.*

*Jasmin nie była pierwsza. I nie jest ostatnia.*

*Chciała mnie Pani obserwować, a to ja obserwowałem Panią. Chciała mnie Pani złapać, a to ja złapałem Panią. A jeśli będziecie chcieli mnie zabić, ja zabiję Was. Bo jestem wirusem, który się nieustannie namnaża i jest wszędzie. Jestem bytem wirtualnym, którego nie da się dotknąć.*

*Jestem jedyną istniejącą KILLER APPLICATION.*

*Jestem kimś więcej niż ciemny jak tabaka w rogu przestępca, którego będzie mogła pani ścigać i kiedyś w końcu dopadnie. Ci żałośni zbrodniecy, którzy kierują się tylko wackiem, szybko wpadają w wasze prymitywne pułapki, bo to bezmózgie, pozbawione inteligencji byty. Ja jestem kimś lepszym i większym. Jestem wszędzie. To ja zastawiam pułapki na was.*

*Tam gdzie inni są tylko cieniami, ja jestem gęstym mrokiem.*

*Gdzie inni są tylko mordercami, ja ucieleśniam śmierć.*

*Jestem ponurym kosiarzem.*

*Jestem agonią i śmiercią.*

*Jestem Bezimienny.*

# Część druga

## *Ogień*

*Mille piacer' non vaglion un tormento.*  
Tysiąc przyjemności nie jest wartych jednej tortury.

Petrarka



Numer trzynastcie należał już do historii.

Jasmin była martwa i została odnaleziona. Wysłał Clarze płytę CD, a potem napisał jeszcze e-mail. Dopiero teraz zacznie się robić ciekawie. Jak zareaguje? Przestraszy ją? Zrobi na niej wrażenie? Wstrząśnie? Czy w ogóle zrozumie, dlaczego wybrał właśnie ją, czy będzie musiał wytłumaczyć to jeszcze jaśniej?

Wiadomość wysłał, stojąc na parkingu przed jedną z kawiarni obok lotniska Schönefeld. Skorzystał z niezabezpieczonej hasłem sieci WLAN, a potem natychmiast przerwał połączenie, zamknął laptopa i odjechał na pełnym gazie. Wiedział, jak szybko policja potrafiła namierzyć numer IP, kiedy jej na tym zależało. Dlatego wysyłanie czegokolwiek e-mailem zawsze wiązało się z ryzykiem. W mgnieniu oka można było ustalić sieć, z którą się łączył, sprawdzić adres i zwrócić uwagę na samochód, który gwałtownie stamtąd odjechał. Jednak żeby skutecznie śledzić samochód w takim ruchu, trzeba by użyć helikoptera. Tymczasem w pobliżu lotniska było to zabronione ze względu na korytarze podejścia do lądowania.

Wskazówka prędkościomierza zatrzymała się na stu kilometrach na godzinę. Wystarczająco szybko, żeby opuścić niebezpieczny teren, ale też dość wolno, żeby nie zwracać na siebie uwagi policji i nie dać im powodu do zatrzymania za wykroczenie drogowe. Patrzył, jak asfalt znika za samochodem, przy akompaniamencie szumu opon; zupełnie jakby jego wóz pożerał autostradę. Miał na dłoniach czarne rękawiczki, a na siedzeniu pasażera leżał zamknięty laptop.

Własność Jakoba Kürtena.

Dziesięć minut później był już w domu, w wielkiej piwnicy, gdzie stała trumna, a w niej była ona. Leżała tam od lat. Od dziesięcioleci.

Płomienie momentalnie otoczyły obudowę laptopa Jakoba Kürtena i zachłannie zaczęły pożerać płytę główną, przewody i podzespoły, które z głośnym sykiem pokrywały się fałdami i topiły. Przed wrzuceniem komputera w palenisko wielkiego kominka obficie polał go benzyną. Zwyczajny ogień nie mógł spalić ludzkiego ciała do tego stopnia, by nie było możliwe przeprowadzenie analizy DNA. To dało się wykonać jedynie w krematorium, gdzie zwłoki przez dwie godziny pozostawały w temperaturze ponad ośmiuset stopni Celsjusza. Lecz normalny ogień radził sobie bez najmniejszych problemów z przekształceniem laptopa w kupkę posklejanego plastikiem popiołu, z którego nawet najzdolniejszy ekspert informatyk nie potrafiłby niczego odczytać. Kiedy ogień zgaśnie, porozbija młotkiem pozlepiane części, a powstały drobny pył rozrzuci na dworze, na wietrze. Jakob Kürten żył w tym komputerze. To w nim tworzył i opisywał swoje fantazje, umawiał się na schadzki i rozsyłał swoje obsceniczne zdjęcia.

Aż w końcu trafił na największą podniętę swojego życia.

Trafił na niego.

Na Bezimiennego.

To on go zabił i wypatroszył, wykrwawił ciało, a duszę, która żyła zamknięta w laptopie, spalił i rozkruszył na pył.

Lecz Jakob Kürten nie był pierwszy. I nie był też ostatni.

On, Bezimienny, pożerał dusze uwięzione w cyfrowym świecie. Był niczym demon, mogący opętać człowieka i zmusić go do działania, na które by się normalnie nie zdecydował. Bezimienny przejmował osobowość opętanego, by zmusić go do wykonywania swojej woli. Sprawiał, że zmarli dalej żyli, i w ich imieniu realizował swój wielki plan.

Spojrzał na podwyższenie, na którym spoczywała.

Następnie otworzył walizkę leżącą na dużym stole po drugiej stronie pomieszczenia, naprzeciwko kominka – za wielkim terminalem komputerowym zajmującym znaczną część ściany. Walizka skrywała wyposażenie potrzebne do przeprowadzenia kolejnego polowania. Znajdowało się tam lateksowe ubranie, maska, okulary, rękawiczki i pozostałe skalpele zamówione przez Jakoba Kürtena. Obok stały dwa plastikowe kanisterki na krew i woreczki strunowe na narządy wewnętrzne.

Spojrzał na kilka wydruków przedstawiających zdjęcia młodych, atrakcyjnych mężczyzn. Obok każdej kartki stał komputer i dokument osoby, której fotografia znajdowała się na kartce. Do tego karta bankomatowa, karta kredytowa, login i hasło do konta na Facebooku, klucze do mieszkania i kluczyki do samochodu, i umowa wynajmu mieszkania. To były jego nowe wcielenia. Podając się za nich, polował na kobiety, swoje przyszłe ofiary.

Usta mordercy wykrzywiły się w lodowatym uśmiechu.

– Kim dzisiaj zostanę? – mruknął do siebie i przesunął dłonią po kartkach.

Po trzech minutach podjął decyzję. Jeszcze raz spojrzał na podwyższenie z katafalkiem, potem na kominek, gdzie leżała bezkształtna, pozbawiona koloru grudka, która wcześniej była laptopem Jakoba Kürtena. Następnie podszedł do własnego komputera pod szczytową ścianą piwnicznej izby i wpisał adres jednej ze stron internetowych.

Dategate.

Pomieszczenie wypełnił jego głos, jasny i donośny, jakby intonował modlitwę:

– Czas na numer czternaście.

Popiół niedopałka był niemal długości palca, a jednak nie odpadał. Zgodnie z prawami fizyki już dawno powinien spaść, a mimo to wciąż trzymał się papierosa. Zaskakujący widok przypomniał Clarze o pewnym człowieku, który kilka lat wcześniej utknął w płonącym samochodzie. Mimo że palił się razem z nim, nie tracił świadomości. Ani gorąco, ani tlenek węgla nie pozbawiły go przytomności. Płonął żywcem razem z pojazdem. Strażacy przybyli na miejsce sporo po zgłoszeniu; zbyt późno, żeby go uratować. Na dodatek drzwi auta były zakleszczone i nie dało się ich otworzyć. Mężczyzna powinien być już od dawna martwy, a jednak kurczowo trzymał się życia. Podobnie było z popiołem spalonego tytoniu, który nie spadał, choć powinien, by zadość się stało prawom fizyki.

Minęła północ. Clara siedziała na kanapie w salonie swojego mieszkania, w jednej dłoni trzymała szklankę whisky, a w drugiej papierosa i pustym wzrokiem wpatrywała się gdzieś przed siebie.

Przed dwoma laty skończyła z nałogiem. Czyżby teraz znów miała zacząć palić? Tylko dlatego, że dostała dziwne e-maile? Że przerażający, bezduszny i pozbawiony twarzy morderca uwziął się akurat na nią? Właściwie to czego mógł od niej chcieć? Może usiłował zrobić na niej wrażenie? Coś udowodnić? Podniecało go to? Udowodnić sobie, jaki to okrutny i nieustraszony z niego zabójca? A może... może chciał ją na coś przygotować? Na to, co dopiero miało nadejść? Na to, że ona była jego następnym celem? Chciał jej przekazać, że dopadnie ją mimo policjnej ochrony?

Postanowiła, że następnego dnia musi porozmawiać z MacDeathem, który został jednak w Berlinie. Musiała wiedzieć, jakie motywy kierowały tym psychopatą. Jednak przede wszystkim musiała ustalić, co sama teraz przeżywa. Bo na razie nie miała pojęcia. Wiedziała jedynie, że siedzi w swoim salonie, pije, pali i patrzy nieruchomo gdzieś przed siebie, a morderca grasuje na wolności i najprawdopodobniej ma już upatrzoną kolejną ofiarę.

Ten morderca był wyjątkowo inteligentny, bardzo niebezpieczny i nadludzko cierpliwy. Wiedział znacznie więcej o śledczych, niż śledczy domyślali się na jego temat. Miał podłączone kamery sieciowe w mieszkaniach Jasmin i Jakoba i w obu przypadkach nagrał wejście policjantów i zabezpieczenie miejsca znalezienia zwłok. Ośmieszał ich. W kuchni Jakoba Kürtena zamontował czasowy włącznik lamp, żeby światło codziennie zapalało się i gasło, a sąsiedzi myśleli, że spokojny Jakob siedzi sobie w domu i nic mu nie jest.

Morderca był jak wirus. Przybrał postać atrakcyjnego mężczyzny, który od dawna nie żył, zdobył zaufanie młodej, pięknej kobiety i pozbawił ją życia. Tylko dlaczego? Napisał, że jej śmierć to uświęcona ofiara dla społeczeństwa? Czy mogły kierować nim względy religijne? Mordy, które popełniał, były rytualne? A może tylko używał takiego języka, żeby nadać swemu dziełu pozory doniosłości? Chciał być ważny? A może to zwykły psychopata, choć bez wątpienia cholernie niebezpieczny?

E-mail został ponownie wysłany z niezabezpieczonej sieci WLAN kawiarni. Caffee Inn przy lotnisku Schönefeld, jak szybko ustalił dział IT. Tylko jak znaleźć kogoś, o kim nie wiadomo nawet, jak wygląda? Równie dobrze można było się porywać na sprawdzanie wszystkich mężczyzn zarejestrowanych na portalach randkowych, wzywać ich na komisariaty i przesłuchiwać. Setki tysięcy przypadkowych osób. A pośród nich morderca, niczym bohater *Człowieka pośród tłumu* Edgara Allana Poeego.

Człowiek pośród tłumu. Samotny, ale nie sam. Nie może być sam, bo tłum jest jego kamuflażem. Jego kryjówką. Bo z anonimowego tłumu łatwo uderzyć, by zaraz cofnąć się i

zniknąć pośród do siebie podobnych.

Clara drgnęła, bo słupek popiołu z papierosa ułamał się przy filtrze i spadł na ziemię, tworząc mały szary pagórek. Sięgnęła po paczkę lucky strike'ów, którą kupiła w sklepie nocnym na Schönhauser Allee, zapaliła kolejnego papierosa, zaciągnęła się, odchyliła głowę i wypuściła dym w stronę sufitu. Mleczna chmura wznosiła się w kierunku lampy, tworząc na ścianach pokoju oświetlonego dwiema świeczkami dziwaczne cienie, symetryczne i jednocześnie bezkształtne.

Niedługo będą mogła chodzić palić „na zewnątrz” ramię w ramię z Winterfeldem, pomyślała. Kolejny niedobry nałóg, nie wiedziała nawet, czy nie gorszy niż picie.

Odchyliła się na oparcie. Co było lepsze, palenie czy picie? Po kilku minutach rozważań doszła do wniosku, że palenie było w jakiś sposób uczciwsze i wyraźniej oddawało marnotę ludzkiej egzystencji. W świecie, który upadł tak nisko jak nasz, pomyślała, to nasza ofiara całopalna, która z unoszącym się dymem zabiera troski i strach – a potem znów zostajemy sami. Papierosy się wypalały i zostawał tylko niedopałek, który się zdeptywało. Za to butelki po piwie trafiały do skrzynek, zwracało się je do sklepu, stamtąd odbierał je wytwórca, trafiały do czyszczenia i z powrotem do rozlewni.

Upiła łyk whisky i rozkoszowała się mocnym smakiem szkockiej, który mieszał się z szorstką wonią palonego tytoniu. Ludzie są jak papierosy, przyszło jej do głowy. Emocje potrafią ich rozpalić, a nadzieje i obietnice podtrzymują żar. A potem są wypaleni. Zdeptani i porzuceni. Świat to nic innego jak gigantyczna przepelniona popielniczka.

Kiedy to sobie wyobraziła, nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Jednak natychmiast spoważniała: śmiech brzmi idiotycznie, kiedy człowiek śmieje się sam.

Ogłuszający huk. Po nim przyszła ciemność.

Było dokładnie dwadzieścia siedem po czternastej. Ojciec siedział za kierownicą, matka na tylnej kanapie za nim. Vladimir na siedzeniu pasażera z przodu, a jego młodsza siostra Elisabeth obok matki.

Przed nimi jechał ciągnik siodłowy z naczepą załadowaną do pełna potężnymi balami drewna. Nagle jeden z pni zsunął się z pozostałych i niczym oszczep przeciął powietrze. Z brutalną siłą przebił przednią szybę samochodu po stronie kierowcy i jak pocisk przeszył całe wnętrze, zmieniając w krwawą masę głowy obojga rodziców, którzy mieli pecha znaleźć się dokładnie na jego trasie. Pozbawione kierowcy auto wpadło do rowu i kilkakrotnie koziółkowało.

Jadące samochodem rodzeństwo cudem przeżyło wypadek. Zanim do nich dotarło, że stracili oboje rodziców, nie mówiąc już o choćby częściowym otrząśnięciu się z traumy, na miejscu pojawiła się policja i przedstawiciele instytucji zajmującej się sprawami dzieci. Uradzono wówczas, że małoletnich można albo odesłać do dalekiej ojczyzny, albo pozostawić w Niemczech. Zdecydowano się na to drugie rozwiązanie, lecz dzieci nie miały tutaj żadnych krewnych – nikogo, kto mógłby się nimi zająć.

Pozostał więc jedynie sierociniec na obrzeżach Berlina – stary budynek, którego okna zasłonięte grubymi, czarnymi kratami wyglądały jak wyszczerzone zęby trupiej czaszki. Zarówno sama instytucja, jak i jej mieszkańcy wymagali szybkiej interwencji, która zapobiegłaby całkowitej ruinie. Lecz nikt nigdy nie planował ratować ani budynku, ani pensjonariuszy i ich wychowawców.

„Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, aż Pan wskrzesi cię z martwych w dniu Sądu Ostatecznego”, powiedział duchowny w czasie pogrzebu ich rodziców, kiedy obie trumny powoli opuszczano do grobów, a Vladimir i Elisabeth, wciąż sparaliżowani szokiem, patrzyli na nie opuchniętymi od łez oczyma.

Kierowniczką sierocińca zaprosiła ich na krótką rozmowę i zaraz na wstępie oznajmiła, że za kilka dni przechodzi na emeryturę. Zgodnie z jej słowami miała to być przyjazna dzieciom instytucja, w której panuje niemal domowa atmosfera, przestrzega się zasad i słucha innych. Lecz już pierwszego wieczoru Vladimir miał się przekonać, że prawda wygląda zgoła inaczej. W przytulisku obowiązywało prawo silniejszego, a jeśli zadarło się z niewłaściwymi ludźmi, można było nawet stracić życie. Należało z pokorą przyjmować wyroki ważniejszych od siebie, milczeć i mieć oczy dookoła głowy.

Vladimir i Elisabeth pozostali sami na świecie, zamknięci w sierocińcu niczym w klatce z drapieżnikami. Zalewali się łzami, siedząc we dwójkę na tarasie, pośród deszczu padającego z ciężkich, niemal czarnych chmur, całkowicie zasłaniających niebo. Czuli się maleńcy i bezbronni, niczym pojedyncza łza w obliczu ściany ulewnego deszczu.

Spoglądali na sosny i świerki po obu stronach drogi, trzymali się za ręce i drżeli ze strachu przed samotnością tak ogromną, jak nic innego na świecie. Zupełnie jakby poza nimi nie było nikogo na tym zimnym, bezdusznym świecie, oddalonym o nieprzebyte lata świetlne od grobu ich rodziców.

Kiedy Clara weszła do biura, na dworze wciąż jeszcze deszcz lał się z nieba strumieniami. Minęło właśnie wpół do dziewiątej rano, a na jej biurku czekał już raport Instytutu Medycyny Sądowej wraz ze zdjęciami Jakoba Kürtena – zarówno tymi, na których widać go było za życia, jak i tymi z domu, gdzie został znaleziony, i ze stołu sekcyjnego, przedstawiającymi jego aktualny stan.

Raport von Weinsteina wzbudził ogromne zainteresowanie Clary. Chodziło mianowicie o chrząszcze. Entomolog, którzy zbadał ich żołądki, znalazł w nich resztki DNA Jasmin Peters i Jakoba Kürtena. Clara natychmiast zadzwoniła do naukowca i zapytała, jak to możliwe, by po tak długim czasie dało się jeszcze wyodrębnić ślady obcego DNA w organizmach chrząszczy.

– Ze względu na to, że ciała owadów, w tym chrząszczy, wspierają się na egzoszkielecie, a więc szkielecie zewnętrznym, wiele białek morfogenetycznych kości nie zostaje błyskawicznie strawionych – wyjaśnił mężczyzna. – Stają się za to elementem budulcowym osłonki chitynowej i tam się odkładają. Chityna składa się ze związków węgla, podobnie jak DNA. To oznacza, że część wchłoniętych substancji zawierających między innymi atomy węgla nie zostaje przetrawiona, lecz jest wykorzystywana bezpośrednio do budowy pancerza chitynowego. – Clara stała przy oknie i przyciskając telefon do ucha, wsłuchiwała się zafascynowana w to, co przekazywał jej naukowiec. – Jeśli ma się odrobinę szczęścia – ciągnął mężczyzna – to można trafić na fragmenty DNA dostatecznie duże, by na ich podstawie przeprowadzić identyfikację.

Niesamowite, pomyślała policjantka. Chrząszcze mogące służyć za samobieżne banki DNA. Przez chwilę zastanawiała się, czy da się to jakoś wykorzystać w prowadzonym śledztwie i zidentyfikować mordercę. Czowała, że może to mieć jakieś znaczenie, lecz nie umiała jeszcze powiedzieć nic konkretnego. Skupiła się więc na dalszej części raportu.

Dział IT ustalił, że Kürten miał konta i aktywnie udzielał się na kilku platformach z forami dla wielbicieli sadomasochizmu oraz że wystąpił w kilku niskobudżetowych filmach dla homoseksualistów, zarówno w roli strony aktywnej, jak i biernej. Na dodatek, używając pseudonimu „NiosącyZarazę”, chwalił się w kilku miejscach w sieci, że już dwunastu partnerów zaraził wirusem HIV.

Nosił wilk razy kilka, pomyślała Clara. Bądź co bądź sam był kimś w rodzaju seryjnego mordercy. Tyle że tym razem trafił na kogoś znacznie gorszego od siebie.

Winterfeld często powtarzał, że każdy diabeł trafia w końcu na kogoś, od kogo mógłby się wiele nauczyć.

W powietrzu unosił się słodkawy aromat earl grey.

Martin Friedrich, zwany również MacDeathem, postawił na swoim biurku filiżankę i dzbanek pełen świeżego, wonnego naparu. Kiedy Clara stanęła w drzwiach jego gabinetu, siedział przy monitorze i skupiony na pracy pisał e-mail. Zapukała.

– Proszę, niech pani siada. Zaraz skończę i będę do pani dyspozycji – przywitał się.

Dziś miał na sobie niebieski pulower i bordowy krawat. Wskazał jej miejsce na krześle. Potem wrócił do pracy i palcem wskazującym niemal z agresją uderzył w enter. Jego ruch wyglądał jak nurkowanie sokoła, który dostrzegł gdzieś pod sobą buszującą w trawie mysz.

Clara usłyszała cichy sygnał programu pocztowego, oznaczający wychodzącą wiadomość, a MacDeath oderwał wzrok od monitora i oparł się wygodnie.

– No cóż – powiedział, składając dłonie. – W walce dobra ze złem zło znacznie lepiej się bawi. – Potem nachylił się nad biurkiem i spojrzął na kopię akt, które przed nim leżały. – Muszę przyznać, że ta sprawa wymaga szczególnej uwagi. – Zdjął okulary i odłożył je na blat. – A

wydawało mi się, że to Wilkołak był wyjątkowy. Uwierzyłyby pani, że to ledwie tydzień minął?

Clara niemal poczuła gęsią skórę, kiedy uświadomiła sobie, że MacDeath miał rację. Ledwie w zeszły piątek dopadli tamtego psychopaty, pośród morza krwi i kości, w towarzystwie rozczłonkowanego ciała jednej ofiary i żywej jeszcze dziewczyny. Clara go zastrzeliła. Spojrzała złu prosto w oczy, a potem wysłała Bernharda Trebckena zwanego Wilkołakiem w podróż do piekła z biletem w jedną stronę.

– Ale ten zwyrodnialec teraz... – MacDeath wyrwał ją z zamyślenia. Przebiegł wzrokiem wydruk e-maila, który morderca wysłał do policjantki. – Bezimienny. – Uniósł brwi i ostrożnie upił łyk herbaty. – Wie pani, zawsze sam parzę sobie herbatę. I zawsze earl grey. Wszystko zgodnie z zasadami, temperaturą i czasem zaparzania. Herbata, którą tutaj macie – mówiąc to wskazał palcem w dół, gdzie piętro niżej znajdowała się kuchnia – to jakaś katastrofa. Tak pewnie smakowała ta, którą musieli pić członkowie sekty Aum. Wie pani, to ci goście od ataku sarinem na tokijskie metro w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Nowi członkowie musieli pić herbatę zaparzaną wodą, w której wcześniej mył się ich guru. – Uniósł filizankę. – Dlatego wolę własnego earl grey. Napije się pani?

Clara uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Przyjęła już dzisiejszą dawkę kofeiny w towarzystwie Winterfelda, który palił przy oknie cygaretki. A lekarz z całą pewnością nie pochwalaby picia zbyt wielkich ilości kawy, biorąc pod uwagę stan jej żołądka. W ogóle nie wspominając o whisky i papierosach.

– Dziękuję. – Potrząsnęła głową. – Przed chwilą piłam.

– Bezimienny – powtórzył MacDeath, najwyraźniej zadowolony, że odmówiła po grzecznościowym pytaniu. – Jest wszędzie i nigdzie. Zawsze i nigdy. Pojawia się tylko wtedy, kiedy zabija.

– Jak pociąg metra, który na Choriner Straße wyjeżdża z podziemnego tunelu – podchwyciła Clara. – Jedzie przecież przez cały czas, ale widać go tylko wtedy, kiedy wynurza się z ciemności.

– Doskonale porównanie. – MacDeath z uznaniem pokiwał głową i przez chwilę nie odrywał wzroku od reprodukcji, które wisiały na ścianie za Clarą. Plakat filmu *Tytus Andronikus* z Anthonym Hopkinsem i *Sąd Ostateczny* Michała Anioła. Po kilku sekundach milczenia kontynuował: – Robert Ressler powiedział kiedyś, że normalny człowiek – i to się odnosi również do policyjnych profilerów, nigdy nie zdoła myśleć dokładnie tak, jak seryjny morderca, bo gdyby potrafił, sam by nim został. Może jednak wykorzystać jego zakrwawione buty, żeby przez jakiś czas w nich chodzić.

– A co pan widzi, kiedy próbuje pan wczuć się w jego rolę? – zapytała Clara. – Potrafi pan odtwarzać jego zachowanie?

– Problem polega przede wszystkim na tym, że są różne typy osobowościowe wśród seryjnych morderców. Zdarzają się mianowicie tacy, którzy zabijają w ślepej furii, by dać upust dręczącym ich pragnieniom, a więc robią to tylko dla siebie. Doskonale w tę charakterystykę wpasowywał się nasz Wilkołak. Nie wierzę, żeby jakakolwiek kobieta kiedykolwiek zgodziła się na odbycie z nim dobrowolnie stosunku. Dlatego albo je gwałcił, albo płacił im za seks. Ale najczęściej gwałcił i mordował.

– Bezimienny nie pasuje do tego profilu, jeśli miałabym to oceniać. – Clara była przekonana, że ten morderca jest wyjątkowo zdyscyplinowany, systematyczny i przepełniony lodowatym, sadystycznym spokojem, który przy nieopanowanym szaleństwie Wilkołaka wydawał się jeszcze bardziej niebezpieczny.

– Nie, z całą pewnością ma pani rację. – MacDeath pokiwał głową, podniósł okulary i przygryzł jeden z zauszników. – I to mimo że na pierwszy rzut oka wszystko wskazywałoby na

seksualny motyw agresji – jednak to tylko pozory. Nawet jeśli zamordował kobietę, a w jej pochwie umieścił spermę swojej wcześniejszej ofiary, uczynił to tylko dlatego, żeby zakpić sobie ze śledczych, nauczyć ich pokory i zasugerować gwałt. Lecz sam wybór ofiar, a więc homoseksualnego fetyszysty preferującego sadomasochizm i atrakcyjnej kobiety, ma w sobie coś moralizującego, to oskarżenie i jednocześnie wymierzenie sprawiedliwości. Właśnie dlatego Bezimienny ze swoim *modus operandi*, sposobem komunikacji i nieludzką wręcz cierpliwością jest doskonałym przeciwieństwem napędzanego popędami, niezorganizowanego, chaotycznego i spontanicznego mordercy. – Po raz kolejny zrobił pauzę, jakby szukał właściwych słów. – Mimo przesłanek pozwalających wnioskować, że poszukiwał ofiar w dość bezpruderyjnych kręgach, jeśli mogę tak je nazwać – a to, przypominam, był portal z ogłoszeniami towarzyskimi i strony dla sadomasochistów – jego działanie ma w sobie coś dojmującego...

– ... aseksualnego? – dokończyła Clara.

– Bingo! U seryjnych morderców to bardzo nietypowa sytuacja. Istnieje prawdopodobieństwo, że jakkolwiek seksualność uważa za coś chorego, nieczystego i bolesnego, przy czym podejrzewam, że źródła takiego skrzywienia należałoby się doszukiwać w jego doświadczeniach z dzieciństwa. – Przerwał i zabrał się do układania rozsypanych kartek na biurku. – A to z kolei każe nam się skupić na drugiej grupie morderców. Na potrzeby naszej rozmowy nazwałbym ich mordercami pedagogami. Uważają się za nauczycieli, a swoją działalność za zemstę za wyimaginowane winy, tudzież artystyczny wyraz krytyki społeczeństwa. Chcą zwrócić uwagę opinii publicznej na coś, co im samym nie daje spokoju. Przy czym nie uważają, by mówienie o tym wprost było wskazane; wolą wskazywać na to swoimi czynami, by móc wierzyć w swoją niezłomność i skuteczność.

– Zaskakująca i dziwaczna forma nauczania. – Clara potrząsnęła głową. Pomyślała o nagraniu, które dostała na płycie CD, o nożu i cięciu na szyi bezbronnej dziewczyny, z którego krew na początku tylko się sączyła, by w końcu szeroką strugą zalać ciało.

MacDeath sięgnął dłonią w kierunku dźwigni do ustawiania wysokości fotela.

– Skoro pani twierdzi, że to chore, to takie jest. Są jednak tacy psychopaci. Rzadko posuwają się tak daleko, ale mimo wszystko czasem mamy z nimi do czynienia. Zna pani na pewno historię Charlesa Mansona, jego idei helter skelter i historii z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku?

Clara skinęła głową.

– Manson chciał, żeby wszyscy myśleli, że morderstwa Sharon Tate i innych nie dokonała jego banda, którą nazywał rodziną, tylko czarni. Czarni, którzy chcieli przywalić *rich pigs*. Zgodnie z jego planem biali mieli oskarżyć czarnych, co doprowadziłoby do wojny domowej między białymi i czarnymi. To było ważne, bo, jak wierzył Charles Manson, czarni byli zbyt głupi, by samodzielnie prowadzić wojnę. Święcie wierzył, że będą potrzebowali przywódcy, przewodnika zrodzonego przez anarchię wojny domowej, który powiedzie ich do zwycięstwa i zaprowadzi nowy porządek świata. I tym kimś miał być właśnie on.

– Historia Trzeciej Rzeszy w pigułce – stwierdziła Clara.

– Brzmi znajomo, nieprawdaż? – MacDeath podrapał się po brodzie. – Manson był wielkim fanem Adolfa Hitlera. Helter skelter to miała być ostatnia bitwa między białymi i czarnymi, z której czarni pod wodzą Charlesa Mansona wyjdą zwycięsko. Coś w rodzaju Sądu Ostatecznego.

Clara odwróciła się na chwilę, by spojrzeć na plakat z fragmentem dzieła Michała Anioła. W Apokalipsie świętego Jana ani jeden fragment nie miał nic wspólnego z Charlesem Mansonem. Równie niewiele wzmianek o nim można było znaleźć w aktach obecnej sprawy.

– No dobrze, ale do czego pan zmierza? Jaki związek ma Charles Manson z naszym



śledztwem?

– Większy niż się pani spodziewa – odparł MacDeath. – W obu przypadkach chodziło bowiem nie o seks, lecz o władzę.

– Tam gdzie idzie o seks, zazwyczaj również chodzi o władzę – odparła Clara. – Dominacja, poniżanie... wielu z nich pragnie być poniżanych.

– I znów ma pani rację – przyznał MacDeath. – Tyle że w takiej sytuacji seks jest jedynie środkiem prowadzącym do władzy. Narzędziem. Mansonem kierowały inne motywy, tak jak i naszym mordercą. Chodzi o coś znacznie bardziej doniosłego niż chwilowe zaspokojenie swoich żądz.

Załoczył okulary i spojrzał na siedzącą przed nim policjantkę. Clara dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pod wpływem jego wzroku wierci się niespokojnie.

– Manson wykorzystywał morderstwa w duchu helter skelter jako medium do komunikacji, jakby chciał przekazać wszystkim białym ostrzeżenie: patrzcie, do czego są zdolni wkurzeni czarni. Nasz zabójca – oparł się wygodniej – działa nieco inaczej. Dla niego sama zemsta jest ważniejsza od dzieła, przez które się dokonuje. Jest trochę jak kot, który bezustannie przynosi swojej pani martwe myszy i kładzie je pod drzwiami, nie zastanawiając się w ogóle, czy ona tego chce czy nie.

– Bezustannie? – powtórzyła Clara. – Czy to ma znaczyć, że powinniśmy się spodziewać kolejnych ofiar?

– Nie mam co do tego wątpliwości – odparł Friedrich. – I to niezależnie od tego, jak ponuro to brzmi. Coraz to nowe martwe myszy. Jakby czekał, aż go ktoś za to pochwali.

– Pochwali?

MacDeath przytaknął.

– Morderca wie, że widziała pani w życiu niejedno. Być może zna nawet historię z Wilkołakiem, chociaż staraliśmy się media trzymać od niej z daleka. Jednak akurat on wydaje się bardzo inteligentny. Wie zatem, że do kogoś takiego jak pani nie może przyjść z byle czym. – Przerwał, wyrzwał przez okno i dopiero po chwili mówił dalej: – Jeśli ktoś chce zaprosić Nicole Kidman na randkę, musi zaoferować nieco więcej niż puszkę piwa i cheeseburgera. Dlatego nasz morderca chce pani dać znacznie więcej. – Zamknął oczy.

Świetne porównanie, pomyślała Clara.

– I na razie mu się udaje – kontynuował po chwili Friedrich. – Na dzień dobry zaszokował panią nagraniem morderstwem. Zaraz po pierwszym szoku był gotów z kolejnym uderzeniem: sfilmowane morderstwo popełnił sześć miesięcy wcześniej. I ani pani, ani cała reszta policji nie kiwnęliście w tej sprawie palcem. Bądźmy szczerzy, gdyby sprawca sam nie dał nam znać, dalej nie mielibyśmy pojęcia o Jasmin Peters i kolejne miesiące żyłaby pani w nieświadomości. Potem morderca postanowił panią wynagrodzić: chciał, żeby miała pani przez chwilę poczucie, że jest już blisko niego, a właściwie to nawet o krok przed nim. Czuła się pani zwyciężczynią. Podejrzewała, że morderca jest już praktycznie pojmany. Tak, to Jakob Kürten, wiemy, gdzie mieszka i właśnie po niego jedziemy. Bezimienny chciał, żeby dała się pani ponieść zwycięstwu, bo wie, że to panią napędza. Najciekawsze, że nie widzi w pani przeciwnika, lecz sprzymierzeńca. Jest pani dla niego kimś w rodzaju sparingpartnera czy sędziny.

Clara poczuła zimne dreszcze.

– Chce pan powiedzieć, że w ten sposób robi ze mnie swojego współnika? Że niby jesteśmy współwinni?

MacDeath z niewzruszoną miną kiwnął głową.

– Tak jest. Jednocześnie chce zachować autorytet. I w ten oto sposób wracamy do kwestii władzy. Czystej władzy, do której nie potrzebuje seksu jako narzędzia. – Wzruszył ramionami.

Clara siedziała na samym brzeжку krzesła i wsłuchiwała się z napięciem w jego słowa. – Bo zanim poczuje się pani zbyt pewnie i potraktuje go jak zwykłego głupka, jednym cięciem skalpela pokaże pani, jak bardzo się pani myliła. Udowodni, że przez cały czas wodził panią za nos. I że ten, kogo miała pani za mordercę, w rzeczywistości był ofiarą.

Clara westchnęła. Dyskusja z Martinem Friedrichem była bardzo ciekawa, lecz jednocześnie wyczerpująca. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że MacDeath tworzy profil psychologiczny nie tylko mordercy, ale niejako przy okazji również jej.

– Dlaczego to robi?

MacDeath uniósł filiżankę i z przesadną ostrożnością upił łyżeczek herbaty, choć nie powinna być już gorąca. Potem wrócił do akt i zaczął je przekładać.

– Nie wiem, czy to się pani również rzuciło w oczy – zaczął. – Ofiara musiała powiedzieć, że nie jest pierwsza i nie będzie ostatnia. A potem dodała, że chaos będzie trwał. Jej słowa mają charakter proroczy i są, że tak powiem, przepowiednią. Jeszcze jedno... – Zamilkł, robiąc znaczącą pauzę.

– Co takiego? – zapytała Clara.

– Trzeba jeszcze przemyśleć fakt, że rozciął swoim ofiarom klatkę piersiową, dosłownie je wypatroszył, a potem zmumifikował. Jak pani myśli, po co to zrobił? – Spojrzał na nią ponad stołem. – Co go do tego skłoniło?

– Przecież już to ustaliliśmy. – Potrząsnęła głową. – Zależało mu, żeby ciała jak najszybciej wyschły, bo to zabezpieczało je przed gniciem i wydzielaniem smrodu. – Nagle w jej głowie pojawił się jakiś niewyraźny pomysł, który już wcześniej usiłowała doprecyzować, lecz podobnie jak poprzednio i tym razem nie dała sobie z tym rady. Czowała jednak, że może być bardzo ważny dla śledztwa.

– Tak, żeby zwłoki nie wydzielaly smrodu, to prawda. – MacDeath oparł się wygodniej i złożył ręce. – Ale ja widzę jeszcze jeden efekt takiego zabiegu, który niekoniecznie jest przypadkowy.

– Jaki konkretnie?

– Rozciął zwłoki i usunął z nich narządy wewnętrzne, jak już ustaliliśmy. – Wstał z fotela, wyszedł zza biurka i przyjrzał się reprodukcji *Sądu Ostatecznego*. Clara podążyła za jego spojrzeniem i jej wzrok spoczął na świętym Bartłomieju, który odarty żywcem ze skóry niósł ją teraz jako dowód swego męczeństwa.

MacDeath potaknął.

– Dokładnie jak święty Bartłomiej z tego fresku, który niesie własną skórę, a na niej widać jeszcze twarz. Tak naprawdę to twarz Michała Anioła, jakby chciał w ten sposób pójść na skrót i dostać się do nieba, nie będąc męczennikiem. – Wskazał palcem na fragment, który Clara właśnie oglądała. – Jak święty Bartłomiej niesie swoją skórę, tak morderca niesie wnętrzności i krew swoich ofiar. – Minął reprodukcję, przeszedł przez pokój i zatrzymał się obok komody, na której stały torba lekarska i ludzka czaszka. Złożył ręce na piersiach i wrócił do swojego wyvodu. – Typowy rytuał ofiarny. Od kiedy ludzie zaczęli czcić swoich bogów, ofiarowywali im właśnie krew i wnętrzności. Niektóre narządy wewnętrzne, takie jak na przykład wątroba, żołądek czy przede wszystkim serce, mają szczególne znaczenie. Ludzka krew, którą spala się na ołtarzu, wytoczona z człowieka zabitego tylko w tym celu, miała mieć moc przyzywania zagubionych dusz.

– Morderca okultysta? – Clara uniosła brwi. – Satanista? Psychopatyczne medium? – Nie była przekonana, czy taki profil pasowałby do chłodnego, systematycznego i wyjątkowo racjonalnego sposobu postępowania mordercy.

– Nie, niekoniecznie. – MacDeath potrząsnął głową. – Jednak istnieje

prawdopodobieństwo, że popełnia swoje czyny ku czyjejś chwale. Nagrywanie morderstw, pożegnanie jednej z ofiar w sposób niemal liturgiczny, wytoczona krew i usunięte wnętrzności, które zabiera ze sobą... może robi to dla Boga, a może dla szatana. Może jeszcze dla kogoś innego...

Clara gorączkowo szukała myśli, która wcześniej przemknęła jej przez głowę i której nie potrafiła sprecyzować, przez co słuchała Friedricha tylko jednym uchem.

– A co ze mną? – zapytała. – Dlaczego akurat ja?

MacDeath wrócił za biurko i sięgnął po akta w czerwonej teczce.

– Znam pani historię – oznajmił. – Wiem mniej więcej, co się stało z pani siostrą. I wydaje mi się, że przy wszystkim, przez co pani przeszła w policji, utrata młodszej siostry zamordowanej przez pedofila jest najgorszą traumą, jaką pani przeżyła. – Mówiąc to, stuknęła palcem w papiery. – I do dzisiaj czuje się pani winna, prawda?

Clara poczuła, jak dziko wali jej serce. Zaciśnęła pięści.

– Uważa pan, że napędza go poczucie winy? Stąd składanie ofiar? Wnętrzności i krew? Tylko czemu czuje się winien?

– To oczywiście tylko spekulacje – zastrzegł MacDeath. – Bo na razie, niestety, nie mamy dość informacji i nawet w przybliżeniu nic nie wiemy ani o środowisku, z którego się wywodzi, ani o jego przeszłości. Lecz może morduje kobiety, wykrwawia je i patroszy, kierując się podobnymi racjami jak pani, kiedy po śmierci siostry podjęła pani decyzję o zostaniu policjantką i ściganiu morderców?

– Porównuje mnie pan z mordercą? – zapytała Clara wzburzona i wstała gwałtownie z krzesła. Ze zdenerwowania trzęsły się jej ręce.

– W pewien niebezpośredni sposób tak. – MacDeath uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Patrząc teraz na niego, trudno byłoby się domyślić, jak przerażające rzeczy widziały jego ciemne oczy. – On morduje kobiety, żeby coś naprawić. Pani zabija morderców, żeby coś wyprostować.

Clara spłotła ramiona na piersiach, jakby chciała się zasłonić przed tym oburzającym i szokującym oskarżeniem.

– Naprawdę chce pan powiedzieć, że można porównywać mordercę do mnie?

Martin Friedrich wzruszył ramionami.

– Nie tyle można, ile trzeba.

Clara chciała wyjść z jego gabinetu i trzasnąć z całej siły drzwiami, lecz akurat w tej samej chwili myśl, którą przez cały czas usiłowała pochwycić, przybrała w jej głowie czytelny kształt. Niespodziewanie dla niej samej zrozumiała, co nie dawało jej spokoju, i natychmiast podążyła tym tropem.

– Chrząszcze! – krzyknęła.

– Słucham? – Friedrich spojrzał na nią zbity z tropu.

Clara zapomniała już, że przed chwilą była na niego wściekła.

– Twierdził pan, że nasz morderca chce coś naprawić, tak samo jak ja. A nasz problem polega na tym, że nie mamy absolutnie najmniejszego punktu zaczepienia, żeby ustalić, kim ten człowiek jest, prawda?

MacDeath skinął ostrożnie głową.

– Mniej więcej.

– Kazał mówić coś jednej z ofiar. – Clara zaczęła krążyć po pokoju, usilnie starając się nie zgubić wątku, co było trudne przy natłoku myśli, które wirowały jej w głowie. – Kazał powiedzieć Jasmin, że nie jest pierwsza i nie będzie ostatnia. – Zatrzymała się i przeszła Friedricha wzrokiem. – Pierwsza! Pierwsza!

MacDeath zaczął rozumieć, o co jej chodzi.

– Twierdzi pani, że on pierwszą ofiarę...

– Właśnie! Najprawdopodobniej ją również zmumifikował. – Clara rozglądała się podekscytowana po pomieszczeniu. – Może nawet wykorzystał do tego te same chrząszcze, choć to oczywiście zależy, kiedy zabijał wcześniej.

MacDeath odstawił filiżankę i potrząsnął głową.

– To możliwe! W końcu mamy od czego zacząć!

Clara ciągnęła dalej.

– Instytut Medycyny Sądowej musi natychmiast zabrać się do badania wszystkich chrząszczy! Jeśli w którymś znajdziemy DNA nienależące ani do Jasmin Peters, ani do Jakoba Kürtena, może to być ślad, który doprowadzi nas do jednej z wcześniejszych ofiar, a może nawet do pierwszej ofiary.

MacDeath zmarszczył czoło.

– Prawdopodobieństwo jest minimalne, ale ponieważ nie mamy nic, co mogłoby wskazać na ślad wcześniejszych ofiar, nie ma na co czekać. – Sięgnął po telefon. – A pierwsza ofiara jest ważna. Pierwsze morderstwo jest jak pierwszy seks. – Wybrał numer do instytutu. – Tego się nie zapomina. Oni zawsze wracają w okolice miejsca, gdzie po raz pierwszy odebrali komuś życie. Albo do swoich pierwszych zwłok.

Ingo M. pracował jako jeden z opiekunów w sierocińcu. Liczył sobie trzydzieści kilka lat i był człowiekiem niewahającym się użyć przemocy. Miał ciało o kształcie beczułki, długie kościste nogi i wielkie silne ramiona zakończone szerokimi dłońmi, którymi niejednego buntowniczo nastawionego mieszkańca ośrodka „sprowadził do pionu”, jak zwykł mawiać.

Wydawało się jednak, że lubił Vladimira, choć nie miał ku temu żadnych wyraźnych powodów. Chłopak co prawda nie łamał ustalonych zasad, jednak był małomówny, zamknięty w sobie i często sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie istniał.

– Chcesz pooglądać filmy o ninja? – zapytał Ingo.

– Chyba tak – odparł Vladimir.

Poszli do pokoju wychowawcy, gdzie monitory wyświetlały obraz z kamer na korytarzach i w salach. Usiedli przed telewizorem i obejrzeli film.

„Żeby pokonać noc, trzeba stać się jej częścią” – oznajmił w którejś ze scen filmu główny bohater – wojownik ninja.

Historia przedstawiona w filmie rozgrywała się w latach osiemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych i w niepokojący sposób przypominała Vladimirowi jego własne życie. Młody funkcjonariusz oddziałów specjalnych pracujący w FBI w wydziale do walki z narkotykami naraził się potężnemu bossowi mafii narkotykowej. Przestępcy zlecili wymordowanie całej jego rodziny. Potem sam został przez nich pojmany, a w niewoli siłą szprycowano go narkotykami. Uzależnił się w ten sposób od substancji, które przez całe życie zwalczał, lecz mimo to zdołał uciec. Na jego drodze pojawił się mistrz ninja, który zgodził się go szkolić i poddał bezkompromisowemu treningowi, dzięki czemu policjant stał się wojownikiem ninja.

Już jako wojownik ninja zaczął się mścić na swoich oprawcach. Zabił wszystkich członków gangu narkotykowego, sięgając aż do ich mocodawcy, bossa całej organizacji, którego pokonał w pojedynku, uprzednio eliminując jego ochroniarzy. Na samym końcu szef całego podziemia leżał ciężko ranny na ziemi i błagał, by go w końcu zabił. Wojownik ninja wyjął miecz i uniósł go nad głowę. W oczach dogorywającego bossa pojawił się błysk nadziei. Lecz w tym momencie wojownik wbił miecz w ziemię obok niego i powiedział: „Harakiri nie jest zarezerwowane jedynie dla samurajów”.

A potem zostawił umierającego przestępcę swojemu losowi.

Jeszcze długo po filmie Vladimir spoglądał roztrzęsiony i podekscytowany w ekran. Wciąż jeszcze widział przed sobą czarnego wojownika ninja, jak bezlitośnie mści się za śmierć bliskich i zabija kolejnych wrogów, by na końcu, otoczony nimbem zwycięzcy, usunąć się w cień.

Lecz to, co chłopak zobaczył na ekranie, było dalekie od rzeczywistości. Prawdziwe życie rozgrywało się tu i teraz. Rzeczywistość była sierocińcem i pokojem wychowawcy, w którym siedzieli i w którym monitory migotały niebieskawym światłem, w którym stała pomarańczowa popielniczka i z którego okien widać było czarne grube kraty, takie same jak w każdym innym oknie budynku.

I rzeczywistość też była taka, że Vladimir tak bardzo dał się porwać historii na ekranie, że nie zwracał uwagi na Inga i jego lubieżne spojrzenia.

Winterfeld stał w otwartym oknie z cygaretką w dłoni i raz po raz wypuszczał chmurę dymu w zimne, wilgotne powietrze. Clara stała obok niego i czekała, co powie.

– Wytłumaczyłaby mi to pani raz jeszcze? – poprosił w końcu. – Rozmawiała pani z naukowcami od robali, którzy powiedzieli, że chrząszcze mogą magazynować obce DNA?

– Zgadza się – potwierdziła i głębiej wcisnęła ręce w kieszenie, zaskoczona odpornością szefa na chłód. – Częstki DNA to struktury białkowe. W normalnym procesie trawienia ulegają całkowitemu rozkładowi, przez co nie da się ich potem zidentyfikować. Jednak są od tego wyjątki.

– Jakie? – zapytał Winterfeld, delektując się aromatem cygaretki.

– Owady, a konkretnie chrząszcze, które mają chitynowy szkielet zewnętrzny. Entomolog z Instytutu Medycyny Sądowej wyjaśnił, że do budowy tego pancerza są potrzebne między innymi związki węgla. A DNA, jak zresztą większość związków organicznych, jest zbudowane między innymi z atomów węgla. – Przerwała, żeby szybko pozbierać i uporządkować w myślach nowe wiadomości. – Kiedy w organizmie chrząszczy potrzeba atomów węgla do wzmocnienia chitynowego pancerza, zdarza się, że w strukturze tego szkieletu odkładane są całe fragmenty związków zawierających węgiel, zanim zostaną gruntownie przetrawione. Jeśli proces trawienia był zbyt zaawansowany, nie ma szans, żeby wyodrębnić obce DNA z pancerza chitynowego.

– Czy to znaczy, że chrząszcze mogą być ruchomymi bankami kodów DNA? – Winterfeld zmrużył oczy i spoglądał gdzieś daleko przed siebie. Po chwili popatrzył na Clare. – I to nawet wtedy, gdy od dawna już nie żyją?

– Zaskakujące, prawda? – Clara schowała głowę między ramiona, bo nie czuła się komfortowo omiatana podmuchami zimnego wiatru, który hulał po korytarzu. – Chityna, w której skład wchodzi atomy węgla, działa w tym wypadku jako naturalny konserwant. Ten mechanizm można chyba porównać do uwięzienia owada z prehistorycznych czasów w kropli żywicy, którego dzisiaj, miliony lat później, można odnaleźć w kawałku bursztynu. – Skinęła dwóm kolegom, którzy szli akurat korytarzem. – Chrząszcze są już martwe, ofiara również, ale DNA ofiary wciąż można odczytać.

Winterfeld milczał przez dłuższą chwilę.

– Myśli pani, że morderca zdaje sobie z tego sprawę? – zapytał w końcu. – Może wiedzieć, jak wygląda metabolizm u chrząszczy?

– Mam nadzieję, że nie – odparła Clara.

– W zależności od tego, jak dawno temu zginęła pierwsza ofiara, istnieje możliwość, że ten chrząszcz, którego szukamy, też już dawno nie żyje?

Policjantka przytaknęła.

– To by oznaczało, że morderca musiałby przez przypadek przynieść jednego lub kilka martwych chrząszczy razem z żywymi okazami do mieszkania Jasmin Peters? – Westchnął. – Mało prawdopodobne, prawda?

Clara wzruszyła ramionami.

– Również mało prawdopodobne jest, żebyśmy ruszyli z miejsca, ignorując tę możliwość.

Winterfeld przecesał włosy dłonią i spojrzął na zegarek.

– Cóż, w takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak obarczyć naszych przyjaciół z Instytutu Medycyny Sądowej dodatkową pracą. O ile zrozumiałem pani pomysł, czeka ich teraz setka, jak nie więcej, sekcji chrząszczy.

– Pewnie nawet kilkaset – odparła Clara. – I właśnie dlatego potrzebuję pana wsparcia.

Nikt nie może mieć najmniejszych wątpliwości, że to decyzja całego wydziału zabójstw, a nie czyjeś widzimisię. Nie chcę, żeby nasi lekarze sądowi pobiegli ze skargą na mnie do Bellmanna.

– Spokojnie. – Winterfeld uśmiechnął się łobuzersko. – Jeśli Bellmann będzie chciał się kogokolwiek czepiać, padnie na mnie, nie na panią.

Uśmiechając się, wypuścił dym z płuc. Czasem widać było w jego zachowaniu coś młodzieńczego.

Clara również się uśmiechnęła.

– Wielkie statki mają większe szanse, by przetrzymać silny sztorm, niż małe jednostki. Jako hamburczyk powinien pan wiedzieć takie rzeczy. Tym bardziej że nawet jesienna słońca nie jest w stanie pana zmóc. – Wskazała głową za okno.

– Piękne porównanie, señora. Z takim darem perswazji zrobiłaby pani karierę w dyplomacji.

– To jak będzie? – zapytała Clara. – Zgadza się pan?

– W najgorszym razie czeka ich sekcja kilkuset chrząszczy i może z pięćdziesiąt dodatkowych godzin pracy?

– Tak, w najgorszym razie.

Główny komisarz westchnął, wyrzucił niedopałek na zewnątrz i schował dłonie w kieszeniach. Clara zastanawiała się, jak wiele niedopałków leży już na ziemi poniżej i czy ktokolwiek zaprzęta sobie głowę ich zbieraniem.

– W takim razie nie ma na co czekać. – Winterfeld po raz ostatni przesunął dłonią po włosach.

– Aye, aye, sir. – Clara zaszalutowała na pożegnanie i wróciła do siebie, żeby zadzwonić do Martina Friedricha.

Clara i doktor Friedrich alias MacDeath stali na korytarzu wydziału entomologii Instytutu Medycyny Sądowej. Ściany przykrywały rzędy szklanych gablotek z wypreparowanymi chrząszczami, motylami, pędrakami, stonogami i pajakami. Von Weinstein zdjął okulary w eleganckich oprawkach i potarł oczy. Wciąż widać było po nim ogromne zmęczenie.

– Mamy przynajmniej ze trzysta zdechłych osobników, które technicy zabezpieczyli w pokojach i zwłokach Jasmin Peters i Jakoba Kürtena – powiedział powoli, a w jego głosie słyhać było ledwie skrywane niezadowolenie. – Poza tym mamy jeszcze ponad pół tysiąca żywych chrząszczy, które trzymamy w dwóch terrariach: w jednym owady zebrane w mieszkaniu Jasmin Peters, a w drugim te z domu Jakoba Kürtena. – Westchnął ostentacyjnie i założył z powrotem okulary. Następnie poprawił biały kitel i ciągnął: – A wy chcecie, żebyśmy przeprowadzili im wszystkim sekcje, przy czym te, które jeszcze żyją, miałyby zostać uśpione gazem?

Clara przytaknęła.

– Wielki Boże, to przecież niemal tysiąc minisekcji! Musimy te małe cholerniki pociąć, obejrzeć pod mikroskopem ich pancerze, przeprowadzić kilka testów chemicznych, a potem wysekwencjonować DNA i przeprowadzić porównanie, oczywiście pod warunkiem, że jakieś znajdziemy!

– Dokładnie tak, jak pan mówi. – Clara spojrzała na swojego partnera. Główny komisarz kiwnął głową. – Około tysiąca chrząszczy, ale możliwe, że znacznie mniej, bo wszystko zależy od tego, czy i przede wszystkim jak szybko uda się wam znaleźć obce DNA, które nie należałoby w dodatku ani do Jasmin Peters, ani do Jakoba Kürtena.

– To jakieś wariactwo – oznajmił von Weinstein i potrząsnął głową. – To potrwa całą wieczność. Co więcej, nawet jak już będzie po wszystkim i jakimś cudem znajdziemy ślady, to i tak nie możemy mieć pewności, że to DNA uda się nam do kogoś dopasować.

Mówiąc to, uczynił szeroki gest dłonią, wskazując na szklane gabloty, które wisiały wzdłuż korytarza.

– Nie wiem, czy słyszała pani o tym, że nasze chrząszcze są wszystkożerne? Może wcześniej żywiły się jakimś innym ciałem, które w ziemi leżało od wielu, wielu lat. A to by postawiło nasze dochodzenia całkowicie na głowie.

– Przyznaję, że to wszystko nie brzmi zbyt prawdopodobnie – rzekła Clara. – W zależności od tego, jak dawno temu zamordował swoją pierwszą ofiarę, mówimy o chrząszczu, który ma kilka lat i jest martwy. Jeśli morderca rzeczywiście zaczął tak dawno temu, to prawdopodobieństwo, że jeden martwy owad zapodział się gdzieś między żywymi, zebranymi w mieszkaniu Jasmin Peters albo Jakoba Kürtena, jest minimalne. – Spojrzała poważnie na von Weinsteina. – Ale nie mamy niczego innego.

Von Weinstein pokiwał głową.

– Niestety, nie mamy. Jednak prawdopodobieństwo, że zmarnujemy czas, pracując na próżno, moim zdaniem niemal graniczy z pewnością.

– Zgadzam się, że to ogromne ryzyko, niemniej musimy je podjąć. – Clara wzruszyła ramionami.

– Panie doktorze – do rozmowy włączył się MacDeath. – Wydział zabójstw przekazał instytutowi dość jednoznaczne polecenie i jasno określił zakres działania. Na razie media trzymamy od wszystkiego z dala, lecz istnieje przecież ogromne prawdopodobieństwo, że morderca postanowi sam nagłośnić swój kolejny wybryk.

Spojrzał na von Weinsteina równie badawczo, jak wcześniej na Clarę.

– Z całą pewnością nie chcielibyśmy, żeby później ktoś mógł nam zarzucić, że policja nie była zainteresowana sprawdzeniem każdego śladu, który mógłby nas przybliżyć do zatrzymania przestępcy. Mam rację?

Von Weinstein potarł oczy i schował okulary do kieszeni na piersi fartucha.

– Tak, ma pan rację, nie mamy żadnego innego punktu zaczepienia. Mimo wszystko uważam, że to walka z wiatrakami.

– Ktoś, kto walczy, może przegrać – powiedziała Clara, ruszając w stronę wyjścia. – Ktoś, kto nie podjął walki, już przegrał.



Niespodziewanie jakaś ciemna moc zaczęła się gromadzić i gęstnieć; tak ogromna i przerażająca, że dość szybko zajęła cały horyzont i przysłoniła niebo. A potem runęła na Vladimira i go otoczyła. Niespodziewanie. Znikąd.

Ingo zażądał od Vladimira, by z jego ciałem robił rzeczy odrażające. Bo Vladimir był mu to winien; bądź co bądź bardzo dbał o chłopaka. Ingo tłumaczył, że oglądali razem filmy i że bronił go przed innymi chłopakami z domu dziecka.

– Sam widzisz, więc powinieneś być dla mnie przynajmniej miły – oznajmił, rozpinając spodnie. A potem położył Vladimira na kanapie i odwrócił na brzuch. Kiedy się na niego wgramolił, chłopaka drażnił w nos smród jego oddechu przesiąkniętego dymem z papierosów i chili con carne; i czuł jego erekcję, najpierw na sobie, a później w sobie. Coś wbiło się w niego, niosąc ból – coś, co nie powinno się tam znaleźć. Jak u os, które za pomocą długiego żądła składają jaja w innych owadach. Z tych jaj wylęgają się później młode osy i na początku odżywiają ciałem gospodarza.

Coś takiego było teraz w nim, we Vladimirze. Niszczyło go od środka, pożerało, plugawiło i zabijało. Nawet wtedy, kiedy Ingo już dawno poszedł.

Vladimir leżał na łóżku i płakał. Czuł ogromny ból w podbrzuszu. Jest we mnie coś, czego tam nie powinno być, myślał. Musiał się tego pozbyć. Tylko jak? Rozciąć sobie brzuch i wyrwać zbrukane wnętrze, by umrzeć i być dalej już tylko duchem, wolnym od brudu i odrazy? A może Ingo zniszczył w nim coś, czego nigdy już nie odzyska? Coś, przez co stał się zupełnie innym człowiekiem?

Powie o wszystkim dyrektorowi placówki. Takie rzeczy nie powinny, nie mają prawa się zdarzać.

Długo jeszcze Vladimir leżał i płakał, zanim w końcu usnął.

Wczesnym piątkowym popołudniem Julia usiadła przed komputerem i zalogowała się na swoje konto w portalu Dategate, żeby sprawdzić przychodzącą pocztę. Zastanawiała się, czy wyjść jeszcze z przyjaciółmi do miasta, jednak to i tak najwcześniej około północy, więc miała czas. W tle słyszała włączony telewizor, w którym nadawali akurat ten nowy show, *Shebay*. Jednym uchem słuchała, jak prowadzący miesza z błotem kolejne dziewczyny. W tej chwili puszczali nagrany wcześniej odcinek, a na później zapowiedzieli transmisję na żywo z finałowej walki.

Julii przemknęło przez głowę, że przecież sama mogłaby się zgłosić do udziału w takim programie, jednak nie myślała o tym zbyt długo, bo akurat przeglądała skrzynkę odbiorczą. Autorami niemal wszystkich wiadomości byli napaleni nieudacznicy, zakompleksieni anonimowi udawacze, którzy notorycznie wykorzystywali zdjęcie Christiana Bale'a jako swoje, wierząc chyba, że kobiety są dość głupie, by dać się na to nabrać. Znalazło się też kilku bezczelnych emerytów mających nadzieję, że przez internet jeszcze choć raz uda im się zbałamucić jakąś dziewczynę, by po popołudniowym spacerze w parku iść gdzieś się zabawić.

Kilka tygodni wcześniej Julia zerwała z chłopakiem. Mamił ją opowieściami o swojej firmie i Bentleyu, którym miał jeździć, lecz dziwnym trafem auta nigdy nie było na miejscu, kiedy dziewczyna chciała je zobaczyć. Miejsca na szczycie jest niewiele, powtarzał z wyższością w głosie. Złamasy muszą chodzić piechotą. Sam siebie oczywiście widział w wąskim gronie okupujących ten wyimaginowany szczyt, gdy tymczasem okazało się, że również i on musiał chodzić piechotą, jak zwykli śmiertelnicy. Jego „firma” w rzeczywistości była małą restauracyjką, którą dopiero co zamknął sanepid. Idiota.

Julia zmieniła zakładkę i z Dategate przeniosła się na Facebooka. Część przyjaciół była już online.

„Moja kotka gdzieś sobie poszła. Mam nadzieję, że lada chwila wróci”, napisała. Niemal natychmiast odpowiedziała jej dwójka znajomych.

Pierwszy napisał tylko: „miau”.

A drugi poprosił, żeby pozdrowiła kota.

Obaj znali Princess, trzyletnią pręgowaną kotkę Julii. Nocą zwierzę zawsze spało na nogach swojej pani. I chętnie pozowało do fotografii. Julia opublikowała kilka jej zdjęć na Facebooku.

Julia знаła swoją wartość. Wiedziała, że nie jest skazana na dożywocie w towarzystwie kotów, nawet jeśli były znacznie przyjemniejsze w obejściu i mniej stresogenne niż faceci. Wiedziała, że ze swoim wyglądem może zdobyć praktycznie każdego. Problem polegał jedynie na tym, że ci naprawdę najfajniejsi goście – czyli ci, którzy mieli pieniądze – albo byli już zajęci, albo nie dało się ich w ogóle spotkać, nie mając kart wstępu do snobistycznych klubów, w których przesiadywali.

Czy portal typu Dategate nadawał się do jej celów? Nie, raczej nie. Mimo wszystko Julia spędzała długie godziny na stronach z profilami użytkowników. Sama nie potrafiła sobie tego wyjaśnić. Być może dlatego, że tutaj uwaga wszystkich skierowana była wyłącznie na nią? Tutaj wszyscy jej pożąдали, a przy tym byli dość daleko, by nie musiała się z taką zgrają nieciekawych postaci spotykać na żywo.

Zajrzała do skrzynki odbiorczej. Cztery nowe wiadomości. Jedna zdecydowanie przyciągnęła jej uwagę:

„Widzę coś w twoich oczach i zadaję sobie pytanie, czy pozostali też to zauważyli?”

Julia wyprostowała się z zainteresowaniem. W ten sposób nikt tutaj nie próbował jej zagadywać. Zwięźle, mimo wszystko dość bezpośrednio, ale jednak inaczej. Bez porównania z tym nadętym bucem z Charlottenburga, który wysyłał jej elaboraty na całe strony A4:

„Słuchaj, tak pomyślałem, że nie musimy niczego przyspieszać i do niczego się zmuszać. Poza tym nie mam pewności, czy właściwie rozumiałaś moje e-maile. Oczywiście, że to wszystko powinno ci też sprawiać przyjemność, ale o tym możemy przecież porozmawiać, prawda? Jeśli nie jesteś fanką takich gier, to możemy zrobić to inaczej. Wiesz chyba, że zrobię, co tylko zechcesz. Najlepiej, żebyśmy się spotkali gdzieś w realu, bo sama wiesz, że w cztery oczy jest znacznie łatwiej i prościej, nie sądzisz?”

„Hm, nie odpisujesz mi. Czyżbym zrobił coś nie tak? Może jestem dla ciebie zbyt bezpośredni? Ale przecież napisałem ci wcześniej, że możemy to wszystko jeszcze raz przedyskutować? Dostałaś w ogóle moje zdjęcie? Nawet mi nie napisałaś, czy ci się spodobało? Zrobiłem je, kiedy szukałem pracy. W tej chwili nie mam innego, ale mam nadzieję...”

Julia potrzasnęła głową. A ja mam nadzieję, że masz w życiu jeszcze inne zajęcia niż pisanie takich idiotycznych i żalonych e-maili, pomyślała i bez żalu skasowała wiadomość. Trzy e-maile od przygłupów z Marzahn miały podobną wartość i nie odbiegały szczególnie od średniej, jeśli chodzi o poziom. „Hej mała, masz niezłe cycki. Chcesz dzisiaj zaliczyć? Trzym, to mój numer”.

I kolejny.

„Cze, jestem Ronnie. Mogę wpaść. Możemy też załatwić to w aucie. To jak?”

Julia wyduła usta. Może najpierw skończcie podstawówkę i nauczcie się pisać, wieśniackie nasienie, pomyślała kpiąco i kilka kliknięć później ich wiadomości zapełniły kosz na śmieci. Trzeciego e-maila w ogóle nie próbowała nawet czytać, bo pierwsze, co zobaczyła, to słowo „pieprzyć” odmienione przez wszystkie przypadki. Spojrzała szybko w stronę drzwi, licząc, że usłyszy znajome skrobanie i miauczenie kotki, lecz na korytarzu panowała cisza.

Wróciła myślami do jedyne go e-maila, którego nie skasowała.

Albert Torino wsunął do ust tabletkę Provigilu, rozgryzł ją, a potem połknął bez popijania. Rozejrzał się po studiu, po którym oprowadzał go Jochen, promieniejąc z dumy.

– Andira będzie na miejscu? – zapytał Torino zaraz na początku.

– Już jest. – Jochen go uspokoił. – Zrezygnowała z weekendu w Londynie. Specjalnie dla nas. Pozostałym solidnie przemówiłem do rozsądku, więc też będą. Zrezygnowała tylko jedna, ale była gruba i pracowała w ogrodzie zoologicznym, więc żadna strata. Poza tym mamy wszystkie, których potrzebujemy.

– Świetnie! – Albert zatarł ręce i połknął resztki środka pobudzającego.

– W takim razie słuchaj – zaczął Jochen. – Cały sprzęt, systemy komputerowe i wszystko inne jest już przygotowane. Ty masz trzydzieści procent głosów, widownia w studiu tyle samo, a ludzie przed komputerami pozostałe czterdzieści. Muszą oczywiście założyć konta, zalogować się i kartą kredytową zapłacić dziesięć euro. – Wyszczrzył radośnie zęby. – Już z tego zebraliśmy całkiem niezłą kasiorę. W tej chwili mamy około pięćdziesięciu tysięcy fanów, ale mogę się założyć, że do wieczora będzie ich nie mniej niż siedemdziesiąt tysięcy.

– Prawdziwa sztuka to taka, za którą się dostaje pieniądze – powiedział Torino.

– Dobra, to teraz trochę o planie i scenografii. – Jochen bawił się sznureczkami kaptura czarnej kangurki, którą miał na sobie. – Zorganizowaliśmy to na kształt testu, w którym za złe odpowiedzi można dostać karę. Goście ze studia nazwali to układem Piekła i Nieba. Zaraz zobaczysz, że nazwa doskonale pasuje do całości.

Mówiąc to, wskazał na podwyższenie z przodu studia.

– To tutaj – powiedział – to jest wybieg prawdy. Nasze laski będą musiały się tam pokazać, pokręcić tyłkami, odpowiedzieć na kilka pytań i poczekać na wynik głosowania.

– Głosowania? Rozumiem, że tego, o którym wcześniej wspomniałeś? – Torino uniósł brwi. – Trzydzieści, trzydzieści i czterdzieści procent?

– Dokładnie. – Jochen skinął głową. – Chodź, bo to nie wszystko, musisz jeszcze coś zobaczyć.

Podeszli bliżej podwyższenia. Pod spodem znajdował się spory okrągły basen, obecnie zakryty jakimś materiałem.

– Co tam jest? – zapytał Torino.

– Spokojnie, cierpliwości! – Jochen uśmiechnął się z zadowoleniem, a jego i tak wylupiaсте oczy wyglądały, jakby zaraz miały wyskoczyć z orbit. – Patrz. – Zatrzymał się, wyciągnął rękę i pokazał na wybieg. – Widzisz ten rysunek dwóch stóp? No właśnie, panienki będą tutaj stały i czekały na waszą decyzję. – Przerwał, znacząco wpatrując się w swojego szefa, z podekscytowania bawiąc się sznureczkami od kangurki. – Jeśli przejdą do następnej rundy, z góry opuści się kosz zawieszony na zamaskowanych linach, przybrany jakimiś kwiatami i anielskimi skrzydłami. Laska do niego wsiądzie i pofrunie w górę, na Olimp Shebay. – Jochen dał znak technikowi. – Hej! Możecie zjechać tym cudem? Dzięki!

Z cichym szumem elektrycznego silnika zjechał nad scenę kosz z przyczepionymi anielskimi skrzydłami, a z głośników popłynęła podniosła, niemal kościelna muzyka.

– Nieźle. – Torino pokiwał głową. – Jak z zabezpieczeniem tego cuda? Ma wszystkie certyfikaty i pozwolenia?

– No chyba. – Jochen wzruszył ramionami. – Poza tym to tylko trzy metry. A wiesz, jak jest, jak za dużo pytasz, to czasem dowiesz się za dużo. Dlatego nie zadaję żadnych pytań.

Torino spojrział w górę, na sufit studia telewizyjnego, gdzie powędrował uskrzydłony

kosz.

– Uważaj, bo dopiero teraz robi się naprawdę ciekawie – oznajmił Jochen. – Bo nie wszystkie przejdą dalej, rozumiesz? Dla tych, które dostaną kosza, też przygotowaliśmy niespodziankę.

Odsunął się trochę na bok.

– Jeśli uczestniczka nie dostanie dość głosów, żeby przejść dalej... – zaczął mówić ściszym głosem, jakby zdradzał jakąś tajemnicę. – Wtedy pod jej nogami otwiera się zapadnia i kobitka ląduje piętro niżej w podświetlonej na czerwono mazi.

Dał znak technikowi.

– Włącz proszę światło i daj dźwięk.

Z głośników popłynęła diaboliczno-dramatyczna muzyka, jakby wódz Nazgûli, Czarnoksiężnik z Angmaru, prowadził do boju swoją armię i opuszczał właśnie Minas Morgul. Torino spojrzął w dół i zobaczył zbiornik ze szkarłatnie podświetloną paćką.

– Nasze bagienko ma dwa metry głębokości i jest całkowicie bezpieczne. Nikt niczego sobie nie złamie – zapewnił go Jochen. – To też wyjaśnia, dlaczego wybieg poprowadzony jest trzy metry nad podłogą studia. Publiczność powinna dokładnie widzieć, jak dziewczyny nurkują w tym czymś. Zanim ruszymy z programem, wszystkie zasłony zostaną oczywiście usunięte. – Wskazał w dół. – Wtedy wszyscy będą widzieli, jak laseczki gramolą się z tego gnoju.

– Ale będzie hicior! – Torino aż stęknął z zachwytu i poklepał Jochena po ramieniu. – I to wszystko w półtora dnia. Świetna robota. To kiedy zaczynamy?

– Za dwie godziny – odparł mężczyzna. – I mamy jeszcze masę roboty.

Dyrektor sierocińca wysłuchał opowieści Vladimira, ale nie przywiązywał do niej zbyt wielkiej wagi. Dzieciaki co chwila skarżą się na różne rzeczy, w tym również na to, że strażnicy i opiekunowie wykorzystują je seksualnie. Non stop słyszał takie historie. Jeśli miał być szczerzy, to nic a nic go to nie obchodziło, jednak gdzieś w głębi tliła się w nim odrobina wyrzutów sumienia, przez którą zadawał sobie teraz pytanie, czy może to tak zostawić.

Znał Inga M. Zatrudnił go. Spodobało mu się, że opiekun potrafi zdecydowanie zadziałać i nie daje się zastraszyć. Niestety, zauważył też, że pedagogowi sprawiało przyjemność bicie wychowanków. Dyrektor tego nie pochwalał. Jednak czasem trzeba wybierać mniejsze zło. Za czasów tej starej ciotki, która przed nim prowadziła instytucję, Ingo najpewniej w ogóle by tej pracy nie dostał. Staruszka była przedstawicielką pozytywnej szkoły wychowawczej. Jednak od kiedy jej nie było, w sierocińcu panował ład i porządek, a nie anarchia, jak pod jej rządami.

Istniało zatem prawdopodobieństwo, że historia bladego, roztrzęsionego Vladimira była prawdziwa. Dyrektor postanowił zamienić kilka słów z opiekunem, jednak na pewno nie zamierzał go zwalniać. To by oznaczało nawał biurokracji, prawników, sądy i całą masę innych utrudnień. Potem musiałby zatrudnić kogoś innego, ten ktoś mógłby okazać się mięczakiem niedziałającym zdecydowanie, tak jak Ingo M. – działanie takie nie do końca było zgodne z przepisami, jednak w tych warunkach absolutnie konieczne, ponieważ motywujące przemowy niewiele pomogą w stadzie wilków, a ci wykolejeńcy z najniższych warstw społecznych rozumieją jedynie przemoc. Większość i tak skończy gdzieś w kryminale jako degeneraci. Lepiej byłoby dla nich samych i dla świata, gdyby w ogóle nie istnieli. Jednak wówczas nikt by go nie potrzebował na tym stanowisku. Czyli tak źle i tak niedobrze.

Vladimir wyszedł z biura dyrektora.

Porozmawiam z opiekunem, obiecał mu mężczyzna jeszcze w drzwiach, do których go odprowadził. A jeśli coś ci dolega, zgłoś się do pielęgniarki.

Zatem dyrektor porozmawia z opiekunem. Tylko czy to pomoże? Czy Ingo M. zostawi go w spokoju? Czy dyrektor miał dość duży autorytet, by to wymóc?

W głębi duszy czuł, że na niewiele zda się ta rozmowa.

Przeczuwał, że będzie jeszcze gorzej.

Ninja?

Powoli w jego głowie nabierała kształtów nowa myśl. Czarna, potężna i zła. Gdzieś w głębi jego duszy zapadła decyzja, by zrobić coś wielkiego i doniosłego.

Zamorduje Inga.

– Co ci strzeliło do tego głupiego łba, ty żaloszny lachociągu?

Cios trafił Vladimira w twarz. Momentalnie w ustach poczuł słodkawy smak krwi, który mieszał się ze wspomnieniem potrawy z kurczaka, którą dostali na obiad.

Ingo siedział mu na klatce piersiowej i kolanami przyciskał do betonowej podłogi ramiona chłopaka. Zaciągnął go do pralni, bo w niedzielę nikt tu nie pracował.

– Za moimi plecami biegasz do dyrektora na skargę? Tak? Tak mi się odwdzięczasz za pomoc? Ty mały skurwysynu! Za to, że razem oglądamy filmy w moim gabinecie?

Kolejne uderzenie i ból rozlewający się po twarzy. Odrażający chrzęst. Krew zalewa mu policzki. Ma złamany nos.

Ingo M. czuje się bardzo pewnie. Później wyjaśni, że Vladimir pobił się z innym chłopakiem, a tamtemu też spuści lanie, żeby obrażeniami uprawdopodobnić swoją wersję.

Vladimir zacisnął powieki, zamrugnął i przez łzy spojrział na twarz swojego oprawcy. Ingo

M. popatrzył z wściekłością na unieruchomionego podopiecznego. Twarz pedagoga wykrzywił grymas nienawiści.

Przemoc jest zaraźliwa. Przekazujemy dalej to, co sami dostajemy.

– Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, to nie rękę za siebie! – warknął Ingo i nachylił się na tyle nisko, że Vladimir czuł jego cuchnący oddech na twarzy. – Rozumiesz, gówniarzu? Jeszcze jedno słowo, a to tutaj będzie ci się wydawało rajem!

Potem przemocą otworzył chłopcu usta, wycelował i powoli wysączył spomiędzy swoich warg odrażającą, lepką, zielonkawoszarą kulkę śliny i flegmy.

Vladimir zaczął się krztusić i dusić, lecz mężczyzna brutalnie zacisnął mu szczęki.

– To dla ciebie – powiedział. – Taki drobny upominek. Na pamiątkę.

Przemoc jest zaraźliwa.

Vladimir zaczął się krztusić i chciał zwymiotować, kiedy poczuł, że flegma Inga, którą miał w ustach, smakuje potrawką z kurczaka, krwią i zepsuciem. Ręka zaciśnięta na jego ustach sprawiała niewypowiedziany ból.

I wtedy coś się w nim obudziło. Coś wielkiego i mrocznego, nad czym nie potrafił zapanować. Ninja?

Vladimir poderwał gwałtownie głowę. Czołem trafił dokładnie w nos oprawcy. Ingo odskoczył do tyłu i wydał przytłumiony ryk bólu. Jednak bardzo szybko odzyskał nad sobą kontrolę i spojrzał na Vladimira z mieszaniną nienawiści i podziwu. Z nosa kapąła mu krew. Opór tak bardzo go zaskoczył, że przestał zaciskać chłopcu usta.

Vladimir wypluł flegmę. Bał się skutków tego, co zrobił. Nie miał wątpliwości, że te nadzieje. Bał się uderzeń i bólu. Teraz jednak miał w sobie coś, co dawało mu siłę.

Coś mrocznego i potężnego.

Coś obcego.

Coś innego.

*Coś złego.*

– Załatwię cię, ty pedału! – wycharczał Ingo i uniósł rękę.

Vladimir spojrzał na niego lodowatym wzrokiem.

– Nie zabijesz czegoś, co już nie żyje.

Mężczyzna na chwilę znieruchomiał, jakby stracił animusz; a potem na złamany nos Vladimira spadł kolejny cios. Kiedy potrzaskane kości się przesunęły, chłopak zawył z bólu. Przed oczyma zobaczył gwiazdy.

Ingo wytarł krew z twarzy i spojrzał szyderczym wzrokiem na swoją ofiarę.

– Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś mnie nigdy nie spotkał – powiedział.

Półprzytomny i oślepiiony zasłoną z łez i krwi Vladimir skierował oczy na twarz Inga, który wciąż na nim siedział.

– Tak – wymamrotał. – Ale dla ciebie byłoby jeszcze lepiej.

Po ostatnim ciosie Vladimir stracił przytomność.

Julia spojrzała na wiadomość, która przed chwilą pojawiła się w jej skrzynce; wiadomość inną niż pozostałe.

„Widzę coś w twoich oczach i zadaję sobie pytanie, czy pozostali też to zauważyli?”

Julia spojrzała na zdjęcie, które dołączyła do swojego profilu na Dategate, a potem przełączyła widok na profil nadawcy. Tommy. Trzydzieści dwa lata, blondyn, wysportowany i z wyglądu bardzo sympatyczny. Dodał jeszcze jedno swoje zdjęcie, z jakiegoś basenu. Świetna figura, niezły gość. Miejmy nadzieję, że to nie jakaś ściema. Wróciła do przeglądania informacji, które o sobie podał. Znak zodiaku: Bliźnięta. Miejsce zamieszkania: Berlin, Prenzlauer Berg. Zawód: przedsiębiorca.

Przedsiębiorca, pomyślała Julia. To już przerabiałam. Przedsiębiorca, czyli albo nie ma go nigdy w domu, bo ciągle pracuje, albo w rzeczywistości bezrobotny. Mimo to chyba dam mu szansę.

Napisała odpowiedź.

„A cóż takiego zobaczyłeś w moich oczach?”

Minęły dwie minuty.

„Zadziwiający spokój i ciszę”.

To ją zainteresowało.

„Ciszę i spokój? Czyli?”

Tym razem nie musiała czekać na odpowiedź.

„Spokój, jakbyś właśnie zakończyła jakiś etap życia, choć jednocześnie wiesz, że on jeszcze nie minął. Widzę też siłę i zdecydowanie, którymi maskujesz delikatność i słabość”.

Czyżby skądś ją znał? Czy wiedział coś o jej ostatnim związku? Julia przełączyła widok na Facebooka i zabrała się do szukania Tommy’ego z Prenzlauer Berg w Berlinie. Szybko na niego trafiła. Okazało się, że mają nawet czwórkę wspólnych znajomych. Potem wprowadziła jego pełne imię i nazwisko do wyszukiwarki portalu Xing. Tam również miał swój profil, a na zdjęciu, które do niego dołączył, był ubrany w czarny garnitur i stał przed jakimś wieżowcem. Jako zawód wybrał „właściciel”. A poniżej dane firmy: Corvinus Capital. Julia czytała dalej. W rubryce „Poszukuję”, którą użytkownicy Xinga mogli wypełnić, napisał: „Partnerów w interesach, współinwestorów, ciekawych projektów z branży energii odnawialnych, biotechnologii i technologii”.

Uniosła brwi. Facet istniał naprawdę i miał poukładane w głowie.

Teraz chciała się dowiedzieć, co miał na myśli, pisząc o jej słabości.

„O jakiej słabości mówisz?”

Odpowiedź nadeszła po minucie.

„Zostałaś kiedyś zraniona. Przez kogoś, kto był dla ciebie ważny. Bo czym jest miłość? Miłość to odnaleźć swoją zagubioną drugą połowę, złączyć się z nią i już na zawsze zostać razem. Właśnie tego szukałaś. I szukasz dalej. Mam rację?”

Niepoważny facet z nieistniejącym bentleyem nie był dla niej aż tak ważny i nie wiązała z nim aż takich planów, jednak owszem, była mocno rozczarowana, kiedy w końcu przejrzała na oczy. A to z drugą połówką? No cóż, kto jej nie szukał? Odpowiedziała:

„Trochę. Mów dalej”.

Niedługo potem przyszła kolejna wiadomość:

„Otworzyłaś się przed tym kimś całkowicie, dałaś dostęp do swojego serca, do swoich tajemnic i marzeń, a on cię zawiódł i zranił. Od tego czasu chronisz wszystko, co dla ciebie



ważne, żeby nikt nie sprawił ci już bólu. W tym tkwi tajemnica twojej siły, ale też przez otaczający cię mur stałaś się niedostępna. Nie sądzisz?"

Odpisała:

„Możesz mieć rację”.

Po trzydziestu sekundach pojawiła się odpowiedź.

„Życzę ci, żebyś znalazła w końcu kogoś, z kim będziesz mogła być całkowicie szczerą.

Kogoś, z kim nie tylko doskonale będziesz się rozumiała, ale stworzysz jedną całość. Tylko w ten sposób zyskasz pewność, że odnalazłaś swoją zagubioną drugą połówkę. Tak wygląda szczęście. To miłość”.

Hm, ten człowiek naprawdę był inny. I ani razu nie usiłował się z nią umówić. Chyba tym wzbudził jej zainteresowanie.

„Mam wrażenie, że mnie dobrze znasz, choć nigdy cię nie widziałam”.

On: „Mówię, co czuję”.

Ona: „Może byśmy porozmawiali przez telefon?”

On: „Z przyjemnością. To jest mój numer”.

Program trwał już od dwudziestu minut. Kilka uczestniczek wylądowało w czerwonej brei pod sceną, a dwie w koszu na linach pofrunęły na Olimp Shebay.

Albert Torino ruszył wzdłuż rzędu niemal wyłącznie męskiej publiczności, by przeprowadzić kilka jednozdaniowych wywiadów.

– Masz dziewczynę? – zapytał pryszczatego chłopaka z przylizanymi do tyłu włosami.

– Nie – odpowiedział zagadnięty. – Dlaczego miałbym mieć?

Odpowiedź pytaniem na chwilę zbiła Torino z pantafyku.

– A dlaczego nie?

– Żeby jakaś pinda mi pierdoły wciskała? Sorry, sam to potrafię. – Pryszczaty potrząsnął głową. – A jak mi się zachce, to idę do agencji towarzyskiej.

Torino uniósł brwi.

– Rozumiem. – Pokręcił głową. – Prawdziwy pragmatyk. – Spojrzał wyczekująco na pryszczatego chłopaczka. – Może do naszego pragmatyka szczęście się dzisiaj uśmiechnie i nie będzie musiał nic płacić. Co sądzisz o naszej ślicznotce?

Spojrzał na scenę, gdzie kolejna kandydatka przybierała powabne pozy i z niepokojem czekała na komentarz prowadzącego. Dziewczyna miała czym oddychać, lecz założyła wyjątkowo ciasną sukienkę; do tego stopnia, że cienki materiał mógł w każdej chwili wręcz eksplodować.

– Nie jest w moim typie. – Pryszczaty młodzieniec potrząsnął głową. – Tłusta i obleśna.

– No cóż, na pewno nie dostałaby tytułu miss strajku głodowego. – W tej kwestii Torino musiał się z nim zgodzić. Potem ruszył w stronę sceny, spoglądając na karteczkę, którą miał w dłoni. – Nasza kandydatka ma na imię Susi, prawda?

Dziewczyna potaknęła i krzyknęła w kierunku pryszczatego chłopaka.

– I wcale nie jestem gruba, ty pryszczolu!

Zaatakowany widz chciał jej coś odpowiedzieć, ale mikrofon był zbyt daleko, by cokolwiek było słycać.

– Tylko spokojnie, Susi. – Torino się uśmiechnął. – Jak tam twoje bliźniaczki?

– Bliźniaczki? O czym pan... – zapytała dziewczyna, lecz przerwała, widząc, że Torino wymownie patrzy na jej klatkę piersiową.

– Aaa... – Zaśmiała się zakłopotana. – Facetom się podobają.

– Z wyjątkiem naszego konesera kurtyzan z pierwszego rzędu. – Albert potrząsnął głową.

– Tylko ta sukienka... – Przyjrzał się jej krytycznie i zrobił minę, jakby się bał latających strzępów materiału. – Czy to w ogóle jest ubranie, czy rękaw do mierzenia ciśnienia?

Ogłuszający aplauz. Nadszedł czas, by znów przepytać kogoś z widowni. Zanim Susi zdążyła mu odpowiedzieć, Torino ruszył z mikrofonem wzdłuż publiczności, wśród której siedział pryszczaty chłopak miotający przekleństwa. Albert zatrzymał się przy młodym chłopaku o krótkich czarnych włosach.

– Jak się nazywasz i skąd do nas przyjechałeś?

– Ronny. Jestem Ronny i przyjechałem z Reinickendorfu. – Uśmiechnął się szeroko.

– I co myślisz o Susi? Podoba ci się?

– Jest niezła. Szczególnie od pasa w górę. Chętnie bym wziął taki cy... – Jochen dał znak reżyserowi i zanim chłopak skończył, jego słowa zagłuszył przenikliwy pisk. Aaa, rozumiem. Cenzura, pomyślał Torino. Kolejne słowo, które trzeba natychmiast wyciąć z emisji na żywo, żeby program utrzymał się w wieczornym paśmie. Błogosławieństwo nadawania z niewielkim

opóźnieniem.

– Ty cwelu! – ryknęła Susi z wysokości sceny. Mimo zagłuszenia dotarło do niej, co Ronny chciał powiedzieć. – To ja decyduję, co i z kim będę robić!

– Przeczytaj warunki uczestnictwa, ty zdiro! – odkrzyknął chłopak. – Będziesz moja!

– Może lepiej zacząć powoli – powiedział Torino. – Poza tym pamiętaj, że żebyś mógł na nią wskoczyć, dziewczyna musi jeszcze wygrać. I ty też.

– Dlaczego? Już jest moja! – odparł Ronny niemal obrażonym tonem i krzyknął w stronę Susi: – Jak z tobą skończę, przez kilka dni będziesz chodziła jak John Wayne! – A potem ruszył przed siebie, szeroko rozstawiając nogi.

Torino zrobił zdziwioną minę.

– Nawet nie przyszło mi do głowy, że ktoś twojego pokroju będzie wiedział, kto to John Wayne – mruknął, kręcąc głową.

Ronny chciał mu coś odpowiedzieć, ale mikrofon był już wyłączony.

– Zostaje czy wylatuje?! – krzyknął Torino w stronę widowni. Większość głosowała za kolejną rundą. Torino również. – No to miss białej kiełbasy ma dzisiaj szczęście – oznajmił, spoglądając na Susi. – Ale następnym razem włóż coś bardziej bezpiecznego, bo nie mamy wykupionego ubezpieczenia na obrażenia spowodowane strzelającymi guzikami.

– Faceci to idioci! – Susi wydeła usta, częściowo ze złości, a częściowo z radości, że przeszła do następnego etapu. Po chwili pofrnęła w podwieszonym koszu na Olimp.

Na scenę weszła kolejna kandydatka, Sonja – elegancka i delikatna blondynka. Wybrany spośród widzów studwudziestokilogramowy mężczyzna w bluzie z kapturem, który przedstawił się jako Wolle z Lichtenbergu, wyznał Torinowi, że ta kandydatka to kobieta jego marzeń i że po wspólnej nocy poprosi ją o rękę. Sonja nie wyglądała na zachwyconą.

– Jestem zakochany – oznajmił Wolle.

– Nie jesteś zakochany – poprawił go Torino. – Ty jesteś walnięty. I obleśnie tłusty.

Torino już wcześniej zauważył, że jego ostre i złośliwe komentarze względem męskiej publiczności spotykają się z niesamowitym aplauzem. Koniec końców, pomyślał, te złamasy tak bardzo się nienawidzą, że jeśli któryś dostaje ode mnie po głowie, reszta staje po mojej stronie! Z drugiej strony gladiatorzy w starożytnym Rzymie też czasem ciskali mieczami czy inną bronią w tłum i któryś z widzów tracił życie. Najwyraźniej tak musi być. Tłum tego chce. Tłum na to zasłużył.

– Nieprawda! Sonja! Ja cię kocham! – krzyczał Ronny. – To nie jest przygoda na jedną noc. Chcę być z tobą do końca życia!

Torino kiwnął głową.

– Jak ze swoją tuszą wskoczysz na jakąś kobietę, to z całą pewnością będziesz z nią do końca życia. Czyli krótko, bo ona tego nie przeżyje!

Wolle chciał mu odpowiedzieć, lecz mikrofon został na czas wyłączony.

– Jestem na nie! – krzyknął Torino i niczym współczesny Neron pokazał Sonji kciuk w dół, a zrobił to choćby tylko po to, by wkurzyć Wollego. Zalogowani na stronie show internauci również zagłosowali na nie, więc otworzyła się zapadnia w scenie i dziewczyna z piskiem wylądowała w czerwonej mazi.

Julia wybrała numer Tommy'ego i poczuła, jak wali jej serce.

– Cześć, Tommy z tej strony – w słuchawce odezwał się męski głos. – Jestem akurat w samochodzie, więc musisz wybaczyć szum. – Tommy mówił głębokim, dźwięcznym i bardzo przyjemnym dla ucha głosem. Większość facetów, z którymi pierwszy raz rozmawiała przez telefon, z trudem panowała nad emocjami. Nienaturalnie podniesionymi głosami usiłowali w trzech pierwszych sekundach konwersacji pochwalić się wszystkimi swoimi zaletami albo za coś ją przeprosić. Cześć, wybac proszę, że dzwonię cztery minuty po czasie, ale byłem akurat w metrze, a tam nie ma zasięgu, na dodatek wszystkie szyby jacyś idioci pomazali graffiti, przez co przeoczyłem moją stację i wysiadłem dopiero na następnym przystanku, dlatego pojechałem od razu z powrotem, no i stąd to spóźnienie.

Tym razem przywitanie było przyjemnie krótkie. „Cześć, Tommy z tej strony”. Zwięzłe i rzeczowe. No i jeszcze wspomniał o samochodzie. Jechał gdzieś. Podróż w interesach?

– Cześć Tommy, tu Julia. – Gorączkowo poszukiwała w głowie jakiegoś inteligentnego zdania na rozpoczęcie rozmowy, ale niczego nie wymyśliła. – Jak leci?

– Miałem rację – powiedział, zamiast odpowiedzieć na jej pytanie. – W twoim głosie słyhać wszystkie te fascynujące tony, które sprawiły, że jesteś taka pociągająca.

To do niej trafiło. Zdecydowała, że będzie mówiła tylko tyle, ile musi. Niech on się produkuje, pomyślała. Ja chętnie posłucham.

– Jakie to tony?

– Jesteś niejednoznaczna i zagadkowa. Inteligentna i wyjątkowa. Jesteś serdeczna, a kiedy komuś zaufasz, stajesz się jedną z najcudowniejszych kobiet na świecie. I jesteś pociągająca. Kobieta, którą można podziwiać i której się pożąda. – Przerwał na chwilę. – I to wszystko słyhać w twoim głosie.

– Jesteś słodki. – Julia uśmiechnęła się. – Kiedy możemy się spotkać?

– Pod koniec przyszłego tygodnia? Wcześniej nie dam rady.

– A czas na rozmowę przez telefon znajdziesz?

– Oczywiście, że tak. Teraz niestety muszę już kończyć, bo mam ważny telefon na drugiej linii.

– Ciągle na wysokich obrotach? – zapytała.

– Teraz akurat mam taki napięty okres, bo zabrałem się do kilku większych interesów naraz. W przyszłym tygodniu będę miał trochę więcej luzu. Jeśli będziesz miała ochotę, z przyjemnością ci o tym opowiem.

– O tak, chętnie! – zapewniła go. – Będzie mi bardzo miło. Już się nie mogę doczekać, żeby zobaczyć cię na żywo.

– W takim razie do zobaczenia!

Rozłączyła się i jeszcze raz spojrzała na otwarty profil Tommy'ego na Xingu.

Uśmiechnęła się.

On również zakończył połączenie. Uśmiech, do którego się zmusił, był konieczny, by jego głos miał przyjemny, ciepły ton; teraz jego twarz w ułamku sekundy znów stała się zacięta i ponura. W chwili, kiedy nacisnął czerwoną słuchawkę i przerwał rozmowę, kąciki jego ust powędrowały w dół, jakby były czymś obciążone.

Twarcz mężczyzny w okularach z matowej stali przypominała lodowatą maskę, która niczego nie zdradza, lecz wszystko skrywa. Kiedy jechał, reflektory samochodów z przeciwka przecinały deszczową noc i na ułamki sekundy wyławiały go z mroku.

Świtało. Niebo wciąż jeszcze było brzemienne deszczem i ciemne jak tło monitora, przed którym siedziała Clara. Pisała raport z postępów w dochodzeniu, kiedy zadzwonił telefon. Nieco wcześniej rozmawiała z Bellmannem, szefem berlińskiej policji kryminalnej, który akurat brał udział w jakimś ważnym spotkaniu w Wiesbaden. Zadzwonił do niej na komórkę, podziękował za jej znaczący wkład i zaangażowanie w rozwiązanie sprawy Wilkołaka, a potem prędko przeszedł do aktualnej sprawy.

– Jak to w ogóle możliwe, że ciało leży w mieszkaniu ponad pół roku, a nikt niczego nie zauważa? – zapytał.

– Bo dzisiaj komunikacja między ludźmi przeniosła się do internetu. To znaczy, że życie online staje się bardziej realne niż realne życie. Ktoś martwy, o ile żyje w sieci, uważany jest za żywego – wyjaśniła Clara.

Bellmann westchnął głęboko i zamilkł na kilka sekund.

– W jakich chorych czasach przyszło nam żyć... – mruknął, jakby sam nie wiedział, co dalej, a u niego to było naprawdę niecodzienne.

– Chorych. Oj, bardzo chorych – potwierdziła.

– Niech pani dopadnie tego psychologa – poprosił ją na zakończenie. – I to w realnym świecie. Niech go pani dopadnie.

Telefon znów się rozdzwonił.

– Vidalis, słucham.

– Von Weinstein z tej strony. Są nowe informacje.

Clara sięgnęła po długopis i przysunęła czystą kartkę papieru.

– Niech pan mówi.

– Dotychczas przebadaliśmy około trzydziestu chrząszczy i niemal we wszystkich przypadkach trafialiśmy na DNA Jakoba Kürtena lub Jasmin Peters albo w ogóle nie znajdowaliśmy jego śladów.

– Niemal we wszystkich? Co ma pan na myśli? – zapytała niecierpliwie. Nie potrafiła znieść takiego niepotrzebnego budowania napięcia, choć wiedziała, że Weinstein zawsze tak postępuje.

– W jednym z owadów trafiliśmy na ślady DNA niezidentyfikowanej osoby. Możliwe, że chrząszcz był wcześniej martwy, co by oznaczało, że DNA w nim jest również znacznie starsze, lecz żeby to ustalić, musielibyśmy przeprowadzić specjalistyczne badania pancerza chitynowego.

– Specjalistyczne? Chodzi o metodę węgla C-14? – zgadywała Clara.

– Metoda izotopu C-14 nie nadaje się do takich celów, bo jej dokładność to około trzystu lat. Tutaj w grę wchodzi tylko analiza biochemiczna.

Clara nabrała głęboko powietrza. Pierwsza ofiara? Ofiara numer jeden? Czy to może być aż takie proste?

– Jest pan w stanie zidentyfikować znalezione ślady DNA?

– To zależy, od jak dawna ta osoba nie żyje – odparł Weinstein. – Możemy oczywiście posprawdzać w szpitalach, podobnie jak w przypadku Kürtena, ale boję się, że to nie wystarczy i trzeba będzie włożyć w to znacznie więcej pracy. Tym razem na pewno odpada poszukiwanie w nowej bazie danych Federalnej Policji Kryminalnej, bo ona istnieje dopiero od kilku miesięcy.

– Czyli co nam zostaje? – zapytała Clara.

– Szpitale i stacje krwiodawstwa zachowują próbkę DNA przy każdym pobraniu krwi. Będziemy musieli sprawdzać wszystko po kolei.

- Ile to potrwa?
- Zależy od jakości ich baz danych i wieku próbki. – Von Weinstein wzruszył ramionami.
- Może nam to zająć nawet kilka tygodni. Dlatego najpierw należałoby się zastanowić, czy perspektywy uzasadniają aż tak wielkie nakłady. Im głębiej będziemy sięgać, tym bardziej będzie to przypominało szukanie igły w stogu siana.
- Cudownie – mruknęła Clara, nie kryjąc rozczarowania. – Tak czy inaczej to pierwszy ślad, jakim dysponujemy. Dziękuję. Podeśle mi pan wyniki analiz?
- Już są w drodze – odparł von Weinstein.

Po raz pierwszy świat Vladimira runął w gruzy, kiedy zginęli jego rodzice. Miał wówczas dziesięć lat.

Po raz drugi świat chłopca się zawalił, kiedy Ingo M. go wykorzystał i splugawił. Miał wówczas dwanaście lat.

Trzeci raz wszystko zaczęło się ponownie walić, kiedy zniknęła jego siostra Elisabeth – jedyna osoba na świecie, która o niego dbała i której całkowicie ufał. Miał wówczas lat trzynaście.

Zniknęła, bo w jej życiu pojawił się ktoś jeszcze. Chłopak. Pierwszy chłopak.

Tobias. Tobias miał blond włosy i był podobnego wzrostu jak Vladimir. Lisa, bo tak w sierocińcu nazywali Elisabeth, często się z nim spotykała. Razem wychodzili do ogrodu i na spacer do pobliskiego lasu.

Co oni tam robią, kiedy są sami?

Vladimir się domyślał. I obawiał się tego.

Bo nie chodziło tylko o to, że przez Tobiasa traci siostrę. Vladimir bał się czegoś znacznie gorszego. Spodziewał się, że ten cały Tobias robi jego siostrze równie plugawe rzeczy, jak Ingo M. robił jemu. Wciskał w nią swój narząd, brał ją, hańbił, bezcześcił i niszczył.

Nie miał do tego prawa.

Vladimir zażądał od siostry wyjaśnień, lecz ona ani myślała rozmawiać z nim na temat Tobiasa.

– Vlad, przestań robić sceny, dobrze? – rzuciła zniecierpliwionym tonem. – Co się w ogóle z tobą dzieje?

– To, co robisz, jest niedobre! Nie możesz tak dalej!

– O czym ty mówisz? Kpisz sobie? W pewnym momencie człowiek dorasta, rozumiesz? Dziewczyny przestają uważać chłopaków za głupków, a chłopaki zaczynają interesować się dziewczynami.

– Nie powinnaś się z nim prowadzać. To nie wypada.

– O rany, tobie chyba naprawdę odbiło! Chcesz mnie umoralniać? To, co robię, to najnormalniejsza rzecz na świecie!

– Jestem twoim bratem!

– A Tobias jest moim chłopakiem. Poza tym nie jesteś moim mężem! Dorośnij trochę!

Taka rozmowa nie miała sensu. Postanowił znaleźć inny sposób, by rozwiązać ten problem.

Ninja?

Vladimir znał pralnię w piwnicy sierocińca jeszcze z czasów, zanim Ingo stanął na jego drodze. Wiedział też, że tuż obok znajdowała się kuchnia i rząd wielkich zamrażarek. Znał też drogę do warsztatu, gdzie leżał wielki młotek. Co najważniejsze, Vladimir wiedział, że Tobias często schodził do pralni, by w tajemnicy palić papierosy.

*Wcisnę w moją siostrę swój narząd, użądli ją nim jak te osy, które składają jaja w swoich ofiarach. To ją odmieni. Jeśli sama nie chce temu zapobiec, ja to zrobię.*

W jego życiu co chwila przydarzały się okropne rzeczy.

Najpierw pień drzewa przebił samochód.

Potem Ingo go zgwałcił.

A teraz Tobias miałby wbijać się w jego siostrę?

Nie!

Tym razem, kiedy Tobiasz zdusił niedopałek papierosa i splukał go w stojącej niedaleko toalecie, niespodziewanie usłyszał za sobą czyjś przytłumiony oddech i skradające się kroki. Lecz zanim zdążył się odwrócić, kątem oka dostrzegł coś, co zbliżało się do niego z ogromną prędkością. Nie wiedział, co to jest, ale na pewno było duże i ciężkie.

Jego głowę przeszła błyskawica paralizującego bólu.

Potem była już tylko ciemność.

Wieczny mrok.

Vladimir zawinął zwłoki Tobiasza w czarną folię i zakopał na samym dnie jednej z wielkich zamrażarek w kuchennej spiżarni.

Z warsztatu, prócz młotka, ukradł również piłę. Co noc przemykał tajemniczo korytarzami do piwnicy, by po kawałku odpiłowywać fragmenty zamrożonego ciała Tobiasza i spuszczać odjęte części w toalecie. W piwnicach stało obok siebie kilka sedesów. Do każdego wrzucał tylko jeden kawałek na raz. Mimo to Vladimir był zaskoczony, jak wiele czasu mu to zajmuje, jak wiele ciała ma człowiek i jak wiele wysiłku potrzeba, by przepiłować zmrożone mięśnie i kości. Jednak dzięki temu jego praca była czysta. Nie zostawała ani krew, ani inne ślady.

Lód zmroził krew w jego żyłach, pomyślał Vladimir. To się zdarza. To jest kara za to, że chciał robić plugawę rzeczy z moją siostrą.

Bez krwi i bez ciała nie było zbrodni.

Odcięte fragmenty zwłok roztają dopiero w kanalizacji.

Kiedy znajdą się daleko od sierocińca.

Niedługo zniknie ostatni fragment.

On, Vladimir, również odejdzie.



Do biura dotarł raport z Instytutu Medycyny Sądowej. Ślad DNA znaleziony w ciele martwego już od dłuższego czasu chrząszcza należał do kobiety, jednak po pierwszych analizach nie dało się ustalić jej tożsamości.

– Czyli znowu ślepy zaułek? Dalej drepczemy w miejscu? – Clara nie kryła rozczarowania.

– To zależy, señora, to zależy. – Winterfeld potrząsnął głową. – Pomysł z chrząszczami posunął śledztwo odrobinę do przodu. Mamy pierwszy ślad, który będziemy badać, choć nie możemy mieć pewności, czy kobieta, do której należy to DNA, pochodzi z kręgów naszego mordercy i czy ma cokolwiek wspólnego z prowadzonym przez nas śledztwem. Myślała już pani, co dalej?

Clara przygryzała w zamyśleniu końcówkę długopisu.

– Obawiam się, że będziemy musieli działać bardzo szeroko – powiedziała po chwili. Siedzieli w gabinecie Winterfelda, gdzie odbywała się odprawa. Przy stole konferencyjnym zajęli też miejsca Hermann i MacDeath. – Czyli najpierw sprawdzimy wszystkie szpitale w obrębie Berlina, a potem, w razie braku wyników, trzeba będzie poszerzać obszar poszukiwań. Musimy wierzyć w to, że ktoś gdzieś potrafi przypisać próbkę do konkretnego imienia i nazwiska.

Winterfeld przesunął dłonią po włosach. Miał minę, jakby dopiero teraz zaczynał rozumieć czekający go ogrom pracy, bez wielkich widoków na sukces.

– Jak długo szpitale przechowują pobrane próbki DNA? – zapytał.

– Trzydzieści lat – odparła Clara.

– Jak rozumiem, te dane nie są przechowywane w postaci jakiejś bazy danych – pytał dalej, coraz bardziej zrezygnowany. – Nie są w wersji cyfrowej, żeby dało się je porównać wszystkie naraz z naszą próbką? Każda próbka będzie w osobnej teczce z aktami medycznymi pacjenta, tak?

– Tego należy się obawiać. – Clara przeglądała kolejne strony raportu. – Funkcjonuje baza założona z inicjatywy Federalnej Policji Kryminalnej i Ministerstwa Zdrowia, w ramach której starają się zgromadzić i skatalogować zebrane indywidualnie dane, na kształt bazy CODIS prowadzonej przez FBI. Dzięki temu tak szybko udało nam się zidentyfikować DNA Jakoba Kürtena. Jednak tym razem nie będzie tak łatwo. W przypadku tej próbki będziemy zmuszeni działać raczej analogowo niż cyfrowo.

– Wspaniale – mruknął Winterfeld. – Morderca jest jednym z najlepszych hakerów, z jakimi przyszło nam się zmierzyć, a będziemy z nim walczyć, przerzucając się pożółkłymi teczkami.

– Dawniej tylko tak było i nikt nie narzekał – zauważył Hermann.

– Jak będę chciał znać twoją opinię, Hermann, to nie omieszkam o nią zapytać – zachnął się Winterfeld. Kiedy przenośli się tu z Hamburga, wziął ze sobą Hermanna. Ci dwaj mężczyźni nie mieli na pierwszy rzut oka ze sobą wiele wspólnego, lecz trzymali się zawsze razem, jak nieszczęścia, które chodzą parami. A Hermann miał oczywiście rację.

– No dobrze, a teraz poważnie. – Winterfeld spojrzął na Clare. – Mamy próbkę DNA, które może nie być nigdzie zapisane cyfrowo. I zero wskazówek, od czego zacząć?

– Obawiam się, że dokładnie tak to wygląda – potwierdziła nadkomisarz. – W tej chwili nie mamy kręgu podejrzanych, w którym wytypowane osoby charakteryzowałyby się jedną lub kilkoma cechami wspólnymi... albo na przykład wszystkie jeździłyby czarnymi golfami. Gdybyśmy zdołali ustalić coś takiego, mielibyśmy dużą, ale ograniczoną grupę, dzięki czemu

możliwe byłoby rozpoczęcie akcji pobierania próbek śliny.

– W porządku – powiedział Winterfeld. – Rozumiem. W takim razie sprawdzę, jak wiele uda nam się zdziałać w berlińskich szpitalach, skracając biurokrację do minimum. Jednak przeprowadzanie takiego dochodzenia w skali całego kraju nie wchodzi w grę, dopóki nie będziemy mieli jakichś mocniejszych punktów zaczepienia. – Spojrzał poważnie na podwładną. – Wie pani chyba, że nie trzymam się kurczowo regulaminu, jednak tym razem szanse są minimalne, więc nawet gdybyśmy rozpoczęli dużą akcję, to trwałaby pewnie kilka miesięcy, jak nie dłużej.

– Czyli skupimy się jedynie na szpitalach i lecznicach w Berlinie? – Clara wołała się upewnić.

– Zgadza się – potwierdził Winterfeld. – Sam pomysł był bardzo dobry, ale jeśli próbka ma więcej niż kilka lat, nie sądzę, żebyśmy na cokolwiek trafili.

Clara była rozczarowana, jednak musiała mu przyznać rację. DNA to miliony kombinacji pojedynczych genów, więc bez możliwości elektronicznego porównania szanse sukcesu był mniejsze niż trafienie głównej wygranej w totolotka. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że morderstwo, o ile w ogóle do niego doszło, zostało popełnione stosunkowo niedawno.

Winterfeld odsunął na bok raport z Instytutu Medycyny Sądowej i kontynuował odprawę.

– Sprawdzacie też internet, zgadza się?

– I to bardzo intensywnie – powiedziała Clara.

– To dobrze. Jeszcze coś?

– Cały czas myślę o motywacji mordercy – powiedziała policjantka. – I o tej dziwacznej potrzebie, która każe mu dzielić się informacjami o swoich czynach.

– I do jakich wniosków pani doszła? – zainteresował się Winterfeld. Również Hermann wyprostował się na krześle.

– Powinniśmy być przygotowani na dalsze inscenizacje przygotowane przez mordercę. I możliwe, że nie będą to filmy na CD, jak ten, który dostaliśmy. – Mówiąc to, spojrzała na Martina Friedricha. – Spodziewałabym się raczej czegoś na znacznie większą skalę.

– W internecie? – Winterfeld unióśł brwi.

– Tak jest. Ten człowiek jest miłośnikiem filmów i sprawia wrażenie osoby doskonale obeznanej z informatyką. W przypadku Jasmin Peters na podstawie pojedynczego zdjęcia profilowego z portalu towarzyskiego udało mu się ustalić, że fotografię wykonano na jednej z plaż na Fuerteventurze, a zrobił to przez porównanie pliku graficznego z tysiącami zdjęć plaż z sieci.

– Trzeba mu przyznać, że nie jest głupi – przyznał Hermann.

Clara kontynuowała.

– Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że opublikował coś jeszcze, o czym nie mamy pojęcia. Jeśli uda nam się coś takiego znaleźć, być może nie tylko trafimy na jego ślad, ale również zapobiegniemy kolejnej zbrodni. – Spojrzała na Hermanna. – Czy wasze analizy dały już jakieś wyniki?

– Na razie przeszukujemy portale z kręgu miłośników sado-maso, czaty internetowe, portale towarzyskie – zarówno te popularne, jak i te bardziej egzotyczne – i strony z filmami. Stosujemy głównie metody kontekstowe.

– I jak wam idzie?

– Na razie nic nie mamy.

Do rozmowy włączył się MacDeath.

– Dotychczas nasz sprawca przesłał dwie wiadomości. Obie zaadresował bezpośrednio do Clary Vidalis. – Wielkie dzięki za przypomnienie, pomyślała Clara. – Wygląda więc na to, że

bardziej mu zależy na osobistym kontakcie, niż na... – MacDeath przerwał, szukając odpowiednich słów. – Niż na odezwie do narodu.

Winterfeld ponownie sięgnął po raport i zaczął go kartkować.

– Na razie praktycznie wszystkie teorie są równouprawnione, bo żeby je zweryfikować, potrzebowalibyśmy jakichś punktów zaczepienia, a na razie nie mamy nic. Morderca sam siebie nazywa „Bezimiennym” i ma rację. Clara mogła trafić w sedno. Jeśli przywiązuje tak dużą wagę do działania w internecie, to może coś gdzieś zapowiedział, pochwalił się na jakichś forach albo w inny sposób obnażył. – Przesunął palcami po zadrukowanych kartkach. – Tak jak ten morderca kobiet, którego niedawno dopadliśmy. Każdą kolejną zbrodnią chwalił się na Facebooku.

– Chodzi panu o tego psychola z Bodenfelde, który zaraz po morderstwie chwalił się znajomym, co zrobił? Najlepsze, że korzystał przy tym z aplikacji na smartfonie, dzięki czemu zaraz było wiadomo, gdzie dokładnie jest. – Clara pamiętała tamtą sprawę. – Niestety, jestem przekonana, że człowiek, którego teraz szukamy, to znacznie inteligentniejszy typ. Jeśli coś publikuje, to tylko podszywając się pod swoje ofiary, na ich kontaktach i z ich komputerów. On rzeczywiście jest bezimienny. I nieuchwytny. – Zwróciła się do Hermanna. – A jak wygląda sprawa ze stronami i forami, do których nie wszyscy mają dostęp? Jeszcze mniej popularnymi niż Dategate?

– Pracujemy nad tym. – Hermann przytaknął. – Jednak do tej pory bez rezultatu. Mam nadzieję, że to się zmieni. Uruchomiliśmy programy, dzięki którym natychmiast będziemy wiedzieli, jeśli ktoś w Google albo innych wyszukiwarkach użyje zwrotów, którymi się posługuje morderca, czyli: „Nie jestem pierwsza i nie jestem ostatnia. Ja już nie żyję, lecz chaos będzie trwał” i tak dalej. Póki co, cisza w eterze. Jeśli nie liczyć korespondencji z ofiarami.

– A gdybyśmy posunęli się krok dalej? Gdybyśmy zaczęli szukać w tej części sieci, której nie katalogują standardowe wyszukiwarki?

– Tym też się zajmujemy, ale to trochę potrwa.

– Dlaczego?

– Bo to są strony, które nie zostały skatalogowane przez żadną wyszukiwarkę. Czyli miejsca spotkań pedofilów i innych zбочeńców. Oni korzystają z zaszyfrowanej sieci, w której przesyłają sobie zdjęcia i filmy. Google tam nie sięga, bo używają specjalnych programów i bardzo niekonwencjonalnych metod. Programują na przykład strony internetowe o adresie tak długim, że zająłby całą kartkę A4 i jeszcze kawałek następnej. Albo stosują inne protokoły sieciowe, takie jak na przykład htp zamiast http. – Hermann poruszył dłonią, jakby chciał sięgnąć do torebki z żelkami, choć nie zabrał jej ze sobą na odprawę. – Google stosuje przede wszystkim metody semantyczne i indeksuje głównie słowa kluczowe z docelowych stron internetowych. W sieciach opanowanych przez pedofilów strony główne wypełnione są w całości bezsensownymi symbolami i cyframi. Google nie potrafi znaleźć kontekstu w takim mizmaszu i jeśli w ogóle wyświetli je w wynikach wyszukiwania, to dopiero pod sam koniec, na tyciącktórej stronie. I o to chodzi ich administratorom.

– Mamy na ten temat jakieś dane? – zapytała Clara.

– Nasi ludzie z obyczajówki mogliby wypełnić swoją wiedzą kilka tomów. Internet ma drugie, ciemne oblicze, pełne zaszyfrowanych stron korzystających ze skróconych protokołów sieciowych. To, co się na nich znajduje, to prawdziwa zgroza. – Spojrzał na Winterfelda. – Walter, ty chyba znasz tę historię z Hamburga, gdzie trójka zwyrodnialców zgwałciła sześciomiesięczną niemowlę, a potem je zamordowała. – Spojrzał po zebranych. Miał minę, jakby wciąż nie mógł się otrząsnąć po tamtej sprawie. – To wszystko wydarzyło się naprawdę.

Clara również słyszała tę historię. Wiedziała, że Hermann pracował wówczas jeszcze w Hamburgu i widział miejsce zbrodni. Długo nie mógł otrząsnąć się z szoku. Wpadł w alkoholizm

i dopiero po dwóch latach odzyskał równowagę. Dziś nie tylko nie pił, ale nawet mógł sobie pozwolić okazjonalnie na jedno czy dwa piwa, nie wpadając ponownie w ciąg. Musiał przejść przez taki chrzest bojowy, by odrodzić się jako silniejszy, lepszy i bardziej zmotywowany policjant.

Rzeczy, które widzimy, pomyślała Clara. Przede wszystkim internet. Z pozoru patrzymy na pojedynczy kamień, którymi wybrukowana jest droga naszej wiedzy. Jednak kiedy go odwrócimy, trafiamy na odrażający chaos, mieszaninę ekskrementów, zepsucia, plugastwa, robactwa i pajaków, które splątane ze sobą, pulsują własnym życiem. Szkoda tylko, że w tej pracy wciąż trzeba było odwracać te kamienie i sprawdzać, co się pod nimi kryje.

– Czy to możliwe, żeby nasz morderca miał powiązania z którąś z sieci pedofilskich? – zwróciła się do Martina Friedricha.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Mało prawdopodobne. Jego *modus operandi* jest całkowicie odmienny, a pierwotna motywacja musi być inna niż seksualna. Poza tym obie ofiary, o których wiemy, miały dwadzieścia kilka lat. Czyli zupełnie inna grupa docelowa.

– Może korzystać z analogicznych rozwiązań w internecie? – drążyła policjantka.

Odpowiedział jej Hermann.

– W moim odczuciu istnieje prawdopodobieństwo, że umieszcza gdzieś swoje materiały, korzystając z szyfrowania i maskowania wypracowanego przez sieci pedofilskie.

– A co miałyby mu to dać? – zapytał Winterfeld. – Pracuje chyba w pojedynkę, a nie w ramach jakiejś społeczności?

– Mamy taką pewność? – Clara uniosła brwi.

– Nie, nie mamy – odparł MacDeath. – Jednak to by nie pasowało do tego, co na razie wiemy. Ponad dziewięćdziesiąt procent wszystkich seryjnych morderców pracowało w pojedynkę. Dlatego jestem przekonany, że nasz morderca to ekstremalny przypadek samotnego wilka. – W zamyśleniu wsunął do ust zausznik okularów. – I jest zaprogramowany binarnie.

– A tak po ludzku? Bo nic nie rozumiem – poprosił Winterfeld.

– Jego działanie widzę w kategoriach zero-jedynkowych. Albo to, co robi, robi dla siebie i dla nas – przerwał na chwilę, by spojrzeć na Clarę – albo dla znacznie większej publiczności.

– Myśli pan? – Winterfeld wstał niepewnie i wziął ze stołu pudełko cygaretek. – Pół godziny temu zadzwonił do mnie Bellmann. Za wszelką cenę chce uniknąć przecieków do prasy i jakichkolwiek spekulacji medialnych. Morderca, który na chybił trafił wybiera sobie ofiary z internetu, a policja nie ma zielonego pojęcia, kto to jest i jak go dopaść, to wymarzony temat dla dziennikarzy. Rzuciliby się na nas jak głodne psy. – Przełożył nerwowo cygaretki z ręki do ręki. – Natychmiast zaczęliby siać panikę. Nadaliby mu pseudonim Internetowy Morderca. Tylko tego nam jeszcze brakuje. – Westchnął głośno. – Jeśli ten człowiek cokolwiek planuje i to ogłosi w sieci, my musimy wiedzieć pierwszy.

Clara przytaknęła.

– Przy czym nie mamy pojęcia, czy jego zamiarem nie jest przypadkiem zdobycie w przyszłości jak największej publiczności – powiedziała. – Wiemy jedynie, że na razie kontaktuje się tylko z policją, konkretnie ze mną.

– Zgadza się – potwierdził Hermann. – Jednak to nie wyklucza innych działań mordercy, o których jeszcze nie mamy pojęcia. Być może oprócz nas komunikuje się też z innymi.

– Prowadzenie tak wyrafinowanej gry z kilkoma osobami byłoby dla niego zbyt ryzykowne. – Clara potrząsnęła głową. – Za bardzo komplikując zasady, nie uniknąłby jakiegoś błędu i wpadlibyśmy na jego ślad. Nie może się zanadto obnażać, bo straciłby pole działania. A to nie pasuje do jego wyjątkowej ostrożności.

– Owszem, jednak jest jedno ale – wtrącił się MacDeath. – Nie wolno nam zapominać, że istnieją oczywiste przyczyny, które mogą wpływać na racjonalność i dalekowzroczność jego ocen.

– A co by to miało być? – Clara zmarszczyła brwi.

– Ano mianowicie to, że to szaleniec. – MacDeath wzruszył ramionami. – I proszę też nie zapominać o tym, co dzisiaj rano mówiłem pani o ofiarach rytualnych i o przesłaniu, jakie się za nimi kryje. Przypomina sobie pani?

Clara była trochę zła na to, że Friedrich poucza ją w obecności jej przełożonego, jednak wiedziała już, że nie miał nic złego na myśli. Poza tym dopiero teraz zaczęła rozumieć, na co tak naprawdę MacDeath chciał zwrócić jej uwagę: rankiem wspomniał o pedagogicznych zapędach mordercy. Szaleniec chciał naprawiać świat, pouczając ludzkość albo choćby wskazując na coś, co jego zdaniem było niewłaściwe. Obłąkanie tego samego rodzaju skłoniło Charlesa Mansona do zaplanowania masakry w Bel Air. Clara co prawda uważała, że nadużyciem jest korzystanie z określenia „pedagogiczny” w odniesieniu do jakiegokolwiek aspektu działalności mordercy, jednak przyjęła, że to po prostu nowa moda w psychologii kryminalnej.

– Nazwał pan to szalem pedagogicznym – odparła i spojrzała Friedrichowi prosto w oczy. – Morderca miałby postrzegać swój czyn jako zemstę albo tworzenie nowego porządku. Chce w ten sposób zwrócić na coś uwagę ludzkości albo coś naprawić. Albo zrobić obie rzeczy naraz.

– Właśnie. – MacDeath pokiwał głową. – I dlatego ma dwie możliwości: albo robi swoje, nie rzucając się w oczy, albo działa z rozmachem. – Z powrotem założył okulary. – Teraz należałoby zadać sobie pytanie, jakim pedagogiem jest nasz morderca. Czy woli dawać korepetycje jednemu uczniowi, czy wielkie wykłady w salach z miejscami dla publiczności.

– Jak to się przekłada na naszą sytuację? – zapytał Winterfeld. – Bo ja to rozumiałem tak, że albo nie będziemy wiedzieli nic, albo dowiemy się wszystkiego od razu.

– I tak właśnie będzie – potwierdziła Clara, wchodząc Friedrichowi w słowo. – W zależności od tego, jaką formę komunikacji preferuje, swój następny krok wykona w ciszy i dyskretnie, włączając w niego tylko nas – czy może raczej mnie – albo zrobi to z pompą i przytupem, wykorzystując media do swoich celów.

– Co to oznacza? – Winterfeld spoglądał na nią w napięciu, choć przecież sam potrafił się domyślić, o czym mówi.

– Że w drugim przypadku media dowiedzą się o wszystkim i będzie lepiej, żeby zawczasu przygotował pan na to Bellmanna.

– Zawsze ja – mruknął Winterfeld. – Jak coś się uda, to koleżanka Vidalis to czy tamto, a jak coś jest nie tak, to kto winien? Oczywiście Winterfeld. – Zmrużył oczy i spojrzał na podwładną. – Rozumiem, że my nie mamy na nic wpływu?

Clara wzruszyła ramionami i zwróciła się do Hermanna:

– O ile dobrze rozumiałam, przeszukiwanie zakodowanych stron i odizolowanych sieci stworzonych na kształt kanałów wymiany między grupami pedofilskimi zajmie sporo czasu?

– Na pewno nie aż tyle, co wasza analiza DNA. – Hermann odchylił się na oparcie krzesła. – Jednak nie uda nam się tego przeprowadzić z dnia na dzień.

– Mimo wszystko działajcie – poleciła Clara. – Pozostaje nam jedynie mieć nadzieję, że w końcu popełni jakiś błąd, który da nam przewagę. Może uda się znaleźć coś, co nas do niego doprowadzi? Wtedy go aresztujemy i zapobiegniemy kolejnym morderstwom. I trzeba jeszcze trzymać kciuki, żebyśmy szybko zidentyfikowali osobę, od której pochodzi nasza próbka DNA. Być może dowiemy się wtedy czegoś na temat przeszłości mordercy.

– Tego właśnie się obawiałem – oznajmił Winterfeld i, bawiąc się pudełkiem cygaretek, ruszył w stronę drzwi. – Jest piątek wieczór, a wolny weekend można włożyć między bajki.

Niech to. Muszę zapalić.

– Gdzie on jest?! – krzyknęła Elisabeth. – Nigdzie go nie mogę znaleźć! Wiesz coś o jego zniknięciu? Maczałeś w tym palce, prawda? Chciałeś przecież, żeby zostawił mnie w spokoju! No mów!

Vladimir spojrzał na siostrę, która niczym bogini zemsty stała przed nim rozeźlona.

– Nie, nie mam z tym nic wspólnego – odparł. Jednocześnie zadał sobie pytanie, dlaczego w ogóle miałby ją okłamywać. Tobiasz, ten natrętny chłopak, i tak musiał umrzeć. Nie było innego wyjścia. Dlaczego miałby to teraz przed nią ukrywać?

Elisabeth zbliżyła się do brata.

– Vlad, proszę, bądź ze mną szczery. Czy masz cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Tobiasza? Czy coś mu zrobiłeś? Czy ty go...

– Nie chcę cię stracić.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

– Co masz na myśli? Co to znaczy, że nie chcesz mnie stracić? Chcesz powiedzieć, że za każdym razem, kiedy ktoś się do mnie zbliży, postarasz się, żeby odszedł? – Jej głos zaczął się załamywać. – Coś ty mu zrobił?

– Obroniłem cię.

– Mnie? Obroniłeś mnie? – wykrzyczała histerycznie. – Odbierasz mi ludzi, których kocham i którzy kochają mnie, i nazywasz to bronieniem mnie? – Jej oczy wyrażały mieszaninę odrazy i rezygnacji. – Nienawidzę cię!

– Chciałem dobrze. Chciałem, żebyś była szczęśliwa – powtórzył chłopak. – Nie chcę cię stracić przez kogoś takiego! – Jego głos zrobił się chrapliwy. – Już prędzej wolałbym zabić i ciebie.

Dziewczyna zamarła, a jej twarz zmieniła się w kamienną maskę przerażenia.

– Zabić i mnie?! Czyli zrobiłeś to! – krzyknęła jeszcze głośniejszym i jeszcze bardziej piskliwie. – Zamordowałeś go! – Co chwilę załamywał jej się głos i przechodził w ogłuszające crescendo. – Zabiłeś go! Zabiłeś!

– Nie krzycz, proszę.

Elisabeth zalała się łzami.

– Mordujesz mojego chłopaka, a ja mam nie krzyczeć? – Rzuciła się na niego z pięściami. – Zabiłeś go! Zamordowałeś! Odebrałeś mu życie!

Vladimir wiedział, że musi coś zrobić. Jeśli cały sierociniec usłyszcy jej krzyki, wychowawcy zaprowadzą go do dyrektora, który zacznie zadawać pytania. Nie mógł do tego dopuścić.

– Nie jesteś już moim bratem! – wychrypiała dziewczyna. – Jesteś... – Ponownie skoczyła w jego kierunku. Policzki miała mokre od łez, a oczy pełne szaleństwa i odrazy. – Jesteś ohydny potworem!

– To daj mi wreszcie spokój! – warknął Vladimir i odepchnął ją.

Elisabeth straciła równowagę. Spróbowała się czegoś złapać, ale jej dłonie trafiły w pustkę. Kiedy uderzyła głową w stalową ramę łóżka, rozległ się wywołujący mdłości chrząst, a jej szyja wygięła się pod nienaturalnym kątem. Przez kilka sekund jej ciałem wstrząsały okropne drgawki, które po chwili ustąpiły przerażającemu bezruchowi. Dziewczyna leżała z groteskowo odchyłoną głową i pustym wzrokiem wpatrywała się w sufit.

– Nie! – zawył Vladimir i wziął siostrę w ramiona. Chciał potrząsaniem obudzić ją ze snu, lecz jej oczy pozostały bez wyrazu.

*Czy ona... nie żyje?*

*Czy złamała sobie kręgosłup?*

– Nie! – zawołał powtórnie i poczuł nagle tak okrutny ból, jakby całe piekło i wszystkie jego czeluści nie były w stanie go pomieścić.

*Co ja narobiłem! Zabił jedyną osobę na świecie, która go kiedykolwiek kochała.*

Ostatkiem sił ukrył ciało pod łóżkiem i z trudem zdążył do łazienki, gdzie pełen obrzydzenia do siebie samego zwymiotował do sedesu. A potem osunął się na ziemię obok klozetu pełnego wymiocin i stracił przytomność.



Julia wróciła do przeglądania profili na Dategate i znów zatrzymała się na mężczyźnie, który zainteresował ją tak bardzo, że nawet przed chwilą rozmawiali przez telefon. Tommy, który w rzeczywistości, zgodnie ze swoim zawodowym profilem na Xingu, nazywał się Thomas Zöllner. Ciekawe, gdzie i jak mieszkał? Czy wciąż jeszcze w pięknych okolicach w Prenzlauer Berg, w designerskim lofcie, czy już przeprowadził się do luksusowej willi w Zehlendorf?

W Xingu nie podawało się prywatnego adresu, a na stronie jego firmy widniał tylko kod pocztowy. Nieważne. Tak czy inaczej ta znajomość była wielce obiecująca.

Julia spojrzała kątem oka na ekran telewizora, gdzie wciąż leciał nowy show, *Shebay*. Niemal wszystkie dziewczyny walczące o pierwsze miejsce były całkiem przeciętne – z wyjątkiem jednej uczestniczki o imieniu Andira. Julia musiała przyznać, że kobieta wyglądała powalająco. Program szybko ją znudził, wróciła więc do ekranu komputera. Klik. Zmiana stron. Teraz czas na Facebooka.

„Jak tam twój kociak, wrócił już?” – zapytała jedna ze znajomych.

„Nie, niestety jeszcze nie”, odparła Julia.

„Koty chadzają tam, gdzie chcą i nikogo nie słuchają”, odpisała koleżanka.

„To samo można powiedzieć o facetach”, podsumowała Julia.

W tej samej chwili rozległo się drapanie do drzwi, a zaraz potem znajome miauczenie.

„No proszę, kotka właśnie wróciła!” – pochwaliła się szybko i pobiegła wpuścić zwierzę do mieszkania.

Clara przyglądała się w milczeniu, jak MacDeath uruchamia prychający i bulgoczący stary ekspres do kawy w kuchni na pierwszym piętrze, a potem nalewa sobie czarnego naparu. Kiedy skończył, spojrział podejrzliwie do filiżanki.

– Cóż, earl grey to to nie jest.

Uśmiechnęła się i puściła do niego oko. Sama bez obaw napiła się ze swojego kubka.

MacDeath również zanurzył usta w gorącym napoju, jednak szybko się skrzywił.

– Święte słowa, to nawet nie stało obok earl grey – podsumował. – Ale jestem zbyt leniwy, żeby teraz jeszcze parzyć sobie herbatę, a potrzebowałem czegoś na pobudzenie. – Usiadł przy niewielkim stoliku obok ekspresu do kawy. Na blacie leżał „Berliner Kurier” i biuletyn policji kryminalnej. – Chciała pani wiedzieć, jak dalece zajął się w umyśle mordercy potrzeba składania ofiar, wpływy z przeszłości i związek między nim a panią, prawda?

– Nie ukrywam, że chętnie bym o tym posłuchała.

– Takie postawienie problemu implikuje kolejne pytanie, mianowicie jaka jest jego pierwotna motywacja. – MacDeath uniósł brwi.

– Dużo bym dała, żeby się dowiedzieć. – Clara pokiwała głową. Obiema dłońmi przyciskała do brzucha kubek z gorącą kawą i rozkoszowała się ciepłem, które przenikało jej ciało.

– Pracuję w tej chwili nad profilem psychologicznym sprawcy. I jestem prawie gotów. – MacDeath upił łyk z filiżanki i skrzywił się z odrazą. – Na tyle, na ile to oczywiście możliwe, bo za dużo na jego temat na razie nie wiemy.

– To się rozumie samo przez się, więc proszę mówić. – Clara patrzyła na niego zaciekawiona, obawiając się, że na świecie nie ma już ludzi, którzy potrafiliby wyłuszczyć swoje racje w sposób zwięzły i bezpośredni, bez żadnych wycieczek i dygresji. Winterfeld potrzebował przynajmniej pięciu minut, by zapalić jednego „na zewnątrz”, zanim udzielił jakiegokolwiek odpowiedzi. Von Weinstein każdą wypowiedź zaczynał od wykładu z medycyny sądowej, a Hermann udzielał krótkich, acz często niezrozumiałych porad informatycznych, zanim był łaskaw oznajmić, że znalezienie jakiejś informacji trochę potrwa. Najwyraźniej MacDeath również postanowił zapisać się do tego elitarnego klubu.

– Co takiego motywuje go do popełniania zbrodni?

– Pozwoli pani, że odpowiem pytaniem?

Clara w myślach westchnęła i przewróciła oczyma. Ależ oczywiście, bo po co udzielać jasnej odpowiedzi?!

MacDeath przyjrzał się jej przenikliwie.

– Spośród wszystkich uczuć człowieka które jest najsilniejsze? I tylko błagam, niech pani nie mówi, że miłość, bo to nieprawda.

– Strach – odparła Clara.

– Dziesięć punktów! – MacDeath pokiwał głową. – Strach to najsilniejsze uczucie, bo niemal zawsze wywołuje je w człowieku bodziec zewnętrzny. Człowiek nigdy nie boi się dobrowolnie, w przeciwieństwie do miłości, która *per definitionem* jest dobrowolna i motywowana wewnętrznie. W odróżnieniu od niej strach jest wymuszany przez oddziaływanie na nas znacznie potężniejszej mocy. Musimy reagować, żeby chronić życie, zdrowie albo własność. Wszyscy reagujemy na takie bodźce podobnie. Jeśli kogoś kochamy, niekoniecznie będziemy chcieli zwiewać gdzie pieprz rośnie. Natomiast na widok szaleńca z uruchomioną piłą łańcuchową pobijemy rekord w biegu na pół kilometra.

- Winterfeld uważa, że strach ma w sobie coś atawistycznego.
- No i nie można odmówić mu racji. Strach, patrząc przez pryzmat ewolucji człowieka, jest równie pierwotny, jak, dajmy na to, węch. To powoduje, że łatwo nas oszukać. Dlatego kulimy się w kinie, oglądając horrory, chociaż rozum podpowiada, że to tylko fikcja.
- W tym śledztwie też pojawiają się horrory. – Clara wzruszyła ramionami. – Tyle że to nie fikcja, a prawda.
- W układzie limbicznym ludzkiego mózgu znajduje się ciało migdałowate. Odpowiada przede wszystkim za przetwarzanie negatywnych emocji, w tym strachu – tłumaczył MacDeath.
- To bardzo pierwotna struktura, która praktycznie nie zmieniała się w trakcie ewolucji.
- Clara zauważyła, że znów z wielkim zainteresowaniem przysłuchuje się słowom Friedricha. Mimo że wciąż jeszcze nie potrafiła znaleźć bezpośredniego związku między tym, co mówił, a mordercą, w jakiś sposób jego spokojny głos rozbrzmiewający pośród nerwowej bieganiny, śledzenia Bezimiennego i walki z czasem bardzo przypadł jej do gustu. MacDeath kontynuował:
  - Wrażenia, a może raczej bodźce, które wywołują strach, trafiają poprzez wzgórce, odpowiedzialne za ich wstępną ocenę, prosto do ciała migdałowatego. Żadnych objazdów, żadnych skrótów, żadnych odchyleń. Prosta i bezpośrednia droga. Momentalnie w ślinie wzrasta poziom hormonu stresu, czyli kortyzolu, rośnie ciśnienie krwi i tętno, nadnercza dostarczają coraz więcej tego hormonu, wątroba zaczyna uwalniać cukier, a źrenice się rozszerzają.
  - Ponieważ ciało migdałowate jest strukturą pierwotną, nasze reakcje odbywają się również na tym poziomie – potwierdziła Clara. – Bez zastanowienia rzucamy się do ucieczki. Reagujemy instynktownie jak zwierzę, które zauważyło polującego na nie drapieżnika. Kontrolę nad naszym zachowaniem oddajemy w całości odruchom wypracowanym przez miliony lat woli przetrwania.
  - Zgadza się. W mózgu człowieka znajdują się dwa ośrodki, które odpowiadają za przekazywanie takich informacji. To kora mózgowa i ciało migdałowate. Ciało migdałowate odgrywa kluczową rolę w procesie pełnej kategoryzacji bodźca, jaki do nas dociera, bo decyduje o tym, czy to dobre czy złe zdarzenie, czy oczekiwane czy raczej niepożądane. W razie czego organizm w ułamku sekundy przygotowuje się do nadejścia niebezpieczeństwa. Oddech przyspiesza, żołądek się kurczy i napinają się mięśnie. W ten sposób jesteśmy natychmiast gotowi do ucieczki lub do walki, jeśli nie ma innego wyjścia. A niejako w nagrodę, kiedy zagrożenie zostanie zażegnane, uwalniane są hormony szczęścia.
  - A co z korą mózgową?
  - Kora mózgowa przetwarza docierające informacje. Tam dokonuje się ich ocena i obróbka – wyjaśnił MacDeath. – Można by powiedzieć, że tam mieszka nasza racjonalność. Czyli miejsce, które oświeceni ludzie dwudziestego pierwszego wieku powinni szczególnie poważać.
  - Ale nie poważają? – zainteresowała się Clara.
  - Problem polega na tym, że większość połączeń przebiega w kierunku od ciała migdałowatego do kory mózgowej, a nie odwrotnie. W ten sposób mamy pierwotną strukturę sterującą instynktami, która decyduje, jakie informacje dotrą do miejsca, gdzie zachodzi racjonalne myślenie. A to bezpośrednio oznacza, że atawistyczny, pierwotny lęk jest...
  - Silniejszy. – Clara dokończyła za niego.
  - Bingo. Racjonalści mogą z tym dyskutować i temu zaprzeczać. Jednak tak jest od zarania dziejów i będzie przez tysiące lat, chyba że techniki manipulacji genowej pozwolą stworzyć nowy rodzaj człowieka, który, pozbawiony takich zależności, stanie się śmiertelnie nudny i do bólu racjonalny.

– Nasz morderca chyba się nie boi? W każdym razie nie odniosłam takiego wrażenia. MacDeath przytaknął.

– Jeśli chodzi o jego racjonalność, precyzję i pozbawiony emocji ton listów, to rzeczywiście nie można uznać, żeby się czegośkolwiek bał. Jednak sięgnąwszy w kierunku pierwotnych instynktów, nie mamy już takiej pewności. – Ponownie upił łyk kawy i lekko się wzdrygnął. – I tutaj dochodzimy do kolejnego pytania. – Odstawił filiżankę. – Jak pani rozumie zwrot „budzący grozę”?

Clara zastanowiła się nad odpowiedzią.

– W moim odczuciu grozę budzi to, co powoduje zagrożenie, co wiemy, że istnieje, choć tego nie widzimy.

– Ciekawa definicja, naprawdę. Czy zatem z budzenia grozy możemy antycypować o bezpośrednim zagrożeniu?

– Nie. – Clara potrząsnęła głową. – To coś znacznie subtelniejszego.

– Całkowicie się z panią zgadzam. Teraz zastanówmy się nad znaczeniem słów „groza” i pochodzącym od niego przymiotnikiem „groźny”, który nie jest jednoznaczny. Może bowiem oznaczać „wzbudzający strach”, lub „stanowiący niebezpieczeństwo dla życia”. – Przymknął oczy, ale nie przerywał. – To dość charakterystyczne dla języka, że słowa opisujące emocje poszerzają swoje pola znaczeniowe.

– Groza to i strach, i zagrożenie.

– Zgadza się. Przy okazji, Zygmunt Freud nieco szerzej zajmował się dręczącymi nas lękami i już wcześniej rozwinął to, jak pani zdefiniowała „budzący grozę”. Pisał, że niebezpieczeństwo to coś znanego, czego normalnie nie widzimy, co pojawia się niespodziewanie.

– A to się człowiekowi nie podoba? – zapytała Clara. – Jak stara rana, która znów się nagle otwiera?

– Właśnie, człowiekowi zdecydowanie się to nie podoba – zgodził się MacDeath. – Bo to znane zagrożenie udaje nam się odepchnąć od siebie, dzięki czemu go nie widzimy. Ale pozostaje przecucie, że gdzieś jest i że może wrócić. Pozostaje groza. Coś, co jest ukryte, i chcemy, żeby takie pozostało. Aż stanie się obce.

– Tymczasem to powraca, jak zmarły wstający z grobu?

Mężczyzna potaknął.

– Wszystko, co wiąże się z ciałami, zmarłymi, zombi, nieumarłymi i pokutującymi duszami, jest właśnie zgrozą, strachem przed czymś znanym, co odeszło, ale pozostawiło poczucie zagrożenia. A nasz morderca, to akurat podpowiada mi nos, poza ciałami swoich ofiar może mieć jeszcze jednego trupa w szafie. Kogoś, kogo znał i przed kim czuje strach.

– Pierwsze ciało? Chodzi o pierwszą ofiarę, której DNA znaleźliśmy w jednym z chrząszczy? – zapytała Clara.

– Myślę, że to całkiem prawdopodobne.

– Uważa pan, że właśnie te zwłoki pchają go do popełniania kolejnych zbrodni? – zapytała Clara. – W nich upatruje pan jego motywacji do morderstw?

MacDeath dopił kawę i odstawił filiżankę do zmywarki.

– Na razie to tylko moja teoria – wyjaśnił. – Jednak na tym przypuszczeniu bazuje stworzony przeze mnie aktualny profil psychologiczny sprawcy. – Ruszył w stronę wyjścia z kuchni. – Zapraszam do mnie do biura. Pokażę go pani.

Julia usłyszała znajome miauczenie.

Otworzyła drzwi i spojrzała kotce prosto w oczy.

Co w gruncie rzeczy nie należało do normalnych rzeczy, bo zazwyczaj oczy kotki nie znajdowały się na wysokości jej głowy. Jeszcze dziwniejszy był widok czarnych butów, które dostrzegła kątem oka, zanim instynktownie uniosła głowę, przez co popatrzyła we wspomniane już kocie źrenice. Ponownie rozległo się miauczenie. Ciało zwierzęcia tkwiło unieruchomione w silnych dłoniach osłoniętych czarnymi rękawiczkami. Mężczyzna, który trzymał kotkę, miał na twarzy czarną maskę i okulary spawalnicze. Pozbawiona oczu twarz była nieruchoma i przerażająca.

Najgorszy był jednak sekator, który nieznamy człowiek w czerni umieścił na przednich łapkach zwierzaka.

– Jeden pisk – ostrzegł – a kotka straci nóżki.

Princess, pomyślała Julia i zadrżała. Oczyma wyobraźni ujrzała dwa zakrwawione kikuty w miejscu, gdzie jej kotka miała jeszcze przed chwilą zdrowe łapki. Nie! Krzyk uwiązał jej w gardle jak kamień, którego nie da się ani połknąć, ani wypluć. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, łzy popłynęły jej po twarzy, a żołądek ścisnął się, jakby ktoś schwycił go żelazną pięścią. Poczula przy tym tak straszny ból, że ledwie mogła ustać na nogach, a jej usta wypełniły się gorzkim smakiem żółci i wymiocin.

– Wpuść mnie – odezwał się nieznamy.

Julia cofnęła się szybko. Nie odważyła się choćby pisnąć, bo widziała jedynie łapki swojej kotki i potężne dłonie w czarnych rękawiczkach.

Mężczyzna zamknął za sobą drzwi i rzucił kotkę na ziemię. Julia schyliła się odruchowo, by podnieść zwierzątko, lecz zanim go dosięgła, nieznamy wziął krótki zamach i z miażdżącą siłą uderzył ją łokciem w skroń. Dziewczyna padła nieprzytomna na podłogę.

Potem ponownie złapał kotkę, by wbić jej w grzbiet igłę i zrobić zastrzyk.

Rozległo się krótkie, pełne żalości miauknięcie i zapanowała cisza.

Lecz Julia tego nie słyszała.

Mężczyzna zerknął na nieruchome ciało młodej kobiety, które leżało u jego stóp. Potem wszedł do salonu i rozejrzał się, szukając komputera. Karteczką samoprzylepną zasłonił obiektyw wbudowanej kamery i odłączył wszystkie kable, które mogły służyć do podłączenia mikrofonu. Nigdy nie wiadomo, kto jak lubi surfować po sieci, a on musiał mieć pewność, że nikt nie będzie mu przeszkadzać. Sam będzie decydował, co nagrywa, a zacznie już niedługo.

Jego wzrok padł na otwartą stronę Facebooka. Na pierwszym planie ostatnia wiadomość opublikowana przez Julię. „No proszę, kotka właśnie wróciła!”

Odwrócił się i spojrzał na podłogę.

O tak... – pomyślał.

Potem dostrzegł pęk kluczy na komodzie. Teraz musiał działać szybko. Wyjść, przynieść potrzebne rzeczy z samochodu i wrócić. I nikt nie mógł go przy tym zauważyć.

Dziewczynie, która leżała bez życia w przedpokoju na podłodze, również dał zastrzyk, a potem wymknął się z mieszkania, niewidoczny jak cień nocą. Po trzech minutach był z powrotem. Tym razem z dwiema dużymi sportowymi czarnymi torbami.

Spojrzał na nieprzytomną dziewczynę.

I zabrał się do przygotowań.

MacDeath wskazał krzesło przed swoim dębowym biurkiem. Clara siedziała tam w czasie ich pierwszej rozmowy. Sam podszedł do swojego fotela, usadowił się wygodnie i uderzył szybko w klawisze komputera. Rozległ się cichy szum i drukarka zaczęła wypluwać kolejne kartki.

– Tego, za czym nie przepada archaiczne ciało migdałowate, my również nie lubimy i na nic zdają się wszelkie apele o tolerancję i rozsądek – tłumaczył mężczyzna, a w tle bez przerwy mruzczała drukarka. MacDeath spoglądał na Clary znad okularów, jak psychiatra, którym w końcu był. – To, co pochodzi z zewnątrz, budzi nasz strach. Chcemy uciekać albo to zniszczyć. – Ściszył głos. – Obce. Inne. Złe. – Podniósł z tacki dziesięć zadrukowanych kartek, spiął je ze sobą i po blacie biurka pchnął w stronę Clary.

– Co ten człowiek robi? – zapytał, kiedy przeglądała jego ekspertyzę.

– Zabija kobiety.

– Ile dotychczas zamordował?

– Wiemy na pewno o jednej, jednak sam twierdzi, że było ich więcej.

– Obawiam się, że nie kłamie. – Friedrich pokiwał głową. – Dlaczego morduje akurat kobiety?

– Seryjni mordercy wybierają ofiary według klucza swojej orientacji seksualnej.

MacDeath skinął głową.

– Czy je gwałci?

– Nic na to nie wskazuje.

Psychiatra oparł się wygodnie.

– Jak już wcześniej wspominałem i jak napisałem w punkcie drugim, zbrodnie seryjnych morderców nie na podłożu seksualnym są w psychopatologicznej ocenie wyjątkowo niecodzienne. To jakiś fenomen. Zaspokojenie, jakie morderca osiąga przez odebranie komuś życia, nie jest uwarunkowane seksualnie, a w każdym razie nie pierwszoplanowo seksualnie.

Kiedy mówił, Clara czytała jego opinię.

– Wspomina pan tutaj o ofiarowaniu – powiedziała w końcu. – I o katharsis. Co ma pan na myśli?

– Zajmijmy się najpierw składaniem ofiar. – MacDeath nachylił się w jej stronę. – I tym samym „budzeniem grozy”. Załóżmy, że morderca rzeczywiście trzyma jakieś ciało w piwnicy swojego domu. I przyjmijmy dalej, że zabił tę osobę w afekcie. Możemy założyć, że chce w jakiś sposób cofnąć i wymazać to, co zrobił.

– A jak mógłby cofnąć morderstwo?

– Pamięta pani jeszcze, co sam powiedział o uświęconej ofierze, jaką składa? – Sięgnął po swoją opinię i otworzył ją dla Clary w miejscu, gdzie znajdował się cytat z e-maila od Bezimiennego. Przesunęła wzrokiem po tekście, który morderca zaadresował bezpośrednio do niej: „Jak Pani myśli, ile osób leży od miesięcy – albo nawet lat! – w swoich mieszkaniach? Ludzi, za którymi nikt nie tęskni. Których nikt nie zauważa, bo zmumifikowane ciała nie mają woni. Których nikt nie szuka, bo nie ma nikogo, komu by na tym zależało. Bo jeszcze za życia byli marnotrawstwem, zbędnymi śmieciami, których śmierć byłaby uświęconą ofiarą złożoną społeczeństwu?”.

– Tutaj znów musimy się cofnąć do czasów starożytnych. – MacDeath złożył dłonie opuszkami palców. – Pozbawienie kogoś życia czy inny zły czyn – nazwijmy go grzechem – zawsze wymagało odkupienia i dążenie do tego tkwiło w ludziach od zawsze. Nasz morderca

zabiera z miejsca zbrodni krew i wnętrzności swoich ofiar, być może w celu przeprowadzenia jakiegoś wynaturzonego rytuału ofiarnego. – Przerwał na chwilę i zamyślił się. – Inkowie składali swoim żądnym krwi bogom ofiary z tysięcy ludzi. W Jerozolimie ofiarowano Baalowi, Molochowi i Astarte nowo narodzone dzieci, gdyż niewinność kilkudniowego niemowlęcia mogła zapewnić przychylność ówczesnych bogów, którzy z racji nieposłuszeństwa ludzi wpadli w gniew.

Wzrok Clary odruchowo powędrował w stronę czaszki, która w trupim uśmiechu szczyrzyła do niej zęby z szafki za plecami Martina Friedricha.

– Dolina Hinnoma w Jeruzalem – kontynuował MacDeath. – W starohebrajskim nosiła nazwę Gehinnom. Było to miejsce, gdzie krew płynęła strumieniami, a dym z palących się ciał niemal przysłaniał niebo. Całość musiała być tak okropna, że z jej nazwy – Gehinnom – powstało arabskie słowo oznaczające piekło: „Gehenna”.

– Brzmi przekonująco – zgodziła się Clara. – Jednak dziś...

– Dzisiaj – MacDeath wszedł jej w słowo i rozpromienił się, jakby rozmowa potoczyła się dokładnie według planu, a on miał właśnie podsumować wszystko to, o czym dotychczas mówili.

– Dzisiaj niemalże półtora miliarda wiernych pije regularnie krew i spożywa ciało konkretnego człowieka. Człowieka, który choć jest Bogiem, to stał się również człowiekiem. Robią to każdej niedzieli. I w czasie każdej mszy.

– Ma pan na myśli eucharystię? – Clara przypomniała sobie o środowej spowiedzi w berlińskiej katedrze Świętej Jadwigi i o konkretnym fragmencie Nowego Testamentu: „Oto ciało moje, które za was będzie wydane na odpuszczenie grzechów”.

– Jezus Chrystus – tłumaczył MacDeath. – Zgodnie z katechizmem katolickim to ostatnia ofiara z człowieka złożona jedynemu i prawdziwemu Bogu na przebłaganie za grzechy ludzkości, której bez takiego odkupienia groziło wieczne potępienie. Baranek ofiarny wziął na siebie jej winy i zgodził się umrzeć, by zapobiec śmierci innych. – Zmrużył oczy. – Kościół sam w pewnym momencie uznał, że przyjmowanie ciała Chrystusa to zbyt mocne wyrażenie i zastąpił je przyjmowaniem eucharystii albo komunii. Protestanci, którzy na ogół zachowują się dyskretniej niż ich katolicki bracia, zmienili formułę tego aktu na całkowicie symboliczną i nazwali to wieczerzą. – Wzruszył ramionami. – Jednak i taki zabieg nie zmienił przecież źródła samego rytuału i dogmatu.

– Jakiego dogmatu?

– Dogmatu polegającego na tym, że wierni w czasie katolickiej mszy świętej spożywają prawdziwe ciało i krew Chrystusa. – Mówiąc to, wskazał palcem na swój raport, na miejsce, gdzie znajdował się cytat z Katechizmu Kościoła Katolickiego. – „A skoro w tej Boskiej ofierze, dokonującej się we Mszy świętej, jest obecny i w sposób bezkrwawy ofiarowany ten sam Chrystus, który na ołtarzu krzyża ofiarował samego siebie w sposób krwawy, ofiara ta jest naprawdę przebłagalna”. Jeśli potrzebuje pani potwierdzenia, proszę zapytać przewodniczącego watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary.

Clara przytknęła oczy i zaczęła się zastanawiać.

– Czy to ma oznaczać – odpowiedziała po chwili – że dla mordercy kobiety, które pozbawia życia, to de facto ofiara, którą składa, by odkupić jakieś swoje wcześniejsze czyny?

– To całkiem możliwe – potwierdził MacDeath. – Niestety, wiemy tylko o jednej ofierze. Gdybyśmy mieli więcej danych, moglibyśmy pokusić się o sprawdzenie, co cechy fizyczne i emocjonalne ofiar oraz ich pochodzenie i sposób życia mówią nam o profilu psychoemocjonalnym sprawcy.

Clara zapisała coś na kopii raportu.

– Dobrze, to podsumujmy teraz, co wiemy – powiedziała powoli. – Nasz morderca zabija

kobiety, ale nie kieruje się motywami seksualnymi, tylko dzięki obecnym ofiarom stara się zmyć z siebie winę za to, co kiedyś zrobił. – Spojrzała na tekst. – To by wyjaśniało, dlaczego morduje, ponieważ jednak brakuje elementu seksualnego, pytanie o to, dlaczego wybiera akurat kobiety, pozostaje wciąż otwarte.

MacDeath spojrział na nią bardzo uważnie, ale Clara nie przerywała.

– Na dodatek wciąż nie mamy stuprocentowej pewności, że sprawcą jest rzeczywiście mężczyzna.

– Świetna uwaga, koleżanko, naprawdę celna. – MacDeath pokiwał głową i wstał z fotela.

– W ten sposób przechodzimy do rozdziału drugiego, czyli do katharsis. Do oczyszczenia.



Człowiek budzi się na różne sposoby. Często zaraz po przebudzeniu znajduje się jeszcze w fazie półsnu, którego materia drze się pod naporem co chwila pojawiających się przeblysków rzeczywistości. Czasem ten półsen jest tak głęboki, że choć powoli pojawia się świadomość powrotu do rzeczywistości, świat marzeń i snów ma jeszcze dość siły, by przekształcać ją na swoją modłę. Ma wówczas budząca się – lecz jeszcze nieobudzona! – osoba tę wyjątkową pewność, że na podobieństwo Boga stwarza własną rzeczywistość, aż do chwili gdy bezduszny i krnąbrny budzik zacznie wyc przeciągle i nieubłagane. Wtedy nie pozostaje nic innego, jak zebrać w sobie dość energii i zwlec się z łóżka.

Czasem przebudzenie jest procesem płynnym i świadomym. Człowiek, budząc się, wie już, że to sobota i że może dłużej zostać w łóżku. Leży więc i częściowo świadomie smakuje przedłużający się półsen. Kiedy indziej z kolei wie, że to poniedziałek lub wtorek i że zaraz powinien być w pracy, gdzie czeka go nieprzyjemne zadanie, narada lub trudna rozmowa, do której nie czuje się jeszcze przygotowany. Wówczas momentalnie trzeźwieje i nie potrafi już zasnąć, myśląc o nieprzyjemnym obowiązku, jaki na niego czeka, i to nawet jeśli budzik ma zadzwonić dopiero za godzinę.

Czasem bywa i tak, że budząc się, człowiek wynurza się z głębokiego, czarnego snu, który niczym śmierć – będąca jego siostrą – obdarzył go – lub ją – łaską zapomnienia. Sen strach i zgryzoty rzeczywistego świata przykrywa czarną jak noc przesłoną zapomnienia. Wieczorem na przykład przychodzi wiadomość, że ktoś traci pracę albo umiera bliski przyjaciel czy członek rodziny. Świadomość tego pojawia się dopiero rankiem, kiedy podczas budzenia się człowiekowi zaczyna coś świtać, by po chwili – z nagłością cięcia chirurgicznym skalpelem – zmienić się w pewność. Wtedy wraca groza, na jakiś czas upchnięta pod ciężkim kołdercem snu – żywa i potężna, unosi się nad myślami człowieka i uśmiecha w diabolicznym triumfie. Wstaje z grobu niczym wampir, który na czas snu przestaje być groźny, lecz po przebudzeniu wraca do przerażającego życia.

Młoda dziewczyna o imieniu Julia powoli zaczęła dostrzegać niewyraźne zarysy swojego pokoju, podobnie jak sylwetkę człowieka, który zrobił krok w jej stronę. Czuli, że nie leży, lecz siedzi, lecz to jej nie zaniepokoiło. W każdym razie jeszcze nie. Lewa strona jej głowy pulsowała bólem, który powoli promieniował na resztę ciała.

Jednak ból nie był wszystkim, co jej przeszkadzało. Coś nieokreślonego kołysało się w jej podświadomości niczym gigantyczny głaz zawieszony na cienkiej linie, która w każdej sekundzie może się zerwać, przez co głaz runie w dół, miażdżąc wszystko, co znajduje się na jego drodze.

Otworzyła szerzej oczy.

I nagle z przerażającą jasnością wróciły wspomnienia. Miauczenie, drapanie do drzwi. Princess. Łapki. Sekator. Mężczyzna w czerni...

W jednej sekundzie zalała ją fala paralizującego strachu i wywołała mdłości. Dziewczyna nie mogła nic zrobić, nie mogła nawet pisnąć, bo jej usta zalepiono kawałkiem szerokiej taśmy klejącej. I tak krzyk uwiązał jej w gardle, a przerażenie gotowało się w niej, nie mogąc znaleźć ujścia.

Dopiero wtedy zorientowała się, że na uszach ma słuchawki i że nie czuje ścierpniętych rąk i nóg. Za pomocą szerokiej taśmy izolacyjnej została przyklejona do krzesła, z którego wcześniej się poderwała, słysząc miauczenie kotki. A potem wydarzyło się coś tragicznego. Coś, przez co skończyła unieruchomiona i uwięziona we własnym pokoju.

Rozejrzała się.

I zatrzymała na nim wzrok.

Mężczyzna w czerni.

Miał na sobie czarny lateksowy kombinezon, rękawiczki i okulary podobne do tych, które noszą spawacze. Nieprzejrzyste, całkowicie zasłaniały jego źrenice, lecz to akurat paradoksalnie obudziło w Julii odrobinę nadziei: jeśli napastnik wołał pozostać zamaskowany, to znaczy, że nie chciał, by go rozpoznała. A to z kolei mogło mieć jedną przyczynę: pozostawi ją przy życiu. A może jednak nie? Mimo wszystko strach ścisnął jej żołądek żelazną obręczą i zwymiotowałyby, gdyby nie zaklejone taśmą usta. Bała się, że jeśli zaraz jej nie zdejmie, udusi się wymiocinami. Czy nieznajomy zrobiłby coś, czy tylko siedział i zadowolony przyglądał się, jak umiera?

Nagle usłyszała głos. Głęboki, nienaturalny, jakby rozbrzmiewał wewnątrz jej głowy.

– Zawrzyjmy układ – powiedział mężczyzna.

Julia wiedziała już, dlaczego tak dziwnie brzmiał głos nieznajomego i dlaczego aż tak wyraźnie go słyszała – do tego stopnia, że nie było nic poza nim, jakby przemawiał do niej zazdrosny bóg, który nie toleruje najsłabszych szmerów, mogących zagłuszyć jego przesłanie: nieznajomy korzystał z mikrofonu, który zmieniał głos odtwarzany później przez słuchawki na jej uszach.

– Patrz! – rozkazał.

Na blacie, obok laptopa, stała butelka z przejrzystym płynem. Julia z ociąganiem przesunęła wzrokiem za dłońmi nieznajomego, który zmiął chusteczkę higieniczną i wrzucił ją do butelki. Po kilku sekundach papier zmienił się w strzępki, które po chwili całkowicie się rozpuściły.

– Kwas siarkowy o dużym stężeniu – wyjaśnił nieznajomy.

Julia miała wrażenie, że przygląda się jej bardzo uważnie, choć nie mogła mieć pewności, bo przez czarne jak smoła okulary nie widziała jego oczu. Jakby w ogóle ich nie miał. Jakby nie miał też duszy.

– Pewnie zastanawiasz się teraz, po co ci to w ogóle pokazuję. – Mężczyzna mówił dalej, spokojnie i bez emocji. – Chciałem, żeby w tym punkcie była jasność. Masz dwie możliwości. – Spojrzał na butelkę.

– Wyjście pierwsze: odklej ci usta, a ty, zamiast krzyczeć, będziesz robiła, co ci każę. Wtedy na pewno znajdziemy płaszczyznę porozumienia. – Przesunął głowę, jakby patrzył jej prosto w oczy. – Zrozumiałaś?

Dziewczyna potaknęła. Drżała jak w gorączce, a pot zalewał jej oczy.

Nieznajomy mówił dalej.

– Wyjście drugie: zdejmę ci taśmę z ust, a ty zaczniesz krzyczeć. Wtedy wezmę to – wskazał palcem na butelkę z kwasem siarkowym – i wyleję ci wszystko na głowę, zmieniając ją w krwawą, opuchniętą i pokrytą bąblami bezkształtną masę. – Ponownie spojrzął w jej stronę. – To jak, mamy umowę?

Spanikowana pokiwała szybko głową.

– W takim razie pamiętaj, co ci obiecałem – powtórzył mężczyzna i szarpnięciem odkleił taśmę.

Stał na polanie pośród wielkiego lasu, a nisko wiszące chmury przykrywały niebo jak brudna ścierka, z której kapłała woda.

Rosnący księżyc wyglądał z rzadka przez przerwy w chmurach, a deszcz siekł ziemię, liście i jego twarz. Chłopiec stał nieruchomy między potężnymi pniami, jakby przeistoczył się w jeden z nich.

Przed oczyma widział twarz Elisabeth. Była wciąż żywa i cudownie piękna, by po chwili zmienić się w zwłoki z dziwnie wykrzywioną głową i szeroko wytrzeszczonymi, pustymi oczyma. Kiedy indziej widział obie jej twarze naraz; te same twarze, które pojawiały się w jego koszmarach. Zdawał sobie sprawę, że postrada zmysły, jeśli nie zacznie działać. A może... może już popadł w obłąd?

Miał dwie możliwości.

Umrzeć, by odnaleźć w końcu spokój.

Lub żyć, żeby naprawić to, co zniszczył.

Po godzinie spędzonej w lesie ociekał wodą i trząsał się z zimna. Kiedy ruszył w stronę sierocińca, wiedział już, co zrobi.

Vladimir nie pozbył się jeszcze czarnej folii, w którą owinął wcześniej ciało Tobiasa. Przez jakiś czas nie była potrzebna, bo zwłoki chłopaka podzielone na setki kawałeczków gniły od dawna w kanalizacji, jednak teraz znów okazała się przydatna.

Owinął nią ciało swojej siostry, by ukryć je na dnie jednej z wielkich zamrażarek. Na szczęście dziewczyna była znacznie lżejsza niż Tobias.

Jeszcze tej samej nocy Vladimir rozpoczął przygotowania. Zakradł się do biura portiera i ukradł zapasowy klucz do drzwi sierocińca. Potem wskoczył na rower i pojechał do domu dawnej dyrektorki, która większość swojej emerytury spędzała na Majorce i tylko co pewien czas pokazywała się w kraju. Jej dom znajdował się trochę ponad pięć kilometrów od ośrodka i przez następnych kilka tygodni miał stać pusty. Ta informacja miała mu się przydać. Ukryje się tam. Na krótko. A potem zniknie. Zniknie, by kiedyś powrócić. Dom byłej dyrektorki był stworzony dla jego misji.

Jego świętej misji.

Kiedy wrócił do sierocińca, dochodziła trzecia nad ranem. Wziął czerwoną kurtkę przeciwdeszczową, a przy wejściu ustawił dwa rowery.

Na koniec napisał list pożegnalny: „Straciłem wszystko, co miałem. Rodziców, siostrę, życie. Dlatego i ja jestem stracony dla życia. Vladimir Schwarz”.

Kartkę z tą wiadomością wrzucił do skrzynki na listy przed biurem dyrektora.

Potem włożył kurtkę przeciwdeszczową, wskoczył na siodelko i pojechał nad jezioro. Drugi rower holował obok siebie, trzymając go za kierownicę. Jeden z nich ukrył w krzakach po zachodniej stronie jeziora, drugi pozostawił w widocznym miejscu na brzegu.

Dopiero co nadeszła wiosna, a woda była jeszcze bardzo zimna. Vladimir wypłynął niemal na środek jeziora. Tam zdjął z siebie czerwoną kurtkę i ruszył w stronę miejsca, gdzie ukrył rower. Wszedł z wody, wskoczył na siodelko i pojechał do domu byłej dyrektorki.

Następnego ranka, kiedy dyrektor sierocińca znalazł list i go przeczytał, natychmiast zawiadomił policję, a portier szybko znalazł rower nad wodą. W tym czasie Vladimir siedział w piwnicy swojego nowego domu i rozmyślał, jak zrealizować kolejne etapy planu.

Jakoś musiał wydostać z sierocińca zwłoki siostry, przetransportować je do kryjówki i zakonserwować. Tutaj miał ku temu środki i możliwości, między innymi z tych powodów wybrał

akurat ten dom na kryjówkę.

Przede wszystkim musiał jednak odkupić swój czyn – cofnąć mord, który popełnił na siostrze. Musiał śmiercią innych zmyć z siebie winę za jej odejście.

Krótko po połowie programu na scenie pojawiła się ona: Andira aka Pokusa.

Ponownie przyodziana w czarną chustę, która spłynęła na podłogę, i ponownie w błyszczącym srebrzyście bikini cudownie podkreślającym doskonałość jej ciała. I podobnie jak przy pierwszym występie, publiczność zamarła w niemym zachwycie, a ciszę w studiu przerywało jedynie ciche piszczenie kabli wlokących się za wózkami z kamerami.

Tym razem jej obraz pojawił się na wielkim ekranie z tyłu sceny, by każdy mógł uważnie obejrzeć oczy dziewczyny, usta i uśmiech. Obsługa show wiedziała, z czym przyjdzie się jej zmierzyć, więc nikt nie stał, jak za pierwszym razem, z rozdziawionymi ustami, i każdy pamiętał, co ma robić. Momentalnie światła reflektorów skupiły się na właściwej osobie.

W programie nastał czas doskonałej figury i idealnej kobiety, która była ucieleśnieniem marzeń Leonarda da Vinci i Michała Anioła.

Albert Torino, jak poprzednio, nie mógł oderwać wzroku od perfekcyjnie uformowanych nóg i zapraszających, acz nie za szerokich bioder, płaskiego brzucha, idealnych piersi i klasycznie doskonałej twarzy, platynowoblond włosów i hipnotyzujących oczu. Dziewczyna polakierowała paznokcie na błyszcząco srebrny kolor, a w pępku nosiła kolczyk. Uwodzicielsko przesunęła językiem po wargach. Również w jej ustach można było dostrzec dyskretny srebrny refleks.

Waż kusiciel i Ewa w jednej osobie, pomyślał Torino.

Niezależnie od tego, ile było w nim z profesjonalisty, nie potrafił oderwać od niej spojrzenia. Niebiosa, czegoż by dokonał z nią w łóżku! Jednocześnie przez głowę przemykały mu różne modele biznesowe, dzięki którym można by spieniężyć potencjał tej dziewczyny: *cross promotion*, *multi channel marketing*, płyty, agencje, moda i tak dalej. Bo Andira należała do niego. Była związana z nim kontraktem, który obowiązywał przez najbliższe trzy lata. To on ją odkrył. Tylko on.

Niech diabli porwą pozostałe, pomyślał. Andira musi zwyciężyć. To ona zostanie Miss Shebay. A potem pojawiła się niepokojąca świadomość. Jest przecież jeszcze nagroda dla publiczności. Co się stanie, jeśli nie będzie chciała spędzić nocy ze zwyciężcą? Na odpowiedź nie musiał wcale czekać. Srać na to. Mam dość znajomości w pornobiznesie, żeby zapewnić zwycięzcy niezapomniane przeżycia. A na osłodę dostanie dziesięć tysięcy euro, żeby trzymał gębę na kłódkę. To i tak będzie dużo, jak na takiego śmiecia. Tak czy inaczej, nie pozwolę zepsuć mi kury znoszącej złote jajka tylko dlatego, że jakieś marny idiota chciałby przez pięć minut ją poujeżdżać.

Publiczność nie posiadała się z zachwyty. Wynik był taki, jakiego oczekiwał: inaczej być nie mogło.

Andira została Miss Shebay.

Kandydatka numer 14.

Telewizor dalej grał. Teraz ponownie z włączonym dźwiękiem.

Nieznajomy zakończył swoją pracę i w łazience Julii zmywał właśnie krew z czarnych gumowych rękawiczek. Nie pozostawił po sobie niczego – żadnych odcisków palców, drobinek naskórka, włosów czy jakichkolwiek innych śladów, które mogłyby go zdradzić i pozbawić pseudonimu, jakim się posługiwał: Bezimienny.

Był całkowicie spokojny, nie odczuwał żadnych emocji. Serce biło mu tak samo szybko, kiedy czytał i kiedy mordował. Lecz zabijanie zawsze wiązało się ze stresem, a ten działa na człowieka tak, że mogą wypadać mu rzęsy. Dlatego nosił ściśle przylegające do twarzy okulary spawalnicze. Bo nie chodziło przecież o to, by ofiary go nie rozpoznały – one akurat mogłyby go widzieć bez żadnego problemu, ponieważ i tak miały umrzeć. Chciał po prostu zapobiec pozostawieniu jakichkolwiek śladów na miejscu zbrodni.

Starannie zamknął dwie plastikowe torby, do których wcześniej spakował ciepłe jeszcze, parujące wnętrzności i schował je do jednej z czarnych sportowych toreb, do której wsadził również kanister z krwią wytoczoną dziewczynie.

Następnie zamknął komputer Julii, zabrał jej dokumenty, klucze i karty kredytowe i odszukał skoroszyt z umowami wynajmu i pismami urzędowymi, by wszystkie te rzeczy również wrzucić do toreb.

Na łóżku leżały zwłoki, tak bardzo podobne do Jasmin. Jednak tym razem wymyślił drobną niespodziankę dla policji.

Wszystko poszło zgodnie z planem.

Podszedł do szafki i podniósł pilota, by wyłączyć telewizor. Akurat kończył się show, w którym wybierano jakieś modelki. Przysadzisty mężczyzna z włosami zaczesanymi na żel stał obok prześlicznej dziewczyny.

– Miss Shebay została Andira! – krzyczał do mikrofonu, a tłum na widowni wiwatował.

Bezimienny chciał wyjść, lecz zamarł w bezruchu i przez kilka sekund wpatrywał się w ekran telewizora. Na jego twarzy pojawił się lodowaty uśmiech.

– Andira – mruknął, jakby wymawiał imię świętej w litanii. Wycelował pilota. A potem, chcąc potwierdzić podjęte akurat postanowienie, wycedził: – Numer piętnaście.

Następnie przycisnął czerwony guzik i obraz zgasł.

Minutę później w mieszkaniu panowała martwa cisza.

Martwa jak jego lokatorka.

– Dzisiaj będzie się działo – oznajmił Torino i zatarł z radości ręce.

Albert Torino, Jochen i Tom Myers schodzili szybkim krokiem schodami prowadzącymi z Friedrichstraße do Grill Royal. Tom Myers od chwili, kiedy się spotkali, wisiał na telefonie i dyskutował o czymś po angielsku, dzwoniąc do kolejnych współpracowników w Stanach Zjednoczonych.

Torino czuł się jak bóg. Program okazał się niesamowitym sukcesem. Inni nadawcy ustawili się już w kolejce, gotowość współpracy zgłosiły wielkie wytwórnie płytowe i nadeszły pierwsze oferty od koncernów kosmetycznych i lifestylowych, które zainteresowały się Andirą.

Potrzymamy ich trochę w niepewności, powtarzał sobie w duchu, kiedy otwierał drzwi restauracji, by całą trójką wmaszerować do środka niczym kowboje do saloonu.

Mimo że był piątkowy wieczór, sala wyglądała, jakby za kilka minut właściciel miał zamknąć lokal. Przywitał ich ten sam starszy kelner, który tu był poprzednio.

– Stolik dla naszej trójki – zażądał Torino. – I od razu butelka veuve cliquot na rozgrzewkę.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Już podaję. – Odwrócił się w stronę okna. – Czy ten stolik będzie panom odpowiadał?

– Oczywiście – odparł Torino. – Niech pan przyniesie też kartę dań.

– Bardzo mi przykro. – Kelner rozłożył ręce. – Ale kuchnia jest już zamknięta. Mogę panom zaproponować...

– Leć lepiej po szefa kuchni – przerwał mu ostro Torino i posłał spojrzenie, po którym kelnerowi natychmiast przeszła ochota na dyskusje.

– W tej cholernej dziurze nigdy nie ma nic do żarcia – warknął producent. – Czy my jesteśmy do cholery na jakimś Haiti, czy co?

Po dłuższej chwili przy ich stoliku pojawił się przysadzisty mężczyzna z sumiastymi wąsami.

– Tłumaczyłem pana koledze, że jesteśmy głodni – wyjaśnił Torino, założył ręce na piersiach i spoglądał niewzruszenie na kucharza.

– Bardzo mi przykro, ale kuchnia jest już zamknięta.

Torino sięgnął do kieszeni, wyjął dwa banknoty po pięćset euro i wcisnął je mężczyźnie w dłoń.

– A teraz znowu jest otwarta.

Szef kuchni pokiwał szybko głową.

– Już pędzę. Zaraz podamy karty. Czy zamówili panowie już coś do picia?

– Zaraz na samym wstępie, a wciąż siedzimy tu o suchym pysku! – warknął Torino. – Dajcie nam szampana, a potem uzupełniajcie piwo, aż do oporu. A teraz ruchy, bo zaraz zejdziemy z głodu! No już!

Szef kuchni i kelner oddalili się pospiesznie.

Trójka mężczyzn rozsiadła się wygodnie, a kiedy przybył szampan, wnieśli toast.

– No dobrze. – Torino uśmiechnął się i spojrzał na Toma Myersa. – Jeśli po dzisiejszym wieczorze nie szykujecie dla nas miejsca na głównej stronie, to znaczy, że macie tyle wycucia, co martwy saper na polu minowym.

Myers przed chwilą zakończył kolejną z kilkunastu rozmów telefonicznych. Upił łyżeczek szampana, jakby nie planował wlewać w siebie alkoholu do końca wieczoru, a potem skrzywił się lekko.

– Rzeczywiście, zrobiliście wrażenie, bez dwóch zdań – zaczął. – Wszystko wygląda super, a ja robię, co mogę, jednak...

– Jednak co? – Torino zrobił ponurą minę.

– Jednak nie mogę takiej decyzji podjąć w pojedynkę.

Albert Torino właściwie nigdy nie tracił panowania nad sobą. Emocje i nerwy uważał za przeszkodę w sprawnym prowadzeniu interesów. Co prawda w tej branży bywało różnie i czasem aż chciało się krzyczeć, lecz od kiedy założył Integrated Entertainment, nie pozwalał sobie na żadne wielkie uczucia. Brakowało mu na to czasu. Poza tym Torino należał do osób, dla których ryzyko w biznesie i potencjalne zyski były znacznie bardziej podniecające niż jakiekolwiek szaleństwa z uczuciami. Emocje zostawiał durniom bez perspektyw. A jednak teraz powoli zaczynał odczuwać coś na kształt irytacji. I to sporej.

– Słuchaj, powiedz wprost, że musisz obgadać to jeszcze z prawnikami. Mam rację?

– Musisz zrozumieć, że dla nas ta sytuacja nie jest wcale taka prosta – wyjaśnił Myers. – Pamiętasz, co powiedział nasz król Prus? Stary dobry Fryderyk?

Torino i Jochen jednocześnie wzruszyli ramionami.

– Ciągłe gadał.

– Że jak ktoś się bawi z małpami, to prędzej czy później któraś go ugryzie, albo jakoś tak – ciągnął Myers. Torino skrzywił się niezadowolony z porównania. – Program jest świetny, tu nie ma co dyskutować. Przyciąga olbrzymią widownię, jednak większość z nich to dość żałosne typki. Dlatego widzimy w nim spore ryzyko dla naszej reputacji.

– Chodzi o to, że chcesz się bawić z małpami, ale nie chcesz, żeby cię któraś pogryzła, tak? – zapytał Torino. Jochen nalał sobie szampana i niewzruszenie obserwował Myersa wylupiastymi oczyma.

– Zawsze ktoś – albo coś – może cię ugryźć – odparł mężczyzna i upił kolejny łyżeczek alkoholu. – Nam zależy na tym, żeby w każdej chwili mieć w zasięgu ręki serum przeciwko tępcowi. – Zebrał się, żeby wstać. – Właśnie do tego potrzebujemy prawników.

– Co się dzieje? Chcesz nas już zostawić? – zdziwił się Torino. – Przecież jeszcze dobrze nie zaczęliśmy!

Myers podniósł się z krzesła.

– Muszę skonsultować jeszcze kilka spraw z naszym działem prawnym w Cupertino.

– To dzwoń do nich i wracaj do nas świętować – zaproponował Jochen.

Myers po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Dzięki wielkie, ale do takich rozmów potrzebuję spokoju. W pokoju hotelowym znacznie lepiej mi się myśli. – Schował telefon do kieszeni marynarki. – Dołączę do was, kiedy tylko skończę. Z Hiltona na Gendarmenmarkt mam raptem sześć minut piechotę.

Torino pokiwał głową. W jego spojrzeniu pojawił się błysk zrozumienia, ale też i rozczarowania, że jeszcze nie zapadły ostateczne decyzje.

– Niech ci będzie. Ale przekaz swoim prawnikom, że tym razem wyjątkowo powinni zastanowić się nad potencjalnymi zyskami, a nie tylko zonglować tymi swoimi paragrafami, których i tak nikt nie rozumie.

– Masz to jak w banku – powiedział Myers. – Jak wrócę, dokończymy rozmowę. – Skinął głową i ruszył w stronę wyjścia.

– Śrać na to – mruknął Torino i sięgnął po komórkę. – Nie pozwolę, żeby zepsuł nam imprezę. Zadzwońię po panię.

Torino i Jochen odprowadzili Myersa wzrokiem do drzwi.

Również mężczyzna o krótkich blond włosach, który siedział przy stoliku obok wejścia, nie spuszczał wzroku z amerykańskiego przedsiębiorcy.



Patrzył na niego zza szkieł okularów w oprawkach z matowej stali nierdzewnej.

– Katharsis – powtórzył MacDeath i zaczął przechadzać się tam i z powrotem po swoim gabinecie. – Oczyszczenie. Można powiedzieć, że wietrzenie świadomości, by usunąć z niej zaduch i przytłaczające rzeczy. – Zatrzymał się przed obrazem przedstawiającym Sąd Ostateczny. – Im bardziej traumatyczne przeżycie, które trzeba przetrwać, tym radykalniejsze muszą być sposoby oczyszczenia. – Przerwał na chwilę, zastanowił się i mówił dalej: – Nasz morderca zabija kobiety i najwyraźniej nie są to zbrodnie na tle seksualnym. Inscenizuje co najwyżej gwałt, by zmylić śledczych i pokazać się jako ktoś wybitnie inteligentny, błyskotliwy i nieuchwytny. Racja?

– Racja.

– Morduje kobiety, żeby przynieść komuś innemu ofiarę. To pozwala nam wysnuć dwa wnioski. – MacDeath spojrział na nią wyczekująco. – Jaki będzie pierwszy?

Policjantka odpowiedziała:

– Pierwszy będzie mianowicie taki, że osoba, którą kiedyś zamordował i teraz błaga o przebaczenie – przynosząc jej ofiary – to również kobieta.

– Doskonale. – Martin Friedrich pokiwał głową. – Kiedy spojrzymy na to przez pryzmat drugiego wniosku, będziemy wiedzieć o nim znacznie więcej.

– Jak to?

– Morderca potrzebuje katharsis, żeby się oczyścić – wyjaśnił MacDeath i wrócił za swoje biurko, gdzie stanął przed wyszczerzoną ludzką czaszką.

– Chce pan powiedzieć, że on sam mógł paść ofiarą wykorzystywania? – zapytała Clara.

– Ktoś go poniżał? Ale kto? Matka? I teraz jak Norman Bates wieku internetu odplaca za to kobietom?

– Nie. – Friedrich potrząsnął głową. – Takie wyjaśnienie byłbym skłonny wykluczyć. Większość gwałcicieli to mężczyźni, podobnie jak większość seryjnych morderców. Jestem przekonany, że nasz morderca został wykorzystany przez innego mężczyznę.

– Granice najczęściej przełamują mężczyźni. – Clara westchnęła.

Friedrich kiwnął głową.

– Jednak to, że nie było żeńskiego odpowiednika Michała Anioła ani żeńskiego Mozarta, wiąże się bezpośrednio z tym, że nigdy nie było też żeńskiego odpowiednika Kuby Rozpruwacza.

– Nie wiem, czy powinnam to potraktować jako komplement, czy raczej dowód słabości przedstawicielek mojej płci?

– Można to dwojako interpretować, jednak fakt pozostaje faktem – odparł MacDeath i usiadł. – Proszę jednak zajrzeć dalej do tekstu. – Schylił się i ustawił wysokość fotela. – Przyjmuję, że zgodnie ze statystyką gwałcicielem mordercy był mężczyzna. I zakładam, że wykorzystał go, kiedy ten był jeszcze dzieckiem.

– Pedofil? Pedofil homoseksualista? – Clara uniosła brwi.

– Znajduję przesłanki, które pozwalają mi tak myśleć. – MacDeath pokiwał głową. – Niech sobie pani przypomni, z jaką trudną do ukrycia radością morderca wykorzystał Jakoba Kürtena w roli marionetki. Mieliśmy wierzyć, że to on za wszystkim stoi. – Clara pamiętała wygląd przykutego do łóżka Jakoba, którego ciało zostało tak wysuszone, że nie dało się rozpoznać, jakiej jest płci. – I niech pani pomyśli o cynicznych uwagach na jego temat w liście do pani.

MacDeath nachylił się i wskazał jej odpowiedni akapit w swoim raporcie: „Myślała Pani z pewnością, że już mnie dopadła. Jednak sukcesu w tym było tyle, co krwi w wyschniętych

żyłach Jakoba Kürtena”.

– Morderstwo Kürtena i, być może, również innych mężczyzn, których tożsamość wykorzystywał później do swoich celów, by kontaktować się z kobietami i je mordować, było de facto tylko narzędziem. Narzędziem, dzięki któremu jako prawdziwy Bezimienny miał stać się niewidzialny i poza wszelkimi podejrzeniami, i niczym ukryty w tłumie morderca z Edgara Allana Poe’go pogrążyć miasto w strachu i niepewności. – Przerwał na chwilę, jakby chciał uporządkować myśli. – Z drugiej strony to mogła być dyskretna zemsta na homoseksualizmie jako takim, a niebezpośrednio również na osobie, która wykorzystywała Bezimiennego, kiedy był dzieckiem.

– Dlaczego w takim razie nie mordował tylko mężczyzn? – zapytała nadkomisarz.

– Spokojnie, zaraz do tego dojdziemy – odparł MacDeath. – Nie powinniśmy mieszać ze sobą obowiązku i dowolności. Jakob Kürten – i ktokolwiek jeszcze leży zamordowany i zmumifikowany w swoim łóżku, a my o nim nic nie wiemy – to był jego wolny wybór, dzięki któremu z łatwością udało mu się wywieść nas w pole. Jednak to było tylko narzędzie umożliwiające spełnienie obowiązku. A obowiązkiem dla niego są ofiary z kobiet.

Clara zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać.

– Potrzebował tożsamości tego mężczyzny – powiedziała, unosząc powieki. – Potrzebował jej, by mordować kobiety i nie dać się złapać, dopóki nie dokończy swojego dzieła? Jakiegokolwiek by miało być.

– Sam bym lepiej tego nie wyraził.

– Jeśli jednak mężczyzna wykorzystywał jako narzędzi do realizacji celu, to właśnie kobiety były ofiarami, dzięki którym chciał odkupić swoją wcześniejszą zbrodnię i wyblagać przebaczenie.

MacDeath zacisnął usta i potaknął.

– Biorąc pod uwagę nasz obecny stan wiedzy, takie założenie nie jest bezpodstawne.

– W takim razie co z katharsis? – zapytała Clara. – Co z oczyszczeniem? Czy w nim ofiary mają jakieś zadanie?

– A jak pani myśli? – Uśmiechnął się łobuzersko.

Clara nie umiała zachować powagi.

– Skoro pan pyta, to odpowiem. Tak, uważam, że tak. Ale dlaczego?

– No cóż, a co pedofil homoseksualista czy inny zwyrodnialec gwałciciel mógł wyprawiać z naszym – wówczas jeszcze nastoletnim – mordercą?

Clara wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Poniżyć? Zmuszać do seksu oralnego i analnego? Dotykać?

– Czy dziecko było w tych aktach stroną aktywną, czy pasywną? – Friedrich pytał dalej.

– Oceniając na podstawie wieku, to zapewne pasywną.

MacDeath pokiwał głową.

– Nasz mały morderca musiał zapewne zaspokajać gwałciciela oralnie i był wykorzystywany analnie. Czy to możliwe?

Clare zaskoczyła drobiazgowość, z jaką MacDeath rekonstruował przeżycia mordercy, jednak najwyraźniej mężczyzna miał w tym jakiś cel.

– Owszem.

Martin Friedrich oparł się wygodniej.

– To oznacza, że Bezimienny musiał „być kobietą”, jak mawia się o takich sytuacjach w kręgach homoseksualnych.

Clara otworzyła szeroko oczy.

– I mordując teraz kobiety, chce się oczyścić z tamtego zbrukania?

– Całkiem prawdopodobne. Zabija to, czego nienawidzi w sobie i co odbiera jako nieczyste. To, co człowiek zazwyczaj odczytuje jako kobiece – czyli słabość, delikatność, miękkość, to, że mężczyzna wchodzi w kobietę. To są rzeczy, którymi morderca się brzydzi i których się wstydzi. Które przypominają mu o najgorszym poniżeniu, jakie go spotkało. – Mówiąc to, złożył dłonie jak ksiądz. – Kiedy był gwałcony i poniżany, czuł się kobietą. Teraz, żeby oczyścić swoją psychikę i zapomnieć o wstydzie, stara się zabić w sobie ten pierwiastek kobiecy...

– ...wybierając reprezentatywne dla swojego wyobrażenia o nim młode, atrakcyjne kobiety i mordując je – dokończyła Clara.

– Tak jest. Jasmin Peters była bardzo atrakcyjna – potwierdził MacDeath. – Była ucieleśnieniem kobiecości. I jeśli rzeczywiście są jeszcze inne ofiary, to jestem przekonany, że wszystkie za życia były bardzo piękne. Nie mogłyby być inne, bo kobiece piękno jest dla niego równoznaczne z kobiecą słabością, którą chce zniszczyć.

Clara spojrzała na wydruki, które trzymała w dłoni, a potem przeniosła wzrok na Martina Friedricha.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedziała.

MacDeath ponownie uśmiechnął się łobuzersko.

– Ile pani tylko chce – zapewnił ją. – Tylko bez przesady.

Clara popatrzyła na niego poważnie.

– Dlaczego właśnie ja?

Mężczyzna nie przestał się uśmiechać.

– Czy pozwoli mi pani odpowiedzieć, jak zawsze, pytaniem?

– A mam inny wybór? – Clara wzruszyła ramionami.

– Kim pani jest? – zapytał MacDeath.

– Jestem kobietą. Tak jak ofiary.

– Czy pani sama też jest ofiarą?

Clara poczuła ucisk w żołądku.

– Jeśli pije pan do morderstwa mojej siostry... to tak. Ale skąd on miałby o tym wiedzieć?

– Założmy jednak, że wie – ciągnął Friedrich. – Jeśli tak jest, mógł odnaleźć w pani kilka ważnych cech: po pierwsze, jest pani ofiarą i pokrewną duszą, bo choć niebezpośrednio, ale pośrednio przeżyła pani coś bardzo podobnego do jego traumy.

– Dalej.

– Po drugie jest pani ofiarą w sensie bycia kobietą. Jest pani bardzo atrakcyjna, jeśli wolno mi to zauważyć, choć nie jest pani blondynką. – Przymknął oczy. – Nie może obserwować tego bezpośrednio, ale domyśla się, jak bardzo zaszokował panią swoją przebiegłością i okrucieństwem. I sprawia mu to radość.

Clara pomyślała o tym, o czym Friedrich mówił wcześniej – że morderca jest jak kot, który swojej pani będzie przynosił martwe myszy, czy ona tego będzie chciała czy nie.

– A po trzecie?

– Znów odpowiem pytaniem – oznajmił MacDeath. – Kim pani jest? Tu i teraz?

– Tu i teraz? Jestem nadkomisarzem policji kryminalnej.

– No właśnie. – Mężczyzna oparł się wygodniej. – Przypomina pani sobie o jego pedagogicznych zapędach? On chce pani coś pokazać. Tylko pani albo pani i całemu światu. Chce, żeby pani, albo pani i opinia publiczna, brała udział w jego rytuale zbrodni i w jego oczyszczeniu. Bo im więcej ludzi to zobaczy, tym mocniejsze będzie jego przekonanie, że swoje zadanie wykonał w sposób możliwie najlepszy. – Nachylił się nad biurkiem. – A w końcu kto potrafi dostrzec profesjonalizm seryjnego mordercy lepiej niż osoba sama będąca pośrednio jego

ofiara, która na dodatek przeżyła coś podobnego do tego, czego sam doświadczył? Która sama, jako kobieta, jest ofiarą? I która potrafi ocenić jego umiejętności, bo jest jedną z najlepszych specjalistek w tej dziedzinie?

Clara skrzyżowała ramiona.

– Czy coś mi grozi?

MacDeath potrząsnął głową.

– Trudno powiedzieć, ale na razie raczej nic. Może później. On będzie chciał, żeby obserwowała pani jego dzieło do samego końca, a to może pani robić tylko za życia. – Ponownie wskazał na swój raport. – Na ostatniej stronie napisałem kilka słów na ten temat. Jednak... – Przerwał, wymownie unosząc kciuk. – Jednak jeśli się nie pospieszymy, kot będzie przynosił kolejne zaduszone myszy. Będzie panią męczył i ranił psychicznie. Torturował.

Clara zacisnęła pięści.

– Mimo wszystko – powiedziała i zawahała się, słysząc bezradną agresję w swoim głosie – mimo tych wyjaśnień dalej nie rozumiem, dlaczego akurat ja? Przecież to z moją siostrą... to było dwadzieścia lat temu. Więc skąd i co o tym może wiedzieć?

MacDeath zrobił lekko bezradną i zagubioną minę.

– Muszę przyznać, że brakuje mi tutaj ogniwa, które by go z panią łączyło – wyjaśnił. – W pani najlepszym interesie będzie możliwie jak najszybsze wyjaśnienie tej kwestii.

Ktoś zapukał do gabinetu, a po chwili gwałtownie otworzyły się drzwi. W progu stał Hermann.

– Złe wieści – zawołał. – Powinniście sami to zobaczyć.

– Złe wieści? – powtórzyła Clara.

Hermann pokiwał głową.

– Bardzo złe.

Hermann otworzył stronę Xenotube z filmem nazwanym „Julia”. Na serwerze umieściła go osoba podpisująca się jako Julia Schmidt.

– Jak to znaleźliście? – zapytała Clara.

– Automatyczny system powiadomień – wyjaśnił Hermann. – Przed chwilą pojawił się alert, a sam plik został udostępniony przed blisko dziesięcioma minutami. – Wskazał na jego opis. – Patrzcie.

Clara przeczytała tytuł filmu: *Cięcie. Wersja reżyserska*.

Clara domyślała się, że słowo „cięcie” nie oznaczało tutaj zakończenia ujęcia.

Winterfeld stanął za plecami Hermanna, razem z Clarą i Martinem Friedrichem, i nerwowym ruchem przeczesał dłonią włosy.

– Nasz tajemniczy przyjaciel postanowił upublicznić swoją działalność – powiedział. – Sala wykładowa zamiast korepetycji.

– Żeby – mruknął Hermann. – Idę o zakład, że posługuje się komputerem ofiary. Tym razem to Julia Schmidt.

Najechał kursorem na przycisk play.

– Zaczynamy? – zapytał.

Winterfeld potaknął.

Przez kilka następnych sekund ekran pozostawał czarny. Potem pojawił się obraz podobny do tego, który pamiętali z pierwszego filmu. Ładna dziewczyna o blond włosach i tak samo zapłakanej twarzy. I równie paniczny strach w jej oczach – jak kamień młyński ciągnący jej duszę na samo dno otchłani. I znów dłonie w czarnych rękawiczkach obejmujące gardło dziewczyny.

– Witaj, Claro – odezwała się nieznajoma.

Clara drgnęła i poczuła zimny dreszcz, kiedy z ust ofiary usłyszała swoje imię.

– Jestem Julia – ciągnęła dziewczyna, krztusząc się i starając zapanować nad drżeniem. – Jestem sławna... wszyscy mnie znają. I każdy... każdy może mnie zobaczyć.

Przerwała na chwilę, przełknęła coś i spojrzała prosto w kamerę, jakby tuż pod obiektywem znajdował się teleprompter.

– Jestem gwiazdą... jestem znacznie... znacznie ładniejsza niż Jasmin. Moja skóra nie wygląda jeszcze jak... jak stary pergamin... a oczy... wciąż mam jeszcze oczy.

Wypłuła coś na podłogę.

– Ja już nie żyję... lecz chaos... chaos będzie trwał... Odwiedź mnie... odwiedź mnie w moim mieszkaniu. Dzisiaj, w piątek... dwudziestego piątego października. Nie jestem pierwsza... i nie jestem ostatnia...

A potem błysnęło ostrze i do jej gardła zbliżył się nóż.

Serce Clary niemal przestało bić, kiedy czekała na ostatni ruch klingi, która niczym powiew śmierci przesunie się po gardle Julii, pozostawiając za sobą ciemną i wąską ranę, z której po sekundzie długiej jak wieczność zacznie płynąć krew: z początku powoli i nieśmiało, by potem runąć niepohamowanym strumieniem.

Nóż odsunął się kawałek, jakby mężczyzna brał zamach do cięcia.

Wtedy ekran na powrót zrobił się czarny.

Clara nabrała gwałtownie powietrza.

– Sadystyczny skurwysyn – wyszeptała. Jednocześnie nie mogła się zdecydować, co jest większym sadyzmem – pokazać morderstwo, którego nikt się nie spodziewa, czy nie pokazać

mordu, którego wszyscy oczekują?

Spojrzała na Winterfelda i przeniosła wzrok na Friedricha. Obaj stali pobledli i wpatrzeni w monitor.

– Czy ona jeszcze żyje? – zapytała. – Może ten filmik rzeczywiście został nagrany dzisiaj?

Hermann uderzał pospiesznie w klawiaturę. Po chwili dał znak jednemu ze swoich współpracowników i wskazał na ekran.

– Wał natychmiast do Xenotube i posprawdź adresy IP powiązane z tym filmem. A my uderzamy do urzędu meldunkowego. W samym Berlinie będzie pewnie od cholery Julii Schmidt, ale myślę, że z informacjami z tego filmu uda nam się szybko wytypować właściwą.

– Powiedziała, że jest jeszcze ładniejsza niż Jasmin – stwierdził Winterfeld. – To może oznaczać, że żyje.

– Możliwe, ale równie możliwe jest to, że po prostu jeszcze nie została zmumifikowana – powiedziała Clara. – Ten szaleniec może chcieć wzbudzić w nas nadzieję, że jej nie zabił, żebyśmy rzucili się jak wściekli do poszukiwań, bo to dla niego doskonała zabawa w kotka i myszkę. – Spojrzała na Hermanna. – Jak myślisz, kiedy będziemy mieli adres?

– Pół godziny, jeśli się zepniemy – odparł mężczyzna.

– Ile osób obejrzało ten filmik?

Hermann kliknął okno ze statystykami.

– Na razie około pięciuset. – Potrząsnął głową. – To sporo, biorąc pod uwagę, że co minutę na ich serwerach pojawia się kilka tysięcy klipów. A ten jest dostępny raptem od kwadransa. – Spojrzał na Clarę. – Może to przez drastyczną treść, która przyciąga widzów, bo jest bardziej realistyczna niż najlepsze horrory. Ale też niewykluczone, że link do strony został udostępniony na jakichś zamkniętych forach, stronach pornograficznych czy portalach tematycznych, znajdujących się na serwerach pracujących gdzieś w Rosji.

– Możesz to wszystko sprawdzić?

– Już się do tego bierzemy. – Hermann dał znak informatykowi.

Winterfeld oparł dłonie na biodrach i spojrzał na Clarę.

– Czy cokolwiek nowego dotarło pocztą do biura podawczego? – zapytał. – Coś zaadresowanego bezpośrednio do pani?

Clara potrząsnęła głową.

– Jakieżś nowości na temat DNA z chrząszczy?

– Również nic.

– W takim razie co teraz, señoira? – Winterfeld spojrzał na nią wyczekująco. – Co pani proponuje?

Clara westchnęła i odetchnęła głęboko.

– Przede wszystkim musimy ustalić adres Julii Schmidt. Gdy tylko go poznamy, natychmiast wysyłamy oddział specjalny i na tyle dyskretnie, na ile się da, otaczamy okolicę. Trzeba zabezpieczyć się przed żądnymi sensacji maniakami, którzy po obejrzeniu filmu wyszukają wszystkie Julie Schmidt z Berlina i zaczną pielgrzymować pod ich mieszkania.

– To akurat mogłoby nam pomóc – zauważył przytomnie MacDeath. – Takich ludzi da się wykorzystać do naszych celów, prawda? Chcąc nie chcąc, odwaliliby za nas kawał roboty.

– W sumie nawet niezły pomysł – zgodził się Hermann, pisząc coś szybko na klawiaturze. – W Berlinie i na przedmieściach mamy ponad cztery setki Julii Schmidt. Biorąc pod uwagę pięciuset użytkowników, którzy widzieli film, to mniej niż półtorej osoby na jeden adres. To jeszcze nie tłum, który zwracałby na siebie uwagę.

– Nie, dajmy temu spokój. – Clara potrząsnęła głową. – Poczekajmy na właściwy adres.

Jak tylko będziemy go mieli, natychmiast ruszamy. Zadzwoń do Instytutu Medycyny Sądowej, żeby byli gotowi do natychmiastowych wstępnych oględzin zwłok, jeśli jakieś znajdziemy.

MacDeath zdjął okulary i wodził wzrokiem między komputerem, Clarą a Winterfeldem.

– Domyślcie się, co to będzie oznaczało, jeśli ten film rzeczywiście nakręcił dzisiaj? – zapytał.

– Chyba tak – powiedziała Clara. – Śmieje się z nas i pokazuje, jaki jest silny. Poza tym udowadnia, że nie musi uciekać się do mumifikacji, bo i tak go nie złapiemy.

MacDeath przytaknął.

– Zgadza się. Jednak dla nas najważniejsze jest to, że może zrobić się nieuważny. Ale wcale nie dlatego, że nas nie docenia.

– Tylko?

Mężczyzna przełożył okulary z jednej ręki do drugiej i dopiero wtedy odpowiedział.

– Bo całkiem możliwe, że niemal dokończył swoje wielkie dzieło.



Myers wsiadł do windy w podziemnym garażu. Wyjął telefon, żeby sprawdzić e-maile, ale blackberry nie miał tutaj zasięgu. Poiryutowany schował aparat do kieszeni.

Na poziomie minus dwa rozsunęły się drzwi i do kabiny wmaszerował mężczyzna z firmy sprzątajacej obiekt. W jednej dłoni ścisnął miotłę, a drugą ciągnął wózek na śmieci, do którego poprzyczepiane miał różne butelki z detergentami i inne narzędzia potrzebne sprzątaczoowi. Jego pojazd zajął niemal całą windę. Mężczyzna nosił bluzę z krzywo nasuniętym na głowę kapturem i roztaczał zapach gumy do żucia.

– Przepraszam – mruknął.

– Nic nie szkodzi. – Myers pokiwał głową.

Sprzątaczo tak ustawił wózek, żeby zrobić jak najwięcej miejsca, i stanął obok Myersa, przytrzymując w czasie jazdy butelki i miotłę.

– Jak tam, w końcu fajrant, co? – zapytał.

Myers nie miał najmniejszej ochoty na pogawędkę, ale że za kilka sekund miał wysiadać, więc odpowiedział.

– Byłoby pięknie. Niestety, w mojej pracy nigdy nie ma fajrantu.

Sięgnął do kieszeni po kluczyki do wypożyczonego audi TT.

Przez chwilę miał wrażenie, że włosy na udzie musiały zaczepić się jakoś o podszewkę spodni, bo nie potrafił sobie inaczej wytłumaczyć delikatnego ukłucia, które nagle poczuł. Dopiero po chwili zobaczył strzykawkę z igłą wbity w swoją nogę. Sprzątaczo skończył właśnie wciskać tłoczek.

Chwilę później otoczyła go cicha i nieprzenikniona ciemność.

Kluczyki wysunęły się spomiędzy pozbawionych czucia palców i spadły z brzękiem na podłogę.

Ktoś się schylił i je podniósł.

I nie był to Myers.

Winda zatrzymała się na poziomie minus cztery. Kiedy rozsunęły się drzwi, sprzątaczo wyprowadził swój wózek. Podszedł do forda transita, otworzył tylne drzwi i z wielkim wysiłkiem zapakował swoje rzeczy do środka.

Potem obszedł auto, wsiadł za kierownicę i uruchomił silnik.

Ledwie półmrok garażu rozświetliły reflektory forda, założył okulary.

Okulary w oprawkach z matowej stali nierdzewnej.

Hermann i jego zespół policyjnych informatyków w rekordowym czasie ustalili adres Julii Schmidt: Kreuzberg, Bergmannstraße 30. Na Xenotube zarejestrowana była tylko jedna Julia Schmidt z tym adresem IP, a szybkie porównanie dostępnych w sieci fotografii nie pozostawiało wątpliwości.

Clara i Winterfeld zorganizowali tymczasem telekonferencję z Bellmanem, który jeszcze nie opuścił Wiesbaden, jednak siedział już w limuzynie zmierzającej na lotnisko we Frankfurcie, by zająć miejsce w ostatnim tego dnia samolocie rejsowym do Berlina.

– Jak to możliwe, że prasa tak szybko podchwyciła wątek? – zapytał. – Przecież to był jeden filmik pośród milionów!

– Zgadza się. – Clara kiwnęła głową, choć Bellmann nie mógł tego zobaczyć. – Jednak jest wyjątkowy, bo przerażający i bardzo realistyczny. Poza tym nie wiemy, czy morderca sam nie zgłosił się z nim do prasy.

Dziennikarze rzeczywiście zajęli się tym tematem. W internetowych wydaniach wielu gazet znalazły się linki do pliku mordercy, zamieszczonego na Xenotube. Poza tym nagłośnieniem sprawy zajęła się największa bulwarówka, przez co cały internet kipiał od emocji.

„Internetowy morderca – kto powstrzyma psychopatycznego Facebookowego Żniwiarza?”

Ledwie coś otrzyma nazwę, to natychmiast zyskuje nowy wymiar i zaczyna żyć własnym życiem, rozmnażając się jak wirus. „Facebookowy Żniwiarz”. Ośmiu reporterów z różnych gazet i rozgłosiło poprosiło służby prasowe Krajowej Policji Kryminalnej o komentarz. Pracownicy biura rzecznika prasowego zostali ściągnięci z weekendu i natychmiast mieli się stawić się w komendzie. Wcześniej Winterfeld i Bellmann uzgodnili wspólną strategię postępowania z mediami. Główny przekaz policji powinien brzmieć mniej więcej tak: „Na obecnym etapie dochodzenia nie da się jednoznacznie stwierdzić, czy mamy do czynienia z działaniem polegającym na łamaniu prawa, czy raczej z oburzająco niesmacznym żartem. Również wybór imienia adresatki wiadomości wideo (Clara) jest chyba przypadkowy. Policja wyda komentarz dopiero po uzyskaniu jednoznacznych informacji na temat zdarzenia przedstawionego na filmie. Przekazywanie przez policję jakichkolwiek informacji mogłoby narazić na szwank prowadzone dochodzenie”.

Jeśli w wyniku przecieku lub na podstawie zdobytych pokątnie informacji na temat wcześniejszego morderstwa prasa uzna, że to może być coś poważniejszego, odpowiedź powinna brzmieć: „Prowadzimy dochodzenie, by wyjaśnić tę sprawę, i jesteśmy coraz bliżej ujęcia sprawy. Jednak na obecnym etapie czynności operacyjnych nie chcemy i nie możemy udzielać żadnych informacji, gdyż mogłyby one ostrzec sprawcę i zaszkodzić dochodzeniu. Co więcej, nie mamy pewności, czy Julia Schmidt została zamordowana. Kiedy tylko uda nam się zgromadzić jednoznaczne informacje na ten temat, powiadomimy o naszych działaniach władzę, a później przedstawimy oświadczenie dla prasy”.

A gdyby miało się okazać, że to rzeczywiście seryjny morderca: „Pogłoski, jakoby osoba ta miała na sumieniu kilkadziesiąt zbrodni popełnionych na kobietach, są czystymi spekulacjami pozbawionymi jakichkolwiek podstaw. Nasi najlepsi ludzie pracują nad tą sprawą, a wyniki dochodzenia zostaną niedługo przedstawione opinii publicznej”.

Do mieszkania Julii Schmidt na Bergmannstraße 30 dotarli razem z oddziałem specjalnym policji. Zamknięto całą okolicę. Radiowozy z włączonymi kogutami i umundurowani funkcjonariusze zajęli stanowiska na ulicach i chodnikach prowadzących do budynku, w którym

mieszkała poszukiwana. W policji nikt już nie wierzył w niesmaczny żart.

W oknach mieszkania Julii panowała grobowa ciemność.

Ktoś wyłączył bezpieczniki, żeby do lokalu nie dochodził prąd. Clara domyślała się, że zrobił to morderca. W sytuacji, kiedy liczyła się każda minuta, czekanie na elektryków, by naprawili zniszczone skrzynki, było pozbawione sensu.

Lecz ciemność stanowiła przecież poważne ryzyko. Nikt nie wiedział, czy morderca nie rozpiął gdzieś ostrych jak brzytwy i cienkich jak włos stalowych drutów, które mogą odciąć głowę, jeśli wbiegnie się na nie z impetem. Nikt nie mógł mieć również pewności, czy gdzieś w ciemności nie tyka zapalnik ładunku wybuchowego z dodatkowym zapalnikiem reagującym na światło. Nie było również wiadomo, czy w mieszkaniu nie czai się sam morderca z noktowizorem, by przy najlżejszym szmerze na klatce schodowej zasypać skradających się funkcjonariuszy gradem kul z pistoletu maszynowego. Ponurą i zatęchłą ciemność schodów przecięły snopy z latarek taktycznych policjantów z oddziału specjalnego.

Światło odkrywało fragmenty ścian i schodów coraz bliżej drzwi.

Pokój Julii wyglądał podobnie jak pokój Jasmin, o ile dało się to ocenić w rozbieganych światłach latarek przesuwających się niestrudzenie po ścianach. Plakaty, jakaś reprodukcja van Gogha w ramce, narożna kanapa, duża palma doniczkowa. Liście okazałej rośliny rzucały cienie na suficie, roztańczone niczym węże przed ostatecznym atakiem. Potem znów ciemność. I niewyraźne zarysy czegoś, co latarki wyłuskiwały z niezgłębionej ciemności – która jednak czmychała przed światłem. Obok palmy komoda, a na niej kilkanaście zdjęć z wakacji. W migotliwej grze cieni i snopów światła twarze osób na fotografiach wykrzywiały się w nieprzyjemne maski.

Kolejne fragmenty pokoju.

Łóżko. Narzuta, poduszki. I dwie nagie stopy. Biała suknia.

– Mamy coś! – krzyknął Marc. Dwa okręgi światła błyskawicznie przeskoczyły w miejsce, które wskazał.

Ktoś leżał na łóżku. Sądząc po zarysie ciała, mogła to być kobieta, ubrana w białą koszulę nocną, z dłońmi złożonymi na piersiach. Biel ubrania kontrastowała z gęstą, niemal tłustą ciemnością oblepiającą wszystko, na co akurat nie padało światło. Lecz nie tylko biel szaty wyraźnie odcinała się w chłodnej jasności latarek – coś, co mimo jasnych okręgów na nią padających zdawało się emanować jeszcze głębszą ciemnością niż mrok dookoła. Ciemne plamy i krople jak z rozbryzgu znaczące jasny materiał.

Krew?

– Julia Schmidt? Policja! Chcemy pani pomóc. Jeśli słyszy nas pani, proszę o jakiś znak – rozległ się w ciemnościach głos Clary.

Brak odpowiedzi.

Bardzo szybko się wyjaśniło, dlaczego dziewczyna nie odpowiedziała.

Snop latarki przeciął ciemność nad wezłowiem łóżka. Przesuwając się od brzucha, przez złożone dłonie, piersi, obojczyki, szyję...

Winterfeld nabrał głośno powietrza, a latarka w dłoni policjanta znieruchomiała. Osoba spoczywająca na łóżku nie spała. Było jasne, że nie śpi i nie została ogłuszona, by można było podsunąć jej fiolkę z amoniakiem, która przywróciłaby jej przytomność.

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Julia Schmidt nie żyje.

Bo w świetle latarki nie dało się przeoczyć, że w miejscu, w którym znajdowała się wąska szyja dziewczyny, ział poharatany krater, ciemniejszy niż najciemniejsza noc.

A tam, gdzie powinna być głowa, nie było niczego. Z białej koszuli nocnej sterczała makabrycznie okaleczona szyja, w której widać było fragment kości kręgosłupa i porozcinane

żyły.

Clara jęknęła cicho.

– Dekapitacja – szepnęła i nerwowo przesunęła latarką na prawo i lewo.

– Potrzebny reflektor! Biegiem! – ryknął Winterfeld. – Natychmiast!

Na korytarzu rozległy się czyjeś kroki, które po chwili ucichły.

Snop światła z latarki Clary powędrował w dół, a potem z powrotem w górę, na okaleczoną szyję i krew na koszuli. Znów widziała złożone dłonie i szczupłe stopy, ułożone spokojnie na końcu łóżka, jak w rzeźbach męczenniczek.

Clara ponownie przesunęła latarkę.

Zanim zdążyła się zatrzymać, w jej głowie zapalił się sygnał alarmowy. Pół sekundy wcześniej światło latarki przesunęło się po czymś, czego mózg nie zdążył natychmiast zidentyfikować.

Metr w lewo.

Z ociąganiem oświetliła fragment pokoju po lewej stronie.

Regał nad łóżkiem. Wcześniej zauważyła na nim gipsową reprodukcję Wenus z Milo.

Obok Wenus znajdowało się to, co odruchowo przyciągnęło jej uwagę.

Na półce regału stała odcięta głowa Julii Schmidt. W świetle latarki Clara dostrzegła wytrzeszczone oczy i otwarte usta, a wszystko w aureoli złotych włosów. Kąciki ust martwej dziewczyny wykrzywiały się w górę, w nienaturalnym grymasie, jakby chciała powiedzieć: witajcie, nieznajomi, to moje królestwo!

Clara przez moment nie mogła się ruszyć. Potem przesunęła latarkę, by oświetlić otoczenie przerażającego znaleziska.

Dokładnie nad odciętą głową, nie więcej niż dziesięć centymetrów nad jasnymi kosmykami włosów, na pomalowanej na jasnożółto ścianie, znajdował się wymalowany ciemnoszkarłatną farbą napis: „Numer 14”.

*Wierzę jedynie w to, co dzieje się tu i teraz. Nie wierzę w nic, co będzie później. Słuchajcie  
mojego głosu.*

*Teraz!*

*Sen trwa.*

*Przebudzenie to wspomnienie. Jesteśmy tu i teraz, trwamy zawieszeni w czasie.*

*Żyjemy we śnie.*

*Wystarczy, że przebudzenie nadejdzie tuż przed śmiercią.*

*W głowie oglądam wszystkie sceny po kolei. Przed wyjazdem porównałem dane z  
Facebooka i Datagate i ustaliłem dwa prawdopodobne adresy. To był jej pierwszy błąd.*

*Potem, kiedy zadzwoniła, skorzystałem z funkcji lokalizacji telefonu rozmówcy. To był jej  
drugi błąd.*

*Napisała na Facebooku, że jest w domu i czeka na kotkę. I zamieściła na swojej stronie  
zdjęcie tego zwierzaka. Swojej Princess. To był jej trzeci błąd.*

*Czwartego nie popełniła, bo nie mogła – jak wszystkie przed nią.*

*Bo była martwa.*

*Tak jak wszystkie inne.*

*Ta metoda nigdy nie zawiodła. I zawsze będzie działać.*

*Najpierw zdobywam telefon.*

*Potem ustalam adres.*

*A na koniec mam ich głowy.*

Tom Myers miał sen. Śniło mu się, że zwicznął sobie szczękę i chodził z rozdziawionymi ustami, nie mogąc ich zamknąć. Widział kolegów z podstawówki i starych przyjaciół, którzy śmiali się z niego, bo chodził z otwartą gębą i nie mógł jej zamknąć.

Szczęka go bolała, a mięśnie wokół żuchwy paliły żywym ogniem. Spod półprzymkniętych powiek dostrzegł sklepienie ciemnej piwnicznej sali. Ktoś przed nim poruszał się powoli tam i z powrotem. Tom Myers miał wrażenie, że budzi się z kilkuletniego snu, a górna szczęka promieniowała na całą głowę wibrującym bólem.

Co to było... chyba coś mu się stało? Garaż podziemny... winda... a potem?

Miał wyschnięte usta, bo musiał przez nie oddychać, a w ścierpnięty i obolały nos nieprzyjemnie wrzynała się metalowa klamra, która uniemożliwiała mu nabranie powietrza.

Dopiero teraz, wraz z powrotem świadomości, poczuł na języku smak metalu, a właściwie drobnych metalowych płytek pokrytych rdzą. Zadrzał. Kawałki blachy musiały być bardzo ostre, bo momentalnie jego język spłynął słodkawą krwią. Słodkawa krew i rdza w ustach. Chciał jak najszybciej wypluć metalowe płytki. Tylko jak? Usta miał rzeczywiście otwarte na całą szerokość – to nie był sen. Nie mógł zamknąć szczęk.

I nie mógł się poruszać. Został spętany. Łańcuch otaczał jego głowę i odciągał ją mocno do tyłu. Siedział na metalowym stołku jak pacjent na fotelu dentystycznym.

Ogarnęła go panika. Szarpnął się w tył, próbując się oswobodzić. Sapał przy tym gardłowo, bo nie mógł normalnie mówić.

– Ostrożnie. Może się pan pokaleczyć.

Słowa te wypowiedziała postać, którą niewyraźnie widział przed sobą.

Myers zamrugał kilka razy, by wyostrzyć wzrok. Stał przed nim potężny mężczyzna ubrany na czarno. Poruszał się zwinnie jak kot. Podeszedł do niewielkiego stolika obok miejsca, gdzie siedział spętany Tom. Miał krótkie blond włosy i nosił okulary z matowej stali.

Dziwne: przypominał mu trochę sprzątacza z windy w podziemnym parkingu.

Kiedy nieznajomy zaczął mówić, Tom Myers całkowicie odzyskał zdolność logicznego myślenia.

– Pan Myers z Xenotube, prawda? – zapytał mężczyzna.

Myers poczuł lodowaty dreszcz. Skąd wie, kim on jest? I przede wszystkim, o co mu chodzi? Porwanie? Szantaż? Okup?

– Proszę pana – kontynuował nieznajomy spokojnie. – Nie wie pan zapewne, że połamane ostrze noża do tapet i kawałkami wypełniłem panu usta. Przy okazji – szczęki unieruchomiłem w rozwieraku ortodontycznym, z którego korzystają chirurdzy w czasie operacji jamy ustnej, by pacjenci w narkozie nie zamykali ust.

Popatrzył nieruchomymi oczyma na Toma Myersa. Spętany mężczyzna czuł ogarniającą go falę paniki i przerażenia. Zrobiło mu się niedobrze.

*O Boże! Co to jest? Co się tu dzieje? I kim jest ten szaleniec?*

W oczach nieznajomego nie dostrzegł żadnych emocji. Tylko chłód i wyrachowanie. I bezgraniczną determinację, by osiągnąć zamierzony cel.

– Tutaj – powiedział potężny mężczyzna. – Tutaj przygotowałem wiadro z wodą. – Jedną ręką uniósł wysoko dziesięciolitrowe wiadro i zakołysał nim przed oczyma Myersa, aż opryskał mu spodnie wodą. – Zapewne zastanawia się pan, po co mi to wiadro i jaki ma związek z kawałkami ostrza w pana ustach.

Umysł Myersa pracował na najwyższych obrotach. Gdzieś głęboko w jego mózgu

pojawiło się ostrzegawcze światełko, bo zaczynał rozumieć przerażająco perfidny plan nieznanego.

Mężczyzna wykrzywił twarz w uśmiechu bardziej lodowatym niż piwniczne powietrze, które owiewało związanego Myersa.

– Ale może ta woda w ogóle nie będzie nam potrzebna? – Mówiąc to, odsunął od siebie wiadro i mówił dalej. – Chcę czegoś, co może mi pan dać. – Mężczyzna w okularach z matowej stali nachylił się tak nisko, że niemal dotykał twarzą swojego więźnia. – Potrzebuję kodów dostępowych do strony docelowej Xenotube. Wiem, że konieczny będzie skan źrenicy przez kamerę internetową. Wiem również, że w komputerze zarządzającym serwerami zapisane są wzorce struktury wewnętrznej oka wszystkich członków zarządu firmy. I wiem również, że dyrektor zarządzający Xenotube musi trzy razy mrugnąć do obiektywu, żeby otrzymać pozwolenie dostępu. – Zamilkł na chwilę i tylko świdrował Myersa wzrokiem. – Wiem nawet, że algorytmy zabezpieczające stronę docelową Xenotube w czasie weryfikacji dostępu mierzą ruchy źrenicy i jej ukrwienie. To wszystko po to, żeby nikomu nie przyszło coś głupiego do głowy. – Tutaj spojrzął na Myersa z udawanym oburzeniem. – Na przykład, żeby wydlubać oko komuś z uprawnieniami i na tej podstawie zyskać dostęp.

Myers zadrżał i instynktownie chciał się cofnąć, lecz uderzył jedynie głową w kamienną ścianę.

Mężczyzna w okularach uniósł bezprzewodową kamerę internetową.

– Wystarczy trzy razy mrugnąć, mister Myers – powiedział i dodał szeptem: – Bo chcę od pana dostępu do Xenotube.

Strona docelowa serwisu, pomyślał Myers. Czteryście milionów unikatowych wejść z całego świata w ciągu miesiąca. I tylko po to, żeby ten szaleniec mógł zaprezentować wszystkim swoje perwersyjne filmiki czy co tam sobie przygotował? Po czymś takim firma zbankrutuje w ciągu kilku tygodni, straci dobrą opinię i stanie się synonimem odrażającego zachowania. A należące do niego akcje Xenotube staną się mniej warte niż piwnica, w której był więziony.

– Nie ma mowy – wycharczał mimo kawałków metalu w ustach, starając się nie poranić języka ani podniebienia.

Nieznanomy uniósł brew. A potem sięgnął po wiadro.

– Doprawdy? Nie chce mi pan pomóc? – zapytał niewinnie. – No, w takim razie to ja również niewiele mogę dla pana zrobić. – Przez chwilę stał nieruchomo. Jego pozbawiona emocji twarz i atletyczna figura sprawiała, że przypominał nosiciela wody, jakich uwieczniano na płótnach. Po kilku sekundach mówił dalej.

– To, co zaraz pana czeka, nazwałem „splukiwaniem metalu”. Nie ciekawi pana, co to takiego? No dobrze, wytłumaczę. Otóż ma pan usta pełne ostrych jak brzytwa kawałków metalu. A ja zaraz wypełnię panu dodatkowo usta wodą. Nie będę oszczędzał! – Mówiąc to, przysunął krawędź wiadra do dolnej szczęki Myersa. – Może się pan bronić ile dusza zapagnie, ale w pewnym momencie zacznie się pan dusić. A że nie może pan oddychać przez nos, stanie pan przed wyborem, czy się udusić, czy raczej połknąć wodę razem z kawałkami ostrzy, żeby oczyścić usta i móc nabrać powietrza. – Myers poczuł pierwsze krople wody na dolnej wardze. Jego twarz zrobiła się śmiertelnie blada.

– A ja wiem, że wybierze pan przełknięcie wody – mówił obcy. – Zawsze tak jest.

Myers, sparaliżowany przez strach, wiedział już, co poraniło mu język. Ostre jak brzytwa kawałki metalu, które razem z wodą popłyną przez gardło, zmieniając je w krwawą masę, a potem skurcz mięśni pchnie je przelykiem w stronę żołądka, gdzie dokończą dzieła makabrycznego zniszczenia. Jego wnętrzości zamienią się w krwawy tatar i czeka go już tylko cierpienie i śmierć.

Nie! Wykrzesał z siebie resztki sił i potrząsnął głową, by szybko potaknąć. Tak, zrobi to!  
Zrobi wszystko, co trzeba!

– Niech mi pan...

Potężny mężczyzna znowu uniósł brwi i odsunął wiadro.

– Tak?

– Niech mi pan da kamerę – wycharczał Myers, walcząc, by nie pokaleczyć się jeszcze bardziej. – Zrobię, co pan każe!

Nieznajomy skinął głową.

– Tak powinna działać kadra kierownicza! Brawo.

Odstawił wiadro i sięgnął po bezprzewodową kamerkę.



„Numer 14”.

Jeśli to prawda, to morderca pozbawił życia czternaście osób.

A policja wiedziała zaledwie o trojgu z nich.

I jeśli dla mordercy liczyły się tylko kobiety, które składał w ofierze, a mężczyzn traktował jako narzędzie czy pomoc w realizacji swojego dzieła, liczba ofiar mogła być znacznie wyższa.

Ponownie stali w sali sekcyjnej Instytutu Medycyny Sądowej w Moabicy. Na stole leżało ciało dwudziestoosmioletniej dziewczyny ubranej w białą koszulę nocną. Oddzielona głowa znajdowała się na tym samym blacie kawałek dalej.

Clara odruchowo pomyślała o wampirach. Niejedną historię na ich temat słyszała czy widziała w kinie. Przypomniała sobie postać Lucy z *Draculi* Brama Stokera, która leży w trumnie przyodziana w białą suknię i której Abraham Van Helsing, łowca wampirów, przebija serce, a następnie odcina głowę.

Śledczy ustawili w mieszkaniu Julii Schmidt kilka silnych reflektorów, żeby porobić wyraźne zdjęcia i pobrać próbki z dywanu, mebli i poszczególnych przedmiotów. W jaskrawym świetle halogenowych żarówek widok zwłok był jeszcze bardziej przerażający niż w rozedrganych snopach światła latarek. Zdekapitowane ciało dziewczyny, której głowa leżała na regale przy łóżku i wykrzywionym grymasem witała wchodzących do pokoju, wyglądało po prostu makabrycznie.

Clara poczuła w powietrzu zapach strachu i krwi, ale do jej nozdrzy nie docierała woń śmierci. To dlatego, że było jeszcze zbyt wcześnie, by rozpoczął się proces rozkładu. Julia nie żyła ledwie od trzech godzin. Na okaleczonym pieńku szyi wystającym z białej koszuli widać było ślady ugryzień. Z początku Clara pomyślała, że ta sprawa rzeczywiście może wiązać się z wampiryzmem, lecz szybko się okazało, że ślady pozostawiła kotka. Zwierzak schowany pod łóżkiem nosił obrózkę, na której kołysała się metalowa tabliczka z imieniem wypisanym złotymi literkami: „Princess”.

MacDeath zasugerował, że dzieło mordercy dobiega końca. I że po raz kolejny nie udało im się go powstrzymać.

– Ofiarą znów padła ładna młoda dziewczyna – stwierdził von Weinstein i poprawił okulary. – Poderżnął jej gardło i odciął głowę, tak na pierwszy rzut oka. – Włożył lateksowe rękawiczki i cienką metalową wskazówką dotknął poharatanego miejsca na krtani zamordowanej. – Tutaj nastąpiła aspiracja wyciekającej krwi do tchawicy. To oznacza, że jedna z tych dwóch ran musiała być zadana ofierze jeszcze za życia. Teraz najważniejszą sprawą będzie ustalenie, która była pierwsza.

Ustalenie kolejności i mechanizmu powstania ran oraz przede wszystkim wskazanie tej, która bezpośrednio doprowadziła do śmierci dziewczyny, należało do najważniejszych zadań lekarza sądowego. Clara знаła wiele przypadków, kiedy uduszone ofiary wieszano, żeby upozorować samobójstwo. Słyszała też o śmiertelnych pobiciach, po których zwłoki podrzucano na drogę, licząc, że przejechane przez rozpędzone samochody zmylą policję, która zakwalifikuje je jako ofiarę wypadku, a nie morderstwa.

W zdecydowanej większości przypadków lekarze sądowi potrafili przejrzeć takie sztuczki i w trakcie sekcji, na podstawie obrażeń wskazywali właściwe rany śmiertelne, i tłumaczyli, jak powstały.

Von Weinstein przesunął metalową wskazówkę wzdłuż cięcia.

– Tutaj, oceniając po krawędziach rany – powiedział – widać, że ofiara żyła. Podczas gdy wyższa rana, wokół karku i częściowo na głowie, wygląda inaczej. – Spojrzał na Clarę i Friedricha. – Zatem dekapitacja nastąpiła *post mortem*.

Policjantka westchnęła głęboko. Całe szczęście, ten szaleniak odciął głowę ofierze już po jej śmierci. Wciągnięta wraz z powietrzem krew, która przez przeciętą tchawicę dostała się do oskrzeli, mogła pochodzić z obu ran. Jednak porównanie ich krawędzi i ilości krwi, która przez nie wyciekła, było dowodem, że dziewczyna żyła w trakcie podrażnienia gardła. Natomiast rany powstałe podczas odcinania głowy nie wykazywały cech charakterystycznych dla uszkodzeń żywych tkanek. Na podstawie kształtu ran, ich krawędzi i ukrwienia, lekarze sądowi mogli nie tylko wskazać, czy powstały za życia czy po śmierci, ale również, jakiego narzędzia użyto do ich zadania. Było to szczególnie ważne przy badaniu ofiar, które zginęły z ręki napastników korzystających z kilku rodzajów broni.

Von Weinstein wskazał na zasłonięte białym materiałem długie cięcie, ciągnące się przez cały tułów ofiary i sięgające do bioder.

– Również w tym wypadku zwłoki zostały rozcięte od przelyku do kości łonowej i opróżnione z wnętrzości. Dopiero po tej czynności sprawca ubrał ofiarę w białą koszulę nocną, zakrywając efekty swojej działalności.

Clara uważała, że nawet ubrane zwłoki wyglądały przerażająco. Odcięta głowa, wyłowiona niespodziewanie z ciemności, z makabrycznie rozdziawionymi ustami spoglądała na nią wytrzeszczonymi oczyma – traumatyczne przeżycie, którego nie zapomina się przez bardzo długi czas.

– Myślę, że celowo ją zakrył – powiedział MacDeath.

– Tak, to możliwe – zgodził się von Weinstein. – Do morderstwa doszło całkiem niedawno. – Metalową wskazówką postukał w tułów ofiary. Clara pomyślała, że mogłby się wreszcie pozbyć tego przyzwyczajenia.

– Czas śmierci? – zapytała.

– Dzisiaj, późnym popołudniem – odparł i spojrzał na raport przygotowany przez techników zabezpieczających miejsce zbrodni.

– Nasi ludzie zmierzili temperaturę rektalną zwłok zaraz po przybyciu na miejsce. Wyszło trzydzieści siedem stopni Celsjusza. – Oderwał wzrok od raportu, który leżał obok stołu sekcyjnego. – Zakłada się, że w temperaturze pokojowej ciało utrzymuje naturalną ciepłość około trzech godzin, a potem co godzinę traci mniej więcej jeden stopień. To oznacza, że śmierć naszej dziewczyny musiała nastąpić najwyżej trzy godziny przed odkryciem ciała.

– Sprawca robi się zarozumiały. – Clara pokręciła głową. – Morduje i chwilę później powiadamia nas o swoim czynie.

– Najwyraźniej może sobie na to pozwolić – odparł von Weinstein. – Przecież wciąż niczego na niego nie mamy. – Poprawił okulary. – Ale wracając do czasu zgonu, na zwłokach praktycznie nie wystąpiły plamy opadowe na plecach, czego można by się spodziewać, gdyby zwłoki leżały dłużej. Jednak w tym wypadku ich brak niczego by nam nie powiedział...

– ...bo sprawca znowu wykrwawił ofiarę? – wtrąciła się Clara. – Tak jak Jasmin Peters?

– Nie mam jeszcze pewności, ale sądząc po wyjątkowej bladości twarzy, to tak, możemy to założyć. Myślę, że postąpił podobnie jak z poprzednią ofiarą. – Von Weinstein włożył rękawiczki i skalpelem przeciął tętnicę udową, a następnie przycisnął palce i przesunął wzdłuż naczyń krwionośnych. Z rany wytoczyło się ledwie kilka kropel krwi. I to wszystko.

– Tętnica udowa to obok aorty największe naczynie krwionośne ludzkiego ciała. – Papierowym ręczniczkiem wytarł krew. – U denatki jest ono puste.

– To by nas zbliżało do teorii rytuału ofiarnego – stwierdził MacDeath, który stał obok

ciała i ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma spoglądał na Clarę i von Weinsteina. – Podobnie zresztą jak ta biała szata. Jestem gotów się założyć, że nie znalazła się na niej przypadkowo.

– Jak to? – Clara uniosła brwi.

– Zgodnie ze wstępnym raportem kryminalistycznym z miejsca znalezienia zwłok na koszuli nocnej nie odkryto żadnych śladów DNA. Może z wyjątkiem kilku fragmentów naskórka ofiary, ale nic poza tym. – Von Weinstein ponownie zajrzał do raportu. – To by mogło oznaczać, że sprawca przyniósł koszulę ze sobą, żeby ubrać w nią zwłoki.

– Psychologowie kryminalni nazywają ten mechanizm z angielska *undoing* – wyjaśnił Friedrich. – Morderca układa starannie zwłoki, odziewa w białą szatę i składa im dłonie, bo chce w ten sposób przeprosić ofiarę. To jego gest swoistego zadośćuczynienia za to, co zrobił.

– Potwierdzenie tezy o wielkim planie rytuału ofiarnego, który niemal został zrealizowany? – zapytała Clara.

– Im bliżej finału, tym silniej morderca identyfikuje osoby, które morduje, z postacią, której składa ofiary.

MacDeath zdjął okulary i potarł oczy.

– I jest jeszcze coś – powiedziała Clara. Poczekała, aż wszyscy na nią popatrzą i dopiero wtedy kontynuowała: – Albo raczej nie ma.

– Czego nie ma? – zdziwił się von Weinstein.

– Czegoś brakuje.

– No przecież. – Von Weinstein wskazał na fragment okaleczonej szyi. – Głowy.

– Głowy to jedno. Nie ma też chrząszczy.

– Cholera, święta racja. – MacDeath się ożywił. – Tym razem nie przyniósł ze sobą tego robactwa.

Von Weinstein pokiwał głową.

– Ale też nie było takiej potrzeby. Chrząszcze stosował wtedy, kiedy chciał przyspieszyć mumifikację ciała, żeby smród rozkładu nie zaalarmował sąsiadów. – Spojrzał na ciało. – Tym razem zawiadomił policję tuż po morderstwie, więc poza natychmiastowym aresztowaniem nie musiał się niczego obawiać.

Clara przygryzła wargę.

– Gdyby dało się go szybko aresztować... – mruknęła. – Niestety, na razie cały czas bawi się z nami, a my nie zbliżamy się do niego na krok. Lodowaty, bezwzględny i tym razem nieostrożny. – Spojrzała na Friedricha, który pokiwał głową. – Ten psychol jest pełen sprzeczności.

– A odcięta głowa? – wtracił się von Weinstein. – To mi nie wygląda na przeprosiny ofiary.

MacDeath wzruszył ramionami.

– Niech pan nie zapomina, że mamy tu do czynienia z psychopatą. Nie możemy oczekiwać zbyt wiele racjonalizmu w jego działaniach.

Clara przypominała sobie o rozmowie, jaką toczyli wcześniej z Friedrichem, że miałyby być dla mordercy arbitrem; zgodnie z jego teorią Bezimienny miał wybrać ją jako ekspertkę od seryjnych morderców i jednocześnie ofiarę, bo nikt inny nie potrafiłby docenić kunsztu jego dzieła.

– Może odcięta głowa też niesie ze sobą jakieś przesłanie? – zapytała.

– To prawdopodobne – odparł von Weinstein. – Tylko jakie? Ma przerażać? Szokować?

– Przekazywać wiadomość? – zaproponowała policjantka. Coś jej nie pasowało w krwawej jatce, którą tym razem morderca sprawił swojej ofierze, tym bardziej kiedy porównywała to ze starannością, z jaką zajął się ciałem po śmierci – ułożył je równo, złożył

dłonie, ubrał w białą koszulę i zakrył rany na tułowiu.

Clara była przekonana, że chciał zwrócić na coś ich uwagę. Coś ukrył w tym czynie, podobnie jak przemycił numer mieszkania w filmie z Jasmin Peters.

– Może pan zacząć sekcję od głowy? – poprosiła Clara.

– Tak czy inaczej ją otworzę, bo procedura tego wymaga – wyjaśnił von Weinstein i ponownie postukał wskazówką w zwłoki. – Chyba zna to pani na pamięć.

– Tak. Ale najpierw proszę ją prześwietlić – poleciła.

Von Weinstein spojrzał na nią zaskoczony.

– Oczywiście, ale pod warunkiem że powie mi pani po co.

– Bo w ten sposób możemy coś znaleźć – odparła szczerze. – Będziemy czekali na zewnątrz. Proszę dać nam znać, gdy tylko będzie pan coś wiedział.

Zmarły mąż dawnej dyrektorki sierocińca, w której opuszczonym czasowo domu Vladimir znalazł schronienie, był profesorem zoologii dla celów naukowych preparującym zwierzęta. Między innymi z tego powodu Vladimir wybrał sobie to miejsce na tymczasową kryjówkę – było jakby stworzone dla jego planów.

W ogromnej piwnicy znajdowało się laboratorium z odczynnikami chemicznymi i książkami o preparowaniu zwierząt i mumifikacji zwłok. To tam właśnie Vladimir przeczytał po raz pierwszy o czarnych chrząszczach *Blaps mortisaga*, które potrafiły usunąć z ciała całą wilgoć. Postanowił jak najszybciej wyhodować odpowiednio liczną kolonię. Przeznaczył na ten cel spore terrarium.

Pod osłoną nocy, w ryzykownej operacji, wykradł z sierocińca ukryte zwłoki siostry i przeniósł je do swojego nowego schronienia. Tam ją zmumifikował, posługując się instrukcjami z książek znalezionych w piwnicy. Korzystał przy tym z odczynników, skalpeli i noży, które zostawił poprzedni właściciel. Spreparował i zakonserwował jej zwłoki, by trwały niezmienione na zawsze. Jako pomnik i znak, aż ukończy swoją misję. Leżała w ciszy w narożniku piwnicy, w otoczeniu chrząszczy, które miały dokończyć jego pracę. Kiedy uznał, że jest gotowa, zamurował zwłoki we wnęce ściennej, by czekały tam na jego powrót.

Teraz inni mieli umierać dla niej, by w ten sposób odkupić jego winy – obiecał jej ofiary przebłagalne.

Ostatniego wieczoru, jaki spędził w domu dawnej dyrektorki sierocińca, przeszukał dokładnie gabinet jej zmarłego męża. W obszernej bibliotece naukowca znalazł dzieła nie tylko tematycznie związane z zoologią, lecz również z okultyzmem i czarną magią. Vladimir przeczytał o znaczeniu, jakie ludzie przypisywali krwi w starożytności i średniowieczu, i w kręgach okultystycznych. Krew oznaczała życie. Dym i płomień, w których spalano krew, przyciągały duchy z zaświatów. Preczytał o korzeniu mandragory, który niekiedy miał kształt człowieka, i studiował rytuały z nim związane, opisane w starych tomiskach. Według jednego z nich należało przywiązać psa do łodygi mandragory, a następnie zatłuc zwierzę na śmierć. Truchło podrzucane agonalnymi drgawkami miało wyciągnąć korzeń z ziemi, dając mu moc – tak przynajmniej wierzone – przyjmowania ludzkiej postaci.

Przeczytał też okrytą mroczną sławą *grimoire*, księgę wiedzy magicznej spisaną w szesnastym wieku we Francji. Znalazł w niej opisy, jak przywracać zmarłych do życia i jakie ofiary należy w tym celu złożyć. Wtedy też dowiedział się o zasadzie, która stanowiła nienaruszalny fundament magicznych arkanów: żeby powstało życie, inne życie musi zgasnąć.

Na pozostałych stronach znajdował instrukcje, jak składać całopalne ofiary, jak obcinać im głowy, wytaczać krew, skórować i spalać, aż zostanie z nich sam popiół.

Powtarzał półgłosem imiona demonów, które miały dość mocy, by pomóc przywrócić życie zmarłym: Belial, Lilith, Astarte, Lucyfer, Moloch i Adramelech. Mroczne pojęcia gasnącego rozsądku, który odchodząc, błaga jeszcze, by litościwie ukrócić jego cierpienia.

Poznał również historię węgierskiej księżnej Elżbiety Báthory, która żyła w szesnastym wieku.

Elżbieta.

Wyszła za mąż, kiedy miała piętnaście lat.

Elisabeth miała piętnaście lat, kiedy związała się z pierwszym chłopakiem. I piętnaście, kiedy zginęła.

Báthory wyszła za księcia Franciszka Nádasdy, krewnego Włada Dracula, słynnego

hrabiego Drakuli.

Vlad Dracul – Vladimir.

Drakula, pan wilków i szczurów.

Vladimir, pan czarnych chrząszczy.

Przyniosę jej krew w ofierze.

Z zapartym tchem przeczytał historię księżnej Báthory, która kazała zabijać młode dziewice, by kąpać się w ich krwi i osiągnąć w ten sposób wieczną młodość. Współcześni historycy mówili o ponad sześciu setkach ofiar, zanim udało się zamknąć tę fabrykę śmierci.

Nikt mnie nigdy nie złapie, przysiągł sobie Vladimir. Będę składał w ofierze mojej Elisabeth krew i wnętrzności i spalał je na popiół tutaj, na jej ołtarzu.

Przypomniawszy sobie jej spreparowane ciało, które zamurowane w ściennej niszy, wysuszone i zmumifikowane, czekało na jego powrót. Kiedy nadejdzie właściwy czas, wyjmie je stamtąd.

Miała piętnaście lat, kiedy zmarła.

Ofiaruję jej zatem piętnaście kobiet.

Ich krew, ich ciała, ich życia.

I nikt nigdy mnie nie złapie.

Bo już nie jestem Vladimirem.

Już nie.

Jestem Niewidzialny.

Jestem Nocą.

Jestem Inny.

Obcy.

Zły.

Jestem Bezimiennym.

Pośród ciemności nocy zamknął za sobą drzwi opuszczonego domu i odszedł. Zniknął z miasta i z kraju.

Stał się częścią ciemności.

I miał nią być, aż wróci, by dokończyć swój wielki plan.

– Coś mamy!

Dziesięć minut czekali na tę informację.

Na twarzy von Weinsteina malowało się zdziwienie i niedowierzenie.

Clara i MacDeath popędzili do sali sekcyjnej. Górna część czaszki Julii Schmidt została wcześniej odpiłowana, a wyjęty z niej mózg leżał w metalowej kuwecie. Von Weinstein trzymał w dłoni metalowe szczypce chirurgiczne, którymi unosił coś drobnego, pokrytego krwią i białawą mazią; coś, czego nikt przy zdrowych zmysłach nie spodziewałby się tam znaleźć, gdyż przedmiot ten należał do całkowicie odmiennego świata i nijak nie pasował do otwartej czaszki, do miejsca między tkanką mózgową a kośćmi.

– Sama czaszka była nieuszkodzona, więc zauważyliśmy to dopiero na zdjęciach rentgenowskich – wyjaśnił. – Już po tym, jak morderca odciął ofierze głowę, musiał wsunąć to głęboko przez nos, a następnie popychając metalowym pręcikiem i kilkakrotnie silnie uderzając młotkiem, wbił to w mózg. – Potrzęsnał głową i przełknął głośno ślinę. – Z zewnątrz nie dało się niczego zauważyć. A że wcześniej pozbawił ofiarę krwi, uszkodzenia tkanek i kości w nosie nie spowodowały wypływu krwi.

Clara zamruwała. Miała trudności z uporządkowaniem myśli. Spoglądała na przedmiot, który von Weinstein trzymał w szczypcach, i starała się nie widzieć krwawo-białych fragmentów, które po nim ściekały. Następnie przeniosła wzrok na lekarza, potem na Martina Friedricha i z powrotem na wydobyty z czaszki przedmiot.

– Czy to aby nie...?

Von Weinstein zrobił zrezygnowaną minę i przytaknął.

– Zgadza się – mruknął. – To pamięć USB.

Vladimir powrócił po ponad dwudziestu latach i udał się wprost do domu nieżyjącej już dawnej dyrektorki sierocińca. Do domu, w którym leżała zamurowana w ścianie jego siostra Elisabeth. Do domu, który dziś służył jedynie za magazyn. Mało kto w nim bywał, jeśli w ogóle ktokolwiek go odwiedzał, lecz mimo wszystko miał to, czego Vladimir potrzebował: doprowadzony prąd i łącze internetowe.

Czas po powrocie z zagranicy poświęcił adaptacji przestronnych piwnic na swoje potrzeby, urządzając w nich swoisty cyfrowy czyściec dla zgniłego świata. Dysponował odpowiednimi funduszami. I miał potrzebną wiedzę – wiedzę o współczesnym życiu i o komputerach.

Dla niego świat wirtualny był czytelny i prosty: świat monitorów wypełniających wysoką piwniczną izbę migotliwym niebieskim blaskiem. Świat zbudowany z ciągów jedynek i zer, jasnych i jednoznacznych, jakby wyciętych skalpelem. Świat bez brudu, bez życia i bez ciała.

Wraz z nastaniem ery internetu przed Vladimirem otworzyły się możliwości, na które tak długo czekał. Kiedy pojawiły się pierwsze portale randkowe, mógł w końcu wyszukiwać dziewczęta podobne do Elisabeth. Wśród ogłoszeń znajdował ich zdjęcia i opisy. I informacje. Wiedział, w jakich miastach mieszkają. Mógł wśród nich wybierać, mógł kontaktować się z nimi i dowiadywać wszystkiego, czego zapragnął. Wszystkiego, aż w końcu nie miały tajemnic.

Vladimir szybko ustalił, jacy mężczyźni byli najbardziej poszukiwani na tego typu stronach. Włamywał się do systemów portali randkowych, aż wreszcie mógł założyć profil idealny. W końcu uznał, że optymalnie będzie przejąć czyjąś tożsamość, a to z kolei najlepiej działało, kiedy przejmował wszystko, co należało do wybranej osoby – włącznie z życiem. Nie dało się przeprowadzić takiej zamiany inaczej, niż zabijając dawcę nowej tożsamości.

Wiele się nauczył w swoim poprzednim życiu. Na początku opróżniał konta ofiar, aż nic na nich nie zostawało. Później stworzył program, który zapewniał mu stały dopływ gotówki: losowo generował numery kont bankowych i przekazywał na nie minimalną kwotę z kont ofiar. Jeśli przelew zostawał zaksięgowany, to znaczyło, że takie konto naprawdę istniało. Następnie z konta nieboszczyka generował żądanie zwrotu zapłaty, lecz na wyższą sumę, i wyciągał od nieuważnych właścicieli kont, ile tylko się dało. Na koniec udawał się z kartą swojej ofiary do bankomatu, oczywiście zamaskowany, bo wiedział, że zawsze są w nich zamontowane kamery, i w różnych punktach miasta wyciągał po tysiąc euro. Kiedy zbierał dziesięć tysięcy albo więcej, zniknął w ciemnościach i palił komputer ofiary.

Żeby zrealizować swój plan, musiał poświęcić swojej siostrze życia piętnastu dziewcząt, które wyglądały jak ona, a na to potrzebował czasu. Nikt nie miał prawa się dowiedzieć, co robił. I nikt nie mógł szukać jego ofiar.

Spojrzał na z mumifikowane zwłoki Elisabeth, które leżały wystawione w sarkofagu z czarnego kamienia, specjalnie dla niej przygotowanym.

Starożytni Egipcjanie wierzyli, że ciała zmarłych należy konserwować, by ich właściciele mogli żyć w zaświatach. Jego cel, choć z pozoru zbieżny, był wręcz odwrotny: mumifikacja zwłok pozwalała ich właścicielom żyć na tym świecie. A przynajmniej wirtualnie udawać życie. Dzięki temu nikt miał ich nie szukać.

Współczesne społeczeństwo miało swoje ciemne strony. W tym wypadku nie chodziło o działania, na jakie narażeni byli jego członkowie – a więc przemoc, morderstwa, gwałty czy wykorzystywanie słabszych – lecz właśnie o brak jakichkolwiek działań i interakcji. O samotność i anonimowość.



Vladimir włamał się do kilku baz danych gromadzących informacje kryminalistyczne i sądowo-medyczne. Dowiedział się o ludziach, którzy czasem przez pięć lat leżeli martwi w swoich mieszkaniach, zanim ktokolwiek się zorientował. O ludziach, których ciała toczyła zgnilizna, którzy po wyschnięciu czekali w samotności pośród śmieci i fekaliiów na przypadkowe odnalezienie. Często zanim ktoś o nich pomyślał, ich ciała padały ofiarą trzymanyh jeszcze za życia zwierząt domowych, które wygłodniałe zaczynały się nimi żywić, aż w końcu również padały martwe.

Na samym początku przychodzi rozkład, a znacznie później ciało wysycha. Wtórna mumifikacja, tak określano stan niektórych zwłok w raportach lekarzy sądowych. Vladimir czytał je i oglądał zdjęcia.

Ci zmarli nikogo nie interesowali. Wcześniej prowadzili samotne życie, a potem spotykała ich taka sama śmierć. Jednak kobiety, które Vladimir planował mordować, nie były samotne. I ponownie z pomocą przyszła mu najnowsza technika. Sieci społecznościowe, dzięki którym miliony ludzi utrzymywały ze sobą kontakty. Vladimir zanurzył się w gąszczu portali i stron z ogłoszeniami towarzyskimi. Odwiedzał zarówno te „tradycyjne” serwisy, dla osób heteroseksualnych, jak i te mniej tradycyjne. Strony dla gejów nastawione na osoby, które chcą być wykorzystywane. I w końcu najgorszy z najgorszych asortyment serwisów, dla prawdziwych fanatyków, przyciągające indywidual, które pragnęły stać się obiektem tortur albo same chciały zadawać ból i cierpienie innym, a nawet snuły marzenia o morderstwach i kanibalizmie.

Na jednej z takich stron Vladimir natrafił na znajomą twarz. Pamiętał ją jeszcze z czasów sierocińca. Z pokoju, w którym oglądał filmy o ninja. I z pralni w piwnicy.

Nawiązał z nim kontakt.

Postanowił go odnaleźć.

I zamordować.

Sadyzm zaczyna się od męczenia zwierząt, lecz bez pozbawiania ich życia. Kolejnym krokiem jest zamęczenie ich na śmierć. Potem zaczyna się dręczyć ludzi, lecz pozostawiając ich przy życiu. Dopiero potem męczy się ludzi, aż wyzioną ducha.

Ingo M. jako dziecko łapał żaby i przez słomkę nadmuchiwał je, aż pękały. Jednak nigdy tak, by pękały na kawałki – starał się tylko uszkodzić je wewnętrznie, by ginęły w długich męczarniach. Bardzo go to podniecało.

Lecz w pewnej chwili poczuł, że to za mało. Potrzebował silniejszego bodźca. Zaczął wybierać większe zwierzęta, aż w końcu przerzucił się na ludzi. Wyszukiwał chłopców i dziewczynki, bo dzieci łatwo było przekonać. Bez trudności potrafił im wmówić, że są wyjątkowe, wybrane i mają podstawy, by czuć się wyróżnione. Później już tylko krok dzielił go od tego, żeby zmusić je do robienia różnych plugawych rzeczy, tak żeby wydawało im się, że robią to z własnej woli. Z początku pozwalał im odejść z tajemnicą wspólnych „zabaw”, lecz w pewnej chwili uznał, że to dla niego zbyt ryzykowne. Koniec końców, mogły przecież zacząć mówić. Martwe mu nie zagrażały.

Strach w ich oczach był dla Inga niczym eliksir życia.

Ich krzyki i płacz ożywiały jego duszę.

A Ingo M. rozkoszował się każdą łzą umierających dzieci.

Niełatwo było jednak za każdym znajdować takie dzieci, które go najbardziej podniecały. Czasem musiał zdać się na prostytutującą się młodzież. Ich co prawda nie mógł zabijać, ale za to takie kontakty miały niezaprzeczną zaletę: za pieniądze chłopcy i dziewczęta byli gotowi zrobić wszystko, czego tylko zapragnął.

Na początku roku, kiedy na ulicach leżał jeszcze śnieg, Ingo poznał w internecie młodego chłopaka, który idealnie odpowiadał jego upodobaniom. Miał na imię Chill i był wysokim, wysportowanym blondynem o bardzo uległym charakterze. Obiecał zrobić wszystko, czego Ingo zapragnie. Miał spełnić jego najbardziej zbredne fantazje i nie upierać się przy stosowaniu prezerwatyw czy innych zabezpieczeń. We wszystkim miał brać czynny udział. Informacje zamieszczone w internecie były jednoznaczne. Ingo widział już to wszystko oczyma wyobraźni. Nie, on to już czuł.

Spotkali się w piwnicy pewnego klubu, który uchodził za najbardziej imprezowe miejsce w całym Berlinie, a przede wszystkim za główny punkt spotkań homoseksualistów. Nikogo nie dziwiło, że w czasie imprez dla sadomasochistów podłoga stawała się śliska od krwi. Ściany drżały od dudniącego hardcore techno, co chwila jakieś pary znikwały w umieszczonych po bokach darkroomach, a Ingo wypatrywał umówionej męskiej prostytutki. W końcu zobaczył Chilla. Obmacał go, sprawdził, co ma w spodniach.

– Dwieście za noc?! – upewnił się, przekrzykując głośną muzykę. – Cała noc. Żadnych zahamowań.

Chill potwierdził.

– I bez gumy?

Chill ponownie pokiwał głową.

Razem pojechali do bunkra, w którym Ingo M. wynajmował pomieszczenia. W pozostałej części odbywały się próby zespołów muzycznych, ale o drugiej w nocy byli tam całkowicie sami. Ściany i sufity były wygłuszone. Znajdowali się trzy piętra pod ziemią, skąd na górę nie docierał żaden dźwięk. Zamknęły się drzwi. Tutaj Ingo M. udusił trzy spośród swoich małych ofiar, ale dopiero po tym, kiedy z nimi skończył. Spoglądał przy tym w ich zapłakane oczy, by poczuć to,

co czuły one, kiedy umierały. Najczęściej jednak widział w nich tę samą panikę i to samo nieme błaganie, które oglądał przez cały czas, od kiedy miał je w swoim władaniu. Ostatnio zaczęło go to nawet denerwować.

W najgłębszej piwnicy bunkra, którą wynajmował, znajdowało się wszystko, czego potrzebował: kajdanki, sznury, kneble i metalowe krzesło przytwierdzone na stałe do podłogi. W kącie pomieszczenia stała kamera, bo Ingo miał słabość do nagrywania swoich zabaw. Trzymał tam również komputer, na którym przechowywał „najlepsze” filmy. Tak głęboko pod ziemią nie było dostępu do internetu i żadna sieć Wi-Fi nie mogła spenetrować grubych, żelbetowych ścian, ale jemu to właśnie odpowiadało. Zdjęcia, które gromadził, były tylko dla niego, bo gdyby ktokolwiek inny je zobaczył, Ingo mógłby wpaść, a wtedy skończyłyby się jego polowania.

Może i był perwersyjny, ale nie głupi.

Chill rozebrał się, nachylił i rozpiął Ingowi spodnie. Cudownie. Kiedy skończy, pomyślał Ingo, związę go i trochę poniżę. To go bardzo podniecało. Chill był wielkim i silnym chłopakiem, ale on się go nie bał. Zapłacił mu w końcu tyle, na ile się umówili, a gdyby spotkanie z umiśnionym mężczyzną poszło nie tak, Ingo miał schowaną za szafką czterdziestkępiątkę.

Ingo poczuł, że dostaje erekcji. Aż sapnął z podniecenia i płonącym wzrokiem spoglądał w dół. Z wysuniętą dolną szczęką oglądał Chilla w akcji. Zaraz weźmie go do ust, a on nie zamierzał się spieszyć. Da sobie dużo czasu, aż...

Niespodziewanie coś popędziło w jego stronę, a w następnej sekundzie cały świat zniknął za szkarłatnym welonem. Ogarnęła go fala bólu i potwornego szoku. W głowie słyszał dudnienie, a usta wypełniły mu się czymś gorącym, o słodkawym smaku. Tam, gdzie kilka sekund wcześniej miał wargi i siekacze, znajdowała się poprzetykana odłamkami zębów krwawa, bezkształtna masa.

W nosie poczuł palącą ciecz, która ściekała na poharatane usta. Przed sobą widział rozmazanego Chilla, który wcale nie wyglądał ulegle. Mężczyzna spoglądał na niego z lodowatą pogardą i sadystyczną przyjemnością.

Potem Ingo rozpoznał gryzącą woń, którą pamiętał jeszcze z czasów pracy jako pielęgniarz.

Chloroform.

On jest wciąż na wolności i działa.

I chce czegoś ode mnie.

Uczył mnie częścią swojego planu.

Pamięć USB z wiadomością, ukryta w głowie ofiary, wbita tam brutalnie przez nos.

Kolejna wiadomość. Od niego.

MacDeath mówił o nim:

Że jest inny.

Że jest obcy.

Że jest zły.

Uruchomili laptop. MacDeath zadzwonił do Winterfelda i opowiedział mu o makabrycznym znalezisku.

Na przenośnej pamięci zapisany był pojedynczy plik tekstowy.

Drżącymi palcami Clara kliknęła dwa razy ikonkę.

Program wyświetlił jego zawartość.

Clara zaczęła czytać.

*Do: Clara Vidalis, Krajowa Policja Kryminalna*

*Bylbym nieszczerzy, gdybym wyraził zaskoczenie faktem znalezienia i odczytania przez Panią wiadomości, którą wysłałem, gdyż jestem w pełni świadom Pani zdolności i zalet, które dzieli Pani zresztą z pozostałymi kobietami.*

*Nie ma Pani, na przykład, pusto w głowie – podobnie jak moja ostatnia ofiara.*

*I, jakby tego było mało, dzisiaj dowiedziała się Pani, że zabiłem już czternaście kobiet.*

*Oczywiście potrzebowałem do tego kilku męskich marionetek, co zatem oznacza, że Jakob Kürten nie jest jedyną ofiarą płci męskiej.*

*Zatem liczyć trzeba, że ofiar jest czternaście plus x.*

*Robi wrażenie, nieprawdaż? Czy może w Pani przypadku powinienem użyć słowa – budzi grozę?*

*Wiem, że czeka Pani na weekend i że wybiera się Pani na urlop. Jednak jeszcze nie skończyliśmy!*

*Dzisiejszy wieczór jest specjalny, bo załatwimy dwie sprawy za jednym zamachem:*

*Pokażę Pani, co nas łączy, i jednocześnie wskażę rzeczy, które Pani zaniedbała.*

*Jeśli znajdzie Pani potem w sobie dość siły – bo nie mam wątpliwości, że nie spodoba się Pani to, co chcę pokazać – ma Pani moje pozwolenie na dalszą gonitwę za mną, co bez wątpienia jest zaszczytem.*

*Gonitwa, to dobre słowo.*

*Bo dogonić mnie Pani nie może.*

*Gdyż ja nie istnieję.*

*Przed śmiercią warto się obudzić.*

*Z ciemności.*

*Bezimienny.*

W końcu Ingo zobaczył światło.

Pod sufitem wynajmowanego pomieszczenia świeciła jarzeniówka.

Chciał oblizać usta, jednak natychmiast cofnął język, ledwie dotknął miejsca, w którym jeszcze niedawno znajdowały się jego zęby i wargi, a co teraz stanowiło potwornie zmasakrowaną mieszaninę odłamków kości i okaleczonych tkanek. Każde muśnięcie sprawiało niewypowiedziany ból. Fragmenty rozbitych zębów pływały w mieszaninie krwi i śliny wypełniającej jego usta niczym zatopione wraki okrętów w rozszalałym morzu. Wystarczyło, by spróbował zamknąć usta, a poczuł paralizujący ból i usłyszał odrażający chrzęst połamanych kości szczęki.

Co za cholerny skurwysyn! – krzyczał w duchu. Za dwieście euro miał być jego seksniewolnikiem i przez całą noc ulegle znosić ponížanie, a na sam początek miał mu obciągnąć. Zamiast tego gwałtownie podniósł się z klęczek i głową uderzył go w usta, miażdżąc zęby, rozrywając wargi i łamiąc szczękę.

Ingo siedział na metalowym krześle przytwierdzonym na stałe do podłogi. Krzesło, które przecież doskonale znał: sam przywiązywał do niego innych i wykorzystywał ich w najgorsze z możliwych sposobów. Teraz natomiast to jego ramiona i nogi zostały przypięte kajdankami do metalowej konstrukcji.

Gdzieś w głębi ducha, spoza wszechogarniającego bólu, zaczął wyłaniać się też strach. W głowie Inga pojawiło się to niesamowite poczucie realizmu, które zarezerwowane jest w człowieku tylko dla takich ekstremalnych sytuacji. Skupił się w myślach na trzech fundamentalnych pytaniach.

Po pierwsze: co się z nim teraz stanie?

Po drugie: jak może przekonać Chilla, żeby go uwolnił?

I po trzecie – choć to pytanie nie było akurat najważniejsze – kim tak naprawdę jest mężczyzna, którego znał jako męską prostytutkę?

Nieznajomy, który przedstawił mu się jako Chill, był na powrót kompletnie ubrany. Siedział sobie jakby nigdy nic przed jego komputerem i oglądał zapisane na nim zdjęcia. Kiedy zauważył, że Ingo odzyskał przytomność, obrócił się w jego stronę.

Po policzku spływała mu cieniutka strużka krwi, która ginęła na brodzie, lecz on zdawał się tego nie zauważać. Musiał się skaleczyć, kiedy podniósł się z ziemi i bez ostrzeżenia wyrznął głową w zęby Inga M.

– Kim jesteś? – wycharczał Ingo niewyraźnie. Kiedy mówił, na jego zniszczonych wargach tworzyły się czerwone bąbelki śliny i krwi.

Mężczyzna wstał, wyprostował się i starł palcem krew z głowy, po czym zlizal ją z opuszka. Na jego ustach zagościł krótki i lodowaty uśmiech. Po chwili założył okulary.

Okulary w oprawce z matowej stali.

– Kim jestem? – powtórzył pytanie. Jego twarz była pozbawiona wyrazu niczym kamienna maska. – Jestem twoim najgorszym koszmarem.

Clara jechała Turmstraße w kierunku Tempelhof, do siedziby policji kryminalnej. Na fotelu obok siedział MacDeath i przy włączonej lampce do czytania jeszcze raz przeglądał raport.

Clara uruchomiła tryb głośnomówiący telefonu i zadzwoniła na komendę. Po chwili przez głośniki usłyszała Hermanna. Mówił trochę niewyraźnie, jakby znów miał usta pełne ukochanych żelkowych misiów.

– Coś nowego na froncie komputerowym? – zapytała.

– Zero podejrzanej aktywności – odparł Hermann. – Za to filmik mordercy jest paskudnie często udostępniany przez innych. Zmusiliśmy Xenotube, żeby go zdjęli ze swojej strony tak szybko, jak to możliwe, ale niestety, setki internautów miało go już na swoich dyskach i teraz co chwila pojawia się na nowych serwerach. Jak wirus.

– Co z prasą? – Clara pytała dalej.

– Wkurzają nas jak diabli. Bellmann i Winterfeld nie mają chwili wytchnienia.

Potwierdziliśmy znalezienie ciała, ale nie poinformowaliśmy nikogo o pamięci USB.

Clara pokiwała głową.

– Jeszcze tylko tego by nam brakowało. – Przerwała na chwilę, żeby zebrać myśli. – A co z DNA z tego chrząszcza?

– Jeszcze raz dobraliśmy się szpitalom do tyłków. W Berlinie już prawie skończyliśmy.

– Jakież efekty?

Zanim usłyszała odpowiedź, z głośników dobiegło smakowite mlaskanie.

– Nie, niestety. A co u was?

– Zaraz podrzucę ci tę pamięć. Technicy cały czas pracują w mieszkaniu Julii Schmidt i zabezpieczają ślady. Przewracają wszystko do góry nogami. – Clara skręciła w stronę dworca głównego. – Niestety, żadnych śladów DNA. I żadnych odcisków palców... generalnie nic, co by się mogło nam przydać. Jak u Jasmin Peters.

– Pewnie pani nie uwierzy, ale nic nie znaleźliśmy – oznajmił jeden z techników, odpowiadając na pytanie Clary.

– Święta racja, nie chce mi się wierzyć, żeby naprawdę nic tu nie było – odparła. – Więc wracajcie do roboty. Nawet morderca z pozoru doskonały musi kiedyś popełnić błąd – ciągnęła. – Policja przepytowała sąsiadów, czy między siedemnastą a dwudziestą nie zwrócili uwagi na coś podejrzanego. Problem jednak polega na tym, że nie mamy pojęcia, jak on wygląda, a ludzie w Berlinie, jeśli w ogóle czymś się interesują, to tylko sobą. – Zastanowiła się. – W Instytucie Medycyny Sądowej trwa właśnie analiza DNA śladów z koszuli nocnej ofiary i z jej skóry. Jej mózg zostanie przebadany pod kątem trucizn, narkotyków, leków i innych środków, które można by przypisać do określonej grupy społecznej. – Clara minęła dworzec główny i skręciła w lewo, do tunelu biegnącego w kierunku Tempelhof. – Niestety, poza mózgiem morderca nie pozostawił żadnych innych narządów, więc wyniki mogą być dość niepewne.

– W porządku – odparł Hermann. – Przekażę wszystko Winterfeldowi. Dam znać, jak tylko będziemy mieli coś nowego.

– Rozumiem. Zresztą zaraz będziemy na komendzie.

Rozłączyła się i w milczeniu spoglądała na asfalt oświetlony żółtymi lampami zawieszonymi pod sufitem tunelu.

– I co pan o tym myśli? – zapytała w końcu. – Czy jestem w niebezpieczeństwie? W końcu powiedział, że mam się obudzić przed śmiercią.

MacDeath nie odpowiedział od razu.

– Zgodzę się, że to może brzmieć jak groźba – rzekł po chwili. – Jednak jestem przekonany, że użył tych słów, aby zrozumiała pani powagę sytuacji. I jakby chciał dać pani do zrozumienia, że nie powinna mu pani wchodzić w paradę.

– Tyle że to jest właśnie moja praca. Nasza praca – poprawiła się i prowadziła dalej, nie odrywając wzroku od ulicy. Żółte lampy znikają za oknami samochodu jak myśli, których nie można złapać i zatrzymać. – Jak pan sądzi, co ten psychol jeszcze dla mnie przygotował? Zapowiedział, że coś mi jeszcze dzisiaj pokaże.

MacDeath wzruszył ramionami.

– Przyśle e-mail? Może opublikuje kolejny film? Tak czy inaczej, będziemy musieli natychmiast zareagować, bo być może zachłśnie się pewnością siebie i ujawni odrobinę więcej, niżby chciał. Na razie tylko liczymy na to, że popełni jakiś błąd, który wykorzystamy, żeby go dopaść.

– No właśnie – przytaknęła Clara.

– A najwyraźniej to, co chce pani pokazać – ciągnął MacDeath – jest dla niego wyjątkowo ważne. Z tego, co zrozumiałem, dla pani również. – Znów spoglądał na nią znad okularów, w sposób typowy dla psychiatry. – Ostrzegł także, że to będzie dla pani trudne.

Zdjął okulary i szalikiem wytarł szkła. Wyjechali z tunelu. Przez zasłonę chmur sączyło się światło księżyca, zalewając świat magicznym lśnieniem. – Nalepiej będzie, jeśli wspólnie się zastanowimy, co by to mogło być, żeby przygotować panią na to. Dobrze by było, gdyby nie udało mu się pani zaskoczyć.

– Sesja terapeutyczno-coachingowa? – Clara uniosła brwi.

– W sumie dlaczego nie? – MacDeath uśmiechnął się. – W pobliżu komendy jest bardzo miły lokal, w którym mają doskonałą szkocką. Zupełnie tego nie rozumiem, bo nie pasują do okolicy, ale jakimś cudem cały czas działają. Do sprawnego myślenia przyda się zmiana otoczenia, a i takim wspomagaczem nie pogardzę. To pomaga na skupienie. Pani chyba też tego potrzeba?

Clara zastanowiła się chwilę, lecz tak naprawdę już wcześniej podjęła decyzję.

– Chętnie. Cały czas trwają analizy. Na razie i tak nie mam nic lepszego do roboty. – Skręciła w uliczkę równoległą do torów metra, a potem w prawo, w Mehringdamm. Właściwie to dość absurdalny pomysł, przemknęło jej przez głowę. Żeby teraz pić whisky i zachowywać się, jakby zaczynał się weekend. Z drugiej strony to przecież był już weekend. Najlepszym sposobem pozbycia się pokusy, jest jej ulec, powiedział kiedyś Oscar Wilde. Czasem łatwiej rozwiązać problem w ten sposób, niż potem dusić to w sobie i roztrząsać.

Po krótkiej chwili zapytała:

– Co takiego może mnie łączyć z tym szaleńcem?

– Być może coś z pani przeszłości – odparł MacDeath, spoglądając przez boczne okno na mijane latarnie. – Nie, nie być może – poprawił się. – Bez wątpienia.

Ingo powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Nie za wiele był gotów zdradzić dobrowolnie, więc mężczyzna w czerni, który przedstawił się jako Chill, musiał mu trochę pomóc. Obejrzał zdjęcia na jego komputerze i wypytywał o to, co i kogo przedstawiają. Kiedy skończył, zamknął laptopa i schował do dużej czarnej torby.

Ingo M. siedział na stalowym krześle, trząsł się z przerażenia i ociekał potem. Po twarzy spływały mu łzy.

– Dlaczego? – zapytał z wysiłkiem.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał uważnie.

– Dlaczego? Naprawdę jeszcze do ciebie nie dotarło? Nie masz nawet pomysłu, kim mógłbym być?

Ingo potrząsnął głową.

– Przypominasz sobie pracę w sierocińcu lata temu? Pamiętasz dwunastoletniego chłopca, z którym oglądałeś filmy o ninja? „Żeby pokonać noc, trzeba stać się jej częścią”?

Otworzył czarną torbę i wyjął z niej przedmiot, którego Ingo nie potrafił zidentyfikować.

– Pamiętasz może filmy, które wykorzystywałeś, żeby wabić tego chłopca do swojego pokoju i zmienić go w seksniewolnika? Pamiętasz jeszcze, co z nim robiłeś? Przypominasz sobie pralnię, gdzie tak mnie pobiliś, że straciłem przytomność? „Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, to nie ręczę za siebie! – powiedziałaś, kiedy naskarżyłem na ciebie dyrektorowi. – Jeszcze jedno słowo, a to tutaj będzie ci się wydawało rajem!” Niestety, dyrektor nic wtedy nie zrobił. Potrzebował cię.

W spojrzeniu Inga pojawiło się zdumienie, strach i rosnące zaskoczenie. Vladimir. Chłopak, którego przysłali do sierocińca z siostrą, bo ich rodzice zginęli w wypadku. Chłopak, który mu się spodobał. Z którym oglądał filmy. Z którym się zabawiał.

– To byłeś ty? Vladimir? Ale to przecież niemożliwe! Ty nie żyjesz! Utopiłeś się w jeziorze. Jesteś martwy! – Przerażony Ingo krzyczał falsetem, podczas gdy młody mężczyzna, który przedstawił mu się jako Chill, uniósł wyżej przyniesiony przedmiot, żeby spętany sadysta mógł go zobaczyć. To był palnik Bunsena, jakich używa się w laboratoriach. Vladimir postawił go pod krzesłem, na którym siedział Ingo.

– Jesteś martwy! – krzyczał dawny opiekun z sierocińca, a jego głos wyrażał skrajną histerię. Przypomniał sobie, jak pobił wtedy swojego wychowanka, jak na nim usiadł i jak napluł mu do ust. Powiedział też, że byłoby lepiej, gdyby go nigdy nie poznał. A ten gówniarz rzeczywiście mu odpowiedział, że dla niego byłoby jeszcze lepiej.

Krótko potem chłopak się zabił. Pamiętał słowa dyrektora: „Wszystko wskazuje na to, że Vladimir Schwarz popełnił samobójstwo. Woda wyrzuciła jego kurtkę na plażę, a przy brzegu stał jego rower. Musimy liczyć się z najgorszym”.

– Ja? Ja jestem martwy? – Mężczyzna w czerni zbliżył twarz do twarzy Inga, tak że ich nosy prawie się dotykały. – Ja żyję. Ale coś we mnie rzeczywiście umarło. Ty to zabiłeś. Nie tylko we mnie, w wielu innych również. – Mówiąc to, wskazał na jego komputer, który wystawał z czarnej sportowej torby.

Potem nachylił się i otworzył dopływ gazu do palnika.

– Jestem sędzią i katem. Bo to, co ty zabijałeś, zabije teraz ciebie.

I z tymi słowami otworzył zapalniczkę i podpalił płomień palnika pod krzesłem.

– Ja nie jestem martwy – powtórzył mężczyzna, który tak naprawdę miał na imię Vladimir i który stał przed Ingiem niczym czarny anioł zemsty. Szum płonącego gazu wypełniał



pomieszczenie, a Ingo czuł przerażające gorąco, które momentalnie zaczęło sprawiać mu ból. – Ja jestem śmiercią.

Jego głos niósł się po podziemnej izbie niczym apokaliptyczna przepowiednia, a Ingo walczył i wrzeszczał przeraźliwie. Z ust tryskała mu krew zmieszana ze śliną, kajdanki ciążyły skórę, kiedy szarpał się i próbował oderwać krzesło od podłogi, by uciec płomieniom. Lecz stalowy mebel stał niewzruszony, a ogień znalazł pożywkę. Smród płonącego ciała wypełnił pomieszczenie, a opętańcze wrzaski zagłuszały szum palnika. Przez ułamki sekund, w których Ingo M. nie czuł wypełniającego jego ciało śmiertelnego bólu, spoglądał z niedowierzaniem na czarną postać, która górowała nad nim i niewzruszenie przyglądała się jego cierpieniu.

– Ty cholerna świni! – skrzeczał Ingo, podczas gdy płomień coraz głębiej penetrował jego podbrzusze. – Wcale nie jesteś lepszy ode mnie! Jesteś gorszy. Jesteś znacznie gorszy!

– Stworzyłeś chory świat – odparł Vladimir, który spokojnie przyglądał się piekielnemu przedstawieniu. Stał oparty o ścianę, a na nosie miał okulary w oprawce z matowej stali. – Jak wszyscy, którzy tworzą tak chore zasady, miałeś nadzieję, że ciebie to nie dopadnie?

Zamiast odpowiedzieć, Ingo M. wydał z siebie gardłowy bulgot. Płomienie ogarnęły jego uda, a ciężki, gęsty dym uniósł się pod wilgotny, porośnięty mchem sufit.

– Zabij mnie! – krzyknął. – Błagam! Nie wytrzymam tego!

– Miałbym cię zabić? – Vladimir prawą stopą odsunął na bok palnik. Najgorszy ból minął. Ten, który pozostał, był okropnym i nieprzemijającym pieczeniem, pożerającym ciało mężczyzny. Ingo uniósł wzrok. Po jego oczach widać było, że nie straci już przytomności.

Vladimir stał przed nim, groźny i potężny jak wampir, który podniósł się właśnie z grobu. Sięgnął za siebie i wyjął coś, co miał przytwierdzone w skórzanej pochwie na plecach. Wyciągnął dłoń przed siebie. W błękitnawym, chłodnym świetle jarzeniówki błysnęło ostrze. To był krótki miecz samurajski, wakizashi.

Mężczyzna uniósł miecz i pokazał go Ingowi, który zadrżał z przerażenia i zarazem wdzięczności. Z ulgą zamknął oczy i czekał na śmierć, która, jak liczył, wybawi go z cierpienia bycia spalonym żywcem.

Lecz zamiast wywołującego mdłości plaśnięcia i zgrzytu, jakie wydają ostrza przecinające ludzkie ciało i kości, Ingo M. usłyszał ciche kliknięcie. To kajdanki na jego prawym nadgarstku. Miał wolną jedną rękę. Mógł poruszać przedramieniem, bo reszta dalej była przywiązana do krzesła. Mimo to mógł sięgać tak daleko, jak tylko pozwalało mu przedramię. Nie rozumiał jednak, dlaczego oprawca zdecydował się na taki krok. Wtedy właśnie rozległ się świst i głucho uderzenie. Jedyne przedmiot, jaki znalazł się w jego zasięgu, utkwiał właśnie w drewnianym stoliku, który stał tuż obok niego.

Wakizashi nie było wycelowane w niego. Sterczało z drewnianego blatu i kołysało się delikatnie, jakby czekając na ostateczne potwierdzenie.

– Harakiri – powiedział Vladimir, przesuwając wzrok z miecza na twarz Inga M. – Harakiri nie jest zarezerwowane tylko dla samurajów.

I z tymi słowami na powrót wsunął palnik pod krzesło, zarzucił torbę na ramię i ruszył w stronę wyjścia, odprowadzany przerażającym wyciem ofiary.

Vladimir z głośnym trzaskiem zamknął za sobą ciężkie drzwi do podziemnego bunkra.

Ruszył w stronę klatki schodowej, która z trzeciego piętra pod ziemią prowadziła na powierzchnię. Ingo M. wrzeszczał coraz głośniejsze, lecz po chwili ledwie było go słychać. Po jakimś czasie zapanowała cisza.

„Być może coś z pani przeszłości. Nie, nie być może. Bez wątpienia”.

Te słowa Martina Friedricha rozbrzmiewały w głowie Clary, kiedy szła korytarzem w stronę swojego biura.

Bezimienny zamordował czternaście kobiet, a być może więcej. A co zrobiła ona? Pomyślała o swojej przeszłości. Być może to właśnie tam znajdowało się coś, co morderca chciał wykorzystać przeciwko niej.

A przeszłość dla Clary oznaczała jedynie jej siostrę, Claudię. Claudię, która nie żyła. Być może przez nią właśnie.

Rodzice Clary nazywali jej siostrę „najlepszą wpadką, jaka im się zdarzyła”, bo nie była zaplanowanym dzieckiem. Clara miała dziesięć lat, kiedy Claudia przyszła na świat. Razem z nią przeżywała okres dorastania i uważnie obserwowała, jak mała dziewczynka postrzega świat i jak go oswaja. Zupełnie jakby sama raz jeszcze przeżywała dzieciństwo.

Już wtedy domyślała się tego, czego potem była pewna: że ten czas był najwspanialszym okresem jej życia.

Jakież piękne chwile przeżywały w niewielkiej miejscowości pod Bremą, dokąd się przeprowadzili! Przez całe lato drzwi na taras stały otworem; był piątek, szkoła się skończyła, w lodówce czekała lemoniada i lody, w garażu trzymały rowery, świeciło słońce. W każdą niedzielę całą rodziną grillowali, a w odwiedziny przychodzili sąsiedzi ze swoimi dziećmi, które przynosiły małe króliczki. Potem razem obserwowali, jak małe zwierzątka chodzą po ogrodzie. Dzieci innych sąsiadów przynosiły świnki morskie, z których dwie nawet uciekły, a jedną pożarł kot. Na jakiś czas bardzo to wszystkich wzburzyło.

Nie było jeszcze komórek ani internetu, nikt nie przesiadywał na forach, dzieciaki nie dobierały się w grupy ze względu na marki noszonej odzieży i gadżetów. Były za to bezkresne zielone łąki, ciemne tajemnicze lasy i zachody słońca z wieczorną mgłą, pośród której latały jętki i komary. Każdy dzień kończył się równie interesująco, jak zaczynał się kolejny. Było łowienie ryb w zakazanych gliniankach, gdzie miał straszyć duch starego rolnika, który utopił się tam przeszło sto lat wcześniej. Zabawa w chowanego w stadninie, która należała do bogatej rodziny. Głaskanie grubego kota, który dzień w dzień drzemał przed stodołą. Jazda na starej szkapie, która pokornie zносиła każdy ciężar na grzbiecie, a w stajni mogła liczyć na łaskawy chleb właścicieli. Dzwonienie do drzwi hotelu dla pielęgniarek z pobliskiego szpitala i ucieczka, zanim zdążą otworzyć.

Niedaleko ich domu znajdowało się wielkie pastwisko dla krów. Każdego wieczoru stary rolnik przepędzał zwierzęta z powrotem do obory, wołając przy tym z wiejskim zaśpiewem „mućki idom!”. Claudia potrafiła go tak udanie naśladować, że Clara nie umiała odróżnić ich głosów. Nie mogła zapomnieć widoku pięcioletniej dziewczynki biegającej wzdłuż ogrodzenia pastwiska i wołającej na całe gardło „mućki idom!”. Potrafiła zmylić również zwierzęta, które całym stadem ruszały natychmiast za nią. Stary rolnik nie wiedział, czy powinien być na nią zły, czy raczej ma się z tego śmiać. Uznał jednak, że lepsze będzie to drugie rozwiązanie.

– Nie możesz przecież robić tych biednych zwierząt w balona – tłumaczyła wówczas Clara, czując się odpowiedzialna za młodszą siostrę. Claudia spoglądała na nią zaskoczona, jakby to, co zrobiła, było czymś najnormalniejszym w świecie.

– Dlaczego? – pytała.

Dzieci mają specyficzny sposób zdawania tego pytania. W słowie „dlaczego” miesza się zawsze odrobina ciekawości, urazy i rozczarowania, bo świat zaczynał właśnie komplikować im

życie bezsensownymi ograniczeniami.

Im bardziej nad tym myślała, tym wyraźniej odczuwała tamtą nieskalaną dziecięcą uczciwość i szczerą ciekawość, z którą Claudia odkrywała świat, radość, z jaką budowała zamki z piasku i marzyła o bajkowych pałacach i odległych krainach. Pamiętała, jak młodsza siostra płakała, bo świat okazywał się smutny.

Stary gospodarz powiedział jej wtedy, że jeśli Bóg kogoś kocha, to chce go szybko mieć u siebie.

Clara wytarła łzy z policzków i weszła do swojego biura.

Vladimir przeglądał zdjęcia zapisane na dysku komputera.

Fotografie spętanych, umierających i martwych, w większości zdecydowanie poniżej dwudziestego roku życia.

W pewnej chwili znalazł zdjęcie, na którym było nazwisko. Ściśle rzecz biorąc, znalazł zdjęcie przedmiotu, na którym znajdowało się imię i nazwisko.

Imię i nazwisko jednej z ofiar Inga M.

Vladimir zabrał się do poszukiwań. Chciał dowiedzieć się czegoś o rodzinie ofiary, o tym, czym się zajmują i kim są.

W końcu znalazł. To samo nazwisko, inne imię.

I zawód.

To będzie ona.

Ona będzie przyglądała się jego dziełu.

To ona udzieli mu rozgrzeszenia.

Włączy ją do swojego planu i uczyni częścią dzieła, kiedy tylko zaczną je realizować.

Napisze do niej.

Wkrótce.

Stała się, podobnie jak Ingo M., częścią jego planu. A Ingo M. był częścią jej planu.

Clara otworzyła drzwi do biura.

Jeden drink z Friedrichem, pomyślała. Właściwie dlaczego nie?

I tak nie mieli na razie nic do roboty – przynajmniej do czasu, kiedy otrzymają z laboratorium wyniki analiz. Tymczasem zrobiło się późno. Była prawie północ.

Chyba nie chcesz się w nic z nim angażować, co? – zapytał jakiś głos w jej głowie. MacDeath nie był jej zupełnie obojętny, a sposób, w jaki konfrontował ją czasem z brutalną prawdą, czynił go jeszcze bardziej interesującym. Poza tym był do bólu szczery i uczciwy, a to Clara ceniła najbardziej. Wielu było takich, którzy mieli usta pełne wyświechtanych frazesów, obiecywali złote góry, a potem nic nie robili. Ci, którzy nie marnowali czasu na opowieści, byli w zdecydowanej mniejszości.

Ale dlaczego właściwie miałabym cokolwiek z nim zaczynać? – odpowiedziała sobie pytaniem, jakby chciała się sama przekonać, że nic się nie wydarzy. To przecież tylko kolega z pracy. Spotykamy się jedynie na płaszczyźnie zawodowej, a poza tym wciąż mówimy sobie per pan i pani.

Zawsze tak się wykręcasz, oponował głosik w jej głowie.

Clara była zła, kiedy weszła do pomieszczenia i jedynie z poczucia zawodowego obowiązku sprawdziła e-maile, które zebrały się w jej skrzynce, kiedy była w terenie.

Cztery wiadomości. Spojrzała na nadawców.

Jedno z nazwisk przyciągnęło jej wzrok.

*Julia Schmidt*

Serce policjantki gwałtownie przyspieszyło. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ten e-mail mógł pochodzić jedynie od *niego*.

„Pokażę Pani, co nas łączy”, napisał we wcześniejszej wiadomości.

Clara zapomniała o Friedrichu i o umowie z nim. Otworzyła e-mail.

List nie zawierał tekstu. Tylko jeden załącznik. Plik multimedialny.

Kolejne morderstwo? Czy znów film z policją w roli głównej, tym razem nagrany w mieszkaniu Julii Schmidt?

Otworzyła odtwarzacz multimedialny i uruchomiła odtwarzanie.

Ekran przez dłuższą chwilę pozostawał czarny. Potem pojawił się biały napis z poleceniem: „Proszę włączyć dźwięk”.

Clara przesunęła pokrętło regulacji głośności pod ekranem. W tle rozległ się szum, żeby mogła ustawić optymalny poziom.

*Kurczę, ten psychol naprawdę lubi takie inscenizacje. Pomyślał o wszystkim.*

Potem Clara po raz pierwszy usłyszała jego głos – jeśli to oczywiście mówił on, a nie kolejna ofiara zmuszona do przeczytania własnej mowy pogrzebowej.

Mówił głębokim tonem. Nieprzyjemnie poszarpanym i mrocznym. Wraz z jego pierwszymi słowami na ekranie pojawił się obraz. Z czarnego tła zaczęły wyłaniać się rozmazane i niewyraźne kształty. Clara nie potrafiła jeszcze rozpoznać, co przedstawiają.

– Claro Vidalis – mówił głęboki, poszarpany głos. – Ostrzegłem, że prześlę pani kilka słów. Zatem proszę uważać. – Przez kilka sekund panowała cisza. Po chwili niezajomy mówił dalej: – Jakiś czas temu zabiłem pewnego człowieka. Umierał w strasznych męczarniach.

Kogo mógł mieć na myśli? Jakoba Kürtena? Czyżby torturował go przed śmiercią? Dziwne, bo w czasie sekcji zwłok medycy nie stwierdzili żadnych uszkodzeń ciała poza przeciętą

tętnicą szyjną – rzecz jasna przy badaniu zwłok w takim stadium mumifikacji można było coś przeoczyć.

– Pewnie zadaje sobie pani teraz pytanie, po co ja to w ogóle pani mówię, skoro ten człowiek nie pomógł w realizacji mojego dzieła. – Głos rozbrzmiewał z głośników, jakby morderca potrafił czytać myśli Clary. – Bo człowiek, o którym mówię, nie jest nikim, kogo miałaby pani przyjemność poznać jako udzielającego mi swej tożsamości. – Przerwał na chwilę. – Jakkolwiek na to spojrzeć, nie miał bezpośredniego związku z moim dziełem.

Zatem nie chodzi mu o Jakoba Kürtena ani o żadną z nieznaną nam jeszcze ofiar, pomyślała Clara. No dobrze, ale po co mi to mówi?

– Opowiadam pani o tym człowieku – ciągnął głos – bo oboje mamy z nim coś wspólnego. Bo to przez niego nawiązałem kontakt właśnie z panią i przez niego to pani została wybrana, by obserwować moje dzieło. I również przez niego to ja dokonałem tego, co pani zaniedbała.

Clara wsłuchiwała się słowa wypowiedane poszarpanym głosem. O czym on mówi? Co zaniedbała, a czego on dokonał?

Obraz na ekranie zrobił się nieco ostrzejszy, lecz wciąż nie dało się rozpoznać, co konkretnie przedstawia. Wyglądał nieco jak powierzchnia Księżyca w przyćmionym świetle: kratery, dziwne krawędzie, czarne przepaście. Nie miała pojęcia, co chce jej pokazać.

Głos z tła mówił dalej:

– Chodzi mi o dwie kwestie. Po pierwsze, chcę pani pokazać, co nas łączy. A po drugie, pokażę pani, gdzie pani zawiodła.

Clara spoglądała z napięciem na ekran, słysząc w głowie echo poszarpanych słów.

– Mężczyzna, którego zabiłem, uwielbiał dzieci.

Kobieta drgnęła, jakby porażona prądem. Momentalnie przypomniała sobie pewne imię. Imię, twarz i pojedyncze zdanie.

*Przyjedziesz po mnie?*

– Człowiek ten – ciągnął morderca – wykorzystywał dzieci. – Przerwał na chwilę, jakby chciał rozkoszować się tym momentem. – Dziesięcioletnie dzieci. Dwunastoletnie. Młodzież. Nastolatków jak ja.

Policjantka czuła się, jakby dostała obuchem w głowę. Wpatrywała się w ekran, słuchając kolejnych słów. Mimo wszystko wciąż myślała logicznie. Morderca sam był ofiarą. Teraz zwraca światu to, czego doświadczył i co wycierpiał. Tylko bardziej. I mocniej. Ona coś straciła. I on również. Czy to przesądzało o ich podobieństwie?

Ciemny obraz na ekranie gwałtownie się wyostrzył. Pokazywał jakiegoś mężczyznę siedzącego na metalowym krześle. Coś leżało na ziemi. Wszystko było czarne, jakby zwęglone.

– Jednak ja przeżyłem. – W głosie mordercy słychać było nutkę triumfu. – Odnalazłem go potem, żeby się zemścić. I zabiłem go. Jak? Widzi pani na ekranie.

Teraz dopiero Clara pojęła, na co patrzy. Zadrzała. Zwłoki na krześle. Ciało, mięśnie i skóra całkowicie spalone. Ludzkie ciało składa się w znacznej części z tłuszczu, pomyślała. A tłuszcz pali się równie dobrze jak parafina. Z odrazą przyjrzała się górnej części zwłok. Z brzucha, który wyglądał na rozerwany od gorąca, wylewały się zwęglone wnętrzności i wiły niczym dziwaczne węgorki. Czarne, spalone na węgiel resztki tkanek wisiały na czarnych nitkach mięśni i ścięgien poprzyczepianych do kości.

Przypomniała sobie ten przypadek. Czytała jego akta. Ingo M. Tak się nazywała ofiara. Jego zwłoki znaleziono kilka miesięcy wcześniej w jednym z bunkrów. Były przypięte kajdankami do metalowego krzesła przytwierdzonego do posadzki. Samo siedzenie było zrobione z drucianej siatki, a pod nim ktoś postawił duży palnik laboratoryjny. Mężczyzna płonął. Długo.

Clara nie mogła oderwać wzroku od monitora. Jeden z nadgarstków Inga M. był wolny. Okopcone kości, między którymi widać było spalone mięśnie i tkanki, oklejające je jak guma. W miejscu, gdzie niegdyś znajdował się jego odbył i genitalia, został czarny, zwęglony krater.

Lecz mężczyzna nie zmarł w wyniku poparzeń czy spalenia. Jedną dłoń miał wolną. A obok leżał krótki miecz samurajski. Jego ostrzem ofiara sama przecięła sobie tętnicę szyjną.

Masz wybór, pomyślała Clara. Albo spłoniesz żywcem, albo sam zakończysz swoje życie.

– Ma pani rację. – Głos z nagrania mówił dalej, jakby morderca cały czas znał jej myśli. – Koniec końców, to nie ja go zabiłem. Sam to zrobił. – Znów przerwa. – Inaczej płomienie zabrałyby go wprost w ogień piekielny.

No pewnie, pomyślała cynicznie Clara. Oczywiście, przecież ty nie jesteś mordercą, prawda? Zabijały ostrza, płomienie i skalpele, ale nie ty!

Zaciskając zęby, patrzyła na głowę Inga M., która pękła pod wpływem gorąca. Po tym, co niegdyś było jego twarzą, spływała na wprost spalona tkanka mózgu, który również nie wytrzymał temperatury.

Nagle obraz zniknął.

Pojawił się za to inny, znacznie jaśniejszy. Zieleń. I biel. Jeszcze nie był ostry, lecz stawał się coraz wyraźniejszy. Niebezpiecznie wyraźny. I coś jej podpowiadało, że to, co zaraz ujrzy, nie będzie dla niej dobre. Że jej bardzo zaszkodzi. Że obraz będzie znacznie gorszy niż spalone zwłoki na krześle.

Gorszy niż płyta z nagraniem morderstwem.

Gorszy niż odcięta głowa na regale.

Znacznie gorszy.

– Przesłuchałem go – ciągnął morderca. – Ale po mojemu. Zmusiłem go, żeby wyznał, kogo poza mną wykorzystał.

Clara przełknęła głośno ślinę, żeby nie zwymiotować, bo czuła już w ustach gorzki smak soków żołądkowych. Wszystko, całe jej wnętrze krzyczało, by natychmiast zatrzymała odtwarzanie, wyrwała wtyczkę z kontaktu i pobiegła na whisky z MacDeathem, żeby o wszystkim zapomnieć.

Jednak nie zrobiła tego.

*Dlaczego zawsze robimy rzeczy, które są zakazane i złe? Może właśnie DLATEGO, że są złe i zakazane? Kieruje nami pragnienie perwersji?*

Obcy głos kontynuował.

– Ingo M. nie tylko wykorzystywał i mordował dzieci. Miał również brzydki zwyczaj pojawiania się na ich pogrzebach. Przychodził zawsze w czarnym garniturze. To go podniecało. I robił zdjęcia. – Clara zaczynała podejrzewać, co zaraz zobaczy na ekranie i kto zrobił to zdjęcie. Miała też wrażenie, że wolałaby umrzeć, niż zobaczyć tę fotografię. Mimo to jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ekran.

Z głośników dalej płynął głos.

– Robił zdjęcia nagrobkom i nazwiskom na nich. Potem wywoływał je u siebie w domu, wieształ na ścianach i onanizował się, oglądając je. – Następna przerwa, która była zapowiedzią kolejnej dawki grozy. – Lecz czasem mu to nie wystarczało.

Obraz coraz bardziej się wyostrzał. Zieleń i biel. Chyba marmur. To chyba mogą być kwiaty, myślała Clara. Kwiaty i kamień.

– Wciąż jeszcze nie dopuszczasz do siebie tej myśli, Claro. Ale to przecież oczywiste, co pani zaraz zobaczy. – Policjantka zacisnęła usta, żeby nie zacząć krzyczeć, kiedy usłyszała dalsze słowa. – Człowiek, którego poszukiwanie i zabicie stało się celem pani życia, znajdował się obok pani w czasie pogrzebu pani siostry.

Clara poczuła, że zaraz straci przytomność. Jednak w jej żyłach pulsowała adrenalina. Podczas pogrzebu Claudii była jak w transie i nie zwracała uwagi na innych żałobników. Zacisnęła palce na krawędzi krzesła i wbiła wzrok w fotografię tak intensywnie, jakby chciała zniszczyć monitor.

Zadzwonił telefon.

Głośno, niepokojąco, rozkazująco.

Lecz ona słyszała tylko głos, który wprowadzał ją w kolejne akty horroru.

– Tam, gdzie wasze policyjne metody przesłuchań zawodzą, ja posłużyłem się innymi narzędziami i prawda ujrzała światło dzienne – pochwalił się morderca. – Krzyczał, jęczał i błagał. Ale w końcu i tak zaczął mówić. W końcu każdy zaczyna. – W jego głosie słyhać było dumę. – A ta prawda jest taka: Ingo M. niemal wszystkie swoje ofiary gwałcił, torturował i mordował. Robił zdjęcia na ich pogrzebach i fotografował ich nagrobki, by się później onanizować przy ich oglądaniu. Jednak część jego ofiar... jak by to powiedzieć... – Clara zauważyła już, że morderca wcale nie szuka właściwych słów, lecz celowo robi przerwy, by tortura stała się dla niej jeszcze bardziej nieznośna. – Cóż, w niektórych przypadkach miłość jest silniejsza niż śmierć.

Clara odruchowo sięgnęła po kartkę papieru i wymiotowała na nią. Trzęsącymi się rękoma zwinęła oślizgły papier i z odrazą wrzuciła go do kosza.

Telefon znów dzwonił, lecz dla Clary Vidalis cały świat składał się jedynie z obrazu na monitorze i głosu płynącego z głośników. Fotografia robiła się coraz wyraźniejsza. Nadkomisarz już dawno wiedziała podświadomie, co przedstawia i przed czym litościwie chroni ją słabnąca siła rozsądku.

– Opowiedział mi, jak to robił. Że trupy są... inne. Że można w nie wejść w różnych miejscach. Są bardziej... miękkie.

Clara znów się zakrzuszyła, lecz nie miała czym wymiotować. W głowie czuła pustkę, żołądek skurczył się do minimalnych rozmiarów, a z oczu ciekły jej łzy. Mimo to jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ekran. Z taką siłą zacisnęła palce na krawędzi biurka, że niewiele brakowało, by połamała paznokcie.

– Zgadza się, Claro. To on zamordował Claudię. A potem stał na pogrzebie obok pani. Natomiast po pogrzebie odkopał trumnę, zabrał małą i dalej ją wykorzystywał. I dalej.

Clara nie słyszała już nawet telefonu. Wytrzeszczonymi oczyma wpatrywała się w monitor niczym w prastarego bożka i wsłuchiwała się w demoniczny szept z offu, który brzmiał niczym najgorsza klątwa rzucana na jej głowę. Czuła, jak przez jej ciało przewala się fala szoku. Miała wrażenie, że w ułamku sekundy budzi się i zasypia, umiera i znów rodzi...

– Fotografię, którą pani ogląda, miał przy sobie. I to ja go zabiłem, nie pani. Ja. – Znów sadystyczna przerwa. – Pani, Claro – ciągnął nagle bardzo zdecydowanym tonem, jakby chciał przejść do sedna. – Pani nie zrobiła NIC! Pani przez te wszystkie lata potrafiła tylko stać nad pustym grobem, modlić się i płakać.

Paznokcie policjantki były białe jak jej twarz.

W końcu zobaczyła zdjęcie.

Kwiaty, wieńce, które swoimi kolorami potwornie nie pasowały do przerażającej rzeczywistości i okropieństwa śmierci, a już na pewno nie do obrzydliwości rozkładu. Zdania wypisane na szarfach: „Pamięć nie umiera”. „Na zawsze w naszych sercach”. „Spoczywaj w pokoju”. „Kochający rodzice”. „Twoja Clara”. „Babcia i dziadek”.

Słowa na kamieniu pochodziły z Apokalipsy świętego Jana: „Byłem umarły, a oto jestem żyjący”.

Clara patrzyła na szczegóły, które dopiero teraz stały się widoczne. Jak narkoman



podążała wzrokiem za animacją, która przesuwała zdjęcie i powiększała jego fragment, tak że widać było imię i nazwisko na nagrobku.

Najgorszą chwilą w życiu Clary był dzień, w którym dowiedziała się o jej śmierci.

Tak było do dzisiaj.

Potrzebowała dwudziestu lat, by sobie z tym poradzić. A morderca potrzebował ledwie dwóch minut, by to wszystko zburzyć.

Bezimienny nic nie mówił.

Clara przeczytała słowa, które zostały wyryte w kamieniu; słowa, na które tak często patrzyła, a jednak za każdym razem oczy paliły ją żywym ogniem.

*Claudia Vidalis*

*urodzona 18 czerwca 1982 – zmarła 23 października 1990*

Dłonie nadkomisarz ześlizgnęły się z krawędzi stołu. Osunęła się bez czucia na ziemię. Telefon wciąż dzwonił.

# Część trzecia

## *Tod*

*Tu trembles, carcasse? Tu tremblerais bien davantage,  
si tu savais o 'u je te m'ene.*

Ty drżysz trupie? Dopiero byś się przeraził,  
gdybyś wiedział, co cię czeka.

Vicomte de Turenne

Pokój, w którym się obudziła, był biały. Miał białą podłogę, białe ściany, białe żaluzje w oknach i białe meble. Momentalnie zdała sobie sprawę, że to szpital.

Jak tu trafiłam? – pomyślała.

Przesunęła wzrokiem po białej pościeli i zatrzymała spojrzenie na monitorze EKG, który pokazywał rytm jej serca. Po chwili odwróciła głowę w stronę okna, za którym rósł potężny dąb i jedną z gałęzi uderzał w szybę, targany jesiennym wiatrem. Clara pomyślała, że wygląda jak dobroduszny olbrzym pukający palcem w okno.

Sądząc po tym, co widać na dworze, było późne popołudnie. Co się stało? Wczoraj wieczorem pojechała do Instytutu Medycyny Sądowej, potem wróciła do biura i...

Zadrzała, bo wspomnienie dalszych wydarzeń było niczym uderzenie obuchem w głowę.

E-mail od Bezimiennego.

Zdjęcie Inga M., spalonego i przypiętego do krzesła.

Fotografia nagrobka siostry.

Clara czuła się wyczerpana, jakby w jednej chwili straciła całą energię, całą wiarę w ludzi i zaufanie. Morderca pozbawił życia zabójcę jej młodszej siostry. Dopełnił zemsty, którą ona, Clara, poprzysięgła zwyrodnialcowi. I teraz ten śmieć, który zamordował jej młodszą siostrzyczkę, pojawił się tylko na chwilę, by zniknąć w krainie cieni, zanim miała możliwość go dopaść. A Claudia nie spoczywała w grobie, który Clara tak często odwiedzała i przy którym przelała morze łez. Nie wiedziała, co się stało z ciałem siostry.

Zobaczyła nagrobek. Na zdjęciu, które morderca znalazł najpewniej na twardym dysku laptopa Inga M.

Co stało się potem? Czyżby straciła przytomność? Przyszło załamanie?

Clara była pewna, że w szpitalu podali jej środki uspokajające, lecz mimo to czuła się całkowicie przytomna. Nie zastanawiając się wiele, nacisnęła czerwony guzik przy łóżku i usiadła.

Po krótkiej chwili do pokoju zajrzała pielęgniarka.

– Pani Claro, dzień dobry, dobrze, że się pani obudziła – przywitała ją siostra.

– Dobry, dobry... – Clara rozejrzała się po łóżku i szafce obok. – Muszę natychmiast zatelefonować. Gdzie jest moja komórka?

– Wczoraj wieczorem trafiła pani do nas nieprzytomna, z zaburzeniami rytmu serca. Przez pół godziny leżała pani bez świadomości. Potem na krótko się pani obudziła, żeby prawie natychmiast usnąć – wyjaśniła pielęgniarka z burzą złotych loków. Podeszła bliżej i spojrzała na zegarek. – Spała pani jedenaście godzin, jeśli chodzi o dokładność. Zostanie pani na weekend na obserwacji.

Zatem była sobota, jeśli dobrze zrozumiała.

Clara przypomniała sobie o Bezimiennym. Morderca na pewno nie zrobi sobie kilku dni wolnego tylko dlatego, że ona musiała zostać w szpitalu.

Spuściła nogi na podłogę i odczepiła przewody biegnące do czujników EKG, a potem wstała... i niemal straciła równowagę. Siostra natychmiast złapała ją pod ramiona i pomogła wrócić na łóżko.

– Niechże się pani nie wygłupia, mówiłam przecież, że powinna pani leżeć – upomniała ją zdecydowanie. – Teraz najważniejszy jest odpoczynek.

– Ja najlepiej pracuję w stresie – odparła Clara i rozejrzała się. – Ale dobrze. Tylko niech pani zadzwoni do Winterfelda z policji kryminalnej. On wie, że tu jestem, prawda?

– Był już nawet u pani, ale akurat pani spała – odparła siostra. – Przyszedł razem z doktorem Martinem Friedrichem. – Przerwała na chwilę. – Może pani przyjmować gości, ale nie na długo. I bardzo proszę się nie denerwować. Nie chcemy przecież, żeby znowu coś się pani stało, prawda?

– Coś mi się stanie, jeśli zaraz nie porozmawiam z Winterfeldem – mruknęła Clara. – Wiem, że chce pani jak najlepiej, ale bardzo proszę zaraz do niego zadzwonić albo oddać mi komórkę.

Pielęgniarka westchnęła, podeszła do szafki i z torebki policjantki wyjęła telefon.

– Proszę – powiedziała z wyrzutem. – Może pani telefonować ze świetlicy dla gości. Zaprowadzę panią.

Winterfeld przeczesał dłonią włosy i usiadł wygodniej na krześle stojącym przy łóżku Clary. Potem rozejrzał się i westchnął.

– Tutaj nigdzie nie wolno palić – powiedział. – Niech im będzie, zrobią mi krótkotrwałą terapię odwykową. – Spojrzał na podwładną. – Jak się pani czuje? Lepiej?

– Szczerze? – odparła Clara. – Nic a nic.

Winterfeld opowiedział jej, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. Znalazł ją MacDeath. Leżała obok biurka, we własnych wymiocinach. Wcześniej przez jakiś czas usiłował się do niej dodzwonić, ale nie odbierała telefonu. Kiedy wszedł do biura, miała włączony komputer i otwarty odtwarzacz multimedialny. MacDeath sprawdził jej tętno, ułożył w pozycji bocznej ustalonej i wezwał pogotowie. Kiedy znalazła się pod opieką lekarza, obejrzeliby z Winterfeldem przesłany plik. Stąd wiedzieli, co Bezimienny jej pokazał. Wiedzieli też, że Clara była tak samo jego ofiarą, jak pozostałe kobiety. Nie uprowadził jej, nie torturował i nie zamordował. Ale zadał gwałt jej duszy.

– Czyli wie pan, co powiedział o mojej siostrze, prawda? – zapytała. – Że nie leży w swoim grobie?

Winterfeld nie od razu odpowiedział. Po kilku sekundach kiwnął głową.

– Sprawa Inga M. została ponownie otwarta. Jeśli rzeczywiście wykorzystał Bezimiennego, kiedy ten był dzieckiem, być może uda nam się znaleźć w końcu jakiś punkt zaczepienia. – Zacisnął pięść. – Kiedy trafiliśmy na zwłoki Inga, nie udało się zabezpieczyć żadnych śladów. Pomieszczenie w bunkrze zostało doszczętnie spalone, a ogień zniszczył wszystko, co dałoby się wykorzystać. Płomienie zgasły, dopiero kiedy skończył się gaz w butli. – Potarł niespokojnie dłonie. – Co ciekawe, nie znaleźliśmy resztek komputera, ani nawet dysku twardego, na którym mógł zapisywać swoje zdjęcia. Przyjęliśmy, że morderca zabrał go ze sobą.

Clara wyjrzała przez okno, na gałęzie potężnego dębu. Ingo M. wykorzystywał dzieci. Chłopców i dziewczynki. Kiedy przestało mu to wystarczać, wykorzystywał zwłoki. Klasyczna teoria gumki recepturki z psychopatologii. Jeśli za bardzo się ją napnie, w którymś miejscu ulegnie rozciągnięciu i nie wróci już do poprzedniego kształtu. Ułomna ludzka dusza zachowuje się podobnie. Początki są z pozoru niewinne. Zaczyna się od sekstelefonów czy wizyt w agencjach towarzyskich. Po pewnym czasie to już nie wystarcza. Wtedy pojawia się sadomasochizm, dzieci, fekalia, tortury i mordowanie – a na końcu nekrofilia, seks ze zwłokami.

Winterfeld najwyraźniej chciał jak najszybciej zakończyć ten temat, żeby jej nie denerwować, lecz Clara nie popuszczała.

– Rozumie pan? To moja siostra! I jej grób! Żądam przeprowadzenia ekshumacji!

Policjant pokiwał głową.

– I bez pani wniosku zostałaby przeprowadzona. Jednak czy na pewno chce pani poznać jej wynik? Chce pani sobie to zrobić?

– Nie, nie chcę sobie niczego zrobić. Ja MUSZĘ to zrobić! – Wstała i spróbowała przejść kilka kroków. Poszło jej znacznie lepiej niż poprzednio, ale i tak bez podparcia przewróciłaby się na podłogę. – Brak pewności, że ona leży w swoim grobie, jest dla mnie nie do zniesienia. – Zrobiła kilka kolejnych kroków. – Muszę stąd jak najszybciej wyjść – oznajmiła. – Muszę go znaleźć. I przede wszystkim trzeba ustalić, kim był ten cały Ingo M.! To przez niego wstąpiłam do policji i przez niego od dwudziestu lat żyję z nieustannym poczuciem winy. I nagle się pojawia. Wczoraj. Martwy. A kto go zabił? Inny psychopata, którego akurat ścigamy. – Spojrzała na przełożonego. – Muszę dowiedzieć się czegoś więcej, bo zwariuję!

Winterfeld potaknął.

– Zgoda, ale jest jeden problem, señora. – Spojrzał w stronę okna i zatrzymał wzrok na rozkołysanych gałęziach dębu, które bezustannie stukały w szybę. – Bellmann zna całą sprawę. A wie pani, jaki z niego formalista. – Policjant uniósł dłonie i palcem wskazującym jednej zaczął wyliczać na palcach drugiej. – Po pierwsze, jest pani chwilowo niezdolna do pracy. Po drugie – uniósł kolejny palec – z prasą musimy obchodzić się jak ze śmierdzącym jajkiem, a po trzecie – zrobił krótką przerwę – po trzecie można chyba założyć, że to wideo wpłynie na pani obiektywność i zdolność do racjonalnego myślenia. Morderca bardzo panią zranił. Tak że przeżyła pani silne załamanie nerwowe i wylądowała w szpitalu. – Złożył dłonie przed sobą. – Po czymś takim nikt nie będzie oczekiwał racjonalnego zachowania od pani jako osoby prowadzącej śledztwo. A już na pewno prasa wykorzysta taki kąsek, jeśli go dorwie. Nie wątpię, że dowiedzą się wszystkiego, bo w tej sprawie już depczą nam po piętach. Ja w każdym razie mam co kilka minut jakiś telefon od dziennikarzy.

– Ale to przecież nie jest moja wina – powiedziała Clara. – Nie prosiłam tego psychologa, żeby cokolwiek mi wysyłał. A że zachowałam się tak, jak się zachowałam, to chyba całkiem zrozumiałe. – Po policzkach pociekły jej łzy. W tym momencie uświadomiła sobie, że tak samo Winterfeld nie ponosi winy za nic, co się stanie z nią i śledztwem. I Bellmann w sumie też niewiele mógł zrobić.

– Wszystko to prawda. – Winterfeld kiwnął głową. Chwycił ją za rękę i ścisnął, znów jak dobrotliwy mistrz przekazujący wiedzę uczniowi. – Poza tym jestem ostatnią osobą, która uważałaby osobistą fiksję na punkcie poszukiwanego za błąd. Bo chce go pani złapać, prawda? – Nachylił się lekko. – Za wszelką cenę?

Clara spoglądała gdzieś przed siebie, a oczyma wyobraźni znów oglądała film przesłany przez mordercę.

– Za wszelką cenę.

Przez jakiś czas w pokoju panowała cisza.

– Czy poza tym coś się wydarzyło? – zapytała. – To znaczy, czy morderca zrobił coś jeszcze, o czym wiemy?

Winterfeld poprawił krawat, a potem potrząsnął głową.

– Nie, w tej chwili panuje cisza. Ale obawiam się, że ona nie zwiastuje spokoju. Taka cisza przed burzą.

– Burza się zacznie. Ludzie będą umierać, a ja będę leżała w szpitalu.

Winterfeld westchnął.

– Szpital nam nie daruje, jeśli spróbujemy panią siłą stąd wyciągać – wyjaśnił. – Ma pani zostać tu do poniedziałku. A ja, jako pani przełożony, muszę zatwierdzić opinię lekarzy, bo inaczej czeka mnie postępowanie wewnętrzne. Poza tym Bellmann chce uniknąć zawirowań. Wie, że pani jest najodpowiedniejszą osobą do tego zadania, ale też martwi się, jak prasa odbierze informację na temat pani stanu. Mogą się nam rzucić do gardeł.

Clara zrobiła ponurą minę, widać było, że jest zła i zrezygnowana. W jej oczach znów pojawiły się łzy.

– Chcę go złapać. Czy to działa na moją niekorzyść? – zapytała zduszonym głosem

– No dobrze. – Winterfeld westchnął. – Pogadam z Bellmannem i poproszę, żeby pozwolił pani dalej prowadzić tę sprawę. Powiem mu, że nie widzę żadnych przeciwwskazań. I postaram się załatwić wszystko ze szpitalem. Media nie wiedzą, kto prowadzi sprawę. I niech tak zostanie. – Znów wyjrzał za okno, na gałęzie potężnego dębu. – Ale i pani musi mi pomóc.

– Jak?

– Będzie musiała pani porozmawiać z Bellmannem. Dzisiaj w nocy wrócił z Frankfurtu i

na bieżąco śledził, co się z panią dzieje. Musi go pani przekonać, że jest pani zdolna do dalszego prowadzenia śledztwa. Psychiczenie i fizycznie.

Clara potrząsnęła głową.

– Jestem panu bardzo wdzięczna za pomoc, ale obawiam się, że przekonanie Bellmanna będzie trudniejsze niż złapanie tego mordercy.

Policjant wstał z krzesła.

– Takie są przepisy. A on jest szefem. – Wskazał na drzwi. – Idę pogadać z pani lekarzem. A pani niech wyjaśni sprawy z Bellmannem. Jak wszystko pójdzie po pani myśli, przyjedziemy po panią.

Clara kiwnęła głową. Starła się zrobić zdecydowaną minę, ale wiedziała, że jej nie wyszło.

Andira Althaus, znana widowni jako Pokusa, wyszła właśnie z klubu fitness i wróciła do mieszkania, które wynajmowała wspólnie z dwiema koleżankami. Wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Cały tydzień miała starannie zaplanowany, jak, nie przymierzając, dyrektor dużej firmy. Fitness, joga, zdjęcia do reklam bielizny. Andira zbierała na kolejną operację plastyczną. Chciała powiększyć sobie biust do wielkości DD. Próbowała też swoich sił jako dziewczyna do towarzystwa dla VIP-ów. Trochę poniżające zajęcie, bo musiała w luksusowych apartamentach rozkładać nogi przed otyłymi członkami zarządów wielkich firm, lecz niewiele było innych sposobów, by nie mając wykształcenia, zarabiać cztery tysiące euro. Za noc. Na dodatek klienci sami dbali o pełną dyskrecję, bo bardzo im na niej zależało. Żadnych zdjęć, żadnych filmów i pełna tajemnica.

*The sky is the limit*, pomyślała Andira. Została Miss Shebay, świat stał przed nią otworem. Właśnie skończyła rozmowę ze swoim agentem. „To twoja wielka szansa. Musisz dobrze się sprzedać, ale nie daj się wyekspluatawać. I zanim ten cały Torino zostawi ciebie, ty zostaw go pierwsza. Naszym celem jest Hollywood, jasne?”

No pewnie, odpowiedziała.

Spojrzała na wyświetlacz komórki.

Międzynarodowy ze Stanów Zjednoczonych.

Hollywood?

Serce zabiło jej szybciej.

Odebrała połączenie.

– Hello – przywitała się.

– Dzień dobry – odezwał się ktoś z amerykańskim akcentem. – Czy mam przyjemność z Andirą Althaus?

– Zgadza się. – Rzuciła torbę z rzeczami sportowymi na łóżko i przeszła do salonu. – Z kim rozmawiam?

– Wczoraj wieczorem mieliśmy okazję się spotkać w czasie programu Alberta Torino. Tom Myers z Xenotech. – Krótka przerwa. – Wiesz chyba, kim jestem, prawda?

Serce waliło jej jak szalone. Czy wiedziała, kim jest Tom Myers? No przecież! Xenotech. USA. Kalifornia.

– Pan jest dyrektorem zarządzającym? Odpowiedzialnym za treść i prawa autorskie na Xenotube?

– I nie tylko za to. – Mężczyzna się roześmiał. – Posłuchaj mnie, proszę, uważnie, bo się trochę spieszę. Twój wczorajszy występ to było coś fantastycznego. Szkoda, żebyś marnowała się, występując tylko w Niemczech. Ktoś taki jak ty może w Stanach zrobić wielką karierę. – Kolejna przerwa. – To jak, chcesz iść w górę?

Wydawało jej się, że śni. Hollywood. Beverly Hills.

– No pewnie!

– To uważaj – powiedział Myers. – Mam pokój w Hiltonie. Mój szofer zaraz będzie wracał z lotniska z kilkoma walizkami, które musiałem ściągnąć ze Stanów. Może cię tu podrzucić. Spotkamy się w hotelu i pogadamy. Co ty na to?

Andira pomyślała o umówionym wcześniej spotkaniu i momentalnie wykreśliła je ze swojego kalendarza.

– Super. Niech przyjedzie na Müllerstraße trzydzieści osiem, to przy skrzyżowaniu z



Seestraße.

– Świetnie. Zaraz dam mu znać. Za piętnaście minut na dole. Do zobaczenia.

Rozłączył się.

Andira nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

Najbliższy kwadrans przeznaczyła na zrobienie się na bóstwo. Potem założyła ciemne okulary i czapkę, żeby nikt jej nie rozpoznał, i zeszła czekać na szofera.

Kiedy Clara nie wiedziała, co dalej, modliła się. O jasność, o siłę i zdecydowanie. O więcej siły i zdecydowania, niż miała.

Zeszła do szpitalnej kapliczki i uklękła przed ołtarzem. Spojrzała przed siebie, gdzie wisiał krzyż z przybitym Jezusem. Z jego dłoni i stóp sterczały gwoździe. Im dłużej wpatrywała się w ukrzyżowaną podobiznę, tym większe miała wrażenie, że z ran cieknie prawdziwa krew. Być może to przez pracę, jaką wykonywała, lecz w każdym symbolu widziała coś realnego. Choć może to był znak tylko dla niej. Może to ona krwawiła. Może to ona miała umrzeć jak Jezus, żeby mogła narodzić się nowa, silniejsza Clara...

Rozmowa z pielęgniarką i z Winterfeldem tylko na chwilę odciągnęły jej uwagę od sprawy. Teraz jednak obrazy powróciły. Obrazy, wspomnienia...

Wciąż jeszcze się trzęsa, mimo środków uspokajających. Walczyła ze łzami i z pojawiającym się przed jej oczyma grobem siostry. I obrazem tej bestii, Inga M., który w czasie pogrzebu stanął obok niej. Nie tylko zgwałcił i zamordował jej siostrzyczkę, ale też nie dał jej spocząć po śmierci w pokoju.

Zacisnęła pięści. Dłonie jej pobielaly.

*Nienawidzisz go, prawda? Ale Inga M. nienawidzisz jeszcze bardziej? Morderca, którego chciała złapać, nie żyje, więc trzeba skupić się na tym, który cały czas działa.*

Clara musiała przyznać, że to nie morderstwa młodych kobiet były głównym powodem, dla którego chciała złapać Bezimiennego. Chodziło jej przede wszystkim o to, że Bezimienny zabił Inga M. Zabił człowieka, którego przez całe życie poszukiwała. Zwyródniałca, przez którego w ogóle rozpoczęła pracę w policji i który uczynił jej życie nieznośnym ciągiem wyrzutów sumienia.

Clara nienawidziła Bezimiennego, bo to on zabił bestię, którą sama chciała pozbawić życia – którą MUSIAŁA zabić, by odzyskać spokój.

Kłęczała teraz w szpitalnej kaplicy, oficjalnie niezdolna do pracy, czekając, czy koledzy z policji przekonają Bellmanna, że może wrócić do służby. Lecz Bellmann mógł się uprzeć. Może odsunie ją od tej sprawy, żeby ktoś inny dopadł mordercę i uratował potencjalną ostatnią ofiarę?

Tak nie powinno być. Clara zacisnęła zęby. To ja muszę doprowadzić śledztwo do końca, bo inaczej nigdy już nie będę mogła spojrzeć w lustro.

Musiała teraz wszystkim udowodnić, że jest najodpowiedniejszą osobą do tej pracy. Musiała jednoznacznie pokazać, że osobiste zaangażowanie będzie działać na jej korzyść, a nie przeciwko niej. Zemsta jest jak ogień. Zemsta to bardzo czysta sprawa. Ktoś uderza, ktoś mu oddaje. Tak samo mocno, a często znacznie mocniej. Lecz do tego potrzebna jest siła. Clara musiała znaleźć ją w sobie, obudzić i użyć. Szukała teraz siły, by przekonać Bellmanna. Siły, by pokonać swoją słabość w dwie godziny, choć w normalnych warunkach trwałoby to pewnie i dwa lata. Siły, by znów uwierzyć w siebie.

Uniosła wzrok i popatrzyła na Ukrzyżowanego.

– Pomóż mi – poprosiła. – Pomóż mi być znów silną – wyszeptala i zamknęła oczy.

I nagle zobaczyła w duchu wyraźne obrazy. Oglądała zdarzenia ledwie sprzed ośmiu dni. Do wczoraj to był najbardziej przerażający i najgorszy dzień w jej policyjnej karierze, choć na końcu zmienił się w jej największy triumf.

Umrzeć i zmartwychwstać.

Obraz zrobił się wyraźny.

Clara leżała na ziemi. Sześć metrów od jej twarzy znajdowała się twarz Wilkołaka. Jego

oczy płonęły nienawiścią. Marc i Philipp stali przy drzwiach. Clara leżała na dywanie. O przewrócone krzesło opierała karabinek Heckler&Koch PSG1, który zabrała jednemu z antyterrorystów, kiedy Wilkołak złamał mu nos i niemal zmiążdżył gardło. Palec wskazujący prawej dłoni spoczywał na spuście, a czerwony punkt celownika laserowego znieruchomiał pośrodku czoła psychopaty. W mroku jego płonących wściekłością oczu Clara widziała energię, która miała moc większą od lasera z jej broni. Niestety miał zakładniczkę. Jedną z kobiet. Tę, która przeżyła.

Nadkomisarz dowiedziała się później, co wydarzyło się w mieszkaniu. Ostatnia ofiara Wilkołaka. Wybrał sobie parę lesbijek. To, że dziewczyny się zadowalały, a on musiał obejść się smakiem, wywołało w psychopacie chorą wściekłość i żądzę krwi. Bernhard Trebcken chciał niszczyć i zabijać. Jedną z nich przywiązał do krzesła, a drugą wielokrotnie zgwałcił i podciął jej gardło piłą elektryczną do drobiu. Potem – wciąż na oczach oszalałej ze strachu partnerki ofiary – toporkiem pociął jej ciało na kawałeczki.

Clara oceniła odległość, jaka dzieliła zwierzynę od myśliwego, wciągając jednocześnie nosem zapach śmierci i krwi, który tak dobrze знаła i którego się obawiała. Powietrze było ciężkie od woni strachu, bólu i wewnętrznosci.

Smród zła.

Odcięte kończyny, stopy, dłonie i głowa pierwszej ofiary leżały na dywanie. Wszystko pokrywały rozbryzgi krwi. Bezpośrednio przed sobą dostrzegła odcięty palec. Miał pomalowany paznokieć. Ciemny fiolet z białymi wstawkami. Zrobiony u manikiurzystki, pomyślała. Potrząsnęła głową, żeby pozbyć się takich skojarzeń. Przesunęła wzrokiem po nasiąkniętym krwią materiale, po nogach roztrzęsionej zakładniczki, prawej dłoni Trebckena, w której ścisnął piłę do drobiu, i spojrzała dalej w górę, na jego ciemne, płonące nienawiścią oczy. Świdrował ją spojrzeniem.

Wilkołak siedział na podłodze, trzymając przy sobie pozostałą przy życiu zakładniczkę. Dziewczyna miała związane dłonie, a usta zaklejone srebrzystą taśmą izolacyjną. Trebcken trzymał ją za włosy, odciągając brutalnie głowę dziewczyny w tył, by łatwiej było mu trafić ostrzem piły w szyję. Palcem dotykał włącznika. Kobieta krwawiła z licznych ran i zadrapań na nogach, których sprawcą był Wilkołak – chciał policji pokazać, że nie cofnie się przed niczym.

– Opuść broń, suko! – wrzasnął do Clary. – Albo obetnę jej łeb! – Przycisnął mocniej piłę do szyi roztrzęsionej kobiety.

Clara starała się nawiązać kontakt wzrokowy z zakładniczką. Popatrz na mnie, nie na tego zwyrodnialca. No, popatrz na mnie! I rzeczywiście, w końcu dziewczyna spojrzała w jej stronę. W jej oczach nie było widać niczego: zniknęło z nich zaufanie, nadzieja i wiara w innych.

– Rzuć piłę, Trebcken, to nic ci się nie stanie! – odpowiedziała Clara.

Wilkołak splunął na podłogę i przycisnął ostrze jeszcze mocniej do skóry przerażonej kobiety.

– Pierdol się, suko! Spieprzać stąd, bo ją załatwię! – Z kącika ust ściekała mu ślina. Kobieta tak dygotała, że morderca też się trząsł, przez co strużka śliny meandrowała, spływając mu po brodzie. – Spieprzać albo już po niej!

Clara zastanowiła się.

Wystarczyło drgnienie jego palca, by kobieta zginęła. Po przecięciu tętnicy szyjnej miałyby przed sobą tylko kilka sekund życia.

Wydawało się, że sytuacja jest beznadziejna.

Jednak dla Clary to był jeden z tych momentów, w których uświadamiała sobie, że wie, dlaczego wybrała ten zawód. Chodziło właśnie o takie ekstremalne sytuacje, gdzie siła i pewność siebie pozwalały myśleć i wybrać właściwe rozwiązanie. I tylko takie.

– Nie, na to ci nie pozwolę – oznajmiła. Miała wrażenie, że słyszy swój głos, jakby słowa wypowiadał ktoś inny. – Powiem ci teraz, co się stanie. Nacisnę spust. Kula wyleci z lufy z prędkością ponad siedmiuset metrów na sekundę, rozwalając ci mózg i zmieniając go w rozbryzgniętą czerwono-białą maź. Po kilku mikrosekundach będziesz martwy, choć nie będziesz o tym wiedział. A twój palec na włączniku będzie ci równie przydatny, jak... jak ten tutaj.

Wskazała brodą na obcięty palec przed sobą, z paznokciem w kolorze fioletowym.

– Marzenia!

Clara czuła, jakby czas prawie stanął. Wszystko poruszało się znacznie wolniej i wyglądało nierealnie.

Wilkołak drgnął i przyciągnął bliżej zakładniczkę. Ślina prysnęła mu z ust i błysnęła na moment, kiedy jej kropla znalazła się w promieniu celownika laserowego.

– Wal się, ty s...

Nie zdołał dokończyć zdania, bo w tej samej chwili rozległ się huk wystrzału. Drobnym metalowym kształt przeciął powietrze z dwukrotną prędkością dźwięku i zanim ktokolwiek zdążył choćby mrugnąć, znalazł się tam, gdzie przed chwilą znajdował się jasny punkcik światła laserowego. Teraz zamiast niego na czole Wilkołaka pojawiła się potężna dziura. Jego oczy zamarły gdzieś pomiędzy zdumieniem i pustką, by w następnej chwili zgasnąć. Niemalże w tym samym momencie mózg psychopaty eksplodował. Przez mgnienie oka mężczyzna stał jeszcze w miejscu, wciąż zaciskając palce na włosach zakładniczki i przyciskając piłę do drobiu do jej gardła, a krew zmieszana z kawałkami kości i cząstkami mózgu rozlała się po białej ścianie za nim niczym upiorna aureola. W końcu oczy uciekły mu w tył głowy. Przewrócił się do tyłu, wydając mokre plaśnięcie, kiedy zmieniona w krwawą miazgę potylicą uderzyła o podłogę.

Clara nabrała powietrza.

– Trafiony, zatopiony – powiedziała.

Otworzyła oczy.

Przed sobą miała krzyż. Dłonie, stopy, krew.

Pewnie tak właśnie miało być.

Pewnie musiała przejść przez piekło strachu, krwi i łez, żeby na końcu zwyciężyć.

Pewnie ból był przepustką do triumfu.

Wątpliwości zniknęły.

Pozostały jedynie dwa wyjścia: albo umrze Bezimienny, albo... ona.

I nic poza tym.

Clara podniosła się z kolan i stanęła niepewnie, jednak w jej wzroku pojawiła się jasność, kiedy po raz ostatni spoglądała na krucyfiks.

Bezimienny, pomyślała.

– Znajdę go – powiedziała szeptem, wychodząc z ławki. – I zabiję.

Czarny mercedes klasy S włączył prawy migacz i zatrzymał się przy krawężniku na Müllerstraße 38. Przyciemniona szyba zjechała na sam dół. Kierowca w czarnym garniturze i pod krawatem przechylił się na stronę pasażera i wyjrzał na zewnątrz. Andira podeszła do auta.

– Czy pani Andira Althaus? – zapytał kierowca i otworzył drzwi.

– Tak, dzień dobry. Rozumiem, że pan jest kierowcą Toma Myersa?

– Zgadza się – potwierdził mężczyzna. – Czy będzie pani tak miła i usiądzie na fotelu z przodu? Mister Myers musi zostać w Niemczech dłużej, niż planował, przez co mam auto pełne jego walizek. – Wskazał palcem na tylną kanapę. – Przyleciały Fedexem dzisiaj w nocy. Cały bagażnik i pół samochodu.

Andira spojrzała rozbawiona na walizki Samsonite, które piętrzyły się z tyłu.

– Nie ma sprawy – powiedziała i wsiadła. – Z przodu i tak lepiej widać.

Kierowca podał jej kolorową książeczkę.

– Miałem to pani przekazać. American Diamond. Ten program to amerykańska kuźnia gwiazd. Kręcony w Los Angeles. Z tego, co wiem, mister Myers chce rozmawiać z panią właśnie o nim.

Mercedes płynął miękko w kierunku centrum miasta, podczas gdy Andira przeglądała kolorowy prospekt. Na ostatniej stronie podano partnerów produkcji: CBS, Warner Brothers, Trump Inc. Przed oczyma miała już Amerykę, Los Angeles, Beverly Hills, Las Vegas i Nowy Jork. Nie mogła w to uwierzyć. Jeszcze wczoraj była nikim, a dziś miała wszystko w zasięgu ręki. To był właśnie *american dream*, a ona czuła się tak, jakby już znalazła się po drugiej stronie oceanu.

I pewnie dlatego nie zwróciła uwagi, że kierowca sięga po coś do niewielkiego schowka przy kierownicy.

A igłę wbiją w swoje udo widziała tylko przez ułamek sekundy, zanim straciła przytomność i pogrążyła się w bezbrzeżnej ciemności.

Na wysokości Chausseestraße kierowca zawrócił i ruszył z powrotem, w stronę autostrady. Jadąc, założył okulary.

Okulary w oprawkach z matowej stali.

Gabinet doktora Alexandra Bellmanna, szefa berlińskiej Krajowej Policji Kryminalnej, wyglądał jak centrum zarządzania operacjami specjalnymi. Z okien przestronnego pomieszczenia rozciągał się piękny widok na Tempelhofer Damm i ciągnące się kilometrami płaskie przestrzenie dawnego lotniska Tempelhof. Pod przeszkloną ścianą stało potężne biurko z masywnym skórzanym fotelem, kawałek dalej regały i kilka oprawionych zdjęć. Przedstawiały Bellmanna, ogorzałego, ze szpakowatymi włosami, stojącego obok znanych postaci. Na jednym prezydent kraju, na innych szef Scotland Yardu czy dyrektor FBI. Jedno z nich, zrobione gdzieś w Azji, przedstawiało go obok Condoleezy Rice.

Blat biurka był niemal pusty. Stały na nim jedynie dwa oprawione w ramki zdjęcia, jedno jego żony, a drugie dwóch córek, które ojca znały przede wszystkim z gazet. Poza tym duży monitor, laptop wpięty w stację dokującą i dwa telefony, a obok smartfon BlackBerry. Oprócz urządzeń jeszcze skoroszyt i teczka zamykana na gumkę, notes i ołówek. I nic więcej. Żadnych niepotrzebnych rzeczy, żadnych osobistych przedmiotów czy stert akt, jak u Winterfelda. Widać było, że biuro zajmuje człowiek, dla którego liczy się tylko tu i teraz.

Fakty i wyniki.

Przyjąć i wykonać.

Odbezpieczyć, wycelować, strzelić.

I wziąć na muszkę następnego.

Nikogo już nie dziwiło, że Bellmann pojawia się w pracy nawet soboty. Szczególnie teraz, gdy przez cały tydzień nie przychodził do biura. Spędził go w Wiesbaden, w gmachu Federalnej Policji Kryminalnej, uczestnicząc w spotkaniach, wykładach i konferencjach. Wszystko, czego nie załatwił w ciągu ostatnich pięciu dni, nadganiał właśnie teraz. W poniedziałek rano jego sekretarka, jak zwykle zresztą, znajdzie na swoim biurku stertę podpisanych dokumentów ze wskazówkami, co z nimi zrobić, a w skrzynce pocztowej na wysłanie będzie oczekiwało pięćdziesiąt e-maili. Natomiast niedziel Bellmann nigdy nie traktował jako dnia pracy. To był czas zarezerwowany w mniejszym lub większym stopniu dla rodziny.

Kiedy Clara weszła do biura, akurat otwierał skoroszyt. Gestem wskazał jej jedno z krzeseł przy biurku, po czym wrócił na chwilę do papierów. W końcu gwałtownie zamknął metalowy mechanizm, na który nawleka się dokumenty. Druty zatrzasnęły się niczym pułapka na niedźwiedzie.

– Jak pani zapewne wie... – zaczął, nie zaprzatając sobie głowy powitaniem. Zanim spojrzał na policjantkę, wyjrzał przez okno. – Jak pani zapewne wie, naszym zadaniem jest łapanie przestępców. Niektórzy z nich są wyjątkowo niebezpieczni, inni nie aż tak. Niektórzy są obłąkani, inni zdrowi na umyśle.

Clara poruszyła się nerwowo na krześle, usiłując sprawiać wrażenie osoby spokojnej i skoncentrowanej. Wiedziała, że taki wstęp Bellmanna nie oznacza nic dobrego.

– Wie pani, koleżanko, jak bardzo panią cenię i że uważam panią za nadzieję młodego pokolenia funkcjonariuszy, szczególnie jeśli chodzi o łapanie psychopatów i morderców. Takich jak Wilkołak. Tych tylko trochę i tych całkowicie szurniętych.

I Bezimiennego, Clara dodała w myślach. Ale o nim Bellmann nie zamierzał wspomnieć.

– Ale czy ja jako szef policji kryminalnej w Berlinie również muszę być obłąkany, żeby ich łapać? – Spojrzał na nią i uśmiechnął się chłodno, wskazując przy tym palcem w swoją stronę.

– Obawiam się... obawiam się, że nie rozumiem, do czego pan zmierza – odparła Clara niepewnie.

Bellmann otworzył skoroszyt, wyjął ze środka coś, co wyglądało na gazetę, i wskazał palcem na zdjęcie na stronie tytułowej.

– Bo wydaje mi się, że musiałbym być naprawdę szaleńcem, żeby po tym, co przydarzyło się minionej nocy, pozwolić pani dalej pracować nad tą sprawą.

Policjantka spojrzała na gazetę.

*Krwawy morderca seryjny grasuje w Berlinie!*

*Czy Facebookowy Żniwiarz zamordował już czternaście kobiet? Co łączy go z komisarz Clarą Vidalis z policji kryminalnej?*

Bellmann pokręcił powoli głową.

– Nie mam pojęcia, jak dziennikarze docierają do takich informacji, jednak to fakt, z którym nie ma co się spierać. Niewykluczone, że sprawca sam im to ułatwia, ale tego nie możemy być pewni.

Bellmann odłożył gazetę w taki sposób, żeby Clara mogła przeczytać artykuł.

– Przygotowała pani z doktorem Friedrichem profil psychologiczny sprawcy – ciągnął, sięgając po teczkę. – Twierdzicie w nim, że dla tego Bezimiennego ważny jest element inscenizacji. I że im bardziej skomplikowany scenariusz i im bardziej my jesteście bezradni, tym dla niego lepiej.

– Dlatego powinniśmy go dopaść jak najszybciej – potwierdziła Clara i złapała się na tym, że z nerwów wyprostowała spinacz biurowy. Bellmann też to zauważył.

– W rzeczy samej, powinniśmy – potwierdził i zamknął teczkę z profilem. – Jednak nie w sposób, który on sobie wyobraził. Nie jako kruczkatę zranionej i podupadłej na zdrowiu, okaleczonej emocjonalnie, łaknącej zemsty funkcjonariuszki policji, która z nienawiści nie może trzeźwo myśleć.

– Z całym szacunkiem, ale myślę równie trzeźwo, jak wcześniej.

– Nie wątpię. – Bellmann potrząsnął głową. – Ale czy w tej sprawie zdoła pani zachować obiektywizm? – Mówiąc to, spojrzał znacząco na spinacz w jej dłoniach. – Chyba nie. – Odchylił się na oparcie. – Jest pani osobiście zaangażowana w tę sprawę. Morderca zabił osobę, która najprawdopodobniej była odpowiedzialna za śmierć pani siostry. Tego mu pani nigdy nie wybaczy. – Wyjrzał przez okno. – Przez to nie ma mowy o obiektywizmie i trzeźwej ocenie, bez których nasz zawód traci wszelki sens.

Clara gorączkowo myślała. Powiedział, że jest osobiście zaangażowana. Może i tak. Lecz tak samo, jak może to być obciążeniem, równie dobrze może okazać się zaletą.

– Doktorze Bellmann – zaczęła, wyprostowała się, zebrała w sobie i momentalnie zapomniała o spinaczu. – To, co pan uważa za wadę, może się okazać wielką zaletą.

Bellmann zmarszczył brwi.

– Doprawdy? Musiałyby pani mi to wyjaśnić. Ale proszę nie próbować wciskać mi wad jako zalet, bo na puste gadki marketoidów jestem całkowicie odporny.

– Wiem – powiedziała policjantka. – Ale to jest tak: nasza wspólna trauma z dzieciństwa, moja i mordercy, który został wykorzystany przez Inga M., sprawia, że ta specyficzna więź między sprawcą a śledczym przemienia się w pole minowe, które morderca chce wykorzystać do swoich celów. Jednak my też możemy wykorzystać je do naszych.

Bellmann słuchał i nie przerywał.

Clara mówiła dalej:

– To, co pana zdaniem działa na naszą niekorzyść, czyli dalsze prowadzenie sprawy przeze mnie, bo mogę być opętana wizją zemsty i stracić zdolność do trzeźwej oceny sytuacji,

równie dobrze może działać na niekorzyść Bezimiennego. Bo w pewnym momencie postanowi się zbliżyć albo mniej uciszyć i zacznie działać nieostrożnie.

Bellmann ponownie zmarszczył czoło.

– Chce pani powiedzieć, że pozwoli sobie na jakiś błąd, ale tylko pod warunkiem, że pani będzie wciąż pracowała przy tej sprawie? Chodzi o to, że morderca zadaje sobie trud z tym całym show jedynie dla pani?

– Tak jest. Kiedy ja przestanę grać w jego grę, Bezimienny może dalej mordować po cichu jak wcześniej, przecież zabił dwanaście kobiet, o których nic jeszcze nie wiemy – jeśli one, rzecz jasna, w ogóle istnieją.

– Wspomniała pani o uciszeniu... czy odczytała pani jego słowa jako groźbę? Że będzie chciał panią zamordować?

Clara zacisnęła usta i skinęła głową.

– Zgadza się. Rozmawiałam o tym z doktorem Friedrichem. Istnieje takie prawdopodobieństwo. Jednak uważamy je za tak znikome, że szkoda zawracać sobie nim głowę. Chodzi generalnie o to, że tylko żywa mogą podziwiać i obserwować realizację jego dzieła. Martwej nic nie może ani pokazać, ani opowiedzieć.

Bellmann milczał przez chwilę. Odpowiedział dopiero po kilkunastu sekundach.

– No dobrze, przyjmijmy, że zostanie pani przy tej sprawie, ale wtedy musiałyby pani uzgadniać każdy krok z głównym komisarzem Winterfeldem. I musiałyby pani meldować o każdej wiadomości, każdej płycie i wszystkim, co mogłaby pani dostać od tego psychopaty, meldować przełożonemu, niezależnie od pory dnia i nocy. Zrozumiano?

Clara potaknęła.

– Zrozumiano.

Minęło kolejnych dziesięć sekund, w czasie których Bellmann dalej wyglądał przez okno.

– Dobrze – oznajmił w końcu i zastukał w blat. – Zaraz porozmawiam z doktorem Friedrichem o opracowanym profilu sprawcy. – Spojrzał na teczkę. – Jednak musiałbym być szaleńcem, gdybym pozostawił ten przypadek właśnie pani. – Clara poczuła zawód. Czyżby chciał ją dręczyć? Po co w ogóle dawał jej nadzieję? Żeby teraz wszystko zniszczyć? – Ale też musiałbym być zdrowo stuknięty, gdybym nie zdecydował się wykorzystać jedynej szansy, którą mamy, nawet jeśli jest minimalna. Chodzi mianowicie o to, że morderca rzeczywiście robi show właśnie dla pani i dlatego może popełnić błąd.

– Czy to znaczy...? – Clara rozpromieniła się. Z wielkim trudem ukrywała euforię. W tej pracy okazywanie uczuć szkodziło praktycznie niezależnie od sytuacji. Uczucia, które się okazywało, były niczym krew wabiąca rekiny.

– To znaczy, że zaraz odbędę jeszcze rozmowę z doktorem Friedrichem, a potem dam pani znać. – Bellmann wskazał głową drzwi, co oznaczało, że spotkanie dobiegło końca. – Jednak możemy przyjąć, że będzie pani, koleżanko, dalej prowadziła tę sprawę. – Uśmiechnął się na tyle, na ile można było w przypadku Alexandra Bellmanna w ogóle mówić o uśmiechu. – Postaram się trzymać prasę z dala. A pani musi dać mi słowo, że szybko go pani dopadnie.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparła policjantka i wstała.

Z dzbanka prychającego ekspresu w kuchni na trzecim piętrze nalała sobie filiżankę kawy i połknęła tabletkę środka uspokajającego. Wcześniej, stojąc w otwartym oknie, rozmawiała z Winterfeldem, który strzepywał popiół na trawnik poniżej, a potem w ślad za spalonym tytoniem wyrzucił niedopałek.

W biurze Bellmanna siedział teraz MacDeath. Omawiali profil sprawcy. Hermann nie miał dla niej żadnych nowych informacji z frontu internetowego, a szpitale wciąż nie zidentyfikowały DNA wyizolowanego z chitynowego pancerza chrząszcza. Wyglądało więc na



to, że ten ślad okazał się ślepią uliczką. Dlatego Clara skupiła się teraz na ustaleniu wszystkiego, co się dało, na temat Inga M. Nie chodziło jej już tylko o osobiste sprawy. Ingo M. znał mordercę. Być może znajdą coś, co pozwoli pchnąć śledztwo naprzód i doprowadzi ich do Bezimiennego?

Funkcjonariusze, którzy znaleźli spalone zwłoki, przesłali jej akta prowadzonego wówczas śledztwa i kilka numerów telefonów, pod którymi mogła dopytać się o niektóre sprawy. Zadzwoiła do większości z wymienionych policjantów. Jednak w sobotę wieczorem najczęściej łączyła się z automatem zgłoszeniowym. Co oznaczało dalsze czekanie.

Clara nie mogła znieść oczekiwania na ostateczną decyzję Bellmanna. Nienawidziła zawieszenia w niepewności. Nie chciała warować przy telefonie, by ktoś w końcu zadzwonił z informacją na temat Inga M. Nie chciała wyczekiwać wieści od informatyków. Jednak czekanie było jedyną rzeczą, jaka jej w tym momencie pozostawała. Czekanie na decyzję. Czekanie na znak od Bellmanna.

I na kolejną wiadomość od Bezimiennego.

Do kuchni wszedł Winterfeld i odstawił pustą filiżankę do zmywarki.

– Mam dobrą i złą wiadomość, señora – oznajmił. – Proszę ze mną.

Clara wyszła na korytarz i szybkim krokiem dogoniła szefa.

– Jaka jest ta dobra wiadomość? – zapytała, kiedy mijali zakręt.

– Świetnie przygotowała pani Bellmanna do dalszych rozmów, dzięki czemu ja i MacDeath tylko dokończyliśmy robotę.

*Bogu niech będą dzięki.* Clara przypomniawszy sobie o tym, co przeżyła w szpitalnej kaplicy.

Winterfeld dotarł do schodów i zaczął wchodzić na czwarte piętro. Policjantka szła obok.

– W porządku, a zła?

Policjant otworzył jej drzwi i wskazał na dział informatyczny. Clara ruszyła przodem.

– Mamy kolejny film dla pani.

Kobieta momentalnie poczuła się tak, jakby zamiast środka uspokajającego zażyła końską dawkę kokainy.

– Znowu od niego? – zapytała tylko.

– Na to wygląda. – Winterfeld otworzył drzwi do pomieszczenia z komputerami.

Hermann siedział z dwoma informatykami, którzy mieli weekendowy dyżur. Półmrok pokoju rozświetlał wielki monitor Apple'a. Pokazywał stronę główną Xenotube. Clara podeszła bliżej.

Dodany niedawno filmik trwał niecałe dwie minuty. Tytuł: *Shebay. Wersja dla dorosłych – prezentuje Bezimienny.*

– To jest przecież strona główna Xenotube – stęknęła Clara.

Hermann przytaknął zrezygnowany.

– Jeśli się nie mylę, miliony ludzi mogą to obejrzeć.

Hermann potwierdził.

– Tam umieścił plik? Dlaczego? Jak mu się udało trafić prosto na stronę główną, do promowanych?

Pytanie było czysto retoryczne, bo nikt nie mógł jej odpowiedzieć, a film jakoś jednak trafił na zabezpieczoną stronę Xenotube. Policjantka zdawała sobie sprawę, że zaraz nastąpi nieuniknione: Hermann uruchomi odtwarzanie, a coś mrocznego, przerażającego i nieprzyjemnego ścisnie jej duszę niczym stalowa obręcz.

*Snuff movie* wśród promowanych filmów na stronie głównej Xenotube?

Clara nabrała głęboko powietrza. Być może morderca rzeczywiście zaczynał zachowywać się nieostrożnie. Być może był tak silny, że nic mu nie mogła zrobić. Albo... albo nigdy nie istniał. Był jak niewidoczny pociąg metra – w podziemnych tunelach im się wymykał. Jak potwór pod łóżkiem dziecka, który istnieje wtedy, kiedy się w niego wierzy, a żyje tylko w ciemności, kiedy go nie widać. W końcu może Bezimienny był wcieleniem diabła...

– Dobra, miejmy to za sobą – powiedziała.

Hermann uruchomił odtwarzanie.

Ekran zgasł i zrobił się czarny. Za to z głośników popłynęły czyjeś słowa.

– Pozwoliłem sobie przesłać pani, Claro Vidalis, kolejną próbkę moich możliwości. A ty, Torino, żaloszny śmieciu, musisz wiedzieć, że sprzątnąłem ci sprzed nosa gwiazdę show. Zapraszam na *Shebay* w wersji dla dorosłych.

To był ten sam charczący, zniekształcony głos, który Clara słyszała poprzedniego wieczoru. Momentalnie poczuła ten sam strach i przerażenie, które jej wówczas towarzyszyły – tyle że dziś odezwały się ze zdwojoną siłą.

Głos mówił dalej.

– Dla ciebie, Torino, ta dziewczyna to tylko maszynka do zarabiania pieniędzy. W moich rękach stanie się uświęconą ofiarą, którą złożę w wielkim finale na oczach całego świata. W ten sposób zakończę swoje dzieło.

Na ekranie pojawił się obraz. Ciemna piwniczna izba ze ścianami z wilgotnych kamieni, oświetlona migotliwą jarzeniówką. Ktoś siedział na krześle. Przywiązany. Kobieta, około dwudziestki. Figura modelki. Miała na sobie białą suknię.

Ubrana podobnie jak Julia, uświadomiła sobie nadkomisarz.

Morderca nałożył jej worek z materiału na głowę. Dziewczyna wydawała z siebie rżące, stłumione jęki, jak ktoś, kto usiłuje mówić z kneblem w ustach.

– Zdaje się, że miałaś coś do przekazania – warknął Bezimienny i skierował kamerę obiektywem w stronę sufitu. Na ekranie widać było jarzeniówkę. I mokre, omszałe kamienie.

– Zostałam porwana! Nie wiem, gdzie jestem! – rozległ się kobiecy krzyk. – Nazywam się Andira Althaus! Jestem z *Shebay*! Pomocy! Wyciągnijcie mnie stąd!

– Wyciągną cię, spokojna głowa – odpowiedział jej głos niewidocznego mężczyzny. Kamera wciąż pokazywała ciemny sufit. – Ale inaczej, niżbyś chciała.

– Dzwonił do mnie Tom Myers! – krzyczała Andira. – Panie Myers! Słyszysz mnie pan? – A potem z jeszcze większą paniką: – Gdzie on jest? Gdzie jest Myers?!

– Tom Myers? – odparł budzący grozę głos. – Spokojnie, jest tu. O, proszę.

Rozległo się skrzyknięcie otwieranych drzwi. A zaraz po nim z głośników rozległ się wrzask przerażenia i ponownie rżenie, jakby dziewczyna znów miała knebel w ustach.

– Dla wszystkich fanów *Shebay* mam dobrą wiadomość – oznajmił głos. – Za godzinę rozpoczynamy dalszą część programu! Tylko dla dorosłych!

Ekran zrobił się czarny.

Clara musiała usiąść.

W głowie huczały jej słowa, które morderca umieścił w e-mailu przysłanym na jej skrzynkę. Wiadomość dostała co prawda w czwartek, lecz miała wrażenie, że to było rok temu.

„Tam, gdzie inni są tylko cieniami, ja jestem gęstym mrokiem.

Gdzie inni są tylko mordercami, ja ucieleśniam śmierć”.

– Ilu ludzi zdążyło obejrzeć filmik? – zapytała.

– Cztery miliony – odparł Hermann. – To jest niemiecka wersja strony głównej Xenotube, największego na świecie portalu z filmami wideo. A jeśli przyjmiemy, że film jest kopiowany i zamieszczany na innych portalach, to tę liczbę możemy mnożyć i mnożyć.

Clara oparła głowę na dłoniach i zaczęła masować skronie.

– To jest kompletna katastrofa. Każdy teraz widzi, co ten psychol wyprawia, a my nie możemy nic zrobić, bo nie mamy pojęcia, kim jest!

Za to każdy widz znał już imię i nazwisko Clary. Czyli doszło do sytuacji, której Bellmann chciał za wszelką cenę uniknąć.

Hermann i Winterfeld spoglądali po sobie bezradnie.

– Bellmann już to widział? – zapytała Clara.

– Obstawiałbym, że nie. – Hermann potrząsnął głową. – On raczej nie przegląda takich stron.

– Mamy adres IP komputera, z którego został załadowany ten film?

– Pracujemy nad tym, ale na razie nic jeszcze nie mamy. Niewykluczone, że używał jakiegoś programu do maskowania.

– Jak, do jasnej cholery, trafił na stronę główną, do promowanych?

Ponownie bezradne milczenie.

– I kto to jest ten Torino? – Clara pytała dalej. Miała już zanotowane jego nazwisko.  
– Wczoraj prowadził program *Shebay* – odpowiedział Hermann. – Widziałem kawalek.  
Straszna chała i bezguście. Erotyczno-brutalna wersja *Top Model*.  
– Muszę mieć jego numer telefonu – ucięła policjantka. – Stacjonarny i komórkę. I adres.  
Prywatny i firmowy. Na wczoraj.  
– Gdyby wszystko było takie proste... – Hermann westchnął i uruchomił interfejs jednej z baz danych.

Albert Torino miał wrażenie, że jego głowa urosła do rozmiarów i ciężaru piłki lekarskiej, kiedy boleśnie natrętny dzwonek komórki wyrwał go z ciężkiego i nieprzyjemnego snu.

Leżał na wielkim łóżku wodnym, a obok niego spała niekompletnie ubrana młoda kobieta. Na podłodze walały się puste butelki po szampanie i kipiąca niedopalkami popielniczka. Sądząc po słabym świetle wpadającym się przez okna, musiało być późne popołudnie.

Wczoraj w nocy trafili najpierw do Grill Royal, a potem ruszyli w tournée po klubach. Zabawiali się w towarzystwie kilku młodych dziewczyn, co chwila wznosząc toasty za udany debiut *Shebay* w telewizji. Z początku Torino był zły, że Myers do nich nie dołączył, jednak wraz z ilością wypijanego alkoholu przestawał zwracać na to uwagę. Z miejsca mieli ponadmilionową publiczność. Pierwszego wieczoru emisji. Niesamowity wynik. Robił wrażenie. Z Xenotube czy bez.

Komórka nie przestawała dzwonić. Torino wypił resztkę szampana z kieliszka na stoliku przy łóżku, żeby pozbyć się uczucia suchości w gardle. Odnosił wrażenie, że język przykleił mu się do podniebienia, a na dodatek miał w ustach posmak, jakby w nocy ktoś korzystał z nich jak z toalety. W głowie słyszał jedynie potworne dudnienie.

Nieco nieprzytomnie spojrzał najpierw na telefon, a potem na kobietę, która również obudziła się przez natrętny dzwonek. Zaraz, jak ona miała na imię? Monique? Albo jakoś podobnie... nieważne. Zaraz kupi jej kawę z muffinkiem w Starbucksie, powie, że jest piękna i było cudownie, i pozbędzie się jej, żeby w spokoju zadzwonić do Myersa. Może zresztą to właśnie on dzwoni?

Spojrzał na ekran. Nie, tego numeru nie znał.

– Tak? – odebrał połączenie.

– Dzień dobry. Z tej strony Clara Vidalis, Krajowa Policja Kryminalna. Czy rozmawiam z Albertem Torino z Integrated Entertainment?

W jednym momencie oprzytomniał.

Monique – czy jakoś podobnie – przewróciła się na plecy.

– Co się dzieje? – zapytała. – Kto to?

– Zamknij się – syknął Torino.

– Słucham? – zapytał kobięcy głos w słuchawce.

– Nie, przepraszam, to nie do pani... – odparł Torino i przerwał, żeby zebrać myśli. – Nie dosłyszałem, skąd pani dzwoni?

– Clara Vidalis, nadkomisarz Krajowej Policji Kryminalnej w Berlinie – powtórzyła z irytacją. – Pracuję w wydziale zabójstw.

Torino poczuł ukłucie strachu.

– Zrobiłem coś nie tak? Złamałem prawo?

– Nie, pan nie, ale ktoś inny owszem. Czy nazwa *Shebay* coś panu mówi?

– Żartuje sobie pani? – Mężczyzna usiadł gwałtownie na łóżku. – Przecież to mój program!

– Wiedział pan, że jest już dostępna dalsza część? – zapytała policjantka. – I jest już w sieci. Oglądał pan dzisiaj promowane filmiki na Xenotube?

Oczy Torina rozblysnęły ekscytacją. Nie rozumiał co prawda, dlaczego z tego powodu dzwoni do niego ktoś z policji, ale najważniejsze, że Myers zrobił w końcu to, co do niego należało. Pewnie powycinał fragmenty z głównej edycji programu telewizyjnego i zamieścił je na stronie głównej Xenotube, a ktoś uznał, że to rani jego uczucia albo jest nieetyczne, i zadzwonił

na policję. Mimo to był zaskoczony, że Myers nie omówił takiej sprawy najpierw z nim. Nie dawało mu za to spokoju pytanie, dlaczego dzwonią do niego akurat z wydziału zabójstw.

– Na stronie głównej Xenotube?

– Tak jest – potwierdził kobiecy głos. – Na razie ma cztery miliony odtworzeń. To całkiem niezły wynik.

– Cóż... pozostaje mi się tylko cieszyć.

– Nie byłabym taka pewna. Może najpierw powinien pan zobaczyć, co tam jest.

Torino wstał i niepewnym krokiem ruszył w stronę biurka, na którym leżał jego iPad. Otworzył Xenotube. Rzeczywiście, wideo *Shebay* znalazło się na samym szczycie listy materiałów promowanych. Uruchomił odtwarzanie. Kiedy wysłuchał, co miał do powiedzenia głos zza kadru, omal nie zwymiotował.

Po chwili dostrzegł swoją twarz odbitą w czarnym ekranie iPada. Była śmiertelnie błada.

– Cholera! – zaklął. Miał wrażenie, że żołądek skurczył mu się do wielkości orzeszka.

– I co pan sądzi? – zapytała policjantka.

– Czy to Andira? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Nie widziałem jej twarzy, ale głos miała podobny.

– To bardzo prawdopodobne.

– Jasna cholera... kto to zrobił?

– Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że pan mi to powie. – Przerwała na chwilę, czekając, co usłyszy, jednak w słuchawce panowała cisza. – Z całą pewnością to ktoś niebezpieczny.

Wyjątkowo niebezpieczny. – Znów przerwała. – O której może pan przyjechać na komendę?

Siedziba Krajowej Policji Kryminalnej, Tempelhofer Damm dwanaście. Jak będzie pan na dole, proszę oddzwonić pod ten numer.

– Pani da mi dwadzieścia minut – wykrztusił Torino i pognął do łazienki.

Monique odprowadziła go zaskoczonym wzrokiem.

– Ale dziwne filmy oglądasz... ja nie mogę...

– Zamknij twarz, kobieto! – warknął producent, nerwowo kompletując porozrzuconą garderobę.

– Myślałam, że pójdziemy gdzieś na śniadanie. Obiecałeś mi wczoraj. – Zrobiła obrażoną minę. – I nie mów tak do mnie.

– Zamknij się.

Podskakując na jednej nodze, starał się trafić w drugą w nogawkę spodni. Wetknął w ucho słuchawkę Bluetooth i wybrał numer Andiry.

Poczta głosowa.

Potem zadzwonił do Myersa.

Poczta głosowa.

Zostawił mu krótką wiadomość z prośbą, by oddzwonił jak najszybciej.

W głębi duszy czuł już, że coś poszło nie tak.

Wyjątkowo nie tak.

Vladimir spojrzął na obie komórki. Odezwały się jedna po drugiej.

Zajrzał do pomieszczenia obok, w którym na krześle siedziała spętana Andira.

A potem odwrócił się i rzucił okiem na zwłoki Toma Myersa, który leżał ze złamanym karkiem w rogu izby i szklistymi, pustymi oczyma spoglądał na sklepienie.

Vladimir uśmiechnął się. Chłodno i nieprzyjemnie, jak jaszczurka.

Realizacja planu dobiegała końca.

Nadszedł czas na wielki finał.

Odezwał się telefon Clary. Dzwonił Albert Torino.

– Proszę poczekać na dole – powiedziała po krótkim przywitaniu. – Zaraz ktoś po pana przyjdzie. Zapraszam na czwarte piętro.

Na czwartym piętrze, na którym znajdował się dział informatyczny policji kryminalnej, panowało zwątpienie. Hermann i eksperci komputerowi ustalili, że morderca jakimś cudem wykorzystał kod, dzięki któremu zamieszczane przez niego filmy łądowały na stałe na pierwszym miejscu promowanych klipów na stronie głównej. W przesłanym pliku była mowa o niejakim Tomie Myersie, który jakoby też miał „tam” być. Tom Myers pracował jako dyrektor zarządzający w firmie Xenotech, jak udało się ustalić policji. Z informacji uzyskanych w centrali firmy w Stanach Zjednoczonych wynikało, że powinien być akurat w Berlinie. Po kilku telefonach do pięciogwiazdkowych hoteli wiadomość ta się potwierdziła. Można było się zatem domyślić, że morderca uprowadził Toma Myersa, by w ten sposób uzyskać dostęp do kodów Xenotube. Następnie zainstalował jakiegoś zmyślnego trojana na serwerach portalu, który pozwalał tylko jemu umieszczać materiały na stronie głównej. Przez taki mechanizm jedynym sposobem usunięcia jego plików z sieci było wyłączenie głównych serwerów firmy, znajdujących się w Palo Alto w Kalifornii, co doprowadziłoby do likwidacji całego wielkiego portalu.

Bellmann osobiście włączył się w zażegnywanie zaistniałego kryzysu. Zadzwoił do Wiesbaden, do siedziby Federalnej Policji Kryminalnej, żeby międzynarodowymi kanałami zmusić Xenotech do zablokowania własnej strony.

– Trzeba natychmiast usunąć to z sieci! – wściekły Bellmann ryczał do słuchawki, rozmawiając z dyżurnym ekspertem informatycznym z Federalnej Policji Kryminalnej. – Jak będzie taka potrzeba, niech pan gna do ambasady USA, albo niech pan działa przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ale nie może być tak, że ten psychopata będzie pokazywał milionom ludzi na całym świecie swoje chore klipy, a my nic nie możemy zrobić!

– Zapomina pan, że nie jesteśmy w Chinach – odwarknął rozeźlony specjalista. – Nasz rząd nie może ot tak sobie wyłączyć serwerów firmy z siedzibą w Kalifornii! A jeśli chodzi o USA, to zdaje pan sobie sprawę, która tam jest godzina? Zbliży się ósma rano w niedzielę. Marne szanse, żeby cokolwiek dało się zdziałać.

– Ten gość jest przebiegły jak cholera – stwierdziła Clara. – Wybrał sobie odpowiedni czas i korzysta z fizycznego oddalenia od siedziby firmy i osób mogących podejmować decyzje.

– Ja też bym obstawiał, że jest gdzieś tutaj, w Berlinie – powiedział Winterfeld. – Na pewno nie ukrywa się ani w Rosji, ani w Chinach. Doskonale zna topografię okolicy, jest bardzo ruchliwy i ma zaplanowany każdy krok. Andirę porwał najprawdopodobniej w ramach przygotowań do zwieńczenia swojego wielkiego projektu. A jaki jest ten jego plan i co jeszcze zamierza zrobić, to prawdę mówiąc, wołę nawet nie zgadywać.

W tym momencie drzwi do pomieszczenia otworzyły się raptownie i do środka wszedł przysadzisty mężczyzna z włosami zaczesanymi do tyłu na żel. Towarzyszył mu policjant w mundurze. Nieznajomy był nieogolony i choć miał opaloną skórę, wydawał się błądy. W jego oczach widać było zmęczenie, ale i przerażenie, przez co wyglądał niemal groteskowo.

– Pan Albert Torino, czy tak? – zapytała Clara.

– We własnej osobie – potwierdził mężczyzna i chusteczką otarł spocone czoło. Na czwarte piętro wszedł schodami i najwyraźniej pędził przy tym na złamanie karku. Policjantka poczuła od niego woń alkoholu.

– Kim jest ten czubek? – zapytał producent. – Co o nim wiecie? I dlaczego porwał akurat

Andirę? – Przerwał i potarł twarz. – I przy okazji, jak on ją w ogóle znalazł?

– Gość jest jak żywa wersja Google – odparł Hermann i spojrzał ponuro na krępego mężczyznę. – Jak chce, to znajdzie każdego.

Torino przyjrzał się masywnej sylwetce policjanta. Mimo że sam stał, Hermann, siedząc na krześle, był niewiele niższy od niego.

– Czy to znaczy, że już go znacie?

– Andira nie jest jego pierwszą ofiarą – odparła Clara. – Zakładam, że czytuje pan gazety? Słyszał pan o Facebookowym Żniwiarzu?

– To on? – Torino wytrzeszczył oczy, a potem potrząsnął głową. – Ale dlaczego publikuje to wszystko na stronie głównej Xenotube? I co chce zrobić z dziewczyną?

– Miałam nadzieję, że pan nam udzieli odpowiedzi na kilka z tych pytań – mruknęła Clara. – Zna pan Andirę, to w końcu pan ją odkrył. Ten człowiek wspomniał również o pana przyjacielu, Myersie.

– Mogę się jedynie domyślić, że zmusił Toma, by przekazał mu uprawnienia do dodawania filmów na stronę główną Xenotube. – Torino pokręcił głową. – No tak, to oczywiste. Nie mogło być inaczej. – Ponownie wytarł sobie czoło i twarz.

– Kiedy widział pan pana Myersa po raz ostatni?

– Wczoraj wieczorem, w Grill Royal. Powiedział, że musi jeszcze załatwić kilka telefonów, ale w ciszy, w pokoju hotelowym. Potem miał do nas dołączyć.

– Do hotelu nigdy nie dotarł – wyjaśniła Clara. – Zadzwoniliśmy do Hiltona i to od nich wiemy, że nie pojawił się w swoim pokoju.

– Niech to cholera – zaklął Torino. – Tylko dlaczego on? I dlaczego Andira? I dlaczego *Shebay*? Niech to diabli... nie mam pojęcia. – Z kieszeni marynarki wyłuskał listek aspiryny i połknął jedną tabletkę bez popijania. – A wy? Przecież jesteście z policji! Niby wszystko wiecie i wszędzie macie dostęp! Weźcie się do roboty i wyciągnijcie IP komputera, z którego to wysła. Wtedy go dopadniecie. Pod jego drzwiami powinny już czekać ze trzy radiowozy!

– Pozwoli pan, że wyjaśnię, jak się sprawy mają. – Hermann przejął inicjatywę i wepchnął do ust kilka żelek. – Bo widzi pan, to nie jest takie proste, jak by się mogło wydawać.

– Niech pan lepiej posłucha – przerwał mu Winterfeld. – Pana program, to całe *Shebay*, to całkowita degrengolada etyczna i moralna. Pana show to pozbawione smaku i uwłaczające ludzkiej godności bezguście.

– Które ma świetną oglądalność i doskonale zarabia – warknął Torino.

– Jedno nie wyklucza drugiego – odparł Winterfeld. – W tym wypadku wręcz przeciwnie. – Przechesał dłonią włosy. – Czy dopuszcza pan myśl, że są ludzie, którym taka formuła programu nie przypadła do gustu? Czy ma pan zdeklarowanych wrogów? Może ktoś chce się na pana zemścić? Bo jedną rzecz powinien pan sobie uświadomić – nawet jeśli po tym nagraniu nie pojawi się żadne następne, pana *Shebay* to już historia.

Torino potarł dłonie i rozejrzał się.

– Czy dostanę tu jakąś kawę? – zapytał. – Zaraz padnę i tyle ze mnie będziecie mieli.

Jeden z informatyków wstał z fotela.

– Przyniosę panu. Biała? Z cukrem?

– Czarna, bez niczego. – Torino usiadł na brzegu stołu.

– Dobrze – odezwała się Clara. – Zanim przyniesie panu kawę, proszę się zastanowić, czy ostatnio nie nastąpił pan komuś na odcisk.

– Ale komu? I jak? – Torino potrząsnął głową. – To chyba oczywiste, że jak ktoś odnosi sukcesy w mojej branży, to zawsze znajdą się wrogowie i zazdrośnicy, których, na przykład, wieki temu wywaliłem z roboty, albo przedsiębiorcy, którym sprzątnąłem interes sprzed nosa.



Liczba wrogów jest miarą sukcesu. Tylko kto byłby zdolny do czegoś takiego? Cholera, nikt mi nie przychodzi do głowy.

– Prawicowi ekstremiści? Lewicowi bojówkarze? Fanatycy religijni? – podsuwał Winterfeld.

Clara straciła wiarę w to, że rozmowa z przysadzistym producentem może do czegokolwiek ich doprowadzić. Bezimienny, na ile go już poznała, nie pasował do żadnej z wymienionych grup. Nie nadawał się nawet na fanatyka religijnego, bo był na to zbyt wyrachowany i opanowany.

Do pomieszczenia wrócił informatyk z filiżanką parującej kawy. Torino wypił ją małymi łydkami.

– W czasie, kiedy pan pije, postaram się panu wytłumaczyć, dlaczego nie jesteśmy w stanie zdobyć jego adresu IP – oznajmił Hermann i podszedł do białej tablicy pod ścianą. – A pan może przypomni sobie ewentualnych wrogów. – Mówiąc to starł gąbką jakieś kolorowe gryzmoły. – Słyszał pan może o sieci TOR?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Zostańmy przy naszym dyżurnym porównaniu wyszukiwania w internecie do podróży do Rzymu – ciągnął Hermann. – Ty, Claro, wiesz przynajmniej, o co chodzi. – Na tablicy narysował schematycznie wioskę i znacznie większe miasto. – Ktoś z tej wioski, dajmy na to wioski A, chciałby dostać się do Rzymu. Wioska A to nasz lokalny komputer, a Rzym to serwer, na którym nasze dane mają zostać opublikowane. Jeśli wszystko przebiega normalnym trybem, z serwera można odczytać adres IP maszyny, z której dane zostały wysłane. Inaczej rzecz ujmując, w Rzymie zaraz wiadomo, z której wsi dotarli do nich wieści.

– A o co chodziło z tym całym TOR-em? – Torino rozkruszył kolejną aspirynę i wsypał biały proszek do kawy. Clara z odrazą patrzyła na jego poczynania.

– TOR to skrót od The Onion Ring – ciągnął Hermann. – Czyli krążek cebuli. TOR instaluje klienta, czyli tak zwany Onion Proxy, i z jego pomocą ściąga listę wszystkich dostępnych serwerów TOR-u. Wszystkie opatrzone są sygnaturą cyfrową. Kiedy tylko lista jest gotowa, Onion Proxy wybiera całkowicie przypadkową drogę do pierwszego serwera TOR-u. Klient nawiązuje z nim zakodowane połączenie. Kiedy jest już nawiązane, serwer TOR-u wybiera kolejny, przypadkowy serwer TOR-u, przedłużając drogę do odbiorcy. I tak dalej. – Mówiąc to, malował na tablicy kolejne kratki mające reprezentować kolejne serwery. – Każdy z nich zna jedynie dane serwera, z którego otrzymał wiadomość, i tego, do którego ją przekazał. W ten sposób nadawca pozostaje anonimowy.

– Czekaj, jeszcze raz, ale po naszymu – poprosiła Clara. – Klient przesyła wiadomość nie z własnego adresu IP, tylko za każdym razem wiadomość ma nowy adres serwera, na który trafia? W ten sposób, jak rozumiem, na końcu nikt nie ma szans ustalić danych serwera, od którego się zaczęło?

– Zgadza się. – Hermann kiwnął głową, jakby mówił o czymś banalnie prostym. Dla informatyka to pewnie była łatwizna, jednak dla normalnego zjadacza chleba stanowiło pewien kłopot.

– Dlaczego nie omawiałeś tego na przykładzie wycieczki do Rzymu? – zapytała Clara niepewnie.

– Już naprawiam swój błąd. – Hermann narysował na tablicy kilka dalszych wiossek. – Zamiast z wioski A podróżować prosto do Rzymu, nasz wędrowiec odwiedza po kolei wieś B, C, i D. I dopiero z niej jedzie już do Rzymu.

– Czego mogą się o nim dowiedzieć ci w Rzymie? – spytała Clara.

Torino milczał i z ponurą miną przyglądał się rysunkom, przysłuchując się rozmowie.

– W Rzymie wiadomo jedynie, że wędrowiec przybył z wioski D. – Hermann obrysował ostatnią wioskę kółkiem. – Reszta jest zaszyfrowana. We wsi B wiadomo, że przybył ze wsi A, we wsi C wiedzą, że wędrowiec jest ze wsi B, a we wsi D, że ze wsi C. – Rozejrzał się. – Ale nikt nie zna całej trasy.

– Kto ustawia takie serwery? – Clara z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Każdy, kto ma komputer o odpowiedniej mocy, może zgłosić swój akces. Bo na tym zasadza się idea sieci TOR – wyjaśnił Hermann. – Nasz morderca opublikował swój plik we wsi A. Wiś B to serwer gdzieś w Rosji, wiś C to mobilne centrum obliczeniowe Google gdzieś na Antarktydzie...

– Google na Antarktydzie? – Torino z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

– Zgadza się, trzymają w tamtych okolicach pływające centra obliczeniowe, to nie żart – odparł Hermann. – W ten sposób nic nie płacą za chłodzenie serwerowni.

– Co za zwariowany świat – mruknęła Clara i potrząsnęła głową.

– Czyli Google i Antarktyda to wioska D – ciągnął Hermann. – A potem jeszcze jakiś serwer w Chinach i Indiach.

– Ależ to skomplikowane – powiedziała Clara. – Tylko że przecież można po kolei przejść tymi wioskami z powrotem do punktu wyjścia, prawda?

Hermann potwierdził.

– Zgadza się. Jednak to wymaga wielkiego pośpiechu. – Ściszył głos. – Bo połączenia między serwerami zmieniają się co dziesięć minut. I nagle zamiast wioski D trafiasz na wioskę M, a zamiast wioski C pojawia się X. I tak w kółko.

– Cholera... – Clara ukryła twarz w dłoniach. – Ten gość mnie wykończy.

– Musi być jakiś sposób, żeby wykorzystując możliwości policji, trafić na jego ślad – wtrącił się Winterfeld. – Nie chodzi przecież o to, że jacyś zboczeńcy przesyłają sobie nagie fotki i robią to w tajemnicy przed żonami. Mamy tutaj do czynienia z toczącym się śledztwem w sprawie seryjnego mordercy!

Hermann potaknął.

– Eksperci federalni obserwują już serwer D i stosując metody statystyczne, będą się starali ustalić adres IP nadawcy. Przy sporej dawce szczęścia to się może udać. Problem polega na tym...

– ...że to zajmuje bardzo dużo czasu. – Clara popatrzyła na niego załamana. – Mam rację?

– Przynajmniej pół godziny – potwierdził Hermann. – Jeśli morderca w tym czasie rozłączy się i znów połączy, a serwery TOR-u zamienią się akurat miejscami, to wszystko na nic. Zakładam, że nie jest głupi, więc pewnie to zrobi.

W pomieszczeniu zapanowało pełne rezygnacji milczenie.

W końcu ciszę przerwała Clara.

– Czekamy na wyniki analizy DNA, czekamy na działanie Interpolu, na federalnych, na właściwy serwer, na pana Torina, żeby sobie przypomniał, czy ma jakichś wrogów, na informacje o Ingu M... Możemy zająć się czymkolwiek innym niż czekaniem?

Hermann odświeżył akurat stronę główną Xenotube. Nagle otworzył szczerzej oczy.

– Możemy – potwierdził. – Obawiam się, że wysłał coś nowego.

Albert Torino wyruszył w świat, by nauczyć producentów programów rozrywkowych się bać.

Chciał stworzyć coś znacznie mocniejszego niż *Fear Factor* i bardziej dosadnego niż *Survivor*.

Uważał, że dla krajowego rynku rozrywkowego stanie się tym, czym huragan Katrina dla Nowego Orleanu.

Jednak nie pomyślał, że każde wynaturzenie zostanie w końcu przebite przez inne. Odpowiedzią na każdy orkan będzie jeszcze silniejszy cyklon, a każdy pożar zostanie przyćmiony wybuchem wulkanu. I w końcu każdy demon zostanie zdetronizowany przez samego szatana.

Hermann uruchomił plik.

Przez kilka sekund ekran pozostawał czarny. Potem ukazała się na nim przywiązana do krzesła młoda kobieta. Teraz nie dało się jej pomylić z nikim innym – to była Andira Althaus. Porywacz zakleił jej usta srebrzystą taśmą i ubrał ją w białą suknię, która wyglądała jak szata pośmiertna.

Dziewczyna trzęsa się, a jej oczy błyszczały tym blaskiem, który u większości ludzi oznacza zwierzęcą panikę i rezygnację; jakby wiedzieli, że nie ma sensu walczyć z nieuchronnym.

Obok niej stał mężczyzna w czerni.

Twarz zasłaniały mu czarne, nieprzejrzyste okulary.

I czarna maska.

Na dłoniach miał czarne rękawice.

Wyglądał tak samo jak na płycie CD, którą Clara dostała trzy dni wcześniej. Tyle że tym razem był większy. Groźniejszy. I bardziej zły. Dużo bardziej.

Z głośników popłynął zniekształcony głos, który znali z poprzedniego nagrania.

– Dotrzymuję słowa.

Czarna postać stanęła obok dziewczyny w białej sukni. Clara miała wrażenie, że patrzy na obraz przedstawiający śmierć nad duszą niewinnej kobiety.

– Dziesięć milionów odtworzeń – mruknął Hermann zrezygnowanym głosem i wskazał na licznik obok okna odtwarzacza. – To więcej niż *Survivor*.

Clara jedynie skinęła głową. Nie wiedziała, co było gorsze: ta informacja czy to, co rozgrywało się przed ich oczyma.

– Zawsze dotrzymuję danego słowa – powtórzył morderca. – Rozpoczyna się kontynuacja programu *Shebay!* I tak jak w pierwszej części, to wy będziecie decydować, co się właściwie stanie.

Na dole ekranu odtwarzacza pojawił się adres strony WWW. Clara szybko go zanotowała. Hermann uruchomił przeglądarkę na innym monitorze i natychmiast go wprowadził. Ich oczom ukazała się ankieta. Można było wybrać jedną z kilku opcji, którą zatwierdzało się przyciskiem wysyłania.

Mężczyzna w czerni spojrzał prosto w kamerę. Policjantka poczuła się przez chwilę, jakby mógł zajrzeć prosto w jej duszę.

– Moje dzieło dobiega końca – mówił morderca. – Jestem Bezimienny. Zabiję ją.

Jego obraz zniknął z ekranu. Kamera pokazała stół z leżącymi na nim różnymi narzędziami i przedmiotami. Niektóre z nich z całą pewnością były bronią, lecz inne nie służyły

do zabijania. Jednak tutaj, w ciemnej i wilgotnej piwnicy, na zakurzonej stoliku ustawionym przed kołyszącą się kamerą, reprezentowały arsenał śmierci i przerażenia. Toporek, nóż, wiertarka, otwornica, pistolet, młotek. I jeszcze wiele, wiele innych. Ich nazwy zostały wymienione na podanej stronie WWW, a obok każdej znajdowało się pole do zakreślenia.

Clara chciała odwrócić głowę, lecz obraz przyciągał jej wzrok niczym magnes. To nie była tylko kontynuacja *Shebay*, lecz również dalsza część filmu z pierwszego CD, od którego rozpoczęła się ta makabryczna sprawa.

– Zabiję ją – powtórzył głos, a kamera jeszcze raz pokazała wszystkie narzędzia na stole. – A wy, przed komputerami... – Tym razem na ekranie pojawiła się postać w czerni. Mężczyzna wycelował palcami wskazującymi w obiektyw, jakby chciał dać znać widzom, że mówi konkretnie do nich. – Wy możecie wybrać, jak dziewczyna zginie.

Kamera zrobiła najazd bezpośrednio na maskę mordercy i jego ciemne okulary. Mężczyzna wpatrywał się nieruchomo w obiektyw. Wyglądał jak dziwaczna trupia czaszka.

– Witamy! – powiedział. – Witamy w interaktywnym teatrze śmierci. Witamy we wspólnym świecie współtworzonej makabry. Panie i panowie, witam serdecznie w projekcie *Śmierć 2.0*.

W siedzibie Krajowej Policji Kryminalnej zapanowała panika. Plik zamieszczony przez zamaskowanego mordercę momentalnie stał się hitem, a co najgorsze, wszystko wskazywało na to, że był równie prawdziwy, jak pokazana na stoliku broń. Nikt nie miał wątpliwości, że Bezimienny nie żartował.

Projekt Śmierć 2.0, interaktywna społeczność, medium, które z pasywnych widzów czyni aktywnych uczestników – to wszystko zostało doprowadzone właśnie do ekstremum, przy którym walki gladiatorów w starożytnym Rzymie wyglądały jak niewinna zabawa. „Zabiję ją, a wy możecie wybrać, jak dziewczyna zginie”. Interaktywny *snuff movie*, gdzie widzowie mają możliwość wpływania na działania mordercy poprzez wybór rodzaju śmierci ofiary. Telewizja zaczęła co prawda łamać społeczne tabu, bo to, niezależnie jak przedstawione, przynosiło oglądalność i wyniki finansowe, lecz przecież nie można było kierować się wyłącznie wskaźnikami. Była jeszcze świadomość, że raz przekroczona granica staje się zwyczajnym trotuarem, a ludzie będą szukali nowych ograniczeń i zakazów do złamania. Publiczność będzie czekała na więcej, coraz więcej i coraz bardziej. W różnych projektach telewizyjnych uczestnicy zgadzali się, by za kilkadziesiąt tysięcy euro zjadać robaki, tarzać się w ekskrementach czy dawać się zamykać na całe dni w prowizorycznych więzieniach. W *Shebay* młode dziewczyny walczyły o popularność i za tę cenę były gotowe się prostytuować. Jeśli ludzie zgadzali się robić z siebie idiotów za marne dziesięć tysięcy euro, a za dwadzieścia tysięcy prostytuować się, to jak daleko posunęliby się za znacznie większe pieniądze? Czy projekt Śmierć 2.0 był dopiero początkiem? Czy pojawią się programy i chętni, by za, dajmy na to, ćwierć miliona euro na żywo odrąbać sobie ramię? Albo tacy, którzy za dwa miliony dadzą się zamordować, pokazując wcześniej w reality show, jak używają życia?

Niespodziewanie zadzwonił telefon Clary.

– Vidalis – przywitała się oschle.

– Dobry wieczór, pani nadkomisarz. Nazywam się Kosinsky, dzwonię do pani ze szpitala Marienburg. Znajomy z policji dał mi pani numer.

– O co chodzi? – zapytała. Na razie nie domyślała się, czego mógłby chcieć od niej jakiś tam pan Kosinsky.

– Mam informacje na temat Inga M. – wyjaśnił mężczyzna.

W końcu.

– Ratuje mi pan życie. – Clara westchnęła. – Co pan wie?

– Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego Ingo M. był opiekunem i wychowawcą w sierocińcu prowadzonym przez Fundację Thomasa Crusiusa. Czytając informacje o nim, człowiek przestaje się dziwić, że skończył w taki sposób.

– Co ma pan na myśli?

– Ingo M. przynajmniej kilkakrotnie był oskarżany o molestowanie i wykorzystywanie seksualne nieletnich, jednak z braku jednoznacznych dowodów nigdy nie udało się go skazać. Bardzo prawdopodobne, że dyrekcja sierocińca miała w tym swój udział, bo Ingo M. sprawdzał się w pracy i nie chcieli go tracić. – Przerwał. – Ale to nie wszystko.

– Nie wszystko?

Clara wyjrzała przez okno na ciemniejące niebo i zapisała szybko kilka słów w notatniku.

– W czasie, kiedy był zatrudniony w sierocińcu, zniknęło bez śladu kilkoro dzieci, w tym rodzeństwo Elisabeth i Vladimir Schwarz. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku dziewczyna figuruje w spisie osób zaginionych. Ona miała piętnaście lat, a chłopak trzynaście.

Clara pospiesznie wszystko notowała.

– Elisabeth Schwarz, piętnaście, Vladimir Schwarz, trzynaście – powtórzyła szeptem. – Skąd macie te informacje?

– Przed pięcioma laty nasz szpital przejął klinikę sierocińca, również prowadzoną przez fundację. Wcześniej dom dziecka utrzymywał wszystko z własnych środków, ale w pewnym momencie zaczęli ograniczać działalność. Poza tym budynek ich kliniki jest skażony pyłem azbestowym. Cała dokumentacja medyczna pacjentów trafiła do nas. – Przerwał na chwilę. – W sumie miała pani wielkie szczęście, bo za pół roku upływa ustawowy termin przechowywania takich papierów. Zostałyby zniszczone.

– Już drugi raz mam szczęście – mruknęła Clara. – Schwarz... zaginieni... Jeszcze raz, od kiedy? Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego? Ma pan jakieś informacje na ich temat, poza, oczywiście, historiami chorób? Kiedy byli widziani po raz ostatni? Jak zniknęli?

– Nie, niestety, takimi informacjami nie dysponujemy. – W głosie lekarza słychać było smutek. – Jednak w samym sierocińcu mogłaby pani znaleźć co nieco, bo tam na pewno też mają akta pensjonariuszy. Tyle że bym się z tym pospieszył. Minęło już dużo czasu, więc lada dzień dokumentacja trafi na przemiał. Sam sierociniec zmniejszył się praktycznie trzykrotnie, a z tego, co słyszałem, w przyszłości ma zostać włączony do znacznie większej instytucji. Całkiem możliwe, że obecna siedziba zostanie w ogóle zlikwidowana.

– Zaraz się tym zajmę – zdecydowała Clara. – Może mi pan podać adres i ewentualnie kontakt do osoby, która odpowie na moje pytania?

– Oczywiście. Ma pani coś do pisania?

Winterfeld chodził nerwowo tam i z powrotem, słuchając relacji Clary. Jej słowom przysłuchiwał się również MacDeath, choć dopiero co wrócił od Bellmanna; był u niego, by pomóc przygotować możliwie zwięzły komunikat na temat mordercy – brzmiący przekonująco, a jednocześnie niewiele zdradzający.

– Elisabeth Schwarz miała piętnaście lat, kiedy zaginęła? – Winterfeld uniósł brwi. – A jej brat trzynaście?

– Zgadza się – powiedziała Clara. – Minęło cholernie dużo czasu, ale istnieje przecież możliwość, że znajdziemy jakiś trop prowadzący do morderstwa Inga M. Może się okazać, że rodzeństwo Schwarzów to ofiary jego zapędów.

– Dosyć odważna teza. Na dodatek po tylu latach będzie wyjątkowo trudno ją udowodnić. – Winterfeld potrząsnął głową.

Clara wzruszyła ramionami.

– A ma pan lepszy pomysł?

– Nie – włączył się do rozmowy MacDeath. – Nie mamy lepszego pomysłu. Kiedy komuś grozi śmierć i tylko jedna tabletką może go uratować, nie będzie się przecież kłócił o jej kolor.

– Dobra, to ja już się nie odzywam. – Winterfeld uniósł dłonie. Niech pani jedzie, a my będziemy pilnowali wszystkiego na miejscu. – Spojrzał na podwładną z miną dobrotliwego mistrza. – Tylko niech pani na siebie uważa, dobrze, señoa? Co prawda w sierocińcu nie czyhają raczej żadne niebezpieczeństwa... ale Bellmann nie chciał, żeby w ogóle oddalała się pani od komendy. W każdym razie nie w tym stanie.

Clara uśmiechnęła się i wstała.

– To niedaleko, więc oddalanie się to za dużo powiedziane. – Zrzuciła płaszcz na ramiona i wsunęła broń do kabury. – Zadzwoń, gdy tylko będę miała cokolwiek interesującego. Powinam wrócić za jakieś czterdzieści minut.

– Niech będzie. – Winterfeld z rezygnacją wzruszył ramionami. – Skoro musi pani jechać, to niech pani częściej do nas dzwoni.

Clara puściła do niego oko i zjechała do podziemnego garażu, a potem wyjechała z budynku policji i skręciła na południe. Zostawiła za sobą tłum dziennikarzy i fotografów, którzy zgromadzili się przed głównym wejściem.

Clara minęła główne wejście do budynku, spoglądając na kłębiący się tłum dziennikarzy. Potem pojechała Tempelhofer Damm na południe. Nawet jeśli prasa czasem wytykała potknięcia, które policja starała się zatuszować, zazwyczaj przynosiło to zysk obu stronom. Mimo to funkcjonariuszka jednej rzeczy wciąż nie mogła pojąć: w przypadku zbrodni powiązanej z mediami dziennikarze, reporterzy i fotografowie wleźli im na głowę i żądali błyskawicznych wyników i natychmiastowych rozwiązań. Tymczasem tysiące ofiar innych kryminalistów – które ziemski padół opuściły w sposób mniej spektakularny niż ofiary Bezimiennego albo musiały żyć w ciągłym strachu, że kolejne wymierzone w nich uderzenie tym razem nie chybi celu – pozostawały całkowicie anonimowe i nic a nic nie interesowały tej zgrai przed wejściem.

Jeden martwy człowiek to tragedia, mawiał Józef Stalin. Milion trupów to czysta statystyka.

Clara dość wcześnie zrozumiała, że policja nie jest postrzegana jako pomocnik i obrońca. Równie wcześnie dotarło do niej, że wrogiem są nie tylko przestępcy, ale też część urzędników i polityków. Policjant, który ogłuszy agresywnego demonstranta, naraża się na ogólne potępienie i wściekle wycie obrońców – znacznie większe niż trójka ćpunów recydywistów, którzy porwali nastolatkę, zgwałcili ją i porzucili ledwie żywą w lesie.

Dlaczego polityka i aparat sprawiedliwości nigdy nie stały po ich stronie? Czy chodziło tutaj o chorą fascynację decydentów, którzy cieszyli się z przekraczania kolejnych granic? A może o coraz większą władzę? Markiz de Sade opisał taki mechanizm wśród bogatych baronów. Im gorszy, bardziej brutalny i bezwzględny czyn został popełniony, tym mniejsze było prawdopodobieństwo, że sprawca zostanie ukarany. Zupełnie jakby społeczeństwo stało się dla mających władzę obsadą ich prywatnego *snuff movie*, a oglądanie kolejnych ofiar bardzo ich podniecało. Jednocześnie chęć łapania przestępców ograniczała się jedynie do sprawców drobnych wykroczeń. Na samochodach mieszkańców miast można znaleźć różnokolorowe plakietki poświadczające spełnianie jakichś norm emisji spalin. Do tego trzeba umieścić gdzieś naklejkę pozwalającą na wjazd do śródmieścia, kartę parkingową i kartę do automatycznego opłacania myta. W niektórych autach znajdują się jeszcze inne, dodatkowe mechanizmy kontrolowania kierowców. Każdy, kto zaparkowałby niezgodnie z przepisami albo nie zapłaciłby za postój, natychmiast zostałby ukarany. Za to pedofilów recydywistów wypuszczano się po prostu na wolność, bo odmawiali poddania się dobrowolnemu leczeniu w zakładzie zamkniętym. W ten sposób policja była zmuszana do obserwowania ich przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, co kosztowało znacznie więcej niż ochrona życia, praw czy wolności kilkunastu dzieciaków. Szekspir mówił, że świat to scena. Dziś rzeczywistość nie jest już sceną, a raczej planem filmowym jakiegoś zwariowanego reality show.

– Dlaczego ci nad nami tak lubią przyglądać się przestępstwom? – zapytał kiedyś Winterfeld, kiedy wypiuwszy kilka kieliszków czerwonego wina za dużo, zaczął z nią rozmawiać o polityce i sprawiedliwości. – To proste. Bo sami są przestępcami.

Ich świat również nie był całkowicie bezpieczny, jak pokazywał przykład Berlina. Ogień nie wybierał. Kiedy się paliło, płonęło wszystko, co płomienie mogły strawić. Było coraz bardziej niespokojnie. Dzisiejszy świat składał się głównie z gotowych do natychmiastowego wybuchu przedmieść zamieszkałych przez sfrustrowanych i gotowych na wszystko młodych ludzi, napierających niebezpiecznie na przywiązane do mieszczańskiego etosu centrum Berlina. Współczesne zagrożenie przemocą i przestępczością zbliżało się do miasta od południa i z Neukölln i rozsadzało granice Berlina niczym gazy gnilne zwłoki topielca, tak samo z północy,



od góry zstępowało bliźniacze niebezpieczeństwo. Przesiąkało przez kolejne dzielnice i sączyło się w stronę centrum jak krew zadźganego nożem przesiąka przez dywan i podłogę, by znaleźć wreszcie drogę do mieszkania poniżej, aż w końcu na suficie na dolnej kondygnacji wyrastają brązowo-szkarłatne plamy. Gęsta ciecz się zbiera i zaczyna kapać.

Jesteśmy jak małe dzieci, pomyślała Clara. Tak długo, jak ludzie zaciskają powieki, wierzą, że zagrożenia nie ma. To, czego się nie widzi, nas przecież również nie zobaczy. Rwetes podnosi się dopiero wówczas, kiedy ci ze świecznika sami stają się ofiarami. Kiedy jedna z bardziej znanych dziennikarek określająca się jako osoba o liberalnych poglądach została zaatakowana od tyłu sztchetami i zostawiona w stanie krytycznym na pastwę losu. I wtedy nadchodzi przebudzenie – witamy w prawdziwym życiu! Ofiara dowiaduje się w końcu, że napastnikami byli małoletni recydywiści, którzy z racji wieku i tym razem zdołali uniknąć jakichkolwiek konsekwencji swojego działania. W takich warunkach rodziła się groza. Tym razem nie pomogą nawet zamknięte oczy.

Nic nie ma większej mocy perswazji niż pięć centymetrów stali w ciele człowieka, mawiał jeden z dowódców oddziału specjalnego, który po złapaniu porywacza i poddaniu go przesłuchaniu wbił mu w udo nóż i obrócił go o czterdzieści pięć stopni. Po tej akcji antyterrorysta szybko się dowiedział, gdzie porywacz ukrył matkę i córkę, które miały być zakładniczkami. Obie kobiety zostały oczywiście znalezione – odwodnione, głodne i na krawędzi załamania, ale jednak żywe. Mimo to Karl, dowódca oddziału, został natychmiast wydalony ze służby, a na dodatek czekał go jeszcze proces.

Działali sami. Bellmann i Winterfeld. Hermann i MacDeath. Clara i pozostali. Jeśli nie będą pomagać sobie nawzajem, nikt inny im nie pomoże.

Sierociniec fundacji Thomasa Crusiusa wyglądał, jakby lada dzień miał zostać zamknięty. Puste korytarze, porzuczone rowerowe ramy, odłazący tynk na ścianach budynków. Tylko tu i ówdzie można było dostrzec jakieś dziecko, siostrę czy wychowawcę.

Dziesięć minut później Clara siedziała w biurze aktualnego dyrektora, pana Mertensa, który stanowisko kierownika sierocińca miał piastować jeszcze ledwie cztery miesiące, a potem zostać przeniesiony do innego zakładu, choć sam jeszcze nie miał pojęcia dokąd. Miał czterdzieści kilka lat i lekką nadwagę, jednak dawał z siebie wszystko, żeby tylko pomóc Clarze. Specjalnie przyjechał w sobotę wieczorem do pracy, żeby z nią porozmawiać. Najwyraźniej jednak nie czytywał gazet, bo nie zadawał jej pytań na temat Bezimiennego, co Clarze bardzo odpowiadało. Mężczyzna położył wcześniej przed sobą teczkę z wydrukami. Niektóre były już pożółkłe, inne popisane niebieskim długopisem. Ich wygląd i zapach przypominał Clarze o czasach spędzonych w szkole podstawowej.

– Niestety, niewiele udało nam się zebrać, jak sama pani widzi – wyjaśnił mężczyzna, stawiając na blacie dwa parujące kubki. Dopiero potem usiadł. – Na dodatek jestem tutaj dopiero od pięciu lat. Osoba będąca dyrektorem w czasach, o które pani chodzi, zmarła dwanaście lat temu na zawał.

Co za niesamowity wybór świadków, pomyślała Clara. Upiła ciepłej kawy i przejrzała pobieżnie papiery.

– Czy zachowały się gdzieś informacje o tym, z kim trzymała się nastoletnia Elisabeth? Mertens potrząsnął głową.

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek takie notatki istniały. Ale nawet jeśli, to po niemal trzydziestu latach i tak nie byłoby czego szukać. – Tym razem to on przerzucił kilka stron zgromadzonych materiałów. – Wiem jedynie, że trafiła tu ze swoim bratem, kiedy ich rodzicom się zmarło.

– Co się stało? – zapytała Clara.

– Wypadek samochodowy, w którym zginęli oboje rodzice. – Mertens wzruszył ramionami. – Z tego, co wiem, to byli naturalizowani Rosjanie, którzy raczej nie mieli tu żadnych krewnych. Dlatego dzieciaki trafiły do sierocińca. Nikt we władzach nie miał zamiaru angażować się w odsyłanie ich do innego kraju, bo twierdzili, że to zbyt skomplikowane. Poza tym rodzeństwo mówiło doskonałym niemieckim. – Znów przerzucił kilka stron. – Pewnego dnia Elisabeth zniknęła. To było chwilę po zniknięciu jej chłopaka.

– Miała chłopaka?

– Zgadza się. Nazywał się Tobias Schäfer. – Mertens przesunął palcem po jednej z kartek. – Często widywano ich razem. Potem Tobias nagle zniknął, a zaraz po nim Elisabeth. Przyjęto wersję, że razem uciekli z sierocińca.

– Czy dawali później jakieś znaki życia?

Mertens zacisnął usta i potrząsnął głową.

– Nie. To, co pani mówiła, bardzo mnie zainteresowało. Dlatego wyciągnąłem stare akta i jeszcze przed pani przyjazdem zacząłem je przeglądać. Wcześniej nie miałem pojęcia o tamtych wydarzeniach. – Upił łyk kawy i skrzywił się delikatnie. – Widzi pani, każda tego typu instytucja ma sprawy, o których nie mówi się głośno. To takie straszne historie, o których opowiada się wieczorami, żeby stworzyć nastrój grozy. Tobias, Elisabeth i Vladimir to historia z naszego sierocińca.

– Vladimir?

– Brat Elisabeth. On również przepadł jak kamień w wodę. – Mertens zmarszczył czoło. – Jednak w jego przypadku podejrzewano samobójstwo.

– Sam się zabił?

– Zgadza się. Utopił się w jeziorze. Tutaj, całkiem niedaleko sierocińca. – Wskazał za okno.

Clara zmarszczyła brwi.

– Czy jego ciało zostało znalezione?

Mertens potrząsnął głową.

– Nie, a w każdym razie w aktach niczego na ten temat nie ma. Więc pewnie rzeczywiście nie.

W głowie Clary myśli wirowały jak szalone. Vladimir. Topielcy z jezior niemal zawsze wypływają na powierzchnię i lądują gdzieś na brzegu. Może chłopak w rzeczywistości nie popełnił samobójstwa? Może zniknięcia Elisabeth, Tobiasa i Vladimira coś łączyło? Trzydzieści lat, które minęły od tamtych wydarzeń, nie ułatwiały sprawy.

– Czy były prowadzone jakieś poszukiwania?

Mertens stłumił ziewnięcie.

– Były. Dno jeziora sprawdzał nawet zespół płetwonurków, ale poszukiwania nie dały rezultatów, więc je przerwano. Trzeba zrozumieć tamtą sytuację, nikt nie naciskał, żeby odnaleźć zwłoki. Dzieciak nie miał rodziny ani nawet bliższych znajomych. Wystawiono akt zgonu, i tyle.

Clara spojrzała na Mertensa.

– Jeślibyśmy jednak założyli, że nie popełnił samobójstwa, tylko je upozorował, żeby zniknąć...?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Zbyt wiele pani ode mnie oczekuje. To wszystko wydarzyło się lata temu. Ani wówczas tu nie pracowałem, ani nie znałem żadnej z zaangażowanych w tamte sprawy osób. Nie mam pojęcia, gdzie chłopak mógłby się ukryć albo dokąd uciec. Był na świecie sam jak palec, poza sierocińcem nie miał nikogo. Jak się zastanowię, to jestem przekonany, że rzeczywiście popełnił samobójstwo. Chce pani wiedzieć dlaczego?

– Oczywiście – potwierdziła Clara.

– Proszę pomyśleć. Najpierw umierają jego rodzice, oboje naraz. Siostra jest jedyną osobą, która mu pozostaje. Poza nią nie ma nikogo na świecie. Ale ona ucieka z tym Tobiasem. I nagle Vladimir budzi się samotny. Mama, tata, siostra... nie ma już nikogo. – Mężczyzna pokiwał wyrozumiale głową. – To zbyt wiele dla nastoletniego dzieciaka.

Clara intensywnie myślała. Tobias czy Vladimir? Czy jeden z nich mógł zostać mordercą? Czy jeden z nich mógł zabić Elisabeth? Czy Tobias uciekł z dziewczyną z sierocińca, a potem ją zamordował? A może wcale nie uciekli, bo oboje byli wcześniej martwi? Kto mógł pozbawić ich życia? Ktoś, kto bał się stracić siostrę? Vladimir?

– Dziękuję za pomoc – powiedziała. – Czy przychodzi panu na myśl ktoś, kto znał Tobiasa, Elisabeth albo Vladimira i miał z nimi jako taki kontakt? Ktoś, kto jeszcze żyje? – Wiedziała, że poprzedni dyrektor zmarł na zawał serca.

Mertens przez kilka sekund myślał, wpatrując się w sufit.

– Pani Borchert – odezwał się w końcu. – Doktor Silvia Borchert. Ale nie... ona przecież zmarła już lata temu.

Clara robiła notatki. Pomyślała, że i tak zadzwoni do Hermanna i poprosi go o sprawdzenie tego nazwiska.

– Czym się zajmowała?

– Przez jakiś czas była dyrektorką sierocińca – wyjaśnił Mertens. – Była takim dobrym duchem tego miejsca. W czasie, kiedy tu pracowała, ktoś taki jak Ingo M. nie znalazłby tu zatrudnienia. Kilka razy zabierała dzieciaki do siebie do domu. Wszyscy wsiadali wówczas w autobus i jechali ten kawałek, bo mieszkała raptem parę kilometrów stąd. Dzisiaj jej dom służy nam jako magazyn. Tak czy inaczej, kilka dni po tym, jak do ośrodka trafił Vladimir z siostrą, pani Borchert przeszła na emeryturę, którą w większości spędzała za granicą, chyba na Majorce. Do końca utrzymywała tutaj swój dom i nie chciała go sprzedać.

– Czyli po przejściu na emeryturę praktycznie w ogóle tam nie bywała?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Ale jeśli tam pomieszkiwała, to bardzo rzadko. Dzisiaj jej dom dalej służy nam za magazyn. Mamy tam prąd, dostęp do telefonu i internetu... za wszystko płacimy jako sierociniec. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby ta rudera się zawaliła. Pewnie jak skończymy działalność w tym budynku, to tamten dom przejdzie do historii.

– Może mi pan podać dokładny adres?

Mertens otworzył szufladę i przez chwilę czegoś w niej szukał.

– Oczywiście, proszę sekundę poczekać. Nasz dozorca mógłby pewnie więcej pani powiedzieć, ale dzisiaj ma wolne. – W końcu wyjął z szuflady niewielką karteczkę. – Proszę, już mam. – Podał ją Clarze. Kobieta przepisała adres i na wszelki wypadek zrobiła jeszcze zdjęcie komórka.

– Dziękuję – powiedziała, wstając z krzesła. Włożyła płaszcz i podała Mertensowi dłoń. – Odezwę się do pana, jeśli będę miała jeszcze jakieś pytania. Jeszcze raz dziękuję za szybką pomoc.

Szybkim krokiem zbiegła schodami na parter i ruszyła do wyjścia. Wsiadła do samochodu, raz jeszcze sprawdziła adres Silvii Borchert i ruszyła.

Pośrodku lasu znajdowała się spora polana z wzniesieniem, na którym wybudowano dom, dziś wykorzystywany jako magazyn sierocińca. Szare ściany, równie smutne jak ołowiane niebo, i zamknięte okna, które przypominały ślepe oczy skierowane w górę, jakby czegoś oczekiwały. Połamane i postrzępione pnie drzew sterczały z ziemi niczym zepsute zęby. Te, które jeszcze rosły, pozbawionymi liści gałęziami sięgały w kierunku nieba.

Dom miał w sobie coś budzącego grozę, jak wielki drapieżnik przyczajony na polowaniu. Mokry od deszczu, przygnieciony ciężkimi chmurami, przypominał Clarze żołnierza w okopie, czekającego na poprawę pogody.

Prawda kryje się pod powierzchnią, pomyślała. Przypomniała sobie analogię do kamieni, które w pracy musiała przewracać, by sprawdzić, co kryją pod spodem – kamienie, które z wierzchu są gładkie, podniesione ujawniają kłębowisko zgnilizny poprzeplatanej robactwem.

A ten dom? Ten podupadły budynek? Wiedziała, że nikt w nim nie mieszka, lecz mimo to czuła, że otacza go jakaś ponura aura. Jakby był nawiedzony, przemknęło jej przez myśl.

Wyjęła broń z kabury i wsunęła ją do prawej kieszeni płaszcza. A potem wspięła się na werandę i podeszła do masywnych drzwi. Obok nich znajdował się dzwonek.

Nazwiska na tabliczce nie dało się odczytać.

Ostrożnie nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły bez podejrzanego skrzypienia, którego się spodziewała. Poruszały się na zawiasach lekko i bezgłośnie. Zajrzała do środka, do ciemnego korytarza.

Potem nabrała głęboko powietrza, otworzyła drzwi jeszcze nieco szerzej i przestąpiła próg.

Wewnątrz panowała martwa cisza.

Clara czuła się dziwnie, choć nie umiała powiedzieć dlaczego.

Czyżby tu rzeczywiście straszło?

Naraz obleciał ją strach. Mimo serca walącego jak oszalałe starała się oddychać jak najciszej. Nie ze względu na panujący w domu bezruch i przytłaczającą atmosferę opuszczenia – Clara miała jeszcze jeden powód: choć nie potrafiła dokładnie wyjaśnić jak i kto, jednak czuła, że ktoś może ją usłyszeć.

Słabe światło deszczowego wieczoru wpadało do korytarza i rzucało jej cień na matową podłogę pokrytą starą farbą. Powietrze nie było nieruchome – jej twarz łaskotał delikatny przeciąg. Powiew był chłodny i pachniał stęchlizną, jakby swoje źródło brał w podziemnej jaskini.

Otworzyła ostrożnie pierwsze drzwi po prawej stronie. Przezornie wsunęła wcześniej dłoń do kieszeni płaszcza, odbezpieczyła broń i zacisnęła palce na kolbie. Wśliznęła się do salonu. Sierociniec musiał przeznaczyć na magazyn dalszą część domu, bo w tym pomieszczeniu wszystko wyglądało, jakby czas zatrzymał się za życia ostatniej właścicielki. Przez opuszczone żaluzje do środka dostawało się bardzo niewiele światła, lecz wystarczająco, by Clara mogła się rozejrzeć. Kanapa, stół z niemodną już i pożółkłą serwetą. W pobliżu drzwi stolik z telefonem. Regały pod ścianami pokrywał kurz i brud. Kiedy Clara otwierała drzwi, środkiem dywanu uciekło jakieś spłoszone stworzenie.

Szczury.

Po lewej stronie majaczyło przejście do kolejnego pomieszczenia. Najwyraźniej był to pokój gościnny, bo Clara dostrzegła staromodne łóżko z potężnymi sprężynami wyzierającymi z materaca, który rozsypałby się zapewne przy najlżejszym dotknięciu. Tutaj żaluzje były opuszczone do końca. Clara włączyła latarkę. Snop światła przesuwiał się po ścianach i wyłowił z mroku stary stolik na kółkach, zastawiony zakurzonymi butelkami.

Za korytarzykiem znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Clara otworzyła je ostrożnie i ruszyła przed siebie, kierując latarkę na ziemię.

Nikogo tu nie ma, powtarzała sobie. Marnujesz czas!

A jednak ostrożnie posuwała się naprzód, świecąc pod nogi i ściskając w kieszeni broń.

Po kilku metrach dotarła do przejścia w podłodze, z którego wydostawało się chłodne i zatechłe powietrze. Kłapa nad schodami była otwarta. Oświetliła ją i zobaczyła otwór ze stopniami prowadzącymi stromo w dół. W twarz wiało jej stamtąd chłodne, pachnące wilgotną ziemią powietrze. Schodami zeszła ostrożnie do kolejnego korytarza. W jednej dłoni ścisnęła latarkę, w drugiej pistolet. Ruszyła przed siebie. Kolejne drzwi. Otworzyły się bez problemu. Nawet zbyt łatwo.

Clara znalazła się w wielkiej izbie. Ze strachu i napięcia tylko pobieżnie rozejrzała się po wnętrzu.

Nagle znieruchomiała.

Co takiego stało pośrodku pomieszczenia? Jakaś tablica? A może duży stół?

Zapewne stół. Coś się na nim znajdowało.

Może byłoby lepiej wyjąć broń, pomyślała. Na wypadek gdyby...

Nagle drgnęła tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a zaczęłyby krzyczeć.

Zobaczyła twarz – pozbawioną ust makabryczną maskę otoczoną złotymi włosami. Ze zniszczonych ust wychylały się pożółkłe zęby, obnażone w przerażającym uśmiechu. Wyschnięta

skóra przypominała pergamin, a zamknięte oczy skierowane były w górę, na sufit.

Niespodziewanie, za jej plecami z głośnym hukiem zatrzasnęły się drzwi. Tym razem Clara podskoczyła ze strachu tak gwałtownie, że upuściła latarkę. Poczula coś przy swoich nogach – czyżby czyjeś stopy? – a latarka potoczyła się po podłodze i znieruchomiła dopiero po drugiej stronie stołu, oświetlając niepotrzebnie fragment ściany z kamienia.

Nagle nadkomisarz usłyszała przytłumiony oddech – bardzo blisko... zbyt blisko.

Odwróciła się i próbowała wyjąć broń, lecz ktoś mocno przycisnął jej do twarzy kawałek gazy.

Clara знаła ten zapach.

Chloroform.

Niech to cholera, co się dzieje... – zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim otoczyła ją ciemność jeszcze głębsza niż mrok piwnicy.

Winterfeld wyjął telefon z kieszeni i przeczytał otrzymaną chwilę wcześniej wiadomość.

– Niech to cholera! – krzyknął wzburzony.

Ruszył biegiem korytarzem, wybierając jednocześnie numer do policyjnego oddziału specjalnego.

– Potrzebuję natychmiast pięciu ludzi w pełnym uzbrojeniu! – zażądał. – Za trzy minuty przy wyjściu. Instrukcje po drodze!

Jeszcze raz spojrzął na wyświetlacz komórki i z impetem wpadł do biura Hermanna.

– Mamy problem – powiedział. – Sprawdź natychmiast ten adres.

Mówiąc to, położył komórkę na biurku współpracownika.

– Clara? – zapytał Hermann.

Winterfeld potaknął.

– Wysłaliśmy mu ją prosto w łapska! – W czasie kiedy Hermann usiłował rozszyfrować podany adres, zadzwonił do Martina Friedricha.

– HRMSDRF DM 18 P BER – przeczytał informatyk. – To może oznaczać jedynie Hermsdorfer Damm. A P BER znaczy północny Berlin. To by się zgadzało. – Wstał, włożył skórzaną kurtkę i spojrzął na Winterfelda. – Jak ostro przydepniemy, jesteście tam w kwadrans.

– Chyba nie myślałeś, że będziemy jechać spokojnie? – odparł przełożony i poklepał go po ramieniu. – Ale ty zostań na miejscu, bo będzie nam potrzebny ktoś z dostępem do wszystkich baz danych i całą resztą aparatu.

Potężny mężczyzna zgodził się niechętnie.

Kiedy Winterfeld zjechał do podziemnego garażu, czekali tam już na niego MacDeath z piątką antyterrorystów uzbrojonych w karabinki automatyczne Heckler&Koch. Wsiedli do opancerzonej furgonetki, która mieląc wściekle kołami, wystrzeliła naprzód. Po kilku sekundach minęli zgrają dziennikarzy kłębiących się przed wejściem do budynku. Z włączonymi kogutami i na sygnale gnali na północ sto kilkadziesiąt kilometrów na godzinę, lawirując między autami na Tempelhofer Damm.

– Dostał pan wiadomość od Clary, tak? – upewnił się MacDeath, siedzący za funkcjonariuszami oddziału specjalnego. Wciąż jeszcze walczył z pasami bezpieczeństwa.

Winterfeld przytaknął i pokazał mu SMS-a.

– Strasznie daliśmy ciała – mruknął, potrząsając głową. – Dobrze, że dała radę napisać.

MacDeath i pozostali policjanci nachylili się nad telefonem.

ZŁAPAŁ MNIE.

HRMSDRF DM 18 P BER

CLARA

Wszyscy na pamięć znali procedurę, więc kiedy dotarli do domu na Hermsdorfer Damm, każdy wiedział, co robić. Tak samo działali przy szturmie na budynek czy przeszukaniu. Dwóch funkcjonariuszy wchodziło do ogrodu, a dwóch czekało za autem zaparkowanym bezpośrednio przed domem. Ich czarna furgonetka wyglądała jak cywilny samochód, więc z zewnątrz nie dało się jej odróżnić od zwykłego pojazdu, lecz na wszelki wypadek zaparkowali ją trochę dalej.

Policjanci przyciskali broń do ciała, by nie zwracać na siebie nadmiernie uwagi. Winterfeld podszedł do drzwi i zadzwonił. MacDeath stanął nieco z boku, a po chwili dołączyła do niego dwójka antyterrorystów.

Winterfeld zadzwonił powtórnie. W końcu szczęknął zamek i w drzwiach pojawił się mężczyzna około czterdziestki o szpakowatych, przeredzonych włosach.

– Tak? – zapytał grzecznie.

– Winterfeld, policja kryminalna – odpowiedział policjant i podsunął mu pod nos podpisany i opieczętowany dokument. – Ten dokument uprawnia nas do przeprowadzenia przeszukania tego domu. Proszę nas wpuścić do środka i nie podejmować działań utrudniających nam wykonywanie czynności służbowych.

Kiedy uzbrojeni funkcjonariusze wpadli obok niego do środka, mężczyzna przywarł do ściany i pokręcił nieprzytomnie głową.

– Sam bym wam to powiedział, gdybyście raczyli mnie spytać! – oznajmił oburzony właściciel domu i potrząsnął głową. Stał obok żony i syna, którzy nie mieli pojęcia, co się właściwie dzieje. – Czy my wyglądamy na porywaczy? – Na jego czole pojawiła się bruzda świadcząca o ogromnym wzburzeniu, a w oczach błysnęła wrogość. Winterfeld czuł się bardzo nieswojo, a przede wszystkim nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Nerwowo przecesał włosy dłonią.

– Tato, czego oni od nas chcą? Dlaczego policja chodzi po domu? – zapytał dwunastoletni chłopiec, który nie tyle był zły, co raczej zainteresowany całą akcją.

– Nie mam pojęcia. – Jego ojciec potrząsnął głową i spojrzał na Winterfelda. – Nie mam pojęcia.

Kręcąc głową, przenosił wzrok z policjanta na czarny samochód oddziału specjalnego i z powrotem.

– Zajęlibyście się tymi wszystkimi mordercami i gwałcicielami, którzy biegają beztrąsko po ulicach, zamiast pilnować, gdzie się parkuje, czy nachodzić uczciwych ludzi i psuć im weekend! – Splótł ramiona na piersiach. – I niezależnie od tego, co pan sobie myśli, ja tego tak nie zostawię! Jako praworządny obywatel nie pozwolę, żeby mnie tak traktowano. Nie jesteśmy w NRD, a wy nie pracujecie już w Stasi!

Winterfeld westchnął ciężko, spojrzał na zegarek, a potem na komórkę. Za bardzo się spieszył, żeby marnować czas na dyskusje z tym człowiekiem. Musiał jak najszybciej ustalić miejsce, gdzie przetrzymywano jego podwładną.

– Strasznie nam przykro, naprawdę – zapewnił wzburzonego mężczyznę. – Działaliśmy w dobrej wierze na podstawie fałszywej informacji. I może pan być spokojny – robimy to wszystko po to, by złapać mordercę i gwałciciela.

– Ale szukacie go w niewłaściwym miejscu – fuknął mężczyzna, zaciskając zęby. – A teraz dajcie nam w końcu spokój.

– Niech to jasna cholera! – ryknął Winterfeld, kiedy siedzieli z powrotem w furgonetce. Wybrał numer do działu informatycznego. Wcześniej usiłował dodzwonić się do Clary, ale nie



odbierała.

– Hermann – powiedział, kiedy ktoś podniósł słuchawkę. – Jesteś pewien, że chodziło o ten konkretnie adres? Może taką samą ulicę mają gdzie indziej? – Wyrzął przez okno na domki jednorodzinne, które mijali. – Możesz ustalić, gdzie jest komórka, z której wysłano tego SMS-a? To komórka Clary, prawda? – przerwał, by dać Hermannowi możliwość odpowiedzi. – Dobrze, że się da, ale ile to zajmie? Dlaczego tak długo? Dobra, zaraz oddzwonię.

Rozłączył się i spojrzał na Friedricha i pozostałych funkcjonariuszy.

– Coś mi tutaj nie gra. Coś strasznie w tej sprawie śmierdzi.

A potem ponownie wybrał numer Clary.

Ciągły sygnał.

Jeden.

Dwa.

Trzy.

Sygnal telefonu wyrwał Clarę z głębokiego snu. Szmata wepchnięta jej do ust miała smak brudu, od którego zbierało jej się na wymioty. Siedziała na zimnej posadzce, a za plecami miała równie zimną ścianę. Chciała się poruszyć, lecz mimo prób nie mogła nawet drgnąć. Z trudem otworzyła oczy i rozejrzała się. Znajdowała się w pomieszczeniu oświetlonym pojedynczą żarówką zwisającą z sufitu na kablu. W narożniku stało wiadro. Obok niego dostrzegła kontakt. Izba nieprzyjemnie przypominała jej miejsce, w którym Bezimienny nagrywał Andirę.

Znów odezwał się jej telefon. Równie natarczywie jak poprzedniego dnia wieczorem, kiedy oglądała obrzydliwy film od mordercy, po którym straciła przytomność. Otworzyła szerzej oczy. Jej wzrok powędrował w kierunku drzwi, skąd dochodził sygnał komórki. Wtedy go zobaczyła. Najpierw dostrzegła jego czarne buty, dwie masywne nogi i szeroki tors. Ubrany na czarno mężczyzna trzymał w dłoni jej telefon i unosił go jak trofeum. Popatrzył na zdobycz, a potem na Clarę. Przez chwilę przyglądał się jej niebieskimi oczyma zza szkielek okularów.

Okularów w oprawkach z matowej stali.

– Domyśla się pani, kto właśnie dzwoni? – zapytał.

Clara wciąż czuła skutki działania chloroformu, więc nie bała się i nie krzyczała. Mimo to miała wrażenie, że słyszała już gdzieś ten głos. Tak jak dzisiaj, niezniekształcony.

Mężczyzna mówił dalej.

– To pani mentor i przyjaciel, Winterfeld.

Zdjął tylną klapkę, wyjął baterię i kartę SIM.

– To na wypadek, gdyby pani koledzy postanowili zlokalizować tę komórkę. Jaka szkoda, że zabrakło im tylko pięciu minut... – Dwoma palcami złamał kartę. Baterię trzymał w lewej dłoni, która lekko drżała. – Szkoda, szkoda...

Spojrzał na zniszczoną kartę, a potem rozejrzał się po pomieszczeniu i poprawił okulary.

– Clara Vidalis – powiedział. – Wiem, że pani kolega, Winterfeld, bardzo się o panią martwi. Przed chwilą wysłałem go na małą wycieczkę na drugą stronę miasta, gdzie miał panią znaleźć. Niestety, pech go prześladuje, bo jesteśmy czterdzieści kilometrów w przeciwnym kierunku. A pani jest związana.

Policjantka zaskakująco dobrze radziła sobie ze strachem. Nie miała pojęcia, czego chce od niej mężczyzna w okularach, lecz doskonale wiedziała, kim jest. Nie mogła również pojąć, dlaczego akurat w tym domu wpadła w jego łapska. Coś jednak jej podpowiadało, że lepiej będzie wysłuchać, co ma do powiedzenia. Im więcej czasu minie, tym większa szansa, że Winterfeld ją odnajdzie lub pojawi się sposobność ucieczki. Jeśli nieznajomy okaże się tym, za kogo go uważała, to gdzieś w pobliżu powinna znajdować się Andira. To oznaczałoby z kolei, że jest w trakcie swojego internetowego show, co wymagało od niego koncentracji.

Choć to akurat może obrócić się przeciwko mnie, pomyślała ze zgrozą. Bo spokój do pracy najłatwiej osiągnie, zabijając mnie.

Tylko czy o to mu chodziło? Zgodnie z tym, co ustaliła z Martinem Friedrichem, miała obserwować jego dzieło aż do samego końca. MacDeath był o tym przekonany. A obserwować mogła jedynie żywa. Więc nie mógł jej zabić. Chyba że... chyba że tylko wmawiała to sobie, żeby ostatnich minut życia nie spędzić, trzęsąc się ze strachu. Dopiero teraz zauważyła, że morderca nie miał maski, nie ukrywał przed nią twarzy. A była przecież policjantką. Tak otwarcie porywacz pokazywał się swojej zakładniczce jedynie wtedy, gdy zamierzał ją zabić.

Clara od zawsze zadawała sobie pytanie, jak to będzie, kiedy przyjdzie jej odejść. Zgon z przyczyn nienaturalnych, tak pewnie zapiszą w protokole sekcji zwłok. Dźgnięcie nożem,

uderzenie, pocisk, upadek z wysokości. Tyle rodzajów śmierci, ilu ludzi.

– Jeśli kiedyś wpadniesz im w łapy, módl się, żeby to był ktoś, kto dobrze strzela – powiedział jej Karl, funkcjonariusz z oddziału specjalnego, który stracił pracę za wbicie noża w nogę porywacza. Uśmiechnął się gorzko. – Bo słyszałem już setki historii o ludziach, którzy dostali postrzał i konali godzinami, z bólu odchodząc od zmysłów. A glina z wydziału zabójstw, który poważnie traktuje swoje obowiązki, rzadko kończy w naturalny sposób.

Śmierć z przyczyn nienaturalnych.

Clara wiedziała, co Karl miał na myśli: że trzeba być przygotowanym na śmierć i mieć świadomość, że pewnego dnia po prostu przyjdzie po nas, i tyle. Bo dzień w dzień los rozdawał karty i dzień w dzień ktoś dostawał te złe. Kiedyś kolej musiała przyjść i na nią.

– Nie mam zielonego pojęcia, jak pani tu trafiła, pani nadkomisarz – odezwał się mężczyzna, którego dotychczas znała jako Bezmiennego. – Ale jakoś się pani udało. Doprawdy, jestem pod wrażeniem.

Potem wyszedł z pomieszczenia, by za chwilę wrócić, niosąc coś w dłoni. Kiedy podszedł bliżej, Clara zobaczyła, co to było: grzałka. Niewiele brakowało, a wpadłaby w panikę. Czego ten szaleniec od niej chce?

Mężczyzna stanął w narożniku pomieszczenia.

– Całymi latami odwiedzała pani grób swojej siostry... pusty grób, jeśli mamy być precyzyjni.

Kobieta poczuła, jak wzbiera w niej nieodparta chęć rozwalenia temu skurwysynowi łba wielkim kamieniem.

– Całymi latami nie mogła pani trafić choćby na ślad Inga M. – ciągnął nieznajomy. – A teraz proszę, szybko dotarła pani do mnie. Gratulacje.

Tak, odnalazła go. Ale nie do końca tak, jak sobie wyobrażała. Nagranie z martwym Ingiem M., które podesłał jej morderca, naprowadziło na ślad jego siostry i w końcu dotarła właśnie do niego. Tyle że teraz to nie miało żadnego znaczenia, bo była zdana na jego łaskę.

I nikt nie miał pojęcia, że jest akurat tutaj.

– Ingo M. – mówił morderca i widać było, że rozkoszuje się bólem, jaki sam dźwięk tego imienia wywołuje w Clarze – sprawiał wrażenie spokojnego człowieka, prawego obywatela i grzecznego sąsiada. Ale przecież musi pani wiedzieć, że oni wszyscy właśnie tacy są.

Clara zauważyła, że o innych mordercach i kryminalistach wypowiada się z ogromną pogardą. Jakby uważał siebie za kogoś znacznie lepszego. Jakby był ważniejszy od innych.

Przypomniała sobie wiadomość, którą jej wysłał: „Jestem kimś więcej niż ciemnym jak tabaka w rogu przestępcą, którego będzie mogła pani ścigać i kiedyś w końcu dopadnie. Ci żałośni zbrojeńcy, którzy kierują się tylko wackiem, szybko wpadają w wasze prymitywne pułapki, bo to bezmózgie, pozbawione inteligencji byty. Ja jestem kimś lepszym i większym. Jestem wszędzie. To ja zastawiam pułapki na was”.

I rzeczywiście, zastawił na nią pułapkę, może nawet taką, z której nie wyjdzie już żywa.

– Stary dobry Ingo sprawiał wrażenie spokojnego przeciętniaka – powtórzył morderca. – Ale zapewniam panią – to, co mi opowiedział, nawet mną wstrząsnęło.

Ruszył w stronę Clary, ale zatrzymał się po kilku krokach i stanął pośrodku pomieszczenia.

– Nie jesteśmy zbyt dobrzy w przyznawaniu się do swoich win. Czasem mówimy, że owszem, coś zrobiliśmy źle, ale nigdy nie mówimy całej prawdy. Pani pewnie tak samo, prawda, Claro? Mam rację? Czy może w zesłań srode w katedrze Świętej Jadwigi wyznała pani wszystko?

Z nieruchomą twarzą przyglądał się jej, czekając, jak zareaguje. Clarę przeszedł zimny

dreszcz. Spowiedź! Skąd wiedział?

– Pamięta pani jeszcze, co pani powiedziałem? – zapytał. – W środę? Przed posągiem w kaplicy? Powiedziałem, że nie będzie nam dane zbliżyć się do ideału. – Pokiwał głową. – I miałem rację.

W tym momencie Clara przypomniała sobie tamto wydarzenie tak dokładnie, jakby oglądała je tysiąc razy na zdjęciach. Wysoki mężczyzna w kaplicy katedry Świętej Jadwigi. Hałas monet wrzucanych do skarbonki, świece. Jego ruchy, ich zwinność. Krótkie blond włosy obcięte na jeża. Okulary w oprawkach z matowego metalu.

Nie, to nie może być prawda, pomyślała.

Ingo M. w dzień pogrzebu Claudii stał przy trumnie obok niej.

A w rocznicę śmierci Claudii, kiedy Clara poszła się wypowiadać, obok niej stanął on.

Tego samego dnia dostała pierwszą przesyłkę z nagrany morderstwem.

Od niego.

Od Bezimiennego.

– Wypowiadała się pani ze swoich grzechów – mówił mężczyzna. – Ale jestem pewien, że nie powiedziała pani wszystkiego. – Cofnął się kilka kroków. – Tak samo jak Ingo M. – Uniósł palec. Clara pomyślała, że jest teraz podobny do Martina Friedricha, kiedy tłumaczył jedną ze swoich teorii.

– Ingo M. – wyjaśniał morderca – był sadystą, który ze swojego wynaturzenia uczynił normę, lecz sprytnie udawało mu się z tym kryć przed światem. Hodował zboczenia w swoim wnętrzu i pozwalał im gnić, aż nie mógł powstrzymać dłużej swoich żądz i zanieczyszczał nimi otoczenie. – Spojrzał na nią uważnie. – Im gorsze były czyny, z których miał mi się wypowiadać, po tym drastyczniejsze środki musiałem sięgać, żeby się przyznał. Bo wiedziałem, że ma do czego. – Złożył potężne dłonie, splótł palce i wygiął je, aż trzasnęły stawy. – Do tego, że robił zdjęcia nagrobków swoich ofiar, by potem w domu się przy nich onanizować, przyznał się dopiero, gdy mu pomogłem lutownicą i obcęgi. – Zrobił kolejnych kilka kroków w jej stronę. – Jednak wiedziałem, że to nie wszystko. Domyślałem się, że jeszcze coś przede mną skrywa. I że musi mi to wyznać. Podłączyłem jego amalgamatowe plombę do prądu. Dzięki temu opowiedział mi, jak wykopywał pani siostrzyczkę. I że uprawiał seks z jej zwłokami. Wiele razy.

Krótki śmiech Bezimiennego był lodowaty jak ciemny kosmos.

– No dobrze, Claro, czas kończyć – oznajmił, nie pozostawiając jej czasu do roztrząsania tego, co przed chwilą usłyszała. A ona miała teraz w głowie szaloną karuzelę myśli. – Jest pani moim widzem i moją sędzią, jak pewnie się pani spodziewała. Jednak nie mogę pozwolić, by zakłóciła pani ukoronowanie mojego dzieła. Za piętnaście minut zabiję Andirę. Wtedy moja praca dobiegnie końca.

Spojrzał na Clarę i nachylił się.

– Nie zabiję pani – mówił dalej. – Ale też nie pozwolę, by pokrzyżowała mi pani plany. Przede wszystkim nie powinna była pani tu przyjeżdżać. Nie po tym, co do pani napisałem. Chciała mnie pani złapać, a sama pani wpadła w sidła. A jeśli zamierzała mnie pani zabić... no cóż, teraz to pani straci życie. – Cofnął się dwa kroki. – Spotka panią to samo co Inga. Zabije panią ogień, a nie ja. Jak pani pewnie już wyczuła – mówiąc to, trącił stopą wiadro na podłogę – to jest benzyna.

Następnie podłączył grzałkę do prądu i wrzucił metalową część do wiadra.

– Powodzenia – powiedział i uklonił się delikatnie. – Mam nadzieję, że ma pani dobre płuca. Bo zaraz będzie tu cuchnęło jak w piekle. A potem wszystko wyleci w powietrze.

Po raz ostatni popatrzył na swoją zakładniczkę. Potem odwrócił się, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Clara siedziała w ciemności swego lochu, a smród oparów benzyny wyciskał jej łyzy z oczu. Od strony wiadra dobiegał coraz głośniejszy bulgot.

Zostało jej tylko kilka minut, po których będzie po wszystkim. Ściany sprawiały wrażenie solidnych, więc siła wybuchu ich nie zburzy. Za to ją, Clarę, fala uderzeniowa zmieni w spaloną, połamaną lalkę.

Nie musiała sobie nawet wyobrazić, jak to będzie wyglądało. Wiedziała, że są tylko dwie możliwości – albo odejdzie błyskawicznie: jasny błysk i ciemność, albo będzie się męczyła, płonąć żywym ogniem i modłać się, by miłosierny czad odebrał jej zmysły i skrócił cierpienia.

Dlaczego to zrobił? Chciał przecież, żeby uczestniczyła w jego zabawie. Chciał, by obserwowała jego poczynania. A teraz nagle przestał jej potrzebować?

Nagle oczyma wyobraźni zobaczyła twarz Martina Friedricha i przypomniała sobie, jak skomentował jej problemy z oceną zachowania mordercy. Powiedział, że łatwo jest wytłumaczyć, dlaczego robi rzeczy z pozoru pozbawione sensu i wymykające się racjonalnej ocenie. Zapytała go jak. Jest szaleńcem, odpowiedział wówczas MacDeath.

Psychiatra zniknął jej sprzed oczu. W powietrzu unosiło się tyle oparów benzyny, że Clara zaczynała tracić przytomność.

Ostatnim wysiłkiem woli otworzyła oczy.

Weź się w garść!

I znów przyszedł moment, kiedy pojawiło się w niej przekonanie, że jakaś potężna moc w niebie musi nad nią czuwać, bo niespodziewanie odzyskała dość sił, by zrobić to, co należy. To, o czym uczyła się na zajęciach ze sztuk walki wręcz i na kursie jogi, lecz czego nigdy jeszcze nie zastosowała w praktyce. Niezależnie od tego, jak okropnie to brzmiało, wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Jeśli nie chciała umrzeć, musiała działać.

Musiała wybić sobie staw barkowy.

W środę, w czasie rozmowy z Winterfeldem, przełożony powiedział półzartem, że to może być przydatne. Dziś okazało się, że nie tylko przydatne, ale i konieczne, jeśli chciała przeżyć.

Ból w ramieniu był porażający, jakby w środku kości eksplodował jej ładunek wybuchowy. Lewa ręka zwiśla w końcu bezwładnie, a ona dyszała ciężko i ociekała potem. Opuściła ramię z łopatką jak najniżej i przez chwilę miała wrażenie, że szpik w jej kościach zastąpiło roztopione żelazo. Niewiele brakowało, a zaczęłaby krzyczeć. Zaciśnęła zęby, bo nie mogła zwracać teraz na siebie uwagi. W końcu przecisnęła wybite ramię pod krępującymi ją łańcuchami. Nagle ucisk więzów zelżał, a łańcuchy zwiślały dość luźno, by mogła oswobodzić również prawą rękę. Wyginając się na boki i chroniąc uszkodzony bark, wydostała się z łańcuchów jak motyl z kokonu. Kiedy była wolna, zdjęła płaszcz i rzuciła go na ziemię, a następnie, zataczając się, podbiegła do drzwi.

Bezimienny musiał być przekonany o powodzeniu swojego planu, bo nie zamknął ich na zasuwę. Clara nacisnęła klamkę. Smród benzyny był nie do wytrzymania. Policjantka spojrzała na ciemny korytarz, wyszła na zewnątrz i zamknęła drzwi za sobą.

Rzuciła się na ziemię w pierwszym bocznym pomieszczeniu, na jakie trafiła, i w tej samej chwili powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja, która nawet kamienne mury wprawiła w lekkie drzenie.

Krztusząc się, odetchnęła i zamknęła oczy. Przez kilka sekund nie mogła myśleć o niczym innym jak o paralizującym bólu wybitego stawu.

Co bym teraz zrobiła, gdybym była mordercą? – pomyślała i natychmiast sobie odpowiedziała. Poszłabym się przekonać, czy więzień na pewno zginął.

Ofiary Bezimiennego żyły w świecie wirtualnym, tak żeby nikt ze znajomych nie miał powodu ich szukać. Z Clarą było odwrotnie. Tym razem to ona musiała przekonać jego, że nie żyje. Wtedy da jej spokój.

Krztusząc się i zataczając, wróciła do piwnicznego lochu cuchnącego spaloną benzyną. Naciągnęła na siebie poszarpany i nadpalony płaszcz i znieruchomiła na podłodze.

Kilka sekund później na korytarzu przed drzwiami rozległy się kroki.

Bezimienny otworzył ciężkie drzwi lochu, w którym zamknął Clare, i rozejrzał się po wnętrzu. W narożniku leżała kupka spalonych rzeczy. Spoglądając na nie, skrzywił się, co miało wyrażać zarówno zadowolenie, jak i smutek. Potem wrócił do komputera. Musiał przeanalizować ankietę, by poznać, jaki rodzaj śmierci internauci wybrali dla Andiry. Przesunął wzrokiem po zaznaczonych propozycjach.

Topór, wiertarka, piła łańcuchowa, młotek... na końcu ankiety zamieścił dodatkowe pole, w które głosujący mogli wpisać swoje propozycje. A zrobił to tylko z ciekawości. Odpowiedzi użytkowników były jeszcze gorsze, niż te, które sam zaproponował. Vladimir Schwarz był wstrząśnięty, jak chore pomysły mogą rodzić się w głowach z pozoru normalnych ludzi.

I kto tu jest nienormalny? – spytał się w duchu i zaczął przygotowania do nagrywania programu.

Clara nabrała głęboko powietrza, dopiero gdy znalazła się na korytarzu. Od kiedy Bezimienny zajrzał do spalonego pomieszczenia, nie odważyła się drgnąć. Czuła na sobie jego spojrzenie i walczyła, by nie wdychać trujących wyziewów benzyny, bo wiedziała, że gdyby teraz straciła przytomność, nigdy już by się nie obudziła.

Ledwie starczyło jej zapasu powietrza, które nabrała wcześniej na korytarzu. Wypuściła je ze świstem przez usta i łączywie uzupełniała zapas tlenu. Starła się przy tym zachowywać jak najciszej. Mimo że było stęchłe i wilgotne, tym razem cieszyła się z powietrza, którym oddychała, jakby pochodziło z najczystszych gór na świecie.

Zakradła się korytarzem do schodów, a potem ruszyła w górę. W salonie stał telefon, przypomniała sobie. Bezimienny zniszczył jej komórkę, więc musiała znaleźć inny sposób, by zawiadomić Winterfelda.

W końcu dotarła do pomieszczenia, przez które niedawno przechodziła. Stała przed szarym telefonem pokrytym grubą warstwą kurzu. Dotychczas myślała, że takie modele można zobaczyć jedynie w horrorach, w których zawodzą bohaterów, bo nigdy nie działają, kiedy trzeba wezwać pomoc.

Teraz sama znalazła się w domu z horroru. I oczywiście musiała trafić na taki telefon. Pomyślała, że reszta mebli, poźółkły obrus i zasłony również idealnie pasują do filmu grozy.

Podniosła słuchawkę i przysunęła ją do ucha. Usłyszała ciągły sygnał. Kamień spadł jej z serca. Wbrew nauce płynącej z kinowych hitów tym razem telefon działał. Pewnie korzystał z niego dozorca z sierocińca, kiedy przyjeżdżał po jakieś materiały.

Drżącymi palcami Clara wybierała kolejne cyfry numeru Winterfelda.

– Winterfeld – rozległ się w słuchawce męski głos. Clara jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa, słysząc szefa.

– Clara z tej strony – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Mamy go. Bądźcie tu jak najszybciej. – I podyktowała mu adres.

– To kawałek stąd – mruknął policjant. – Jazda zajmie nam kilka minut, ale się pospieszymy.

– Gnajcie na złamanie karku. I przyjeźdźcie z oddziałem specjalnym.

– To się rozumie samo przez się, señora – powiedział Winterfeld. Clara słyszała w jego głosie radość, ale i strach o nią. – Niech pani na siebie uważa.

I rzeczywiście, nie oszczędzali silników.

Kilka minut później funkcjonariusze z oddziału specjalnego biegiem ruszyli w stronę domu, przyciskając do piersi karabinki. Zbiegli schodami do piwnicy i zabezpieczali pomieszczenie po pomieszczeniu, podczas gdy Winterfeld, MacDeath i Clara, która ze zmęczenia ledwie mogła się ruszać, podążali ich śladem.

Wzdłuż ciemnego korytarza.

Obok lochu, w którym Clara o mały włos nie pożegnałaby się z życiem.

Do największej izby, w której Bezimienny zaplanował zakończyć swój szalony plan.

W środku panowała zastanawiająca cisza.

Marc stalowym taranem wyłamał drzwi i odskoczył na bok, na wypadek gdyby ukrywający się w środku morderca chciał go przywitać salwą ze strzelby.

Jednak w piwnicznej izbie panował bezruch i cisza, jeśli nie brać pod uwagę histerycznego szlochania przywiązanej do krzesła Andiry. Obok niej stał stolik z bronią i narzędziami przygotowanymi do przeprowadzenia egzekucji. Dziewczyna wciąż miała na sobie



białą szatę, poplamioną na piersiach wymiocinami.

Poza tym jednak nic jej nie było.

Dwójka antyterrorystów uwolniła ją z więzów, podczas gdy pozostali ruszyli w stronę końca korytarza, gdzie znajdowały się największe i najcięższe drzwi. Kiedy Clara je zobaczyła, przypomniała sobie wejście do sypialni w mieszkaniu Jasmin Peters, za którymi trafili na przedsionek piekła. Spodziewała się, że te tutaj również skrywają jakąś groźną tajemnicę i że tylko siłą można je sforsować.

Oglądała wszystko, jakby była w transie.

Ostatnie kroki.

Krzycząca i bijąca na oślep Andira, wyprowadzana przez policjantów na górę. Zaciskali jej przy tym usta, żeby krzykiem nie ostrzegła mordercy.

Któryś z funkcjonariuszy pchnął ciężkie drzwi. Otworzyły się do środka, jakby zapraszając do wejścia do piekła. Były niczym przejście do krainy Charona, który przez Styks przeprowadzał dusze dalej. Clara pomyślała o słowach z *Piekła* Dantego: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”.

Zobaczyli przed sobą coś potężnego i trudnego do zrozumienia.

Bezimienny słyszał zbliżające się głosy i kroki. Wiedział, że już tu są.  
Lecz ukończył swoje dzieło. Inaczej, niż zamierzał, ale jednak uczynił to, co zaplanował.  
Przesunął wzrokiem po piwnicznej izbie, po włączonych monitorach i płonącym kominku  
i po podeście, na którym stała trumna – trumna, w której leżała ona.

Leżała od lat.

Od dziesięcioleci.

Stracona, lecz nie nieobecna. Ukryta, lecz nie zapomniana. Martwa, lecz pełna marzeń.

Im gorzej widział wszystko dookoła, tym bardziej wyostrzał się obraz, który oglądał  
oczyma duszy, i tym bliżej znajdował się progu, za którym zaczynał się tamten świat. Widział  
wszystkich ludzi, których złożył w ofierze – w karnym milczeniu przesuwali się rządkiem przed  
swoim mistrzem.

Dostrzegł wśród nich Tobiasa, którego zatłukł młotkiem jeszcze w sierocińcu i którego  
czaszka była zgnieciona jak karton wyrzucony na makulaturę. Wyglądała jak zapadnięta kopuła.  
Jego zmrożone zwłoki pociął na kawałki, by spuszczać je po kolei w toalecie. Przypominał mu  
targi rybne, które widywał jako dziecko nad Bałtykiem.

Zobaczył też Inga M., który go wykorzystał i pobił, i dla którego stał się najgorszym  
koszmarem, przynosząc cierpienie powolnego konania w żywym ogniu na trzecim poziomie  
starego bunkra. Zwęglona prawa ręka, z której na paskach spalonych ściągien zwisały resztki  
tkanek, trzymała samurajskie ostrze wakizashi, którym w ostatnim odruchu panicznego strachu  
pedofil podciął sobie gardło. Vladimir widział, jak jego krew tryska z uszkodzonej tętnicy i trafia  
w ogień.

Dostrzegł Jakoba Kürtena, „darczyńcę” zarażającego wirusem HIV, sadomasochistę,  
którego podniecało zabijanie innych śmiertelną chorobą. Który zamówił skalpele, nie  
spodziewając się, że jeden z nich pozbawi go życia. Któremu Vladimir zapewnił ostatnie  
szczytowanie, by chwilę później przeciąć mu tętnice, sprawiając, że krew trysnęła mu z szyi  
niczym nasienie w czasie orgazmu – nasienie, które zabrał ze sobą, by umieścić je w ciele Jasmin  
Peters i skierować śledztwo na fałszywy tor.

Jakob był pierwszą osobą, którą zamordował, wypatroszył i zmumifikował. Zaraz po nim  
maszerowali pozostali mężczyźni, których pozbawił życia i wykorzystał niczym marionetki. Ich  
wyschnięte ciała wciąż jeszcze leżały w mieszkaniach i czekały, aż ktoś je odnajdzie.

Potem zauważył Jasmin Peters, która sama wygłosiła swoją mowę pogrzebową, a on  
filmował składanie jej w ofierze. Widział też Julię Schmidt, której obciął głowę i wbił przez nos  
pamięć USB, żeby przekazać Clarze Vidalis osobistą wiadomość.

Widział również sylwetki dwunastu innych kobiet, o których nikt nie miał pojęcia i  
których ciał nikt nie szukał.

Jeszcze nie.

Na samym końcu szedł Tom Myers, któremu nie pomógł ani pakiet akcji, ani pieniądze na  
kontaktach, bo leżał teraz ze złamanym karkiem gdzieś pod ścianą piwnicy, z rękoma wykręconymi  
podczas walki o życie. Jego oczy zgasły szeroko otwarte i wypełnione paniką, jakby wciąż nie  
mógł się pogodzić z tym, że nie żyje, i jakby wciąż jeszcze chciał walczyć.

Wszyscy byli martwi. Wszyscy stracili życie z ręki jednego człowieka. Z jego ręki.

Bo gdzie inni byli tylko cieniami, on był gęstym mrokiem. Gdzie inni byli mordercami,  
on był śmiercią.

Był niczym i był wszystkim.

Był przerażeniem i strachem.  
Był Bezimiennym.  
Złożył kolejne ofiary.  
Rytuał nie dobiegł jeszcze końca.

Zaraz na samym początku Clara usłyszała monotonne pikanie zmieszane z agresywnym trzaskiem szalejących płomieni.

Niechętnie przestąpiła próg piwnicznej izby, która rozpościerała się przed nimi, groźnie i nieruchomo. Jej środek wyglądał jak współczesna, inspirowana internetem wariacja na temat wizji piekła z obrazów Hieronima Boscha – cyfrowego świata, w którym Larry Page i Mark Zuckerberg zostali zdetronizowani przez Gilles'a de Rais i H.P. Lovecrafta.

Przed ich oczyma, niczym żołądek lewiatana rozpościerał się loch długi na dwadzieścia metrów i wysoki na cztery. Po prawej stronie widać było kominek, w którym kołysały się płomienie. Ogień pograżał izbę w roztańczonych cieniach i czerwonym świetle. Zimna niebieska poświata monitorów komputerowych stanowiła dla nich ciekawy kontrast. Rząd nowoczesnego sprzętu elektronicznego zdawał się swoją sterylną estetyką high-tech rzucać wyzwanie omszałemu, wilgotnemu sklepieniu. Clara nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to przedsiónek czyśćca, jakieś szalone miejsce zamieszkałe jedynie przez duchy, tak nierealne i tak niebezpieczne jak internet, który przemierzał pan tego podziemnego świata, szukając kolejnych ofiar.

Na długim stole stało kilkanaście laptopów. Na każdym widać było pęk kluczy, jakieś dokumenty, karty płatnicze i fotografie, a obok narzędzia do włamań, druty, łomy i kombinerki.

Cyfrowa tożsamość tych, którzy wirtualnie wciąż żyją, choć w realu dawno pożegnali się z życiem.

Nieco dalej przyrządy służące innym celom. Gumowe rękawiczki, strzykawki, jednorazowe ostrza. Metalowe tacki, węże i baniaki.

W dwóch wielkich jak wanny terrariach roilo się od czarnych chrząszczy. W zatęchłym piwnicznym powietrzu unosiła się cytrynowa woń robactwa i mieszała z zapachem dymu, któremu naelektryzowane powietrze znad komputerów nadawało nutkę nierzeczywistości.

Lecz pośrodku tego dziwnego miejsca stało coś, co wprawiło Clary w osłupienie, choć przecież kilka godzin temu przez parę chwil mogła to zobaczyć – w trumnie leżały zwłoki młodej dziewczyny. Policjantka dopiero teraz dostrzegła, że jej ciało zostało zmumifikowane: przymknięte oczy skierowane były w górę, sucha jak pergamin skóra miała nieprzyjemnie szary odcień i zapach wyprawionej tapicerki, a przypominające kościotrupa ręce spoczywały złożone na drobnej piersi. Z pozbawionych warg ust wychylały się pożółkłe zęby układające się w budzący przerażenie uśmiech. Dzięki jakimś zabiegom jej blond włosy wciąż jeszcze błyszczały jak płynne złoto. Dziewczyna leżała ubrana w białą suknię, uszytą, jakby była szatą pogrzebową i zarazem kreacją ślubną. Nastolatka wyglądała jak zmarła królowa w miejscu ostatniego spoczynku.

Elisabeth.

To jej składał ofiary.

Przed trumną stał blok marmuru pełniący funkcję ołtarza, a na nim Vladimir poustawiał różnej wielkości mosiężne naczynia. Obok leżały noże i tasaki. Biały niegdyś kamień pokrywały dzisiaj szkarłatne plamy zakrzepniętej krwi.

Krew i wnętrzności.

Ofiara.

A z przodu siedział ON.

Z drugiej strony sarkofagu, u stóp mumii, która leżała tam od dziesięcioleci.

Przed czterema dużymi i trzema małymi monitorami, gęstwiną kabli, serwerów,

komputerów, klawiatur, kamer internetowych i mikrofonów siedział pan i władca tego wirtualnego królestwa, król cyfrowego piekła. Ten, który miał być nocą, gdy inni byli tylko cieniami. Który miał być śmiercią, gdy inni byli tylko mordercami. Siedział ze spuszczoną głową, a okulary w oprawkach z matowej stali położył obok siebie.

Bezimienny.

Tutaj planował swoje działania, stąd podawał się za kogoś innego i kontaktował z niewinnymi ofiarami, które potem odwiedzał, filmował, mordował, patroszył i wykrwawiał, i którym zabierał wnętrzności i krew, by złożyć je w ofierze na ołtarzu przed trumną siostry. I ruszał na poszukiwanie kolejnej ofiary. Numer 11. Numer 12. Numer 13. Numer 14...

Był tutaj. Siedział nieruchomo, z głową spuszczoną na piersi. On. Ten, który przyniósł tak wiele cierpienia, śmierci i strachu. Nieruchomy jak posąg.

Monitor przed nim wyświetlał interfejs jakiegoś programu pocztowego. Clara przyjrzała mu się uważniej.

W czasie szkolenia do pracy w policji kryminalnej nauczyła się podczas jednego przelotnego spojrzenia wyłapywać wszystkie ważne i mniej ważne szczegóły i oddzielać te całkiem pozbawione znaczenia. Ten ułamek sekundy często decydował, czy będzie żyła czy zginie.

Dlatego właśnie rozejrzała się błyskawicznie po całym pomieszczeniu i w mniej niż dwie sekundy dostrzegła wszystko – komputery, regały, trumnę i jego.

W kolejnej sekundzie dostrzegła miernik pulsu, który Bezimienny przytwierdził sobie do gardła. Kabelek od niego prowadził do przenośnego EKG, którego monotonne pikanie słyszała, wchodząc do środka. Lecz teraz zauważyła, że tętno mężczyzny gwałtownie zwalnia. Przy przenośnym EKG Clara dostrzegła zapalnik czasowy, z którego wychodziły kable i biegły w kierunku narożnika izby.

Cztery wielkie beczki już wcześniej zwróciły jej uwagę, lecz do teraz nie zastanawiała się, co mogą w sobie kryć. Nadszedł czas, by przyjrzeć im się uważniej. Na powierzchni niebieskiego plastiku znajdowały się etykiety informujące o substancji w środku:  $C_6H_2CH_3(NO_2)_3$ . Nie była chemiczką, ale i tak potrafiła rozpoznać ten wzór. Trinitrotoluen, czyli trotyl. TNT.

Clara nabrała powietrza i krzyknęła najgłośniejszym głosem, jak mogła:

– EWAKUACJA! NATYCHMIAST!

I rzuciła się do ucieczki.

Siła eksplozji była potężna. Clara i pozostali wybiegli przez główne wejście i rzucili się w kierunku wozu oddziału specjalnego, za którym znaleźli schronienie, przywierając płasko do ziemi.

Fala uderzeniowa przemknęła nad nimi niczym oddech wściekłego boga. Jak lawa w czasie erupcji wulkanu, w powietrze wyleciały deski, kawałki kamieni i cegieł, meble, ramy okienne i szkło. Poszarpane kawałki wełny szklanej z ocieplenia dachu zawisły na gałęziach okolicznych drzew. Belki więźby, fragmenty mebli i podłóg lądowały z łoskotem pięćdziesiąt i więcej metrów od domu i wbijały się z impetem w rozmokniętą ziemię. Wrony i inne ptaki zerwały się przestraszone z drzew i panicznie machając skrzydłami, zniknęły w lesie otaczającym polanę, skąd po chwili dobiegało już tylko odległe krakanie. W niebo wzniosła się chmura sadzy, pyłu i kurzu, która przesuwając się jak obłok, przysłoniła zachodzące słońce.

Bezimienny popełnił samobójstwo. Chciał przy tym zabrać ze sobą wszystkich, którzy byli w domu. Dlatego nie zabił wcześniej Andiry, tylko zostawił ją w pierwszej izbie jako przynętę. Po co zabijać jedną osobę, skoro można pozbawić życia dziesięć naraz? Robert Ressler zdefiniował różnicę między seryjnym a masowym mordercą. Bezimienny był tym i tym.

Clarze dzwoniło w uszach, jakby właśnie wyszła z koncertu heavymetalowego. Ostatnie promienie słońca kończącego się dnia przenikały przez unoszący się wszędzie pył i oświetliły ruiny domu. Z masywnego niegdyś budynku pozostał dymiący krater w ziemi. Policjantka pomyślała, że wygląda jak rozłupana czaszka mordercy, który włożył pistolet do ust i pociągnął za spust, żeby nie dać się złapać. Spojrzała na Winterfelda, który niepewnym krokiem szedł w kierunku swojego auta. Widziała Friedricha, zdeorientowanego i z połamanymi okularami. Marc i Philipp stracili hełmy, lecz nawet wybuch nie zdołał ich rozbroić – ogłuszeni przyciskali do piersi karabinki HK.

Odwróciła głowę i spojrzała na dwójkę policjantów, którzy oddali Andirę pod opiekę lekarzy pogotowia i policyjnego psychologa. Młoda kobieta była w szoku, szarpała się i biła na oślep rękoma.

– Już po wszystkim! – krzyczał jeden z nich i potrząsał ją za ramię. Modelka siedziała bez ruchu i szklistymi oczyma nieprzytomnie wpatrywała się w dal. – Już po wszystkim. Nic już ci nie robi. Nie żyje. Rozumiesz? Nie żyje!

Clara zacisnęła zęby, żeby wytrzymać ból lewego ramienia, które bezwładnie zwisało wzdłuż ciała, po czym wstała z ziemi. Ostrożnie ruszyła w stronę ruin domu. Spojrzała jeszcze na Andirę w karetce i na zachodzące słońce. A potem popatrzyła pod nogi. I znalazła coś, co zauważyła wcześniej kątem oka: coś, co niemal bez uszkodzeń przetrwało piekielny wybuch i wylądowało tu, nietknięte, pośród chaosu zniszczenia.

Schyliła się.

To było czarno-białe zdjęcie.

Przedstawiało młodą dziewczynę, mniej więcej dwunastoletnią. Blond włosy miała zaplecione w dwa warkoczyki, a żywe oczy wyrażały ciekawość świata i radość. Na odwrocie ktoś podpisał je odręcznie staromodnym charakterem pisma.

Elisabeth, 1978.

Clara uniosła wzrok znad czarno-białej fotografii zabarwionej szkarłatem zachodzącego słońca i spojrzała na dymiące ruiny domu. Łzy napłynęły jej do oczu.

Elisabeth.

Pomyślała, że przypomina jej Claudię.

Nadkomisarz ruszyła chwiejnym krokiem dalej, ściskając w drżącej dłoni zdjęcie Elisabeth. Szła w stronę gasnącego słońca, które coraz szybciej oddawało nocy władanie nad dymiącą polaną. Nie chciała z nikim rozmawiać.

Jeszcze raz spojrzała na podniesione z ziemi zdjęcie, w błyszczące oczy dziewczynki, w których ciekawość mieszała się z dziecięcą radością.

I w końcu nie była w stanie dłużej powstrzymać łez.

Elisabeth i Claudia.

Obie zdecydowanie zbyt wcześnie odeszły, obie poznały świat dorosłych tylko w ten sposób, że przez niego właśnie zginęły. Lecz coś po nich zostało: szczerłość, radość i ciekawość, którą mają w sobie tylko dzieci i z którą jedynie dzieci potrafią odkrywać życie. Te cechy ożywały we wszystkich, którzy je znali i wspominali. Trwały w prawdziwym świecie. Świecie strachu, bólu, krwi i śmierci.

I jak zdjęcie pokazywało nienaruszone piękno dziecka, tak Claudia i Elisabeth zostaną już na zawsze małymi dziewczynkami niosącymi przez świat swój dziecięcy optymizm, niezależnie od tego, dokąd śmierć je zabrała. Będą takie już do końca w pamięci tych, którzy tu zostali.

Piękne, niewinne, cudowne.

W sercach tych, którzy je kochali.

Na zawsze.

## Epilog

Im dłużej ktoś nie żyje, tym łatwiej przychodzi nam go rozumieć.

Clara miała wrażenie, że jeszcze raz przez chwilę widziała swoją siostrzyczkę, jak beztrudnie biegnie przez łąkę i śmieje się z głupich krów, które za każdym razem nabierała, udając głos rolnika – wszystko to ożyło dzięki zdjęciu uratowanemu z ognistego piekła.

Lewe ramię policjantki spoczywało w szynie. Miała jej nie zdejmować przynajmniej przez dwa tygodnie. No to czeka mnie raczej spokojny urlop, pomyślała. Może nie pojedzie nigdzie daleko. Może tylko nad Bałtyk albo do Danii. Zadzwoń w końcu do starych przyjaciółek, z którymi całą wieczność już nie rozmawiała. I poświęć trochę czasu, żeby zatroszczyć się o prezenty na święta dla krewnych i znajomych. Lada dzień zaczynał się listopad, a nieco za wcześnie zawsze było lepszym rozwiązaniem niż nieco za późno.

Bellmann był jeszcze w biurze. Pogratulował Clarze i długo potrząsał jej zdrową dłońią, podobnie jak Winterfeld, Hermann i wszyscy policjanci z oddziału specjalnego.

Na samym końcu przyszedł MacDeath. W wybuchu stracił swoje okulary, więc nosił takie kupione naprędce przy aptecznej kasie, w paskudnych oprawkach.

– Skoro jest już po wszystkim – powiedział i puścił do niej oko – może pomyślelibyśmy o jakimś spokojniejszym wypadzie na whisky. Co pani o tym sądzi?

Clara roześmiała się serdecznie.

– Ale w tych okularach? – odparła i zaśmiała się jeszcze głośniejszym głosem, choć nie wiedziała dlaczego. – No nie wiem...

MacDeath przygotował się na różne scenariusze, ale takiej odpowiedzi się nie spodziewał.

– W poniedziałek odbieram nowe.

– To w poniedziałek zadzwonię – odpowiedziała, nie przestając się śmiać.

Potem wróciła do swojego biura i usiadła za biurkiem, ostatni raz przed urlopem. Po raz ostatni otworzyła komputer, włączyła go i sprawdziła pocztę. I zamarła.

Jeden z nadawców momentalnie przyciągnął jej uwagę.

Vladimir Schwarz

Czyżby to był e-mail wysłany na chwilę przed wysadzeniem podziemnego mauzoleum w powietrze? Wiadomość od człowieka, który już nie żyje, lecz raz jeszcze wyciąga rękę zza grobu?

Kliknęła dwa razy i otworzyła list. Pusta wiadomość i dwa załączniki. Plik multimedialny opisany jako „Pierwszy” i dokument PDF zatytułowany „Drugi”.

Trzęsącymi się rękoma otworzyła plik multimedialny.

Ekran zrobił się czarny.

Potem ujrzała sklepienie piwnicy.

Tej samej piwnicy, którą widziała na chwilę przed eksplozją.

A potem zobaczyła Vladimira.

Bezimiennego.

Miał na sobie czarną koszulkę z krótkim rękawkiem, taką samą, w jakiej widziała go wcześniej. Nieruchomo patrzył w obiektyw kamery.

– Claro – powiedział w końcu, świdrując ją swoim wężowym wzrokiem. – Wielu z nas marzy, by zostać sławnym aktorem albo gwiazdą rocka. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie i potrząsnął głową. – Jednak większości nie jest to dane. Zamiast zdobyć sławę i popularność, zostajemy sami, chorzy i zgorzkniali. A jeśli mamy szczęście, w końcu umieramy. – Odstąpił w uśmiechu zęby. – A jeśli potem mamy jeszcze odrobinę szczęścia, wszystko się kończy. Nie



czeka nas piekło, równie monotonne, bezsensowne i pełne złudnych nadziei, jak doczesne życie, które toczy my.

Zamilkł i przez kilka sekund wpatrywał się w Clarę nieruchomym wzrokiem.

– No dobrze, ale przejdźmy do sedna. Jeśli otworzyła pani tę wiadomość, to znaczy, że pani przeżyła. Gratuluję. Jednak zanim wzniesie pani toast za zwycięstwo i poklepie się pani z kolegami po plecach, chciałbym powiedzieć o czymś, co być może panią otrzeźwi. A trzeźwej głowy potrzebuje pani w tym zawodzie jak niczego innego.

Pani, Claro, wierzy zapewne, że zwyciężyła w tej rozgrywce i osiągnęła coś, co choć trochę zmniejszy pani poczucie winy. Ale proszę spojrzeć na to uczucie: uratowała pani tylko jedną osobę. A ile zginęło? Z iloma stało się to, co zaraz pani pokażę?

Przerwał. Clara z przerażeniem wpatrywała się w ekran, zastanawiając się, co zrobi? Co będzie chciał jej pokazać?

Nagle w dłoniach Vladimira pojawiły się dwa skalpele. Oparł ostrza o skórę przy łokciach i gwałtownym ruchem obu rąk przeciął biegnące tamtędy żyły. Potem przysunął poranione kończyny do obiektywu, by mogła je zobaczyć. Jasna krew spryskała jego twarz, koszulkę i klawiaturę. Pojedyncza kropla kapnęła prosto na kamerę, przez co Clara widziała obraz przez groteskowo czerwony filtr tak, jak wcześniej oglądała zniszczony dom w promieniach zachodzącego słońca. Oczy mordercy zrobiły się szkliste, lecz mówił dalej, jakby nic się nie stało, obojętnym i niemal obcym głosem. Jakby słowa wypowiadał ktoś zupełnie inny.

Lecz to był on. Vladimir Schwarz.

Bezimienny.

– W załączniku wysłałem pani plik PDF – oznajmił. Clara słyszała, że słabnie. – Znajdzie w nim pani nazwiska i adresy wszystkich moich ofiar. Proszę ich wszystkich odwiedzić i dobrze się temu przyjrzeć. Dwanaście kobiet i sześciu mężczyzn. Nie miała pani o nich pojęcia. – Zaniósł się kaszlem, ale po chwili kontynuował: – Ściśle rzecz biorąc, to siedmiu mężczyzn. Bo nie tylko zabiłem siebie, żeby dopełnić dzieła ofiary piętnastu istnień, ale też odbieram pani możliwość zamknięcia mnie w jakimś zakładzie, gdzie niczym trofeum przekazałaby mnie pani w ręce jakichś profesorów.

Uniósł dłoń do czoła jak jakiś myśliciel, a krew z otwartej rany pociekła mu po twarzy. Clara nie potrafiła się zdecydować, co było bardziej przerażające: krew, groteskowy wzór, którym znaczyła jego twarz, czy obojętność mordercy.

– Uratowała pani jedną ofiarę. Tylko jedną. Punkt dla pani. Po mojej stronie czternaście martwych kobiet i siedmiu mężczyzn. – Uśmiechnął się diabolicznie. Twarz miał bladą i zapadniętą jak trup. – To daje dwadzieścia jeden do jednego dla mnie.

Jeszcze raz wyszczerzył zęby w nieprzyjemnym grymasie. Naciągnięte, niemal całkowicie pozbawione krwi wargi nadały jego twarzy wygląd trupiej czaszki.

– Po mnie pojawią się kolejni, którzy podniosą poprzeczkę i zwielokrotnią mój wynik. A pani? Pani będzie chępiła się tą swoją jedyneczką i beczynnienie stała, tak jak beczynnienie stała pani przez te wszystkie lata nad pustym grobem siostry.

Clara była jak sparaliżowana. Nie mogła nabrać powietrza, nie mogła nic powiedzieć ani zrobić. Mogła jedynie słuchać dalej.

– Bo ja nie jestem pierwszy – oznajmił Bezimienny. – I nie jestem ostatni.

Uniósł zakrwawione ręce. Clara spoglądała w jego oczy, w których mieszały się obojętność i chłód, i w których nie było już życia. Krew przestała tryskać i tylko kapłała.

– Claro – Bezimienny odezwał się po raz ostatni. – Mam na imię Vladimir. Ja już nie żyję, lecz chaos będzie trwał.

Ekran zgasł.

[1] Cytaty biblijne za Biblią Tysiąclecia wydawnictwa Pallottinum.

[2] William Szekspir, *Tytus Andronikus*, przeł. Leon Ulrich.

